

PIERWSZY TOM CYKLU OSTATNI LEGION

C H R I S

BUNCH

**OSTATNI
LEGION**



REBIS

Chris Bunch

Ostatni Legion 01:Ostatni

Legion

(Last Legion)

Przekład: Radosław Kot

Dla

Dona i Carol McQuinnów

Megan Zusne i Gary'ego Lothiana

Jima Fiskusa

Oraz oczywiście, bo jakby inaczej,

Tego prawdziwego Bena Dilleya

I prawdziwego Jordana Brooksa

1

Ross 248/planeta Waughtal/Primeport Aleją wolno przeleciał policyjny ślizgacz. Za jego szybami mignęły blade twarze glin.

Patrzyli z całkowitą obojętnością prosto przed siebie.

Baka, pomyślał Njangu Yoshitaro. Odprowadził sukę spojrzeniem. Oznakowany czerwonymi pasami antygrav wzniósł się i przeleciał nad kopułą na zakręcie ulicy. Co za głupcy.

Njangu nosił brunatne spodnie, tunikę w tym samym kolorze oraz kominiarkę.

Opuścił ją teraz na twarz, poprawił ułożenie otworów na oczy i ruszył aleją. Była zupełnie pusta i jasno oświetlona. Tylko niektóre witryny sklepów były ciemne, na większości światło uka- zywało ustawione w różnych pozach manekiny, meble i mnóstwo szpanerskiej elektroniki.

W dzielnicy Yoshitara podobne cacka miewali tylko ci, którym udało się je ukraść.

Njangu przemknął na drugą stronę ulicy do wzmocnionych stalą gładkich drzwi.

Szybko ustalił, że są zamknięte na zamek Ryart model 06. Nie najtrudniejszy, ale i nie taki łatwy do sforsowania. Cztery klawisze numeryczne. Będzie miał trzy szansę, zanim zamek zablokuje się albo uruchomi alarm. Jedno albo drugie, zależnie od budżetu albo i natężenia paranoi właściciela sklepu. Spokojnie, najpierw najłatwiejsze. Ustawienie fabryczne to 4783.

Spróbował, bez skutku. Wydaje mu się, że jest sprytny, pomyślał o właścicielu.

Ale jego sprzedawcy czasem otwierają te drzwi. Może numer posesji to 213. Zero na pierwszym czy na drugim miejscu? Raczej na pierwszym.

Wybrał kombinację. Drzwi otworzyły się z cichym szczęknięciem.

Wcale nie taki sprytny.

W wysłanym grubym dywanem pomieszczeniu stało ponad dziesięć otwartych skrzynek. Leżące w nich na wpół świadome klejnoty odbijały wpadające z ulicy światło.

Poruszały się z wolna niczym węże i spowijały pomieszczenie w zmienny, kalejdoskopowy blask.

Wyciągnął z kieszeni komunikator, przycisnął na dłużej guzik transmisji, a potem raz krótko i znowu długo. Ku otwartym drzwiom sklepu pobiegło cicho z pół tuzina cieni.

Yoshitaro wymknął się na ulicę i nawet się nie obejrzał. Potem spotka się z pozostałymi i odbierze swoją działkę.

Trzy przecznice dalej skręcił w ciemną uliczkę, zdarł kominiarkę z głowy, zdjął rękawiczki i wepchnął to wszystko do torby u pasa. Ruszył szybkim krokiem. Zwykły, smukły i wysoki młodzieniec, który zasiedział się gdzieś do późna i spieszy się do domu, do łóżka.

W alei za jego plecami huknął strzał. Jeden, potem drugi i trzeci. Ktoś krzyknął, ktoś inny wrzasnął. Rozległ się metaliczny głos z megafonu. Z tej odległości nie rozróżniał słów, ale takim tonem mogli odzywać się tylko stróże prawa.

Cholera!

Njangu sięgnął do pasa i wyjął oprawną w skórę książkę. Zamknął kryjącą już tylko złodziejskie akcesoria torbę i wepchnął ją pod zaparkowany obok chodnika pojazd.

Kiedy zamknęli świątynię? Godzinę... nie, półtorej godziny temu. Spóźniłeś się na ostatnią kolejkę, co? Tak, i wstąpiłem do baru, żeby coś przekąsić. I wziąłem kanapkę. Proszę, mam jeszcze opakowanie w kieszeni. Taa... Gra, będzie dobrze.

Oby. Oby naprawdę zagrało. Światło szperacza znalazło go dopiero dziesięć przecznic dalej, w połowie drogi na drugą stronę ulicy. Od razu wystrzelili liny. Jedna owinęła mu się w pasie, druga przycisnęła rękę do tułowia. Upadł. Gdy obrócił się na bok, ujrzał podchodzące coraz bliżej nogi, a nad nimi zarys blastera.

–Nie ruszać się – powiedział brzęmiący metalicznie szorstki głos. – Zostałeś

zatrzyma- ny przez funkcjonariusza policji Federacji jako podejrzany o stworzenie zagrożenia dla życia i bezpieczeństwa publicznego. Każda próba oporu zostanie uznana za zamach na przedstawiciela organów porządkowych.

Posłuchał.

–Dobrze. Najlepiej nawet nie oddychaj. – Głos nabrał niemal ludzkiego odcienia.

–Hej, Fran. Mamy go.

Z suki wysiadła kolejna para nóg.

Njangu poczuł kopnięcie w plecy, jego śniadą twarz omiótł promień latarki.

Jeden z gliniarzy pociągnął żylastego młodzieńca za pęta i postawił go na nogi.

Yoshitaro był wyższy od obu mężczyzn.

–Domyślam się, że nie miałeś nic wspólnego z tą małą robótką w BE na Giesebechstrasse, co? Dziesięć minut temu cię tam nie było?

–Nie mam pojęcia, o czym pan mówi – odparł Njangu.

–Taa. I pewnie nie znasz nikogo takiego jak Lo Chen, Peredur albo Huda? To paru twoich kumpli, których przyskrzyniliśmy.

Yoshitaro zmarszczył czoło, udając, że wysila pamięć, i potrząsnął głową.

–Ciekawe, czy wpadłeś w oko kamerze? – rzucił wesoło gliniarz. – Ale to i tak bez znaczenia, bo znaleźliśmy przy tobie to. – Wyjął z buta kieszonkowy blaster. – Co zamierzałeś z nim zrobić?

–Nigdy wcześniej go nie widziałem – zapewnił go Njangu, przeklinając w duchu swoją głupotę. Sam im się wystawił.

–Teraz już widzisz – powiedział drugi policjant. – Wypadł ci zza paska, gdy cię złapaliśmy. Kiepsko będzie, Yoshitaro. Naruszenie godziny policyjnej, pobyt bez zezwolenia poza swoją dzielnicą, posiadanie broni palnej, którą na dodatek próbowałeś na nas wyciągnąć.

–Próbował, próbował, sam widziałem – rzucił pierwszy gliniarz.

–Więc jeszcze usiłowanie morderstwa. Starczy z nawiązką, nie sądzisz?

Njangu zachował obojętny wyraz twarzy.

Gliniarz wbił mu pięść w żołądek, patrząc z przyjemnością na jego twarz. Njangu zgiał się wpół i runął do przodu, obracając się tak, aby paść na ramię. Gdy już leżał, machnął nogami, trafiając w łydki policjanta. Zaskoczony gliniarz krzyknął z bólu i runął jak długi.

Upuszczona latarka odtoczyła się na bok, plama światła zatańczyła po ciemnych fasadach budynków.

Yoshitaro próbował uklęknąć i postawił nawet jedną stopę, gdy doskoczył do niego drugi gliniarz. Njangu zobaczył zmierzającą ku jego twarzy pięść w rękawicy.

Chwilę później przestał widzieć cokolwiek.

–Chyba nie mamy się za bardzo nad czym zastanawiać – powiedziała kobieta o surowym wyrazie twarzy i spojrzała ponownie na trzy ukryte przed spojrzeniem Yoshitara monitory. – Wszystkie dowody świadczą przeciwko tobie, a twój obrońca z urzędu przyznał, że nie może ci nijak pomóc.

Posiniaczone oblicze Njangu pozostało nieruchome.

–Masz niezły dorobek jak na osiemnaście lat – ciągnęła kobieta. – Chyba szczęśliwie się złożyło, że nie zdążyłeś na czas wyciągnąć tej broni. – Zamilkła na chwilę.

Czy masz cokolwiek do powiedzenia, Stefie Yoshitaro?

–Nie używam już tego imienia.

–Rozumiem. Dobrze, Njangu Yoshitaro.

–To brak szacunku wobec sądu – upomniał go głośno przysadzisty przedstawiciel policji.

Sędzina dotknęła jakichś sensorów.

–Spory i nieciekawy dorobek – mruknęła. – Zacząłeś, gdy miałeś trzynaście lat.

Co się z tobą stało, Njangu? Akta twojej rodziny nie świadczą o tym, abyś miał jakieś powody do takiej zmiany.

Nie mają prawa. Matka nigdy nie wychodziła z domu posiniaczona. Zawsze czekała, aż sińce zejda. Stary kupował sobie prochy po całym mieście. Czasem pichcił własne. Marita prędzej by umarła, niż powiedziała komukolwiek obcemu o nocnych wizytach tatusia. Nie, nie miałem żadnego powodu, aby przestać być chłopcem z dobrego domu.

–Cóż, masz więc coś do powiedzenia? Jakieś okoliczności łagodzące? Ciężą na tobie bardzo poważne oskarżenia, i to niezależnie od sprawy rabunku u Van Cleefa, który przeprowadziłeś razem ze swoimi kolegami z gangu. Chociaż wy nazywacie się chyba inaczej.

Cokolwiek powiem, i tak nie dotrze, pomyślał.

–Biorąc pod uwagę twój wiek, mogę ci przedstawić dwie możliwości do wyboru – powiedziała oficjalnym tonem sędzina. – Pierwsza to oczywiście uwarunkowanie.

Uwarunkowanie? Odzywający się w głowie głos powtarzający aż do śmierci, co robić.

Nie pluj na chodnik, Yoshitaro. Nie pij. Nie bierz prochów. Pracuj ciężko. Nie krytykuj Federacji. Gdy policjant spyta, odpowiedz mu uprzejmie i niczego nie ukrywaj.

Gwarantowana praca, strumienie cudzych kredytów przepływających przez ręce i żadnej myśli, aby zgarnąć z tego trochę dla siebie, bo głos by się pogniewał. Nie, uwarunkowanie to kiepski pomysł.

–Druga możliwość to Życie.

Na tej więziennej planetoidzie nie może być o wiele gorzej niż tutaj, w Primeport, przemknęło mu przez głowę.

–Masz pół godziny na podjęcie decyzji. Proszę odprowadzić aresztanta do celi.

Strażnik podszedł do Njangu, który już stał.

–Znam drogę.

–Poczekaj! – Sędzina otworzyła jeszcze jakiś dokument i spojrzała na ekran. – Prawie bym zapomniała, że jest i trzecia możliwość, Yoshitaro. Kilka dni temu dostaliśmy pewne pismo z wyższej instancji. Chociaż wątpię, czy w ogóle zechcesz wziąć to pod uwagę.

Capella/Świat Centralny Alban Corfi, odpowiedzialny za sektor Elis oficer zaopatrzenia przydzielony do Sekcji Światów Nierozwiniętych, był z natury ostrożny. Dwa razy przeczytał rozkaz, nim pokiwał głową i spojrzał na swojego przełożonego, szefa Wydziału Zaopatrzenia, Pandura Meghavarne.

–Bardzo niezwykle, sir – zgodził się. – To już chyba trzydziesta prośba o uzupełnienia i wsparcie logistyczne wystosowana w tym roku przez Grupę Uderzeniową Szybka Lanca? Swoją drogą, co za pretensjonalna nazwa. A stacjonują w okolicy, gdzie gwiazdy chyba gasi się na noc...

–Dokładnie trzydziesta czwarta – sprecyzował Meghavarne.

–Nie rozumiem tego, sir. Ale może pan potrafi wyjaśnić, dlaczego wszystkim odpowiada się, że z braku wystarczającego priorytetu albo sprzętu w magazynach, albo nawet z uwagi na to, że źle wypełnili formularz, nie dostaną nic, a ci tutaj nie tylko dostają, co chcą, ale jeszcze otrzymali priorytet beta? – Świetne pytanie, Corfi. Sam też zadałem je w paru miejscach, ale nie doczekałem się odpowiedzi. Zostaje nam uznać, że to fanaberia ich lordowskich mości.

–Cóż, sir – rzekł Corfi, znowu spoglądając na dokument. – Czegóż zatem nasi dzielni frontowcy tak pożądamy od Konfederacji? Pewnie wyobrażają sobie, że tylko marzymy o tym, aby ich obdarować, i pokonamy dla nich wszystkie przeszkody... jakbyśmy już teraz nie robili bokami.

Hm... – ciągnął. – Sześć jednostek patrolowych klasy Nirvana wraz z kompletem części zamiennych i wyposażenia. Cóż, prędej para im pójdzie uszami, nim zobaczą choć jedną. Wszystkie, które są obecnie na linii montażowej, zostały zaklepane dla Specjalnych Oddziałów Porządkowych. Priorytet alfa. Dalej, trzydzieści pięć ciężkich transportowców zdolnych przewieźć co najmniej dziesięć kiloton na odległość tysiąca jednostek albo i dalej... O ile sobie przypominam, mamy nieco takich po generalnym remoncie, akurat dla nich.

W specyfikacji wymieniono pojazdy desantowe, wsparcia artyleryjskiego i tym podobne. Niewiarygodne żądania, ale przy priorytecie beta pewnie będziemy musieli im to dać. Sporo małych pojazdów, systemów uzbrojenia – to akurat żaden problem. Co takiego?

Dwadzieścia jednostek szturmowych klasy Nana? A skąd oni mogli słyszeć o nich na tym swoim zadupiu? Nany nie zostały nawet jeszcze oficjalnie przejęte przez flotę. Beta, szmeta, żaden priorytet. Nie wydaje mi się, aby to musiał być nasz kłopot...

–Proszę spojrzeć uważniej. Tutaj – powiedział Meghavarne.

Corfi spojrział i uniół brwi. Obok wskazanego punktu wykazu widać było skreśloną zielonym tuszem notkę: Zgoda, R. E.

–Cóż – mruknął, zawstydzony zbyt pospiesznie rzuconą uwagą. – Myliłem się. Ale jeśli on się zgadza, to sam będzie się tłumaczył przed górą. – Prychnął głośno, dystansując się od spodziewanej awantury. – Siedmiuset pięćdziesięciu doświadczonych ludzi.

Ludzi mogą dostać, tych mamy dość, starczy wygarnąć ich nieco więcej ze slumsów. Ale doświadczonych? Czy on nie wie, że panuje pokój?

Meghavarna uśmiechnął się lekko.

–A transport?

–Mamy Malverna. Akurat jest doposażany. Zmarnujemy mnóstwo paliwa, ale z załogą szkieletową... Będziemy mogli wyprawić go za jeden cykl standardowy.

Albo dwa. Albo kiedy zjawią się wreszcie te bezcenne nany.

–Dobrze – zgodził się Meghavarna. – Rozumiem, że się pan tym zajmie. – Wstał z fotela. – Trochę się zaniepokoiłem, gdy zameldowano mi, że nie pojawił się pan jeszcze na bramce. Pamiętam, że mieszka pan aż w Boshdam.

–Wczoraj nie próbowałem nawet wracać do domu – wyjaśnił Corfi. – Zostałem w klubie. Nie chciałem napytać sobie biedy.

–Czego chcą tym razem? – spytał Meghavarna. – Całkiem się już zgubiłem w tych protestach.

–Może chleba, może ciastek albo pierniczków. Kto ich tam wie? Zresztą czy to ważne?

–Ani trochę.

Corfi zsalutował wzorowo i wyszedł z gabinetu Meghavarny. Zjechał na główny poziom, gdzie czekała już jego ochrona. Przejechali ruchomym chodnikiem pół mili dalej, do jego biura.

Zdecydował, że sam dobierze załogę Malverna, i to z własnych ludzi. Cokolwiek by się potem działo, nie powinno to się na nim zemścić, gdyż nikogo rozsądnego nie interesowało, jakie kto dostaje przydziały w Korpusie Transportu.

Tak... najpierw znaleźć posłuszną załogę, potem podać jakiś niewinny kurs, zmienić go raz albo dwa i dopiero potem nakazać skok na Larix. Czysta sprawa.

Corfi dotarł do biura i powiedział ochroniarzom, żeby zrobili sobie przerwę, bo nie będzie ich potrzebował co najmniej przez godzinę. Starannie powiesił opancerzony płaszcz na antycznym ściennym wieszaku, otworzył sejf i wyjął czujnik. Omiótł cały gabinet, ale nie znalazł nic poza dwoma standardowymi pluskwami Służby Bezpieczeństwa. Obie były od dawna karmione nieszkodliwym bełkotem. Połączył się na wizji z asystentem i wydał parę mało istotnych poleceń, żeby sprawdzić linię. Wciąż czysta. Dotknął kontrolek.

Ekran pojaśniał, ukazując niewielki ogród i skuloną na syntetycznym mchu młodą kobietę, prawie że dziewczynkę. Była naga i miała popielatoblond włosy.

–Cześć, kochany – powiedziała gardłowo.

Corfi nieco się skrzywił.

–A gdyby to był dozorca?

–Nie zna mojego kodu. Chociaż nie oczekiwałam, że odezwiesz się przed jutrem.

Myślałam, że dziś masz być z żoną.

–Owszem. Ale gdy widzę cię taką jak teraz... Przez te zamieszki chyba drugą noc z rzędu zostanę w biurze.

–Biedaku. Będę gotowa.

–Gotowa albo i więcej – powiedział Corfi. – Pamiętasz tę bransoletę, której się tak przyglądałaś?

–Oho...

–Całkiem nagle okazuje się, że stać nas na nią.

Dziewczyna aż pisnęła z zachwytem.

–Wiedziałem, że się ucieszysz.

–Och tak, tak, kochany. Przyjdź czym prędzej, żebym mogła ci okazać, jak bardzo się cieszę. – Rozchyliła lekko uda i wsunęła pomiędzy nie dłoń.

–Na razie muszę zniknąć – oznajmił Corfi, zauważając, że ma kłopoty ze złapaniem tchu. – Zostało mi jeszcze trochę pracy.

Dziewczyna uśmiechnęła się i ekran pociemniał.

Corfi poczekał, aż serce przestanie mu łomotać, i znowu sięgnął do kontrolek

łączności. Ekran pokrył się zakłóceniami, a potem zajaśniał jednolitą zielenią.

Corfi wystukał kilka cyfr i wszystko się powtórzyło. Za trzecim razem wprowadził kombinację zapamiętaną kilka lat wcześniej i wcisnął klawisz „wyślij”. Przekaz miał dotrzeć na Larix, ale za pośrednictwem co najmniej tuzina różnych przekaźników.

Gdy tylko skończył wprowadzać ostatnią grupę cyfr, zerwał połączenie. Ponownie sprawdził linię. Bezpieczna.

Alban Corfi, który niebawem miał się wzbogacić, był bardzo ostrożnym człowiekiem.

Altair/Klesura/Szczęśliwa Dolina Tweg Mik Kerle spoglądał oszołomiony na doskonale piękno. Niebo wprawdzie nie było czysto błękitne, ale lekko czerwonawe, lecz płynęły po nim obłoki. Przez otwarte drzwi wpadał wiosenny wiaterek niosący woń kwiatów, świeżego siana i kobiecych perfum.

Usłyszał perlisty dziewczęcy śmiech. Aż sapnął z irytacji.

Jak w tych warunkach miał przeprowadzić zaciąg do Sił Zbrojnych Konfederacji?

Dlaczego ktokolwiek stąd miałby chcieć się pakować w bagno jakiegoś obcego świata, gdzie na dodatek z pewnością ktoś zaraz wzięłby go na cel? Kto zostawiłby z własnej woli ten zakątek, w którym każdy najwyraźniej zna swoje miejsce i, co gorsza, bardzo mu się to miejsce podoba? Dolinę, w której wszystkie kobiety są piękne i szczęśliwe, a mężczyźni rośli i dobrze wychowani?

Tak jak ten osiłek, który spoglądał właśnie przez okno na starannie przygotowaną przez Kerlego ekspozycję. Na jednej dioramie widać było, jak drobna pani tweg w mundurze przeprowadza ćwiczenia z dwudziestoma podwładnymi. Na drugiej jakiś cent odbierał medal od swojego cauda, a za plecami setka jego żołnierzy prężyła się dumnie w równych szeregach. Na środkowej zaś dwóch szturmowców sprawdzało możliwości nowego uzbrojenia. Mężczyzna już dość długo wpatrywał się z otwartymi ustami w drobne figurki.

I co? Pewnie zaraz wybuchnie rubasznym śmiechem i pójdzie zbierać rzepę czy co tutaj uprawiają.

Kerle aż jęknął, patrząc na ten okaz. Prawie dwa metry wzrostu, dobrze zbudowany i muskularny, blondyn. Rasowy jak mało co i tak przystojny, że kilka lat szkolenia, a podwładni w ogień za nim pójda. Żywcem zdjęty z plakatu werbunkowego. Nie odchodź, chłopcze, pomyślał Kerle. Wejdz tu do mnie i pomóż biednemu twegowi wyrobić normę.

Kerle prawie że zagulgotał ze szczęścia, widząc, że kmiotek przechodzi przez próg.

Zaraz zerwał się na równe nogi i uśmiechnął tak, jak powinien się uśmiechać wypróbowany towarzysz broni, chociaż nie miał większych wątpliwości, że młodzian wymknął się po prostu z któregoś z pobliskich domów. Był bardzo zmieszany.

–Witaj, przyjacielu.

–Dzień dobry. Chciałbym się zaciągnąć – powiedział chłopak.

–To bardzo dobrze trafiłeś. Jeśli się zdecydujesz, nigdy nie będziesz tego żałował.

Konfederacja potrzebuje takich ludzi jak ty. Będziesz mógł z dumą nosić mundur i mówić, że służysz jej rządowi.

–Tak naprawdę to interesują mnie podróże...

**–To idealnie się składa. Widziałem już dwadzieścia albo trzydzieści światów, a jestem w armii dopiero od dziesięciu lat. Po czterech dostałem twega, a przy najbliższej kolejce awansów powinienem zostać starszym twegiem – zapalił się Kerle.
– Chociaż oczywiście nie musisz zaciągać się na tak długo. Standardowy kontrakt to cztery ziemskie lata.**

–To ma sens – odparł Garvin Jaansma. – Każdy ma wtedy szansę zorientować się, czy chce zostać na dłużej.

–Interesuje cię jakiś konkretny przydział?

–Tutaj zwykle pracuję na dworze. Nie lubię pod dachem. A co to jest? – spytał wskazując model pojazdu desantowego.

Kerle uniósł miniaturę.

–To grierson używany przez piechotę wojsk pancernych. Jej standardowy pojazd bojowy. Przenosi dwie drużyny. Tutaj ma dwa działka, tutaj wyrzutnie rakiet.

Występuje w wielu różnych wersjach. Wysoce niezawodny, ma zdwojony moduł antygravitacyjny, który może go wynieść na tysiąc metrów. Używamy go do patroli i ataku. W tym drugim wypadku korzysta ze wsparcia ciężkich pojazdów artyleryjskich, jak ten tutaj zhukov. No i oczywiście działa zawsze w zespole. Po modyfikacjach może służyć jako wewnętrzny statek kosmiczny. Za rok, albo i szybciej, możesz dostać dowództwo takiego pojazdu, a to oznacza duże zaufanie ze strony Konfederacji, bo wart jest aż pięć milionów kredytów. Do tego należy doliczyć jeszcze oczywiście życie dwudziestu ludzi. Ktoś w twoim wieku rzadko może liczyć na równie odpowiedzialną pracę zakończył Kerle podniosłym tonem.

–Brzmi ciekawie – przyznał Jaansma.

–Najpierw jednak musimy załatwić kilka spraw – powiedział Kerle, czując przez skórę, co zaraz usłyszy. Odruchowo podkulił palce w wypolerowanych na lustrzaną gładź butach. – Rozmawiałeś już o tym z rodziną?

–Nie będą mieli nic przeciwko. Uważają, że sam najlepiej potrafię powiedzieć, co dla mnie dobre, i poprzę moją decyzję. Poza tym mam osiemnaście lat, więc chyba mogę decydować o sobie, prawda?

–I to będzie twoja pierwsza dorosła decyzja – zgodził się Kerle. – Jeszcze jedno pytanie. Nie miałeś zapewne dotąd żadnych kłopotów z prawem?

–Najmniejszych – odparł natychmiast młodzieniec.

–Na pewno? Żadnej przejażdżki pożyczonym samochodem, żadnej burdy, nie złapano cię z alkoholem ani trawką? Gdyby chodziło o coś drobnego, uzyskalibyśmy wymazanie sprawy.

–W ogóle nic nie było – powiedział Garvin ze szczerym uśmiechem.

Capella/Świat Centralny Garvin Jaansma przystanął i zadął głowę. Z otwartymi ustami wpatrzył się w górujący nad szeregiem wsiadających masyw transportowca Malvern.

–Ruszał się, kmiotku! – rzucił czuwający nad załadunkiem zawodowy żołnierz. – Konfederacja nie życzy sobie, żebyś skręcił kark jeszcze przed szkoleniem.

–Dobra rada, finf – odezwał się ktoś. – Szczególnie że mówi to taki dzielny weteran.

Mogę rzucić okiem na twoje ordery?

Młody podoficer poczerwieniał. Na mundurze miał tyle odznaczeń, ile włosów na ogolonej do skóry głowie.

–Milczeć – warknął.

Pyskaty rekrut spojrział mu twardo w oczy. Podoficer wzdrygnął się, jakby dostał w twarz.

–Ruszać się – powiedział i czym prędzej odszedł.

Mężczyzna, który został na placu boju, był ogólnie wielki, ale nie otyły, tylko masywnie zbudowany. Nieustannie patrzył wilkiem spod zaczesanych do przodu i rzadniejących z lekka czarnych włosów. Policzek szpeciła mu blizna sięgająca aż środka żyłastej szyi. Wyglądał na trzydziestoparolatka. Nosił dawno nie czyszczone półbuty, grube czarne spodnie z drelichu i bluzę, która w czasach swojej świetności musiała sporo kosztować. Miał też małą podniszczoną torbę, na której w zdradzający wojskowe obycie sposób wypisano: KIPCHAK, PETR.

Spojrzał na Jaansmę i rekruta obok, parsknął i odwrócił głowę.

–Chciałbym się nauczyć, jak to robić – powiedział cicho ten drugi rekrut.

–Co robić? – zapytał Garvin.

–Załatwić gościa samym spojrzeniem, jak tamten przed chwilą. Taniej niż blasterem i nie sprawia tylu kłopotów.

Garvin wysunął przed siebie skierowaną wnętrzem do góry dłoń. Tamten powtórzył gest.

–Garvin Jaansma.

–Njangu Yoshitaro.

Garvin przyjrzał się sąsiadowi, który był mniej więcej jego wzrostu i w podobnym wieku co on. Miał ciemną skórę, krótko przystrzyżone czarne włosy i azjatyckie rysy. Nosił czarne spodnie i bladozieloną koszulę, jedno i drugie nie dopasowane i raczej tandetne. Miał w sobie coś z czujnie wypatrującego zagrożenia lisa.

–Czy ktoś wie, gdzie nas posyłają? – spytał.

–Oczywiście, że nie – odparł Njangu. – Rekrutom niczego się nie mówi. Chyba że naprawdę trzeba, ale to nastąpi pewnie dopiero, gdy wylądujemy na miejscu.

–A szkolenie? – spytał Jaansma. – Zaciągnąłem się do wojsk pancernych, a na razie uczyli mnie tylko czyścić kible.

Starszy mężczyzna odwrócił się w ich stronę.

–I tak będzie, aż trafisz do jednostki macierzystej. Konfederacja przyjęła nowe zasady. Teraz rozsyła mięso armatnie w stanie surowym, a jednostki same je sobie przyrządzają.

–W holo pokazują co innego – mruknął Njangu.

–A co mają pokazywać? Wszystko przez to, że Konfederacja się rozpada i nie ma czasu ani forsę, żeby dbać o wszystkie drobiazgi, jak kiedyś.

–Rozpada się? – powtórzył z niedowierzaniem Garvin. – Nie gadaj!

Garvin znał nieco życie i niejedno już widział, ale żeby Konfederacja? To całkiem, jakby ktoś oznajmił, że gwiazdy jutro zgasną albo i samego jutra nie będzie.

Konfederacja istniała już od ponad tysiąca lat i bez wątpienia miała przetrwać jeszcze z dziesięć tysięcy.

–Właśnie. Rozpada się. Nie widzisz tego, bo jesteś w środku zdarzeń. Jak myślisz, czy mrówka pojmuje cokolwiek, gdy człowiek zalewa jej gniazdo wrzątkiem? Albo czy wygor domyśla się, do czego komuś potrzebna jego skóra? Żaden z młodych ludzi nie zrozumiał tych porównań.

–A jak sądzą, skąd biorą się te wszystkie zamieszki i niepokoje?

–Jakie niepokoje?

–Przepierdzieliście cały czas w koszarach i nawet wiadomości nie oglądaliście?

–No nie – przyznał Yoshitaro. – Nigdy nie zwracałem większej uwagi na dzienniki.

–To lepiej zacznij. Dobry serwis informacyjny pozwoli ci się połapać, jak głęboko tkwisz w bagnie. Albo w jakie szambo zaraz wpadniesz. Przy odrobinie szczęścia zdążysz nawet spakować dość wysokie buty. A zamieszki... Ludzie burzą się, bo brak im dostępu do różnych dóbr. Świat Centralny to przede wszystkim centrum administracyjne, a większość jego mieszkańców to urzędnicy wysokiego szczebla. Nikt tu niczego nie uprawia, przez co każdy kęs, czy chodzi o suchary, czy o maselko, trzeba sprowadzać frachtem z innych planet.

Im bardziej zaś cały system zaczyna szwankować, tym częściej zdarzają się opóźnienia w dostawach i nie ma co do garnka włożyć. No i zaczyna się drożyzna. W takich razach ludziom trudno jest pogodzić to, co słyszą w holo, że mieszkają na najważniejszej planecie całego wszechświata, z prostym faktem, że nie stać ich na fasolę z boczkiem.

–A ty skąd wiesz to wszystko? – spytał odrobinę zaczepnie Njangu.

Kipchak spojrział na niego spod ciężkich brwi, ale raczej łagodnie. Nie włączył pełnej mocy.

–Bo mam oczy i uszy otwarte – powiedział. – Dobrze radzę, zacznij tak samo.

Mógłbym, na przykład, powiedzieć wam, gdzie lecimy, do jakiej jednostki mamy trafić, a nawet co ostatnio dzieje się na tej planecie. Gdybym chciał, ale tak się składa, że akurat nie mam ochoty... Być może zamierzał coś dodać, ale dotarli właśnie do rampy załadunkowej.

–Podać nazwisko i świat macierzysty – odezwał się syntetyczny głos.

–Petr Kipchak, Świat Centralny. Gdy mi pasuje, oczywiście.

–Przyjęte. Sypialnia numer szesnaście. Wybrać dowolną koję. Następny.

I wielki Malvern wchłonął ich.

Drugi koniec pomieszczenia ginął w ciemności, podobnie jak rzędy trzypiętrowych koi z małymi szafkami u samego dołu. Tak jak wszędzie na statku, również tutaj czuło się świeżą farbę i było wręcz sterylnie czysto. Spod poremontowych woni przebijał jednak lekki odór kurzu i zgnilizny, jakby Malvern był latającym skansenem.

Jakiś zagoniony załogant nakazał rekrutom przypiąć się do koi i czekać na start.

Niebawem Malvern ożył i przez pokłady poniósł się głęboki pomruk, dało się wyczuć lekką wibrację.

–Uwaga – rozległo się z głośników i odgłos spotęźniał, aż bebechy zaczęły się

ludziom nicować. Statek zadrżał.

–Jesteśmy już w przestrzeni? – spytał Njangu.

–Chyba tak, ale...

–Przygotować się do skoku – usłyszeli z głośnika. Chwilę potem poczuli przelotne mdłości i na chwilę stracili orientację, co było typowym objawem towarzyszącym włączeniu napędu nadprzestrzennego. Czekali, co będzie dalej, ale nie działo się już nic więcej. Jak zwykle zresztą podczas większości podróży kosmicznych.

–Spróbujmy się trochę rozejrzeć – powiedział Garvin, rozpinając pasy.

–Myślałem, że będziemy w stanie nieważkości – mruknął wyraźnie rozczarowany Njangu.

–Ale szczęśliwie nie jesteśmy – stwierdził Garvin. – Większość ludzi zaraz by się pochorowała, a rzygowiny rozleciałyby się po całej sypialni.

–Tak? Byłeś już w próżni? – spytał Njangu, smakując znane z holofilmów zdanie.

Garvin uśmiechnął się i bez słowa wyszedł z pomieszczenia. Njangu ruszył za nim.

Na statku nie było wiele do oglądania. Szereg identycznych zbiorowych sypialni, kilka pustych obecnie pomieszczeń na zbiórki, długie i podobne do siebie korytarze.

Brakło iluminatorów, a Njangu i Garvin nie potrafili obsługiwać napotykanym czasem paneli z ekranami.

W końcu Njangu przystanął przed włazem opatrzonym tabliczką BIBLIOTEKA.

–Poduczmy się trochę, jak nam proponował ten cudak – powiedział.

W środku ujrzeli ciągnące się pod ścianami niskie stoły. W regularnych odstępach ustawiono na nich klawiatury, powyżej których ciemniały ekrany. Njangu usiadł przy jednym ze stanowisk i wcisnął przypadkowy klawisz. Na ekranie zapalił się napis:

WPROWADŹ

PYTANIE.

–Co?

–Wpisz może... port przeznaczenia – zaproponował Jaansma.

Yoshitaro posłuchał.

PYTANIE NIEDOZWOLONE. SPRÓBUJ

RAZ JESZCZE.

–To może spytać o to, o czym mówił bliznowaty? O te zamieszki, które podobno przedstawiają w holo.

–Dobra.

Na ekranie pojawił się napis: WIDMOM NIE, MÓWIĄ AUT. KONF. – Że jak?

Po chwili przewinęło się: 4 RAD. Z BOSHAM OGŁUSZ. I jeszcze: TUM.

W BLOOIES, UTRAT. KONTR., 32

ZAB., 170 RAN.

–Mam wrażenie, że chyba mówimy różnymi językami – stwierdził Njangu.

–Może to tylko taka dziennikarska moda na skrót?

Na ekranie pojawiła się nagle hoża dziewczyna. Całkiem bez ubrania. Uśmiechnęła się, gdy dołem przejechał kolejny napis: PROKKY MÓWI SPOKO. PO SPORTOWEMU ŻYJ.

–Dobra stara Prokky – prychnął Garvin. – Z nią mógłbym po sportowemu.

–Ciekawe, czy znajdziemy takie śliczności tam, dokąd lecimy.

–Jeśli nawet będą, to tylko dla oficerów. Zresztą do diabła z tym. Będziemy się edukować później.

–Wy dwaj! – zawołał jakieś załogant, który przyuważył ich, biegnąc korytarzem.

–Co robicie poza swoją sypialnią?!

–Nikt nie mówił, że nie wolno nam jej opuszczać – powiedział Jaansma.

–Nikt też nie kazał wam wychodzić. Ale jak już tu jesteście, potrzebuję dwóch stewardów do mesy. Idziemy.

Nie czekając na odpowiedź, obrócił się i ruszył korytarzem. Widać był pewien, że za nim pójdą. Njangu i Garvin spojrzeli po sobie i posłuchali.

–To jak to jest? – spytał półgłosem Jaansma. – Wszystko, co nie nakazane, jest zabronione?

–Chyba tak to należy rozumieć – warknął Njangu.

Trzeciego dnia na pokładzie kazano im spakować cywilne ubrania i wydano szare bluzy oraz spodnie i sięgające za kostki buty z miękkimi podeszwami. Na uniformie nie było żadnych naszywek, oznak ani nawet plaketek z nazwiskami.

–Wyglądamy teraz jak więźniowie – powiedział Garvin.

–W więzieniach ubierają na czerwono – poprawił go Njangu.

–Dziękuję za korepetycje, pszešana.

–Proszę uprzejmie.

–A przy okazji... Co to były za ciuchy, które nosiłeś?

–Słucham? – spytał nieufnie Yoshitaro.

–No, te szmaty. Nie wyglądasz mi na kogoś, kto włożyłby je z własnej woli.

–Co chcesz przez to powiedzieć?

–Myślę, że na co dzień ubierałeś się o wiele lepiej.

–A owszem. Ale tym razem nie miałem wyboru. Ktoś kupił mi to wdzianko na krótko przed załadunkiem – stwierdził Njangu takim tonem, że Garvin wolał już go o nic nie pytać.

Porządek dnia podczas lotu był prosty: stanąć w kolejce po tacę z jedzeniem, ćwiczenia, znowu kolejka w stołówce, nieco czasu na rozmowy albo partyjkę czegoś, kolejka, sen... I czas jakoś płynął.

Petr Kipchak zajmował koję w drugim końcu pomieszczenia, ale nie próbował szukać towarzystwa Njangu i Garvina. Widywało się go albo na siłowni, gdzie całymi godzinami męczył maszyny z ciężarkami, albo w koi, gdzie czytał coś z dysku i

kompletnie ignorował otoczenie.

–Nie podoba mi się ta wspólna łaźnia – mruknął Njangu.

–Dlaczego?

–A jeśli kogoś to natchnie?

–Spoko. Dodają nam co trzeba do jedzenia. Nic w głowie nikomu nie postanie.

–Chyba masz rację... Nie stanął mi od startu!

–Widzisz? Słuchaj tylko wujka Garvina, a wszystko będzie dobrze.

–Prawdziwy fakir na gwoździach – wyjąkała rekrut Maev. – Nie uwierzycie...

–W co? – spytali równocześnie Garvin i Njangu ze swoich prycz.

–Chodźcie. Musicie to zobaczyć. – Maev skinęła na nich i poprowadziła do łaźni, która była akurat prawie pełna mężczyzn i kobiet szykujących się do kolacji.

Wskazała na jeden z boksów prysznicowych, w którym mógłby zmieścić się nawet tuzin osób. Jednak teraz zajmował go jeden mężczyzna – Petr Kipchak. Śpiewał głośno a fałszywie i wyraźnie nie zdawał sobie sprawy, że ktoś go obserwuje.

Garvin już miał spytać, co w tym szczególnego, gdy zobaczył.

Kipchak pracowicie szorował sobie genitalia. Robił to szczotką ze sztywnym plastikowym włosiem. Zwykle używano takich do czyszczenia ścian łaźni.

–O bogowie – jęknął Garvin i zaraz się wycofali, bo Kipchak podniósł głowę.

–Widzieliście? To psychol – szepnęła Maev.

Njangu już miał się zgodzić, gdy zerknąwszy jeszcze raz do boksu, ujrzał lekki uśmiech błakający się po obliczu Kipchaka. Łobuz znalazł sposób na wywalczenie sobie chwili prywatności, pomyślał rozbawiony.

Garvina obudziła seria brzęczyków, które rozlegały się co jakiś czas na pokładach. Jak mu powiedziano, były to sygnały czasu przeznaczone dla załogi transportowca.

Wkoło rozlegało się chrapanie w różnych tonacjach, było ciemno. Paliły się jedynie czerwone światła awaryjne na grodziach. Daleko na drugim końcu pomieszczenia widać było białą poświatę bijącą z łaźni.

Po chwili Garvin uznał, że jednak chce mu się pić, wstał więc i poczłapał w tamtą

stronę.

W środku było pusto, jeśli nie liczyć czterech mężczyzn i dwóch kobiet. Jedna z nich stała przy wejściu na czujce, a pozostali siedzieli albo kucali wkoło rozłożonych na podłodze dwóch kocy. Wszyscy należeli do starszych wiekiem rekrutów. Wśród nich był Petr Kipchak.

Na kocach leżały karty i pieniądze. Kipchak miał tylko kilka banknotów i parę monet, podczas gdy przed rozdającym leżała cała sterta waluty z różnych światów.

Piątka graczy zmierzyła Garvina wzrokiem, on jednak nie wykazał zainteresowania i podszedł do pisuaru. W pierwszej chwili, gdy zrozumiał, co widzi, ożywił się, ale zaraz się opanował, udając obojętnego.

Zrobił co należało, popił wody z kranu i podszedł do graczy. Mocno zbudowany łysawy rozdający uniósł głowę.

–Wracaj spać, synku. To nie na twój rozum.

–Pieniądze młodocianych nie są dobre? – spytał Garvin.

Rozdający prychnął, ale po chwili się uśmiechnął. Dość niemile. Otaksował Jaansmę spojrzeniem. Przez chwilę obracał odruchowo wielki srebrny pierścień, który tkwił na palcu jego lewej dłoni. W końcu się odezwał:

–Chcesz stracić, twoja sprawa. Nie mam nic przeciwko. Jeśli pozostali też się zgodzą.

Kipchak chciał chyba coś powiedzieć, ale tylko potrząsnął głową. Reszta wykonała podobny gest albo wzruszyła ramionami.

–Stawki poszły już dość wysoko, więc szykuj się na ostrą jazdę, chłopcze. I pamiętaj, nie płacz, gdy zostaniesz goły. Przynieś, co masz.

Garvin wrócił do swojej pryczy, nastawił własną kombinację cyfr na zamku szafki i wyjął skarpetkę. Trzymał w niej gruby rulon banknotów. Ubrał się pośpiesznie i sprawdził, czy dobrze zapiął buty.

–Co się dzieje? – spytał półprzytomny Njangu.

–W łaźni załęgło się kasyno. Chcę się przyłączyć.

–Nie wiedziałem, że jesteś w tym dobry.

–Nie jestem. Ale ten, który trzyma bank, też nie jest. To mechanik.

Njangu usiadł na pryczy.

–Co chcesz zrobić?

–Zgarnąć nieco pieniędzy.

–Uważaj.

–Zawsze... – zaczął Jaansma, ale zastanowił się. Chcesz się przyłączyć?

–Nie gram w karty.

–Nie musisz. Mam pomysł na niezły ubaw.

Garvin wyjaśnił szeptem, o co mu chodzi. Njangu najpierw zmarszczył czoło, potem uśmiechnął się szeroko.

–Tylko jedno pytanie. Dlaczego mamy się wtrącać? Możemy napytać sobie biedy.

–Mam wrażenie, że sam już sobie odpowiedziałeś.

–Może i tak... Czemu nie?

–Dobra. Na początek daj mi z kwadrans.

Garvin rozsunął pięć trzymanyh w dłoni kart. Nie były przesadnie dobre, ale złe też nie. To było już czwarte rozdanie, w którym wziął udział. W dwóch spasował, w jednym postawił i przegrał.

–Dziesięć kredytów na górkę – powiedziała kobieta przy kocach i rzuciła banknot na środek zaimprovizowanego stolika.

Garvin dodał dwie monety. W końcu w stawce zostało trzech graczy, w tym Kipchak.

–Dalej, synu – powiedział rozdający. – Wypadasz?

–Dobieram jedną. – Jaansma sięgnął do wydzielonej kupki pięciu kart, a rozdający zaraz uzupełnił brak z talii. – Nic z tego – westchnął Garvin i rzucił karty na koc.

Po następnych dwóch kolejkach Kipchak uszczknął nieco z puli.

Rozdający tasował karty, gdy do łazienki wśliznął się Yoshitaro.

–Hej, Kipchak, mam dla ciebie te pieniądze, co jestem ci winien. Wygrałem wczoraj w kości.

Petr zamrugał, spojrział przenikliwie na Njangu i już miał coś powiedzieć, gdy Yoshitaro lekko pokiwał głową.

–A, jasne. Zaraz wracam – rzucił, wstając.

–Mam je w plecaku – powiedział Njangu i obaj wyszli.

Przy kolejnym rozdaniu wygrał znowu trzymający talię.

Petr i Njangu wrócili. Było widać, że Kipchak jest wyjątkowo wkurzony, ale zaraz się uspokoił. Usiadł, a Njangu oparł się o ścianę w pobliżu wyjścia jak ktoś, kto nie może spać i z nudów przyszedł pokibicować.

Gra ciągnęła się jeszcze godzinę. Garvin zauważył, że jeden z mężczyzn oblizuje wargi za każdym razem, gdy blefuje, a kobieta ciągnie za kosmyk włosów, kiedy dostaje mocne karty. Inni też mieli swoje charakterystyczne zachowania. Przede wszystkim obserwował jednak rozdającego. Wprawdzie nie zawsze dopisywało mu szczęście, ale stopniowo gromadził przed sobą coraz więcej kredytów.

W pewnej chwili Garvin rozprostował nogi i trącił przy tym stopą Petra.

–Przepraszam – mruknął.

Kipchak nie zareagował.

–Szkoda, że nie mamy nic do picia – jęknął ktoś. – Nie ma gorszego pecha, jak przegrywać na trzeźwo.

Mężczyzna z pierścieniem zebrał karty i zaczął je pospiesznie tasować.

–Czy mogę przełożyć? – spytał Jaansma.

–Jasne – rzucił rozdający. – Nawet powinienes. – Położył karty na kocu.

Garvin uniósł talię jedną dłonią i sprawnie ją przełożył. Mężczyzna z pierścieniem przyjrzał mu się uważnie, wziął talię i zaczął rozdawać karty.

W łaźni było na tyle cicho, że słyhać było wyraźnie szum pokładowych wentylatorów i miękkie uderzenia rzucanych kart. Możliwe, że ten ostatni odgłos brzmiał nawet trochę głośniejsze, niż powinien.

Rozdający skrzywił się radośnie, unosząc swoje karty.

–Tym razem będzie drogo – obwieścił. – Stówa za samo sprawdzenie, czy nie przesadzam.

–Wchodzę – oznajmił Kipchak i wrzucił do puli większość ze swoich rezerw.

–Ja też – powiedział Garvin.

Spośród pozostałych dwie osoby rzuciły karty na stół.

–Biorę dwie karty – mruknął Jaansma i sięgnął do stosu. Bez drgnienia powieki spojrzął na nowe karty.

–Rozdający bierze jedną.

–Zostaję przy swoich – powiedział Kipchak.

Kobieta wzięła dwie, ostatni z mężczyzn trzy.

–Jeszcze sto – oznajmił facet z pierścieniem.

Kobieta wypadła, mężczyzna podniósł stawkę.

–Chyba mam szczęście – stwierdził Jaansma. – Jeszcze dwieście.

–Sto na twoją cześć – powiedział Petr.

–Jak mówiłem, nie będzie tanio – sapnął rozdający. Poza tym robi się późno. Nie chcę być jutro szary z niewyspania. Jeszcze pięć... sześć setek.

–To nie było zbyt mądre – powiedział Garvin, rzucając banknoty na koc. – I jeszcze dwieście.

–Nie mam – oznajmił Petr.

–Nie ma sprawy – odezwał się Njangu, podchodząc bliżej i sięgając do kieszeni. – Jesteś wiarygodnym pożyczkobiorcą.

–Dzięki.

Prowadzący zarechotał nieprzyjemnie.

–Chyba będę dzisiaj spać naprawdę dobrze. – Rzucił karty na koc. Wszystkie były w jednym kolorze. – Protektor chyba załatwia sprawę – powiedział i sięgnął po pieniądze.

–Niezupełnie. – Petr wolno położył swoje karty na kocu. – Władca, władca, władca, władca. I obcy piąty.

Oczy rozdającego rozszerzyły się ze zdumienia.

–Ale przecież... – zaczął i sięgnął do tylnej kieszeni.

–Ty kmiocie! – warknął Garvin i zerwał się na równe nogi. Światło odbiło się od cienkiej klingi noża, który przemknął nad kocami i wbił się w przedramię rozdającego. Zraniony krzyknął, trysnęła krew.

Jego pomocnica ruszyła się od drzwi, w jej dłoni pojawiła się krótka rurka.

Njangu zaszedł ją z boku i uderzył z rozmachem w skroń. Runęła na jednego z graczy i znieruchomiła.

Kolejnego gracza, który próbował się zerwać, Garvin rąbnął w splot słoneczny, a potem nabił mu guza na czaszce. Przeciwnik padł.

Rozdający patrzył osłupiały na ciekącą krew i tkwiący wciąż w jego ciele nóż.

Petr wyciągnął swoją własność i mężczyzna znowu krzyknął.

Pozostali siedzieli w bezruchu z uniesionymi dłońmi.

Yoshitaro wyjrzał na zewnątrz.

–Nikt niczego nie słyszał – zameldował.

Petr wytarł nóż i zaraz go schował.

–Nie lubię oszustów – mruknął. – Może powinienem cię wybebeszyć, żebyś w piekle pokazywał swoje sztuczki.

Tamten jęknął i spojrzał błagalnie na Kipchaka.

–Niczego nie widzieliście, rozumiano? Poszliście wszyscy wcześniej spać – oznajmił Petr.

Siedzący ochoczo pokiwali głowami.

Ogłuszona przez Njangu kobieta ocknęła się, dźwignęła na kolana. Zakaszła i zwymiotowała, po czym chwiejnym krokiem skierowała się do toalety. Ten, którego uderzył Garvin, ciągle leżał nieruchomo.

–Zabiłeś go? – spytał beznamiętnie Petr.

–Nie – odparł Jaansma. – Ocknie się za godzinę i porzyga, jak ta kobieta, ale nic mu nie będzie.

–I dobrze. Nie trzeba nam sądu polowego. A teraz chyba pora spać? – Kipchak

spojrzał znowu na resztę graczy, którzy czym prędzej wyszli.

Petr dźwignął tymczasem szulera na nogi.

–Pójdiesz teraz do izby chorych i przysięgniesz, że pośliznąłeś się i wpadłeś na wystającą zapadkę wjazdu – powiedział mu. – Rozumiesz? Jeśli spróbujesz choć pisnąć coś innego, po przybyciu na Cumbre D znajdzie się aż dwóch świadków, którzy oficjalnie zarzucą ci kłamstwo. A wtedy będziesz musiał bardzo na siebie uważać. Trudno długo wytrzymać równie nerwowy tryb życia...

–Nic się nie stało – wyjąkał szuler. – Było dokładnie tak, jak powiedziałeś.

Przysięgam, że tak powiem.

–I dobrze. Teraz owiń rękę ręcznikiem i marsz do lekarza.

–Jeszcze chwilę – wtrącił się Garvin. – Zanim się rozstaniemy, trzeba to i owo wyjaśnić – rzekł chłodno. Nasz przeciwnik ciągle nie wie, jak go zdemaskowaliśmy, a może mógłby się czegoś dzięki temu nauczyć.

–Lepiej mu nie mów – rzucił Kipchak. – Następnym razem będzie się bardziej starał i znowu kogoś zrobi w konia.

–Nie sędzę – zaśmiał się Jaansma. – Takie typy zwykle nie potrafią uczyć się na własnych błędach i w końcu popełniają ten, który okazuje się ostatnim.

Wszystko zaczęło się od pewnego odgłosu – zaczął tłumaczyć. – Tak, dobrze słyszycie.

Chodzi o specyficzny dźwięk towarzyszący wysuwaniu drugiej karty z talii.

Drugiej zamiast pierwszej, tej z wierzchu. Ten gość robił to dość często. – Garvin zebrał rozrzuconą talię. – Słuchajcie, ty też słuchaj, a zrozumiecie, w czym rzecz. Widzicie? Trzymam talię w lewej dłoni i kciukiem przytrzymuję górną kartę, a kciukiem i palcem wskazującym prawej dłoni wysuwam z talii drugą kartę. Słaby, ale charakterystyczny odgłos, prawda? A teraz drugi element: jego pierścień. Złapał lewą rękę szulera i ściągnął mu pierścień z palca. – Zauważcie, że nie pasuje najlepiej, co sugeruje, że drań zdobył go od innego cwaniaczka krótko przed odlotem. Dostrzegłem, że nie tylko obraca go cały czas na palcu, ale i poleruje.

Gdy trzymał talię w prawej dłoni i machał nią, tak właśnie, przesuwał odrobinę tę pierwszą, żeby zobaczyć w pierścieniu odbicie jej narożnika. Jeśli był nią zainteresowany, wydawał drugą, a tę z góry trzymał do chwili, gdy była mu potrzebna.

Ta kobieta przy drzwiach była na pewno współniczką – ciągnął Jaansma. – Gość, którego ogłuszyłem, też mógł być w zмовie, chociaż niekoniecznie.

–Może powinniśmy połamać mu kciuki? – spytał Njangu.

–Moglibyśmy – odparł Jaansma, a szuler znowu jęknął. – To podła kreatura kierująca się niskimi pobudkami. Jednak chyba wiem, jak mu dopiec o wiele dotkliwiej.

Popatrz tylko, draniu. Myślisz, że jesteś rekinem? Jeśli tak, to wiedz, że w każdym morzu żyją ryby, które mają znacznie więcej zębów od ciebie. Patrz uważnie. Biorę talię, tasuję.

Dostrzegłeś coś niezwykłego czy podejrzanego? No właśnie. A teraz biorę pięć kart z wierzchu. – Pięć kart poszybowało na koc. – Protektor, protektor, protektor, protektor i cudak.

Całkiem niezłe karty.

Ale tasuję raz jeszcze. Teraz pierwsze pięć kart to kompan, kompan, kompan, kompan i dziesiątka. Jeszcze lepiej. Na pewno chciałbyś takie karty, prawda? Nie musisz odpowiadać.

A teraz to, co naprawdę dostałem. – Wyrzucił z trzaskiem kolejne pięć kart z talii. – Nova, nova, nova, nova... a skąd tu znowu obcy? Był w ostatnim rozdaniu, pamiętasz? I jak, rozumiesz coś z tego? No tak, jasne, że nie zakończył Jaansma normalnym już tonem. – Jest twój, Kipchak.

–Precz stąd! – warknął Petr i szuler, ścisnąwszy mocniej rękę przesiąkniętym krwią ręcznikiem, wypadł z łaźni.

–Zgubi mnie kiedyś ten hazard – westchnął Kipchak. Dzięki, chłopaki.

–Nie ma sprawy – rzucił z uśmiechem Jaansma.

–Czemu się wtrąciłeś?

–Przez głęboki szacunek dla Prawdy, Sprawiedliwości i zasad, które legły u fundamentów Konfederacji.

Njangu parsknął.

–Dobra. – Kipchak machnął ręką. – Druga sprawa. Dziś w nocy polało się nieco krwi.

Na żadnym z was nie zrobiło to większego wrażenia. Większość znanych mi

rekrutów tak nie potrafi.

Obaj młodzieńcy spojrzeli na Kipchaka z minami niewiniątek. – Żeby was pokręciło – zaklął Kipchak. – Zgodni jak bliźniaki.

–Teraz moja pora na pytania – powiedział Yoshitaro. – Gdzie nauczyłeś się rozpoznawać takie oszustwa?

–Czytałem kiedyś o tym w pewnej książce.

–I z tej samej książki nauczyłeś się swoich sztuczek?

–Właśnie.

–A ta mowa, którą zasunąłeś? Całkiem jak kaznodzieja albo komiwojażer.

–To mój fach – odparł Garvin. – Potajemnie zaciągnąłem się do armii Konfederacji, żeby otwierać grzesznikom oczy na miłosierdzie Wielkiego Opasoja.

–Nie słyszałem o takim bóstwie.

–I dlatego nie ustaję w działalności misjonarskiej. Nasza sekta jest zdecydowanie za mało ekspansywna.

–Czy ty w ogóle potrafisz udzielić normalnej odpowiedzi? – warknął zniechęcony Yoshitaro. – Na przykład co znaczy słowo „kmiocie”, które wykrzyczałeś na początku walki?

Odpowiedziało mu tylko chrapanie.

Z samego rana czasu pokładowego podszedł do nich Petr.

–Chcę wam podziękować, trefnisie – powiedział. – Gdybyście się nie wtrącili, przegrałbym do tego szczura wszystkie kredyty.

–Mniejsza o to – mruknął Jaansma. – I tak nie mogłem zasnąć.

–Niemniej jestem waszym dłużnikiem.

Nie czekając na odpowiedź, przepchał się przez zapełniający pomieszczenie tłumek.

–No proszę, bliznowaty ma u nas dług honorowy zauważył Garvin.

–I bardzo dobrze. Może będziemy jeszcze potrzebowali kogoś od mokrej roboty.

–No dobrze – powiedział Petr. – Lecimy na Cumbre D. To planeta należąca do

Konfederacji, rządzona przez gubernatora z ciałem doradczym. Wszyscy pewnie siedzą na starych pieniądzech.

–A nasza jednostka?

–Ma liczyć około dziesięciu tysięcy ludzi. Nazywa się Szybka Lanca. Grupa Uderzeniowa Szybka Lanca. – Petr wzruszył ramionami. – Oficerowie lubią takie operetkowe nazwy. Naszym caudem ma być gość o nazwisku Williams. Nie znalazłem nic na jego temat.

Podstawowym zadaniem jednostki jest obrona pokoju.

–Przed kim? – spytał Njangu.

–To nieco skomplikowana sprawa. Cumbre D żyje przede wszystkim z eksploatacji kopalni innej planety, Cumbre C, o ile pamiętam. Górnicy wywodzą się w większości z grupy imigrantów zwanych Raumami. R na początku wymawia się gardłowo, w sposób, w jaki zwykli ludzie nie mówią, więc jak sami się domyślcie, chodzi o kogoś szczególnego.

Raumowie przybyli podobno na Cumbre C kilkaset lat temu. Uważają, że wszechświat powinien należeć do nich i tylko wielka niesprawiedliwość dziejowa sprawiła, że wylądowali w kopalni. Przynajmniej ci mniej sprytni, którzy pracują obecnie na bardziej sprytnych. Co pewien czas któremuś nudzi się machać kilofem, a wtedy dołącza do band fanatyków szwendających się po całej okolicy i tępiących wszystkich, którzy nie traktują ich dość czołobitnie.

–To pewnie za nimi będziemy ganiać.

–Ale jak odróżnimy ich od tych, których mamy bronić?

–Pewnie po tym, że ci drudzy nie będą do nas strzelać – odparł Kipchak. – Ale poza tym wszyscy Raumowie są niscy, krępi i śniadzi. I jak wszyscy, którzy wyciągnęli pusty los, bardzo źle wychowani. Tak przynajmniej twierdzą ci, którzy ich nie lubią. Jednak to nie koniec. Największy bigos z tym, że w kopalniach pracują nie tylko ludzie, ale i musthowie.

–A to kto? – spytał Njangu. – Nigdy nie zwracałem większej uwagi na obcych. Jak dotąd żaden nie próbował mnie okraść. A w każdym razie nic o tym nie wiem.

–Wysokie i silne istoty – wyjaśnił Garvin. – Widziałem holo o nich.

Przypominają wielkie chude koty, ale chodzą na dwóch nogach. Mają długie szyje i bardzo szybko się poruszają. Mogą być trudnym przeciwnikiem.

–Tak, to oni – przytaknął Petr. – Podobno są przewrażliwieni na swoim punkcie i podejrzliwi jak dziwka w noc przed wypłatą żołdu w garnizonie. Nigdy nie widziałem ich na żywo, ale mój przyjaciel twierdzi, że łatwo się unoszą. Nie wiem o nich nic więcej.

–Mogę cię o coś spytać? – zagadnął Njangu.

–Mówiłem, że jestem waszym dłużnikiem.

–Służyłeś już kiedyś?

–Tak. Zaciągnąłem się, uszami mi wyszło i dałem sobie spokój. Ale cywilne życie też mi dopiekło, więc wróciłem w kamasze. Jakoś nie mogę się zdecydować. Próbowałem osiąść gdzieś parę razy, ale też nie wyszło. Może tym razem już mi się nie odmieni.

–A gdzie... nie wiem dokładnie, jak to nazwać, ale w jakiej części armii dotąd służyłeś? – spytał Yoshitaro.

–W jednostce zwiadu i wywiadu polowego. Zwiad wywiadem i wywiad zwiadem, jak to mówili moi koledzy sprzed wieków. Nigdy nie było nas dużo, a zwykli żołnierze mają nas za odmóżdżonych samobójców. Działasz w pojedynkę albo w małym zespole, więc jeśli oberwiesz, to zwykle z własnej winy. Zawsze to coś innego, niż robić za mięso armatnie.

Chociaż i tak można zginąć, oczywiście. Gdybym miał więcej rozumu, zaciągnąłbym się do zaopatrzenia albo kuchni polowych. Ale cóż, mamuśka wychowała mnie widać na tępaka.

–Można, Njangu?

Yoshitaro uniósł głowę znad lektury. Obok stała Maev.

–Co?

–Mam problem z mocowaniem pasów przy pryczy powiedziała dziewczyna. – Zaczep się wygiął i ciągle uderzam w niego głową. Mógłbyś go naprostować albo co?

–Jasne. – Njangu zsunął się z koi i poszedł za małym rudzielcem.

Petr i Garvin siedzieli na pryczy Kipchaka. Między nimi leżała magnetyczna szachownica. Njangu uśmiechnął się do nich, przechodząc.

–Hmm – mruknął Garvin. – Mam wrażenie, że biała królowa bije czarną wieżę.

–O czym ty mówisz? – spytał Kipchak. – Twoja królowa nie zbliżyła się nawet do

mojej wieży.

–Nieważne, nieważne...

Coś obudziło Njangu. Trwało chwilę, nim sobie przypomniał, gdzie się właściwie znajduje. Maev leżała od ściany. Uśmiechała się lekko przez sen. Dłoń trzymała między udami Yoshitara, jej włosy w czerwonym świetle wydawały się prawie czarne.

Nawet nie trudzili się sprawdzaniem zaczepu, a po wszystkim usnęli wyczerpani.

Njangu poczuł, że znowu zaczyna reagować na bliskość dziewczyny. Przesunął palcami po jej gładkim boku, zaczął pieścić uda. W półśnie Maev obróciła się prawie na wznak i uniosła nogę.

–Do wszystkich na pokładzie, do wszystkich na pokładzie! – rozdarły się nagle głośniki. – Zająć stanowiska alarmowe!

Njangu wyskoczył z koi i sięgnął po ubranie.

Maev zamruwała zaspanymi oczami.

–Co się dzieje?

–Nie mam pojęcia, ale lepiej wracajmy na salę.

Dziewczyna zaraz zaczęła się ubierać.

–Do wszystkich! Przygotować się na przyjęcie oddziału abordażowego! Uwaga!

Ostrzegamy przed próbami stawiania oporu! Powtarzam, nie próbujcie stawiać oporu!

–Rozumiecie coś z tego? – spytał Yoshitaro.

Garvin potrząsnął głową.

–Wciąż idziemy na nadprzestrzennym?

–Tak.

–Jak ktoś mógłby... Jak inny statek mógłby podejść do nas w nadprzestrzeni? – zastanowił się na głos Yoshitaro.

Jaansma znowu pokręcił głową.

–Mógłby, gdyby miał nasz dokładny zamiar. – Kipchak skrzywił się. – Albo znał z góry nasz kurs.

–I co z tego wyniknie?

–Nic dobrego – mruknął Petr. – Szczególnie nie podoba mi się to żądanie niestawiania oporu.

Malvern zadrżał.

–Coś podeszło do burty – stwierdził Kipchak. – Niezła sztuczka jak na nawigację w nadprzestrzeni. Prawie niewykonalna. Chyba że ktoś z naszego mostka im pomaga.

–Kto to może być? – spytał Jaansma. – Piraci?

–Eee tam. Nie ma żadnych piratów.

–No to dlaczego się domagają, żebyśmy nie stawiali oporu? Konfederacja nie toczy obecnie z nikim wojny.

–W każdym razie nic mi o tym nie wiadomo.

–Więc co...?

–Zamknij się. Gdybym coś słyszał, już bym ci powiedział – warknął Kipchak.

Czekali prawie godzinę. Zapaliło się normalne oświetlenie, czerwone lampy awaryjne zbladły.

–Do rekrutów! – huknęło z głośnika. – Przygotować się do zbiórki! Spakować się i czekać na rozkazy ludzi, którzy wejdą do zajmowanych przez was pomieszczeń!

Nie macie się czego obawiać, wystarczy, że będziecie dokładnie wykonywać wszystkie polecenia!

Każda próba oporu spotka się z bezwzględną odpowiedzią!

W sali zahuczało od pytań, ale nikt nie znał na nie odpowiedzi.

Nagle zapadła cisza. Właz na drugim końcu pomieszczenia otworzył się z trzaskiem.

Do środka weszło dwóch ludzi w skafandrach kosmicznych z uniesionymi osłonami hełmów i ciężkimi blasterami w rękach. Zajęli pozycje po obu stronach drzwi i zamarli w bezruchu.

Po chwili zjawił się trzeci mężczyzna. Wysoki, gładko wygolony blondyn. Tak jak

tamci dwaj, nosił ciemny skafander próżniowy bez żadnych oznaczeń, ale zdjął hełm. Blaster miał w kaburze przy boku.

–Bardzo dobrze – powiedział tak głośno, że Garvin aż podskoczył. Dopiero po chwili pojął, że przybysz ma wzmacniacz wbudowany w skafander. – Wasz statek został zajęty przez przedstawicieli prawowitej władzy. Od tej chwili możecie uważać się za jeńców.

We właściwym czasie zyskacie sposobność zmiany swojego statusu. Ci, którzy spróbują stawić opór, zostaną zastrzeleni. Jeśli jednak będziecie współpracować, nic wam się nie stanie, a nawet więcej, zostanieie za to nagrodzeni. Pamiętajcie tylko: wykonujcie rozkazy, to wszystko będzie dobrze. Nieposłuszeństwo oznacza śmierć. A teraz czekajcie na dalsze polecenia.

Blondyn zniknął.

–No to wpadliśmy w gówno – mruknął Kipchak.

–Dlaczego? – spytał Yoshitaro. – Co tu się właściwie dzieje?

–Pamiętacie, co wam mówiłem o zwiadzie? Że to raczej mały świątek? Znam tego drania. Nazywa się Celidon i mam o nim jak najgorsze zdanie. Ledwo coś go wkurzy zaraz sięga po broń.

–Nie rozumiem. – Garvin skrzywił się. – Dlaczego Konfederacja miałaby porywać własny statek?

–On już nie pracuje dla Konfederacji. To wolny strzelec. Dawno wyrzucili go z armii.

Słyszałem, że najął się u jakiegoś protektora na Larnyksie... nie, Lariksie i czymś jeszcze...

Lariksie i Kurze.

–I co teraz będzie?

–Na razie wychodzi na to, że jednak zostaliśmy napadnięci przez piratów.

Przypuszczam, że temu protektorowi zależy zarówno na statku, jak i na pasażerach. Chociaż jak się dowiedział o przegrupowaniach wojsk Konfederacji, nie potrafię odgadnąć.

Ani trochę tego nie pojmuję. Ale postarał się. Skafandry bez oznaczeń, żadnych mundurów, ich statek jest pewnie czysty jak ze stoczni. Może im się udać.

–A co z nami?

–Zostajemy w armii, tylko w innej – mruknął Kipchak. – I może upłynąć naprawdę wiele czasu, zanim uda nam się wrócić do domu.

–Wspaniale – warknął Njangu. – Po prostu wspaniale, kurna.

Petr nie słuchał, tylko cmokał z cicha. Wyraźnie coś rozważał.

–Nie – powiedział w końcu. – To nie dla mnie, brachu.

–Co nie? – spytał Garvin.

–Nie zamierzam służyć żadnemu protektorowi – stwierdził zdecydowanie. – Szczególnie renegatowi. Gdy Konfederacja zajmie się tym draniem, wszystkim noszącym jego barwy ziemia zacznie palić się pod stopami. Nie mam na to ochoty.

–Ale co możesz zrobić? – zapytał Njangu.

–O mnie się nie martwcie. Co do was, wystarczy jeśli będziecie pilnowali własnego nosa i unikali jakichkolwiek awansów. Zwykłych szturmowców zwykle się nie wiesza, a wcześniej czy później ta impreza się rozsypie i uda wam się jakoś z tego wykaraskać. – Petr nie patrzył na nich, tylko na dwóch strażników przy drzwiach.

–Chcesz się urwać.

–A jak myślisz?

–Możemy z tobą? – spytał Garvin. – Za diabła nie mam ochoty zostać piratem.

–Nie wygłupiaj się – warknął Kipchak. – Przecież wy... – Przerwał i spojrzał krytycznie na obu młodzieńców. – Mówisz poważnie?

–Jak najbardziej.

–Raz już wpadłem, drugi raz nie zamierzam – dodał Njangu po chwili zastanowienia. – Jeśli tylko zgodzisz się nas zabrać, idę.

–No... jak mówiłem, jestem wam coś winien, a samotna podróż w szalupie ratunkowej to niełatwa sprawa. Szczególnie przy długim skoku. Bo chyba to nas czeka, jeśli tylko uda nam się jakoś wymknąć... Dobra. Ale nie możecie niczego wziąć ze sobą. Zaraz zaczniemy się powoli stąd wycofywać. Jeśli strażnik na was spojrzy, macie zastygnąć w bezruchu. Nie oglądać się i za żadne skarby się nie uśmiechać. Zaraz po nas przyjdą, wtedy skorzystamy z zamieszania, miniemy łaźnie i otworzymy właz na drugim końcu pomieszczenia.

Potem was poprowadzę. Mam nadzieję, że w korytarzu po drugiej stronie jest czym oddychać.

Skierujemy się do jednej z szalup ratunkowych, które powinny być na międzypokładzie.

Wszystkie te transportowce są niemal jak spod sztancy. Jeśli szczęście nam dopisze, w szalupie będzie prowiant, tlen i paliwo. Jeśli nie... to nie. Idziemy.

Zaczęli się wycofywać krok za krokiem. Jestem posągiem, powtarzali sobie co chwila.

Ci spod drzwi rozglądają się, ale nie patrzą na mnie... nie na mnie... jeszcze krok... jeszcze jeden...

Jakieś pół wieczności później blondyn wrócił i zaraz wziął się do rozkazywania.

–Zostawcie całe swoje wyposażenie i ustawcie się rzędkiem. Będziecie po kolei do mnie podchodzić. Przeszukamy was i przeniesiemy do mniejszego pomieszczenia, żebyście nie narobili sobie kłopotów. Jeśli ktoś ma broń, niech zaraz ją rzuci na podłogę, w przeciwnym razie zostanie na miejscu zastrzelony. Pierwszy!

Rekruci zaczęli z wolna formować kolejkę.

Petr Kipchak wsunął się pomiędzy boczny rząd koi, a Garvin i Njangu za nim.

Niczym wielkie kraby skradali się coraz dalej od głównego wejścia.

Minęli skotłowaną pryczę Maev. Njangu poczuł ukłucie żalu, że bezpowrotnie traci coś bardzo prywatnego.

Kipchak zatrzymał się przy małym włączniku z dwoma zamkami. Pociągnął za jedną z włączników. Coś zaskrzypiało, odpadło kilka płatów farby.

–Stoczniowe dupki, wszystko zamalują. Jeśli się nie uda, to przez nich. – Naparł na dźwignię z całej siły, aż w końcu się obróciła. Z drugą poszło już łatwiej. Nic nie syknęło.

Pokiwał głową z zadowoleniem: po drugiej stronie było powietrze.

Otworzył właz i wśliznęli się w plątaninę korytarzy.

Nadprzestrzeń Garvin wsłuchiwał się w ich ciche kroki. Kipchak szedł pierwszy, Njangu zaraz za nim. Jaansma zauważył, że obaj poruszają się bardzo miękko, jakby nawykli do skradania się, podczas gdy on stąpał ciężko niczym pijany mastodont.

Petr skinął ręką – teraz na dół... przez właz. Ruszyli za nim. Dwa razy unosił dłoń, a oni zaraz nurkowali do najbliższego otwartego pomieszczenia i czekali, aż ciężki tupot butów ucichnie w oddali.

Z przodu rozległy się jakieś hałasy i Kipchak mimo wszystko ostrożnie zbliżył się do zakrętu korytarza.

Po chwili usłyszeli wyraźne głosy:

–Dobra. Stać mi równo, do cholery! Nie mam tego pieprzonego rejestru... Cisza, powiedziałem!

Ktoś kogoś uderzył, ktoś krzyknął z bólu.

–Cisza! Raz tylko powiem i nie będę powtarzał! – Poznali głos Celidona. – Stać równo w rzędach, jak was ustawiliśmy. Gdy dojdziecie do podoficera z listą, podawać imię i nazwisko i czekać, aż sprawdzi wasze dane. Jesteście teraz żołnierzami sił zbrojnych układów Larix i Kura i szybko się nauczycie, że nie mamy zwyczaju z nikim się tu pieścić i od każdego oczekujemy absolutnego posłuszeństwa. A teraz ruszać się!

Petr pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć, że czegoś takiego właśnie oczekiwał, i wskazał ręką na właz z tablicą opatrzoną czerwonym napisem:

DROGA AWARYJNA DO SZALUP

RATUNKOWYCH

UWAGA: OTWARCIE TEGO WŁAZU

URUCHOMI ALARM

NIE OTWIERAĆ POZA SYTUACJAMI

WYŻSZEJ KONIECZNOŚCI I NA

WYRAŹNY

ROZKAZ OFICERA POKŁADOWEGO

ALBO WYŻSZEGO OFICERA INNEJ

SPECJALNOŚCI

Petr obejrzał dokładnie właz. Njangu zajął się natychmiast wajchami zamków oraz zawiasami. Wskazał na coś, czego Garvin nie mógł dojrzeć, i poruszył palcami, jakby otwierał i zamykał usta. Chyba chodziło mu o syrenę alarmową. Zgiął narożnik tablicy z napisem ostrzegawczym i tak długo poruszał nim w jedną i drugą stronę, aż tworzywo puściło.

Yoshitaro wsunął kawałek plastiku za jeden z zawiasów i zablokował znajdujący się tam mały przełącznik. Uśmiechnął się, unosząc kciuk, i skrzyżował palce. Petr odblokował właz. Nic nie zawyło. Weszli na łagodnie zakręcający korytarz z mniejszymi włazami rozmieszczonymi w regularnych odstępach. Byli już przy samym poszyciu statku.

Garwinowi zdawało się, że czuje bijące od ścian lodowate zimno kosmosu.

Petr wskazał na jeden z włazów. Otworzyli go, nie trując się szukaniem włącznika alarmu, i weszli do małej śluzy. Kipchak odblokował wewnętrzny właz i opuścili się, do kroplokształtnego pomieszczenia. Po obu jego stronach znajdowały się drzwi z napisami „Toaleta”. Całe było miękko wyściełane, a do ścian przymocowano koje. Na samym dole widać było krótką drabinkę prowadzącą do stanowiska pilota z fotelem, trzema ekranami i kilkunastoma przełącznikami. Na centralnym pulpicie pod przejrzystą osłoną widniał kwadratowy przycisk.

–Zamknij śluzę – polecił Kipchak Jaansmie. Sprawdził zamki i zatrzasnął wewnętrzny właz. – Jeszcze nie uciekliśmy – szepnął, jakby zachowanie ciszy wciąż miało jakieś znaczenie. – W tych łupinkach jest czasem dodatkowy system alarmowy, który uruchamia się w chwili aktywowania systemów albo wystrzelenia w przestrzeń. Na razie kładźcie się na kojach. Nie wiem, czy będzie rzucać, ale nie ryzykujemy bez potrzeby.

Njangu i Garvin posłuchali bez słowa, Petr zaś usiadł w fotelu pilota i zapiął pasy.

–Obsługa takiej szalupy jest prosta jak drut – powiedział. – Widzicie ten wielki przycisk? Włącza wszystkie systemy. Gdy go nacisnę, będziemy mieć własne ciążenie, a na bocznych ekranach pokaże się obraz z dziobu i rufy, środkowy da obraz radarowy.

W nadprzestrzeni wszystkie powinny zmienić się w standardowe ekrany nawigacyjne.

Taką przynajmniej mam nadzieję. A w ogóle rozgadałem się, bo ciągle się boję, że coś pójdzie nie tak. – Zaciął zęby, uniósł osłonę dużego czerwonego przycisku i wdusił go całą dłonią.

Nagle dwukrotnie przybyło im wagi, gdy generatory grawitacyjne szalupy zdublowały generatory transportowca. Rozjarzyły się ekrany, a wkoło rozległ się lekki poszum. – Żyjemy – mruknął Petr. – Zobaczmy, czy uda nam się ruszyć... tutaj... i tutaj... jest.

Garvin poczuł drgnienie, gdy otworzył się zewnętrzny właz i żurawiki szalupy wysunęły ją w przestrzeń kosmiczną. Spojrzał na ekrany. Środkowy nic mu nie mówił, ale pozostałe dwa ukazywały masyw Malverna i wiszący obok niego smukły niczym igła kadłub okrętu wojennego.

–Teraz rozwyją się alarmy – powiedział Petr, stukając po klawiszach, ale nic się nie stało. – Nie do wiary... Tak ładnie jeszcze nigdy mi nie poszło. Ale nie ma co tracić czasu.

Musnął jakiś sensor, potem wcisnął znowu główny przycisk i kapsuła drgnęła, a ekrany pokazały rozmazaną szarość nadprzestrzeni.

–Raz... dwa... trzy... cztery... – mruczał Kipchak i znowu coś przełączył. Na ekranach ukazała się normalna przestrzeń, ale po chwili ponownie skoczyli.

–Dwa skoki na ślepo – wyjaśnił. – Dla sprawdzenia, że wszystko tu działa, i żeby zejść tamtym z oczu. Powinni montować tu specjalny przycisk z napisem „paniczna ucieczka”.

Wrócili do zwykłej przestrzeni. Wkoło nie było widać żadnych bliskich gwiazd czy planet. Nie było też Malverna ani rajdera.

–Na razie mamy więcej szczęścia niż rozumu. Jeśli wszystko poszło jak należy, przy każdym skoku oddaliliśmy się na jakieś pół minuty świetlnej. Dość daleko, aby te gobliny nas nie znalazły, ale nie aż tyle, żeby komputer stracił orientację.

–A jeśli jednak stracił? – spytał Garvin.

–To mamy przesrane. Ta szalupa powinna... powinna, powiadam... mieć zaprogramowanych kilka opcji lotu. Przede wszystkim ten kurs, którym miał iść nasz transportowiec. Po drugie, kurs powrotny na Świat Centralny, a po trzecie – na najbliższą zamieszkaną planetę.

Ponownie przebiegł palcami po klawiaturze. Njangu patrzył z napięciem. W końcu Petr uniósł głowę i uśmiechnął się szeroko.

–Nie myśleliście, że taki dziadek jak ja może się na tym znać, co? – skomentował. – Patrzcie i ucztujcie się. Im więcej będziecie umieć, tym dłużej pożyjecie. W tych czasach byle piechociarz powinien umieć wyliczyć prostą krzywą balistyczną. Przydaje się jak złoto podczas ganiań po polu. No i pilotowania różnego złomu, małego i wielkiego, jak Malvern.

–Potrafiłbyś poprowadzić taki transportowiec?

–Do startu i wejścia na orbitę musiałbym mieć nieco pomagierów do przyciskania guzików. Sam bym do wszystkich nie dosięgnął. Ale jeśli chodzi o ustawianie parametrów skoku, wystarczy, jeśli radzisz sobie z kompami. A teraz zechciejcie łaskawie się zamknąć.

Sprawdzimy, co tutaj mamy.

Przez dłuższą chwilę studiował ekrany.

–Hm. Pierwsza możliwość to lot z powrotem na Centralny, co byłoby chyba jednak kuszeniem losu. Siedem, może osiem skoków. Ta łupina nie ma chyba odpowiedniego zasięgu, nie mówiąc o tym, że układ podtrzymywania życia dałby nam pod koniec popalić.

Druga opcja to kurs na najbliższy zamieszkały świat, czyli Larix. Co za zbieg okoliczności.

Chyba nie chcemy tam lecieć? – zapytał.

Obaj zgodnie pokręcili głowami.

–Zostaje więc nasz pierwotny cel podróży, czyli Cumbre D. Dwa, a najpewniej trzy skoki. Około tygodnia. Okażemy się przykładowymi obywatelami Konfederacji. Pewien jestem, że gdy pojawimy się w trójkę i powiemy, co się stało z Malvernem, niektórym zagotuje się woda w tyłkach.

Jaansma i Yoshitaro wymienili spojrzenia, ale żaden nie powiedział tego, co im się nasuwało. Pojawią się tam albo i nie.

–No to ustawiam parametry i skaczemy – rzucił niewytłumaczalnie radosny Petr.

Na ekranach zawirowały kalejdoskopowe wzory nadprzestrzeni. Garvin i Njangu patrzyli w nie jak zahipnotyzowani, ale Kipchak całkiem przestał zwracać uwagę na ekrany.

–Lepiej spójrzcie tutaj! – zawołał do nich. – Spójrzcie, a zrozumiecie, dlaczego was nie pogoniłem, gdy zaproponowaliście mi swoje towarzystwo w tej podróży.

Ktokolwiek projektował te szalupy, rozumiał, że latać w nich będą szczury nie odróżniające rufy od dziobu. Ustawił więc wszystko naprawdę prosto. Trzeba uruchomić program, nacisnąć guzik startu, a potem można już spokojnie obgryzać paznokcie. Jedyne, co trzeba mieć w nadprzestrzeni na oku, to ten znacznik. Musi pozostać pośrodku dwóch czarnych kresek.

Nastawia się go suwakiem obok. No i jeszcze ten timer. Co dwie godziny trzeba go przekręcać. Jeśli się tego nie robi, automatyczny pilot wyrzuci szalupę w normalną przestrzeń. Jego głównym zadaniem jest chyba dawanie zajęcia rozbitkom, ale nikt dotąd nie znalazł sposobu, żeby go obejść. Musimy więc pełnić wachty.

–Miło wiedzieć, że jednak jesteśmy potrzebni – powiedział Garvin.

–Jasne, chłopcze, że jesteście. Nie tylko do tego zresztą, bo jest jeszcze coś, i to znacznie ważniejszego. Wszystko, co zjecie, wypijecie i tak dalej, zostanie przetworzone, po czym wróci do was pod postacią świeżych produktów. I tak w kółko. Ta szalupa pracuje w układzie zamkniętym rzucił z uśmiechem, wypatrując na ich twarzach zapowiedzi nudności. Nie doczekał się jednak. Trochę rozczarowany wrócił więc do tematu. – Ten system nie jest jednak stuprocentowo sprawny. Przy jednym użytkowniku dość szybko zaczyna się zamulać, że tak to nazwę. A im więcej osób z niego korzysta, z umiarem oczywiście, tym dłużej daje się wytrzymać.

–Ale są tu chyba jeszcze jakieś zapasy? – spytał Garvin. – Bo jeśli mamy jeść tylko to, co sami wyprodukujemy, za kilka dni zaczniemy łakomie spoglądać na Yoshitara. A i tak schudniemy – Słusznie – przytaknął Petr. – Zapasy powinny być w tamtym schowku. Żelazne racje plus trochę smakołyków. Ci, którzy ustalali normy wyposażenia tych szalup, rozumieli, że rozbitkom trzeba jakoś umilić oczekiwanie na ratunek.

Njangu podszedł do wskazanej szafki i otworzył ją.

–H'rang-dao! – zaszwargotał po swojemu. – Wiecie co? Ktoś postanowił wzbogacić się naszym kosztem.

Kipchak doskoczył do szafki.

–Pięknie – warknął. – Naprawdę cudownie. Pewnie to robota jakiegoś bumelanta ze stoczni albo dupka z załogi. Nieźle tu poszabrował. Z obżarstwa czy na sprzedaż?

–Co zostało? – przerwał mu Garvin.

–Z głodu nie pomrzemy, ale założę się, że dolatując do Cumbre, będziemy rzygać kleikiem sojowym.

Pozostałe szafki szalupy też nie były tak pełne, jak Powinny. Ta z napisem

ROZRYWKA okazała się nawet Prawie pusta. Kipchaka jednak jakoś to nie zmartwiło.

–Dzięki temu trafia się wam okazja, aby nauczyć się czegoś jeszcze – powiedział. – Są dwa sposoby spędzania czasu po służbie w warunkach, które wykluczają cokolwiek poza czekaniem na cud, co wam grozi przez większość służby. Może mi nie uwierzycie, ale spanie też może się w końcu znudzić. Jednym z tych sposobów jest leżenie martwym bykiem, drugim nauka. To pierwsze oczywiście jest popularniejsze. Wszyscy siadają sobie razem i opowiadają po kolei o sobie. Najpierw to, co było najciekawsze, potem mniej ciekawe i tak dalej.

–Tak było na Malvernie – zauważył Garvin.

–Owszem, ale nie wszyscy brali w tym udział. Głównie ci nowi. Nie rozumieli, co może z tego wyniknąć. Bo co się dzieje, gdy poznajesz kogoś na wylot? Zaczynasz mieć go serdecznie dość i tyle. Dlatego o wiele lepiej samemu poszukać sobie zajęcia.

Poczytać jakiś dysk, jeśli masz coś takiego. A jeśli nie masz, poszukać kogoś, kto coś umie, i poprosić, żeby i ciebie nauczył. Dzięki temu masz o czym myśleć i nie grozi ci, że się ze wszystkimi skłócisz.

–No to co robimy? – spytał Garvin. – Zostały jeszcze dwie godziny do czasu, aż będę musiał zmienić Njangu.

–Podczas tej karcianej awantury zauważyłem, że lubisz sceniczny sposób wypowiedzi.

–A owszem.

–To sympatyczne zamiłowanie. Siadaj więc i słuchaj.

Garvin usiadł i zaczął słuchać.

–Zaczyna się od partii chóru – powiedział Petr.

Kto mi ognistą Muzę da, bym wzleciał

Do empirejskich szczytów wynalazku!

Aktorów książąt, królestwo na teatr,

Królów na widzów bohaterskiej sceny!

Garvin i Njangu wymienili zdumione spojrzenia.

Wiele godzin i kilka wacht później lekko ochrypli Petr doszedł wreszcie do końca:

Obraz ten widzicie nieraz na tej scenie, Dla dzieła też naszego miejcie uwzględnienie.

Wstał i ukłonił się nisko.

–To jest coś, z czego jestem bardzo dumny – dodał.

–No myślę, że powinieneś – mruknął niepewnie Garvin. – To była cała sztuka?

–Ano.

–Ile jeszcze ich znasz?

–Dwanaście czy trzynaście.

–Wszystkie tego samego gościa?

–Większość. I jeszcze kilka innych. Moliere, Robicheux, Van Maxdem, Anouilh.

–Jak się ich nauczyłeś?

–Miałem dużo czasu podczas psich wacht.

–Wszyscy w armii są tak pokręcani? – spytał z żywym zainteresowaniem Yoshitaro.

–W żadnym razie. Tylko niektórzy – stwierdził Petr i poszedł napić się wody. – Teraz wasza kolej.

Po czasie, który wydawał im się sporą częścią wieczności, wyszli z nadprzestrzeni pośrodku jakiegoś układu planetarnego.

Petr wziął mikrofon i włączył moduł łączności, który natychmiast rozjarzył się światłkami.

–Będziemy nadawać na standardowej częstotliwości alarmowej – zapowiedział. – Cumbre D, Cumbre D, zgłasza się szalupa ratunkowa transportowca Konfederacji Malvern.

Proszę o odpowiedź na tej częstotliwości. Cumbre D, zgłasza się szalupa ratunkowa transportowca Malvern...

Cumbre D Wysoki siwowłosy mężczyzna otworzył drzwi. Nosił pagony cauda i był dowódcą Grupy Uderzeniowej Szybka Lanca.

Petr zerwał się i stanął na baczność. Njangu i Garvin niezdarnie poszli w jego ślady.

Wszyscy trzej nosili nowe mundury. Njangu i Kipchak dropiaste zielenie piechoty, Garvin – czarny uniform pancerniaków.

–Wejść – powiedział lodowatym głosem caud Williams.

Ruszyli za nim do gabinetu gubernatora Wiltha Haemera. Szef rządu układu Cumbre i najważniejszy tu przedstawiciel Konfederacji przypominał poczciwego dziadka.

Tym razem jednak nie rozdawał cukierków, tylko płonął słusznym gniewem.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem.

–To są ci trzej, panie gubernatorze – powiedział caud Williams.

Haemer wyszedł zza wielkiego biurka z prawdziwego drewna wypolerowanego na wysoki połysk. Błat był pusty, jeśli nie liczyć drogiego staroświeckiego pióra i przycisku komunikatora. Gubernator spojrzał na przybyłych z taką dezaprobatą, jakby byli siewcami epidemii.

–Taak – odezwał się. – Trzej rekruci.

–Tylko dwaj, panie gubernatorze. Ten po lewej zaciągnął się ponownie.

–Też coś... Nie mógł się powstrzymać?

Kipchak zachował milczenie, chociaż kark mu poczerwieniał.

–Powinienem wam pogratulować przetrwania tego niezwykłego zdarzenia, ale jakoś nie potrafię – powiedział gubernator. – Nie potrafię, ponieważ ktoś, może jeden z was, może cała trójka, wypaplał całą tę fantastyczną historię dziennikarzom. I to w minutę po opuszczeniu jednostki ratowniczej.

–To nie... – zaczął Garvin.

–Cisza! – warknął Williams.

–Mów – nakazał Garwinowi Haemer.

–To nie my, panie gubernatorze.

–Więc kto?

–Nie wiem, panie gubernatorze.

–Nikt z załogi statku ratowniczego, który podjął waszą szalupę, nie rozmawiałby z mediami bez naszej zgody. Jesteśmy całkowicie pewni tych ludzi – powiedział Haemer.

Garvin pojął w końcu, że najlepiej zrobi, jeśli już się nie odezwie.

–Wasza sklecona naprędce opowiadka... nie nazwałbym jej kłamstwem, bo chyba sami wierzycie w te nonsensy... mogłaby się stać zarzewiem antagonizmów między nami a Lariksem i Kurą, a szczególnie tamtejszym protektorem, Aleną Redruthem. Macie szczęście, że zdążyłem w porę opublikować dementi. Nie ma wprawdzie żadnego powodu, abym miał wyjaśniać podobne rzeczy komuś o waszej pozycji, ale jednak to zrobię, bo uważam, że wszyscy podlegli mi ludzie powinni rozumieć swoje obowiązki.

Znajdujemy się na najdalszych rubieżach Konfederacji. Wszystkie nasze szlaki komunikacyjne do Centrum biegną przez Larix, który leży całkiem blisko układu Kura. To na wypadek, gdybyście jeszcze o tym nie wiedzieli. Pozytywne nastawienie tamtejszych mieszkańców i ich protektora ma dla Cumbre wielkie znaczenie. Wasza dziwna opowieść mogłaby narazić nasze stosunki na Poważny szwank. Rozumiem, że możecie o tym nie wiedzieć, ale protektor Redruth był na tyle uprzejmy, że sam odwiedził niedawno Cumbre. Nieprawdaż, Williams?

–Tak, panie gubernatorze. Był u nas z wizytą dokładnie trzy standardowe miesiące temu.

–To była bardzo udana wizyta – ciągnął Haemer.

Zwiedził kopalnie, miasta, znalazł nawet czas na przegląd naszej grupy uderzeniowej, prawda, Williams?

–Tak, panie gubernatorze.

–A teraz nasza przyjaźń, przyjaźń trzech wielkich układów planetarnych pogranicza, miałaby zostać zagrożona przez nieprzemyślane wypowiedzi waszej trójki? Nie pozwolimy, aby do tego doszło. Powiem wam zatem, co naprawdę się wydarzyło. Kilku renegatów przejęło podstępem dwa okręty protektora. Być może byli tam dezercerzy z armii protektora, może nosili nawet jego mundury, aby ukryć niegodziwe intencje. To mogło was zmylić.

Popelniono zatem błąd, ale go naprawiłem. Na moje polecenie przekazaliście mediom sprostowanie zaraz po tym, jak zapoznałem was z informacjami wywiadu, i przeprosiliście gorąco za zamieszanie. Chciałeś coś powiedzieć, młody człowieku?

–Nie – odparł zdumiony Yoshitaro. – W żadnym razie, panie gubernatorze.

–Wydawało mi się, że jednak. Ale nic. Williams, nie wiem, co z nimi zrobić.

Gdybyśmy byli gdzieś bliżej cywilizacji, natychmiast zwolniłbym ich do cywila.

Jednak wątpię, by mieli dość kwalifikacji, żeby znaleźć u nas pracę, a nie chcę, by stali się ciężarem dla opieki społecznej. Niemniej zależy mi na tym, aby w pełni zdali sobie sprawę, jak wiele nerwów mnie kosztowali. Pozwolę im wprawdzie odsłużyć czas przewidziany w umowie, ale nie chcę więcej o nich słyszeć ani ich oglądać. Nie muszę chyba dodawać, że tym samym nie widzę w nich kandydatów do jakichkolwiek awansów czy wyróżnień, chyba że sam zdecyduję inaczej. Czy to jasne?

–Panie gubernatorze, nie mogę pozwolić...

–To rozkaz!

–Tak jest, panie gubernatorze.

Njangu i Garvin wyszli smętnie za Petrem i kroczącym jakieś dwa metry z przodu caudem. Przemierzyli marmurowe schody siedziby gubernatora, przed którą czekał już otwarty cook Williamsa, uniwersalny antygraw wykorzystywany zarówno jako ambulans, jak i ruchome centrum dowodzenia. Pokrywa silnika była podniesiona, a mruczący pod nosem pilot co rusz sięgał po nowe narzędzia.

–Co tym razem, Biegnący Niedźwiedziu? – zagadnął go Williams.

–Nie chce zapalić, sir. Ale chyba coś wymyślę.

–Dobrze – powiedział caud. – Wy trzej za mną, do parku.

Razem przeszli przez ulicę.

–Baczność i słuchać. Wiecie już, co postanowił w waszej sprawie gubernator.

Jednak nic złego się nie stanie, jeśli nie będziecie pchać mu się przed oczy za wcześnie, póki jeszcze pamięta wasze nazwiska. A jeśli chodzi o miejsce na mojej prywatnej czarnej liście... Nie mam zwyczaju karać żołnierzy za zwykły, nie zawiniony przez nich błąd. Nie będę wstrzymywał waszych awansów ani odmawiał nagród, o ile tylko na nie zasłużycie.

Zameldowaliście, co waszym zdaniem się zdarzyło, i mimo nacisku nie odwołaliście

tęgo, a ja cenię taką postawę. Jednak nie przesadzajcie. Zanim coś powiecie, zastanówcie się, jaki skutek może to wywołać. Jak słyszeliście od gubernatora, nasza grupa uderzeniowa stacjonuje daleko od centrum Konfederacji. Rozpaczliwie brakuje nam wyposażenia i ludzi i bardzo liczyliśmy na ten transportowiec, którym lecieliście. Od dawna nie otrzymaliśmy już żadnych uzupełnień. Niektórzy oficjele mogliby zbyt ostro zareagować na wieść o jego porwaniu.

Dociera do was, co mówię?

–Tak, sir – wykrztusił Petr, a Garvin i Njangu pokiwali głowami.

–To dobrze. Zapomnimy więc o tym incydencie. Witajcie w Grupie Uderzeniowej Szybka Lanca. Wy dwaj nowi zostanieie zaraz skierowani na szkolenie unitarne, nieco złagodzone, niestety, ale zawsze. Ty, Jaansma, trafisz do oddziału, w którym będziesz służył.

Tak samo będzie z tobą, Yoshitaro, chociaż jeszcze nie zdecydowano o twoim przydziale. Na ciebie, Kipchak, złożył już zapotrzebowanie starszy tweg Reb Gonzales ze zwiadu.

Mówi, że zna cię z dawnych czasów.

–Tak, sir. Służyliśmy razem w garnizonie Deneb-Nekkar. Tweg Gonzales jest w porządku, sir.

–Zameldujesz się u niego, gdy tylko wrócimy do jednostki. I to wszystko... jeszcze tylko jedna rada: nie wychylajcie się. Postarajcie się, aby przez dłuższy czas nikt, ani wasi podoficerowie, ani oficerowie, ani ja, wasz dowódca, nie był zmuszony do grzebania w waszych grzeszkach. Finf Biegnący Niedźwiedź chyba zapalił mój złom, ładujmy się więc i wracajmy do siebie.

Maszerując ku ślizgaczowi, Garvin i Njangu wymienili spojrzenia.

–To chyba porządny gość – mruknął Jaansma.

–Tak? Nie wierzy nam tak samo jak tamten dupek, tylko jest uprzejmiejszy – szepnął Yoshitaro.

Kipchak pokiwał głową.

–Widzę, że się uczysz, chłopcze. Ale potraktuj go... a nawet ich obu, możliwie łagodnie. Są jak rozbitkowie, którym rekin odciął drogę do brzegu. Za nic nie będą go drażnić byle drobiazgiem.

–Trafna uwaga – stwierdził Garvin. – Chociaż nadal mam wrażenie, że są raczej jak

ci naiwniacy, którzy nie uwierzą w karciane oszustwo, nawet gdy im pokazać znaki na koszulkach. Ślizgacz opuścił gubernatorską fortecę i ruszył szeroką aleją miasta Leggett ku zatoce, która wrzynała się głęboko w wyspę Dharma. Na środku tej zatoki, dwadzieścia kilometrów od brzegu, leżała ledwie widoczna w mgiełce upalnego dnia wyspa Chance. Tam mieściła się baza Grupy Uderzeniowej.

Niedźwiedź przyspieszył i wzniósł pojazd na tysiąc metrów. Williams obrócił się w fotelu i spojrzął na rekrutów.

–Składaliście na Centralnym przysięgę? – spytał, przekrzykując szum powietrza.

–Nie, sir – odpowiedział Kipchak. – Tym razem w ogóle nie było mowy o przysiędze.

Chyba nikt nie miał do tego głowy.

Njangu i Garvin też zaprzeczyli.

Williams nie krył zgrozy.

–Chcecie powiedzieć... jesteście już w służbie przez...

–Ja dwa i pół miesiąca. Yoshitaro i Jaansma sześć miesięcy, bo dochodzi tranzyt z ich światów na Centralny.

–Sześć miesięcy i ciągle... O bogowie, o czym oni teraz tam myślą? Przysięga to najważniejsza... Nikomu, ale to nikomu nie można już wierzyć – sapnął Williams i zacisnął mocno usta. – Panowie, przepraszam w imieniu Konfederacji. To niedopuszczalne!

Njangu tylko zamruczał coś pod nosem.

–Przez całe życie nie widziałem tylu żołnierzy w jednym miejscu – stwierdził Yoshitaro. – Co oni wszyscy tu robią?

–Zamknij się i patrz – rzucił Petr. – Nieprędko ujrzysz drugie takie widowisko.

Nosili już mundury: ciemne, prawie czarne spodnie, sięgające bioder bluzy z pasem i regulaminowe czapki. Spodnie, czapki i epolety miały żółte lamowanie. Nogawki ginęły im w wysokich butach. Petr nosił trzy rzędy baretek nad lewą piersią i dwie skrzydlate odznaki na prawej, Njangu i Garvin nie mieli nic. Przy szerokich pasach z czarnej skóry wisiały puste pochwy na krótką broń białą.

Stali pośrodku placu apelowego obozu Mahan. Był olbrzymi, miał prawie trzy na trzy kilometry. Wszędzie wkoło widać było żołnierzy w takich samych mundurach, prawie osiem tysięcy mężczyzn i kobiet składających się na Grupę Uderzeniową Szybka

Lanca.

Z drugiego końca placu maszerował caud Williams, za nim trzech chorążych niosących sztandary Konfederacji, Cumbre i jednostki. Dalej szedł sztab Williamsa, a na końcu dmąca i waląca z całych sił w instrumenty orkiestra. Williams zbliżył się na piętnaście metrów do trzech rekrutów i zatrzymał się z przytupem. Orkiestra odegrała jeszcze cztery takty i nad placem zaległa cisza.

Garvin wyczuwał w powietrzu lekki zapach kwiatów, słony posmak wiatru od morza, woń swojego nowego jak spod igły munduru i lekki odór potu. – Żołnierze Szybkiej Lancy! – ryknęło głosem Williamsa z prawie ośmiu tysięcy przymocowanych do pasów głościczków. – Zebraliśmy się, aby uczcić przybycie trzech nowych towarzyszy broni! Garvin Jaansma, Petr Kipchak, Njangu Yoshitaro, pięć kroków wystąp! Poczet!

Dwóch chorążych podeszło bliżej. Jeden niósł sztandar Konfederacji, drugi jednostki.

Bez dodatkowych rozkazów drugi pochylił drzewce, aż materia prawie dotknęła ziemi.

–Połóżcie dłonie na sztandarze!

Położyli.

–Powtarzajcie za mną: Przysięgam na wszystko, co dla mnie święte, że będę posłuszny rozkazom przełożonych i że będę bronić Konfederacji oraz jej zasad, a także jej mieszkańców w całej ich różnorodności, i nie ustane w tym aż do śmierci albo chwili, gdy zostanę zwolniony z tej przysięgi.

Gdy skończyli, orkiestra huknęła Galaktyką, hymnem Konfederacji.

–Ciekawe, ile w tym tłumie kieszonkowców? – szepnął półgębkiem Njangu. – I kiedy wreszcie się skończy ta szopka.

–Zamknij się – syknął Garvin.

Yoshitaro zerknął na niego i zauważył, że przyjaciel dziwnie jakoś porusza jabłkiem Adama. Na dodatek po jego policzku spływała najprawdziwsza łza...

Garvin dostrzegł zdumienie Njangu.

–Czuję się jak w cyrku. W chwili, gdy wychodzi facet z płonąca obręczą – szepnął, żeby zamaskować swoje niewczesne wzruszenie. Niezbyt mu to wyszło.

–Cisza – warknął Petr.

Orkiestra skończyła grać i przez plac przetoczyły się okrzyki radości.

Nieprzesadne, co prawda.

–Poczet... odmaszerować! – krzyknął ktoś i chorążowie wrócili na poprzednie miejsca.

–Mil Rao! – zawołał Williams. – Uzbroidź tych żołnierzy!

Prakash Rao, szef jednostki, wyszedł z szeregu z trzema skórzanymi pudłami w dłoniach. Wręczył je kolejno zaprzysiężonym, oddając im honory, i wrócił do szeregu.

–Okażcie się godni tego zaszczytu – powiedział Williams. – Nie ustawajcie w ćwiczeniach, oddajcie swe siły służbie, aby armia mogła z was być dumna. – Odstąpił krok i zasalutował. Rekruci odpowiedzieli tym samym.

–Dowódcy pododdziałów przekazać komendę rozejść się!

Yoshitaro otworzył swoją skrzynkę. W środku były trzy oznaki jednostki – jedna na czapkę i dwie, mniejsze, na pagony. Wszystkie przedstawiały lancę z rozchodzącymi się od grotu promieniami. Obok leżał nóż. Co dziwne, nie był to paradny kord, ale śmiertelnie groźny nóż bojowy z osiemnastocentymetrową jednosieczną klingą. Rękojeść była obciągnięta skórą, a głowicę i nity wykonano ze srebra. Nóż idealnie pasował do pochwy przy pasie.

–Dziwności... – powiedział Yoshitaro.

–Coś cię znowu rozbawiło? – spytał podejrzliwie Petr.

–Tym razem nic – pospieszył z wyjaśnieniem Njangu. – Zastanawia mnie tylko to zestawienie. Uszczęśliwili nas paradnymi błyskotkami, ale razem z nimi dali nam po cholernie praktycznym majchrze.

–No i?

–Co z tego czyni nas żołnierzami?

Kipchak spojrzał na niego zdumiony.

–Mniejsza z tym – powiedział Njangu.

Cumbre C Jord'n Brooks naparł na świder, aż jęknęła skała, i zamrugął, bo do oczu splywały mu krople potu. W powietrzu było pełno grubego pyłu. Osiadał mu na twarzy, zmieniał kolor włosów na siwy. Przodek, w którym leżał, był wysoki ledwie na metr i na pół metra szeroki.

Miejsca starczało tu tylko na niego i świder. Skała pod spodem była ciepła i wilgotna.

W pewnej chwili zadrżała. Ktoś musiał odpalić ładunek w innym chodniku.

Brooks czuł się w kopalni jak w domu. Pracował tu już od dwudziestu lat.

Odsunął rękaw skafandra, żeby sprawdzić, która godzina. Zaczął wyczołgiwać się tyłem z przodka, aż dotarł do miejsca, gdzie korytarz był nieco szerszy i wyższy. Tutaj mógł się wreszcie obrócić i wstać, chociaż nie wyprostować. Przygarbionymi plecami wciąż szorował o strop.

Zmianowa stała już przy windzie. Kabina czekała.

–Pamiętam. Możesz iść.

Brooks zdjął maskę, odłożył aparat tlenowy oraz świder i wszedł do windy, która zaraz wystartowała. Szyb kończył się prawie kilometr wyżej. Brooks przeszedł przez śluzę i wszedł do wagonika, który przewiózł go pod główny szyb kopalni. Razem z dwudziestoma innymi mężczyznami i kobietami wpełznął się do windy towarowej. Wszyscy byli brudni i rozgadani po szychcie. Niebawem wyjechali na powierzchnię.

Wychodząc z górnej śluzy, zamrugął oślepiony ostrymi światłami. Niezależnie od tego, co mówiły zegary, zawsze bezwiednie oczekiwał przy takiej okazji, że zastanie na górze jasny dzień. Wciągnął głęboko powietrze, w którym unosił się jedynie zwykły kurz. Było też suche i chłodne, w odróżnieniu od tego na dole, wiecznie wilgotnego, śmierdzącego i pod większym ciśnieniem niż normalne. Zadrżał nieco z zimna, ale po chwili układ grzewczy klimatyzowanego skafandra dostosował się do temperatury otoczenia.

Pozostali górnicy ruszyli do bramki przy wyjściu, Brooks jednak schował się za wózkiem z rudą i przemknął w cieniu obok kopulastej osłony przejścia i dalej, obok hałd szlaki. Kawalek podjechał, uczepiwszy się automatycznej kolejki, resztę drogi przeszedł pieszo. Dwa razy musiał się chować i czekać, aż przejdzie patrol ochrony kopalni. Wkoło było jasno od płomieni na szczytach wież nieustannie odprowadzających gazy z sąsiednich szybów.

Za tylnym wejściem do kopalni poszedł torem kolejki obok kolejnych hałd aż do schowanego częściowo w ziemi półokrągłego betonowego bunkra, na którym widniał napis:

UWAGA! NIEBEZPIECZEŃSTWO!

MATERIAŁY WYBUCHOWE!

WSTĘP JEDYNIĘ ZA ZGODĄ

KIEROWNICTWA MELLUSIN MINING!

NIE WNOSIĆ MATERIAŁÓW

ŁATWOPALNYCH!

NARUSZENIE ZAKAZU BĘDZIE

KARANE Z CAŁĄ SUROWOŚCIĄ

PRAWA!

Brooks podszedł do jednych z drzwi bunkra. Z ukrytej kieszeni w nogawce skafandra wyjął dość niezwykły klucz z czterema różnymi końcówkami. Ostrożnie wsunął go w szczelinę zamka. Nie zauważył przy tym małego występu nad drzwiami w jednej linii z zamkiem, nie dosłyszał cichego kliknięcia.

Obrócił klucz w prawo, pół obrotu w lewo i znowu w prawo. Drzwi otworzyły się z lekkim trzaskiem.

Nagle usłyszał jęk silnika ślizgacza i schował się w cieniu. Pojazd zatrzymał się pięć metrów od niego. Wsiedli z niego dwaj ludzie z bronią w rękach.

–Zadanie – dobiegł go kobiecy głos.

–Powinność – rzucił odzew.

Kobieta schowała pistolet i podeszła do Brooksa. Była to Jo Poynton. Kiedyś należała do jego komórki Ruchu. Smukła, średniego wzrostu, około dwudziestu paru lat, z małymi piersiami i zaskakująco pełnymi wargami, które wyglądały, jakby nieustannie przymierzały się do uśmiechu. I jakby Jo nieustannie im tego odmawiała.

–Dotarliście tu bez problemów?

–Bez najmniejszych – odparła Poynton. – Ile mamy czasu, zanim zauważą twoją nieobecność?

–Jestem kryty do końca zmiany – wyjaśnił Brooks.

–My nie mamy tak dobrze – powiedział mężczyzna. Ogłupiacz, który kupiliśmy, będzie krył nas przed ich radarem jeszcze tylko godzinę.

Brooks poznał go po szramie na policzku. To był Comstock Brien, który zostawił Raumów prawie pięć lat temu. Jeden z pierwszych w Ruchu uciekł w góry i teraz uchodził za najbardziej dynamicznego spośród wszystkich dowódców ich organizacji bojowej.

Nie był wysoki, tylko trochę ponad średnią. Niegdyś muskularny i zwałisty, przez lata spędzone w dżungli wychudł i zmizerniał.

–Otwarte?

Brooks odsunął drzwi. Brien wyciągnął zza pasa latarkę, włączył ją i poprowadził grupę do środka.

–Jak w sklepie ze słodyczami – powiedziała Poynton.

Brooks prawie się roześmiał.

–Tutaj telex, tam blok, sponki w sąsiednim pomieszczeniu.

Brooks i kobieta ostrożnie wzięli po pudle detonatorów, zanieśli je do ślizgacza i wrócili po więcej.

Ledwo Poynton wyszła z bunkra, w oczy uderzył ją snop światła.

–Nie rusz się, bo zginiesz! – rozległo się z ciemności.

Oboje zastygli w miejscu.

–Ochrona kopalni. Odstawcie skrzynki. Powoli. Dwóch naszych trzyma was na muszce.

Posłuchali.

–Pięć kroków do przodu – powiedziała kobieta ze straży kopalni. – Płasko na ziemię, ręce i nogi rozrzucone.

Brooks ukląkł i położył się. Zapalił się drugi reflektor skierowany na parę leżącą w błocie.

–Ty tam w bunkrze! – zawołała kobieta. – Wyłaź! Powoli. Pewnie nawet nie pomyśleliście, że nie usłyszymy o kimś pytającym wkoło, skąd wziąć materiały wybuchowe.

I że nie mamy tu własnych systemów alarmowych.

Brien wyszedł z rękami na wysokości głowy.

–Wyżej!

Poruszył rękami i rzucił się na ziemię, przetaczając się przez ramię.

Strażniczka wystrzeliła, ale ładunek przeleciał nad głową Briena wprost w otwarte drzwi bunkra. Buchnął płomień i noc rozdarł ostry dźwięk alarmu przeciwpożarowego.

Strażniczka obróciła się, celując w podnoszącego się już Briena, ale Brooks rzucił się ku niej na czworakach i podciął jej nogi. Drugi strażnik skierował na niego światło i nie dostrzegł przez to, że Poynton wyciągnęła broń. Błyskawicznie go zastrzeliła.

Kobieta padła na plecy. Chciała unieść trzymany oburącz blaster, ale Brooks w jednej chwili był już na niej. Sięgnął dłońmi do szyi. Broń wypadła kobiecie z rąk, gdy zacisnął dłonie na jej krtani. Naparł na nią całym ciężarem, aż usłyszał trzask pękających kości, krótki tupot obcasów o ziemię i poczuł towarzyszącą śmierci woń odchodów.

Wstał. Gdzieś w dali zawył kolejny alarm.

–Zmywajmy się – rzuciła Poynton.

–Nie od razu – zmytygował ją Brooks. – Zdążymy wynieść jeszcze jeden ładunek.

I zabierzemy ślizgacz straży.

Powiedział to z takim spokojem i pewnością siebie, że Poynton i Brien zdumieni nie zaprotestowali i po chwili posłusznie wzięli się do pracy. Brooks pobiegł do bunkra, z którego dobywało się coraz więcej dymu. Złapał skrzynkę materiałów wybuchowych, podszedł chwiejnym krokiem do ślizgacza ochroniarzy i cisnął ją na tylne siedzenie.

–Teraz możemy się zmyć.

–A co z tobą? – spytał Brien. – Nie wiem, jak teraz wrócisz na przodek.

Brooks usiadł już w fotelu pilota i sprawdzał stery.

–Jedyny postanowił chyba za mnie, że pora mi podzielić wasz los uciekinierów. – Wzruszył lekko ramionami. – Co będzie, to będzie. Ruszamy!

Uruchomił silnik i zgrabnie uniósł ślizgacz nad ziemię. Poynton i Brien wskoczyli do swojego pojazdu.

W bunkrze coś wybuchło. Wionęło gorącym powietrzem. Ślizgacze zakręciły i zaraz nabrały szybkości. Jord'n Brooks leciał drugi.

Pojazdy przemknęły obok rdzewiejącego konwejera i zniknęły w ciemności. Żebym tylko zdołał w całym tym zamieszaniu pożegnać się z dziećmi, myślał Brooks.

Trzy minuty później bunkier eksplodował, pustosząc kilometr kwadratowy terenu kopalni, burząc kilka budynków i niszcząc wiele sprzętu, a przede wszystkim zabijając czterdziestu pięciu górników, dwunastu inżynierów i prawie pięćdziesięciu strażników i strażaków, którzy zdążyli przybyć do pożaru. Musiał minąć miesiąc, nim Mellusin Mining wznowiła wydobywanie.

–Szukam deca Bena Dilla – powiedział Garvin do nóg wystających spod przedziału silnikowego griersona.

–W środku – rozległ się przytłumiony głos. – I przekaż mu ode mnie, że jest drań.

–Aha – odpowiedział Garvin i podszedł do rampy desantowej pojazdu. Jedna z anten obróciła się za nim, po czym nagle zaczęła się kręcić niespokojnie, jak ogar, który stracił z oczu zająca.

Rampa była opuszczona, a w przedziale desantowym energicznie wywijał miotłą ktoś mogący uchodzić za giganta. Garvin nie widział jeszcze tak rosnącego humanoida, w każdym razie nie poza areną cyrkową.

–Dec Dill?

–To ja – odparł mężczyzna. – Uzbrojony, niebezpieczny i cięty na nieogolonych. – Odłożył miotłę i wyszedł z wozu. Miał około dwudziestu pięciu lat, zaczynał lekko łysieć i z jakiegoś powodu przyjaźnie się uśmiechał. Garvin pomyślał, że wolałby nie plątać się zbyt blisko tego faceta, gdy straci on powód do uśmiechu. Uznał, że chyba nie powinien w tej sytuacji salutować, stanął więc tylko na baczność.

–Rekrut Garvin Jaansma melduje swoje przybycie.

–A, tak... To ty masz być moim nowym strzelcem. Spocznij, nie jestem oficerem, miałem wszystkich w domu. Witaj w trzecim plutonie kompanii A Drugiej Brygady Piechoty.

I módl się, żeby bogowie nie zapomnieli o tobie, gdy już tu trafiłeś. Dobra, wszyscy! Ruszać tyłki!

Wystające spod pojazdu nogi poruszyły się i po chwili pojawił się też ich właściciel, brudny od smaru krępy mężczyzna mniej więcej w wieku Garvina.

–Stanislaus Górecki – przedstawił go Dill. – W zasadzie pilot, w praktyce zwykle tylko balast.

–Więc to niby moja wina, że to bydlę zapala tylko raz na dziesięć prób?

–Czyjaś wina być musi – orzekł Dill. – Nie moja, bo jestem wyższy stopniem. Na pewno też nie tych dupków z Centralnego, którzy przysłali nam griersony dwójki zamiast czegoś porządnego. Zostajesz tylko ty.

–Nie narzekaj – powiedział Górecki. – Mogliśmy wszyscy trafić między zające.

-To jest argument.

Garvin całkiem się już zgubił. Dill dostrzegł to i chyba zrobiło mu się go żal.

-To idzie tak. Takich wozów, jakkolwiek je nazwiemy, jest osiem na kompanię.

Każdy zabiera dwie drużyny, łącznie dwudziestu piechociarzy, czyli zajęcy. Jeden grierson na pluton. Pozostałe cztery służą za wóz dowodzenia, wóz wsparcia ogniowego, wóz remontowy i wóz łączności. My jesteśmy częścią kompanii A, a ten grierson należy do trzeciego plutonu.

Jednak nie widzisz tu jakoś reszty trzeciego plutonu, prawda? Gdybyś zajrzał do hangaru, też nie spotkałbyś więcej niż pięciu ludzi plus paru idiotów w rodzaju sierżanta z intendentury i jego złodziei. Wszyscy na pewno wyglądaliby na bardzo zajętych, oczywiście.

Wiesz, gdzie jest reszta plutonu? Na pewno nie wiesz. Malują dzisiaj krawężniki przed sztabem.

Oczywiście w ramach szkolenia bojowego.

-Rozumiem – powiedział Garvin.

-Sam widzisz, trzymaj się nas albo zostaniesz specjalistą pierwszej klasy w rozrzucaniu obornika.

Górecki przyjrzał się uważnie Garwinowi.

-To przed tobą wczoraj paradowaliśmy?

-Tak – przyznał z wahaniem Garvin.

-To jesteś mi winien jednego. Byłem umówiony w kantynie z lim Fitzgerald, a tak poszła na obiad z jednym caudem do kasyna. Wszystko przez ciebie.

-Nie ma sprawy, przy najbliższej okazji.

Garvin usłyszał jakieś poruszenie w pojeździe. Na rampie pojawiła się niska kobieta w archaicznych okularach, z prostymi, sięgającymi ramion włosami, które wyglądały jak przycięte bagnetem. Na pagonach nosiła trzy winkle oznaczające finfa.

-A... cześć – wykrztusiła zaskoczona i kiwnęła głową.

-To nasza operatorka SWR, systemów walki radioelektronicznej – powiedział Dill. – Ho Kang, Garvin Jaansma. Ona jest finfem, więc tylko ja mam tu dość wysoki stopień, aby nazywać ją gackiem.

–A... cześć – powtórzyła dziewczyna i ignorując Garvina, zwróciła się do Dilla.

–Ben, ciągle mam fałszywe odbicia na śledzeniu bliskiego zasięgu. Przeszukałam okolicę i wyszło, że mamy tu sześciu ludzi. Wszyscy tańczyli.

–Ho, jeśli zamelduję coś takiego, niechybnie wsadzą nas do czubków. Czy wiesz, ile potrwa, nim przyślą nam jakieś części? – Wskazał głową na Garvina. – Nasz nowy był na transportowcu, który wiózł nam zaopatrzenie, ale niestety porwali je.

–O! – Kang znowu zauważyła Garvina. – Wszystko porwali?

–Wszystko i prawie wszystkich. Razem ze statkiem.

–Kto to zrobił?

–Hm... Chyba politycznie poprawna odpowiedź brzmi, że piraci.

–A naprawdę?

–Dość już narobiłem sobie kłopotów – powiedział Jaansma. – Zostanę przy piratach.

–Ja też wolę piratów – westchnęła Ho. – Są o wiele romantyczniejsi niż jacyś tępi bandyci z Ruchu czy musthowie, pozerzy jedni.

–Potem wlejemy w niego kilka piw i dowiemy się, jak było naprawdę – powiedział Górecki. – A na razie może jednak naprawimy jakoś ten układ śledzenia? Wolałbym wiedzieć, czy ktoś nie próbuje poczęstować mnie granatem.

Kang rozejrzała się wkoło, jakby chciała się upewnić, że słuch jej nie zawodzi.

–Sama mogę to zrobić, tyle że to nielegalne. Przy najbliższym pobycie w Leggett kupiłabym nieco części i już. Tylko kto za to zapłaci?

Dill sięgnął do kieszeni bluzy i wyjął kilka banknotów.

–Proszę. Jeśli będzie za mało, dołożę.

Pieniądze zniknęły w kieszeni Kang.

–Widzisz, do czego niektórzy są zdolni, żeby awansować na twega? – rzucił Górecki. – Oddadzą za to ostatnie gacie.

–I diablo dobrze – odparł Dill. – Jak nam się ten złom rozkraczy i utknie na wieczność w hangarze, trafimy do służby wychodkowej. To też dla twojego dobra.

Garvin znowu się pogubił.

–To proste – zabrał się do wyjaśniania Dill. – Wszyscy tu borykamy się wciąż z tym samym problemem. Na pozór jesteśmy dobrzy. Pancerze są tak wypucowane, że można się w nich przejrzeć przy goleniu. – Klepnął burtę griersona. – Ale gdybyśmy mieli się ruszyć dalej niż na kilometr... o, to już inna historia.

–Warsztaty dostają gówna, nie zaopatrzenie – dodał Górecki. – A jak ktoś sam skombinuje części i go nakryją, to mogiła. Więc co rusz coś się psuje, a wtedy zaraz się znajdzie twego gotów wyszukać ci inne zajęcie. Najczęściej gówniane.

–Co nasuwa jeszcze jedno istotne pytanie – powiedział Dill. – Jak u ciebie ze szkoleniem?

–Cienko – wyznał szczerze Garvin. – Powiedzieli mi, że na to przyjdzie pora w jednostce.

–Pięknie – warknął Dill. – Przy takich brakach w najważniejszym nie mamy ani forsy, ani pocisków, ani rakiet, ani nawet paliwa na ćwiczenia.

–Mamy symulatory – odpowiedziała Kang.

–Kang ciągle myśli, że przesiadując w przytulnym symulatorze i strzelając do celów, które nie odpowiadają ogniem, naprawdę może się czegoś nauczyć – rzekł Dill.

–Lepsze to niż nic – stwierdziła z przekonaniem dziewczyna.

–Może i tak, ale tylko trochę. Widzisz, Jaansma? Całkiem inaczej niż w holo.

Witamy w Grupie Uderzeniowej Kulawy Kutas.

Alt Jon Hedley nie tyle siedział przy biurku, ile się na nim pokładał. Jego gabinet byłby całkiem obszerny, gdyby nie stojaki z mapami, kilka projektorów, komputery i wielki, naprawdę wielki stół do map.

–Witamy w drużynie zwiadu – powiedział, wyciągając rękę.

Njangu zamrugał na ten luz, ale klepnął uniesioną dłoń.

–Ponieważ wszystko tu robimy po swojemu, również szkolenie wygląda u nas inaczej.

W tej chwili prowadzimy kurs dla czterech miejscowych zapaleńców. Zaczął się dopiero dwa tygodnie temu, więc zdołasz nadgonić, co straciłeś. – Spojrzał na stojącego za Njangu rosłego i niestarannie ogolonego starszego twega. – Reb, możesz poszukać Monique i powiedzieć jej, żeby wpadła tu na chwilę?

–Jasne, szefie.

Njangu uniósł brwi, co nie umknęło Hedleyowi.

–No dobrze, wyjaśnimy sobie kilka spraw. Nasze stuknięte zasady są dość proste.

Po pierwsze, jesteśmy tu, że tak powiem, na ochotnika. Namieszaj, to trafisz ciupasem do zwykłej kompanii razem z resztą towaru. Po drugie, nie zadzieramy nosa. Jakby co, jesteśmy zwykłymi stukniętymi piechociarzami, tyle że działamy zwykle w mniejszych zespołach. No i robimy wszystko lepiej, szybciej niż inni. Nawet gdy chodzi o brudną robotę.

Pamiętaj więc: żadnego zuchowania ani rozpychania się łokciami na cudzym terenie. Wszczęcie bójkii to kolejny powód, za który można wylecieć. Szczególnie gdy się przegra. Dalej, powiedziałem, że czasem odwalamy brudną robotę. Odwalamy, ale sami jesteśmy czyści. Depilujemy się, kąpiemy regularnie, czyścimy buty i mundury, gdy tylko się da. Każdy może się czasem uświnić, ale tylko łajzy ciągle chodzą uświnione. Po trzecie, robimy wszystko po swojemu i nikomu nic do tego. Zauważyłem, że się zdziwiłeś, gdy zwróciłem się do twega Gonzalesa po imieniu, a on nazwał mnie szefem. Gdyby jednak był z nami ktoś z zewnątrz, pamiętałbym o jego stopniu i nazwisku, a on na pewno tytułowałby mnie sir. Możesz więc mówić do naszych jak chcesz... a właściwie tak, jak ci pozwolą. Na przykład starszy tweg Gonzales ma za sobą siedem większych kampanii i dwie wojny, więc jeśli po jego powrocie zawołasz do niego Reb, pewnie wprasuje cię jednym pacnięciem w ścianę i zostaniesz u nas na zawsze jako tapeta. Poczekaj więc z tym lepiej, aż przejdiesz szkolenie i staniesz się członkiem zespołu. Albo jeszcze lepiej do chwili, gdy nawąchasz się prochu. Jak wspomniałem, co nasze, to nasze, pamiętaj o tym, a szybko się przyjmiesz. Poleciał cię Petr Kipchak, którego właśnie awansowałem na finfa, bo nikt dobry nie traci u nas kolejki awansów, chyba że sam bardzo chce. Reb ma o Petrze dobre zdanie, więc pogadałem z ludźmi. Bądź uprzejmy nie skrewić, bo inaczej Petr i ja wyjdziemy na łgarzy.

–Tak jest, sir – powiedział Yoshitaro. Ciepły uśmiech Hedleya wyraźnie pomógł mu się odprężyć.

Otworzyły się drzwi i do gabinetu wszedł starszy tweg Gonzales w towarzystwie jednej z najpiękniejszych kobiet, jakie Njangu w życiu widział. Miała jasne, bardzo krótko ostrzyżone włosy i atletyczną budowę ciała. A twarz... Njangu przypomniał sobie pewną piosenkę, której kiedyś nie cierpiał z uwagi na głupi jego zdaniem tekst. Była tam mowa o „wargach pełnych, jak przez pszczoły pokąsanych”. Długo zastanawiał się wtedy, co to takiego te pszczoły. Wciąż tego nie wiedział, ale coś jakby zaczynało mu świtać.

I to coś bardzo mu się podobało.

–Szukałeś mnie, szefie? – zapytała blondynka.

–Zgadza się. Przekazuję ci tego tutaj adepta. Njangu Yoshitaro, to jest dec Monique Lir, nasza szefowa wyszkolenia i zarazem dowódca drużyny Gamma z pierwszego plutonu.

Jak sam się niebawem przekonasz, większość z nas siedzi na dwóch stołkach. Ja jestem dowódcą kompanii na etacie centa i dowódcą drugiego plutonu. Reb jest też szefem kompanii i tak dalej. Zgodnie z etatem powinniśmy mieć czterech oficerów, a mamy tylko mnie i aspiranta Vauxhalla, który jest moim zastępcą i dowódcą pierwszego plutonu.

Jeśli nadajesz się do nas, też szybko obrośniesz w stanowiska. I to by było na tyle. Monique, zabierz teraz tę cywilną łajzę sprzed moich oczu i przerób ją na coś bardziej do przyjęcia – powiedział Hedley równie przyjaznym tonem jak chwilę wcześniej.

–Dobra, szefie. A ty – łypnęła na Yoshitara – wypad!

Njangu zasalutował. Hedley oderwał się od biurka, oddał honory i uśmiechnął się lekko. – Życzę dobrej zabawy.

Garvin obudził się z bólem głowy.

–I o to chodzi – powiedział Dill.

–O co?

–Widziałeś pewnie holo, gdzie rekruci maszerowali w te i nazad po placu, a twegowie klęli ich od najgorszych?

–Jasne. Mogę wstać?

–A wstawaj.

Garvin wy dostał się z profilowanego fotela i potarł ramię w miejscu, gdzie trzy godziny wcześniej Dill zrobił mu zastrzyk.

–A teraz zobaczymy – mruknął Dill. – Baaa... czność!

Garvin całkiem bezwiednie wyprostował plecy, zebrał nogi, opuścił ręce równo po bokach, lekko stulił dłonie i zadarł brodę.

–W tył... zwrot!

Garvin uniósł prawą stopę, postawił ją na palcach za piętą lewej i obrócił się sprawnie o sto osiemdziesiąt stopni.

–Mógłbym teraz zrobić z tobą pokaz musztry, takiej wzdłuż i w poprzek – powiedział dec. – Normalnie musiałbyś spędzić całe lata na placu, żeby się tego nauczyć, a tym sposobem starczą trzy godziny z hipnotyzerem i gotowe. Bez potu i pęcherzy.

Garvin zeszywniał.

–Do wszystkiego można nakłonić takim uwarunkowaniem?

–Jasne. Dlatego właśnie zastrzyk powinien podawać oficer, a gdzieś pod ręką musi być też lekarz. Widzisz, jak armia dba o twoje prawa?

Dill zaśmiał się, ale ucichł, widząc minę Garvina.

–Przepraszam. To chyba niezbyt śmieszne. Tak naprawdę takie warunkowanie jak to z musztrą skutkuje dlatego, że w gruncie rzeczy nie masz nic przeciwko temu.

Gdybym chciał, żebyś zamordował swoją matkę, zajęłoby to znacznie więcej czasu. Może i rok. Nawet warunkowanie z urzędu trwa długo.

–A co to takiego?

–Musisz pochodzić z bardzo zacofanej planety. Na wielu światach Konfederacji robi się to kryminalistom. Trzy serie seansów i w twojej głowie pojawia się paskudny szeptacz, który mówi ci ciągle, co masz robić. Paskudztwo.

–Tam, gdzie się zaciągnąłem, niczego takiego nie praktykowano. Jeśli ktoś się poważnie naraził, po prostu dostawał kulkę.

–Humanitarnie – skonstratował Dill. – A teraz dość głupot. Idziemy poćwiczyć prawdziwą żołnierkę. Na początek przystrzyżemy trawnik przed sztabem.

–Rekrucie Yoshitaro! – wrzasnęła Monique Lir wprost do ucha Njangu. – Uważasz, że ta kłoda jest ciężka?!

–Nie, pszepani!

–Od dziś to twoja ulubiona zabawka, zgadza się?!

–Tak, pszepani!

–Tak też myślałam! Drużyna, na trzy zmieniać ramiona! Raz, dwa... trzy!!!

Pięciu szkolonych uniosło długi na osiem stóp kawał drewna i przerzuciło go z lewych ramion na prawe.

–Wolno i ślamazarnie! – darła się Lir. – Przygotować się do zrzucenia kłody na

ziemię na trzy! Raz, dwa... trzy!

Ciężar upadł z hukiem.

–Drużyna, trzy głębokie oddechy, równooo!

Yoshitaro wciągnął powietrze i spróbował mruganiem pozbyć się zalewającego oczy potu. Nigdy jeszcze nie był tak obolały. Ani ojciec, ani policja nie dali mu podobnej szkoły.

Sam nie pojmował, dlaczego jeszcze nie wypiął się na Lir i nie poszedł szukać sobie miejsca wśród zajęcy.

Może to ze strachu, że gdyby o tym usłyszała, po prostu by mnie wykończyła, pomyślał.

Instruktor, która tak spodobała mu się przy pierwszym spotkaniu, teraz kojarzyła się raczej z bestią przybyłą z najgłębszych czeluści piekielnych. I to mimo że do niedawna nie wierzył nawet w istnienie piekła. Marzył, że mityczna pszczoła, która tak przypasowała mu do Lir, przybędzie mu wkrótce na odsiecz i okaże się nie mniejsza niż grierson.

–Drużyna zadowolona?! – ryknęła Monique.

–Tak jest!

Njangu nie rozumiał, jakim cudem tamtych czterech wytrzymało już cztery tygodnie tej udręki. Mieszkańcy Cumbre D musieli być chyba stworzeni z twardszej niż on gliny. Po trzech dniach nieustannego przegania ciągle nie wiedział o nich zbyt wiele.

Tylko jak się nazywali i co robili w cywilu. Gdy Lir pozwalała wreszcie, by wpełzli wieczorem do swoich namiotów stojących po drugiej stronie uliczki przecinającej tę część obozu, byli zbyt zmęczeni, żeby gadać, a zwykle prycze wydawały im się bardziej komfortowe niż łoża w luksusowym hotelu.

Hank Faull był niegdyś Raumem, górnikiem i wyznawcą miejscowego kultu, o którym Petr opowiadał całe wieki temu na pokładzie Malverna, w czasach, kiedy Yoshitaro jeszcze nie wiedział, że mięśnie mogą tak boleć. Trudno było orzec, czy Faull nawrócił się czy nie, bo na razie odezwał się tylko raz, pomagając Njangu rozbić namiot. Powiedział też wtedy, że nie ma się co przejmować i że Lir na pewno nie zabije ich ani teraz, ani za kilka dni i odpoczną, gdy cały obrządek dobiegnie końca. Żadna ze stosowanych przez instruktorkę tortur, poczynając od zaprawy przed wschodem słońca, na biegach terenowych kończąc, nie robiła na nim wrażenia.

Erik Penwyth musiał być jeszcze niedawno dość korpulentny, bo skóra wisiała na nim, jakby była o numer za duża. Obecnie był szczupły jak wszyscy. Mówił dość wyszukany, nieco nawet afektowanym językiem. Njangu doszedł do wniosku, że Erik musi pochodzić z jakiejś bogatej rodziny, która uznała go za czarną owcę. Inaczej nie potrafił sobie wytłumaczyć, dlaczego ktoś majątny wolał łykać kurz, zamiast próżniaczyć się na dowolne przyjęte na Cumbre sposoby.

Angie Rada była niska, miała drobne piersi i błyskawicznie skojarzyła się Njangu z więzami z czarnego jedwabiu, wonnymi świecami i dzikim rozpasaniem.

Zastanawiał się nawet, co by Lir zrobiła, gdyby spróbował wśliznąć się do namiotu Angie, ale szybko uznał, że to głupi pomysł. Wieczorami był zbyt zmęczony, aby nawet szeroko się uśmiechnąć.

Ostatni był Ton Milot. Też niski, ale solidnie zbudowany i zawsze uśmiechnięty.

Podobnie jak Faull, nigdy się nie męczył. O Lir mówił, że to pikuś. I tak nie wymyślił niczego gorszego niż codzienne obowiązki rybaka.

–No i nie próbuje nas utopić – dodał.

–Na razie – podpowiedział Penwyth.

Stali obok kłody. Pięćdziesiąt metrów dalej żołnierze maszerowali rażno do stołówki.

–Głodni?!

–Tak jest!

–Skądże! Nie jesteście głodni, prawda?!

–Tak jest!

–Skoro nie chcecie jeść, to może pobiegamy?!

–Tak jest! – wrzasnął Njangu, czując, jak żołądek protestuje gwałtownym skurczem.

–Nie dość głośno! W prawo... zwrot! Biegieem... marsz! Prosto na plażę!

Zobaczmy, czy żadne z was nie padnie, nim dobiegniemy nad mokradła! Potem może zażyjemy odświeżającej kąpieli! Kilkaset metrów tam i z powrotem...

Garvin poprawił ułożenie klucza, nieco mocniej napiął mięśnie i... nakrętka z trzaskiem pękła na pół.

–Suka – mruknął pod nosem, przypominając sobie, co Dill powiedział o losie

wszystkich, którzy trafią na czarną listę. Czy nam też to grozi? Trącił przednią pancerną osłonę wlotu powietrza griersona. Zakołysała się wyraźnie. Tego nie da się nie zauważyć.

Podobnie jak gołego bolca, który ją mocował. A skoro tak, to niebawem wylądują przy przeciętych na pół wielkich beczkach, w których trzymano tutaj świństwa służące do czyszczenia broni. Jaansma zlął z dachu griersona i poszedł do hangaru z częściami zamiennymi.

Pół godziny później wracał tą samą drogą z nietęgą miną. Nie ma, usłyszał od magazyniera. Zamówione, czekamy. A co, szukasz roboty? Zawsze przyda nam się ktoś do zamiatania. Może reszta twojej załogi ci w tym pomoże?

Nagle się zatrzymał. Czy te nakrętki na śrubach mocujących prowadnice drzwi hangaru naprawdę są potrzebne? W ogóle pewnie tak, ale czy wszystkie? Chyba były właściwego rozmiaru. Wziął klucz i odkręcił jedną z nich. Idealna, pomyślał, podrzucił ją i złapał.

–Co tu robisz, u diabła?!

Garvin podskoczył niemal na metr i zobaczył twęga Malagasha z niepokojąco czerwieniącą twarzą.

–No... nic. Miałem przerwę i właśnie wracam...

–Co masz w ręce?

–Nic... to jest nakrętkę.

–I co z nią robisz?

Garvin spróbował przybrać jak najbardziej niewinny wyraz twarzy.

–Słyszałeś o czym takim jak specyfikacja części, młody żołnierzu? – ciągnął Malagash. – Ta nakrętka, którą wykręciłeś właśnie z drzwi hangaru, nie jest autoryzowana jako część zamienna do griersona i tym samym nie nadaje się do griersona.

–Oczywiście, sir, ale...

–Próbujesz się ze mną kłócić?

–Nie, sir.

–A może masz ochotę na kilka dni w plutonie motywacyjnym?

Garvin zadrżał. Zadania tego plutonu należały do nader prostych: jednego dnia żołnierze kopali dziurę, drugiego ją zasypywali, trzeciego kopali następną, czwartego ją zasypywali i tak w kółko. W przerwach między godzinami machania łopata fundowano im wyczerpujące ćwiczenia fizyczne.

–Nie, sir.

Malagash zgromił go spojrzeniem, ale w końcu zmiękł.

–Idź do swojego dowódcy, chłopcze, i przyślij go do mnie. Porozmawiamy o twoim postępku i o tym, czy na pewno dobrze tobą dowodzi. Potem zgłoś się w stołówce i powiedz dyżurnemu, że pochłaniacz tłuszczu w kuchni na pewno wymaga wyczyszczenia.

–To jest najważniejsze i jedyne, co się liczy – powiedziała Lir, a Njangu przyjrzał się trzymanemu w dłoni przedmiotowi. Był czarny, z anodyzowanego metalu i mierzył około osiemnastu centymetrów długości, ośmiu szerokości i trzynastu wysokości. Brakło mu cech szczególnych poza dwoma zatrzaskami na górze, językiem spustowym z osłoną i bezpiecznikiem na dole oraz małą klapką na przedniej części osłony języka spustowego. Był zdumiewająco ciężki, ważył około półtora kilograma.

–Mechanizm operacyjny blastera model XXI – ciągnęła Lir. – Serce niemal wszystkiego, czym będziecie się posługiwać. Patrzcie. – Wzięła identyczne zaokrąglone na krawędziach pudełko. Za nią stało w zbrojowni kilka rodzajów broni strzeleckiej.

Pierwszym był karabinek nie dłuższy niż ręka Yoshitara. Drugi, chociaż bardzo podobny, miał prawie metr długości, solidniejszą kolbę, dłuższą lufę i skomplikowany celownik optyczny. Trzeci, jeszcze większy, został wyposażony w dwunożną podpórkę, trzeci zaś stał na niskim trójnogu.

Lir wzięła najlżejszy z karabinów, obróciła go i wsunęła pudełko do środka.

Szczęknęły zatrzaski.

–Teraz wasza podstawowa broń jest kompletna. A jeśli wyjmemy ten moduł i wpakujemy do tej tutaj, otrzymujemy gotowy do użycia karabin snajperski. – Pokazała, jak wyjąć i wsunąć pudełko do dłuższej broni. – Ten egzemplarz z kolei to ręczna broń wsparcia drużyny. Ostatni to średni blaster. Wszystkie mają taki sam mechanizm operacyjny. Amunicją zasilane są od spodu. Czasem będzie to taki magazynek jak ten, czasem taśma, a czasem bęben. Na patrole zabieramy zwykle te ostatnie, bo naszą dewizą jest dać łupnia, zerwać kontakt i chodu. Magazynek da wam trzydzieści szans na zabicie przeciwnika.

Bęben mieści sto naboju, a taśma dwieście pięćdziesiąt albo pięćset.

Pokazała im zaokrąglony na końcach cylinder długości i grubości małego palca.

–Czysta sprawa, żadnych śladów. Cała energia opuszcza broń przez lufę, a przy okazji pali łuskę, nie trzeba się więc martwić, że gobliny coś znajdą.

Gobliny, zauważył Yoshitaro. Petr używał tego samego słowa. Widocznie tak zwiadowcy określają przeciwnika.

–Resztę przedpołudnia spędzimy na rozkładaniu i czyszczeniu tych zabawek. Po południu poćwiczymy biegi z obciążeniem. Jutro od rana zajmiemy się nauką celowania.

Ubawicie się przy tym jak pies w studni, ale na strzelnicę pójdziemy dopiero po pięciu dniach i wtedy zobaczymy, czy będzie na co popatrzeć.

–Strzelec! Uwaga! – ostrzegł Dill. – Cel!

Na panelu przed Jaansmą zapalił się alarm.

–Przeciwnik skanuje teren – powiedziała Kang. – Zagłuszyłam ich radar. Są ślepi..

–Niżej – rozkazał Dill. – Na pół metra.

–Robi się, szefie – zameldował Górecki.

–Strzelec! Przepatrzeć przedpole.

Garvin posłusznie obrócił głowę w lewo i w prawo. Spojrzenie wbił w wyświetlacz hełmowy. Z początku dojrzał tylko jakąś formację skalną i skupiska chat obok niej.

–Strzelec!

Przyjrzał się dokładniej. Jedna z chat się poruszyła.

–Cel rozpoznany, dec... ee, szefie – poprawił się czym prędzej. – Nieprzyjacielski czołg... nie, dwa czołgi.

–Strzelaj, gdy będziesz gotów.

–Odpalam pierwszy – zameldował Jaansma, ściskając lekko trzymany w prawej dłoni przełącznik. Grierson zadrżał, pocisk raketowy opuścił wyrzutnię i przez pole widzenia Garvina przemknęła smuga dymu. Garvin ścisnął trzymany w lewej dłoni sterownik i stał się pociskiem. Korygując lekko kurs, patrzył na rosnący szybko pojazd. Dojrzał jeszcze przesuwającą się w jego kierunku lufę ciężkiego blastera i zapadła ciemność.

–Trafiony! – powiedział Dill. – Nie zapalił się, ale już po nim.

–Odpalam drugi. – Garvin stłumił radość i znowu ujrzał na wyświetlaczu hełmu obraz przekazywany z rakiety. Wrogi czołg plunął nagle ogniem i świat zatańczył wkoło Garvina.

–Chybiłem, odpalam trzeci – powiedział. Pocisk przeszedł przez falę podmuchu wywołanego kolejnym strzałem z ciężkiego blastera i uderzył w pancerz.

Garvin zdążył obrócić głowę w kierunku głównego ekranu akurat na czas, żeby ujrzeć, jak wieża czołgu odrywa się od korpusu, a ze środka buchają płomienie.

–Czysto – mruknął Dill. – Wzniesć się...

–Jeszcze nie! – krzyknął Jaansma, widząc jakiś ruch. Ciągle tam są!

–Cisza, strzelec. Widzę ich. Nieprzyjacielska piechota na otwartym. Odległość trzysta metrów.

–Załatw ich jak najszybciej – wtrąciła się Kang. – Mają wyrzutnie pocisków i szukają nas. Mam wyraźny odczyt.

Jaansma przełączył podbródkiem selektor uzbrojenia. Wybrał karabin maszynowy i na wyświetlaczu pojawił się krzyż celownika. Odszukał sylwetki piechociarzy i naprowadził broń na środek ich gromady.

Ujął prawą dłońią moduł odpalania, zgiął lekko palec wskazujący i grierson ryknął serią. Czerwona błyskawica runęła w sam środek ugrupowania piechoty. Jaansma przesunął punkt celowania w prawo, potem w lewo.

–Cel zniszczony – zameldował i krajobraz zbladł, po czym zniknął. Garvin zdjął hełm.

–Nieźle – mruknął Dill przez interkom. – Teraz sprawdzimy inny scenariusz.

Walka w próżni.

Wisielei na niskiej orbicie nad jakąś asteroidą. Pod nimi naziemne wyrzutnie otworzyły ogień do innego griersona, który próbował wylądować. Ciężkie pojazdy wsparcia artyleryjskiego klasy Zhukov uciszyły wyrzutnie inteligentnymi pociskami.

–Mam cel – oznajmił Dill. – Nieprzyjacielski statek kosmiczny. Właśnie startuje.

Jaansma rozejrzał się. Dopiero po chwili zauważył wznoszący się zza urwiska statek nie znanego mu typu.

–Mam go, sze...

Coś łupnęło tuż obok. Garvin spojrzął pod przesłoną hełmu i ujrzał cylindryczny obiekt toczący się po podłodze tuż obok jego fotela. Chwilę potem granat eksplodował, wypuszczając chmury białego, duszącego dymu. Garwinowi łzy pociekły z oczu, ledwo mógł oddychać.

–No dalej – powiedział rozbawiony Dill. – Gdzie ten statek? Słucham?

Ostrzegalem cię, łatwe zadania może wykonać każdy. My nie jesteśmy każdym...

Njangu Yoshitaro leżał na ziemi w idealnej pozycji strzeleckiej i rozglądał się po porośniętym rzadkimi krzakami polu.

Lir położyła się tuż obok niego. W lewej dłoni ścisnęła mały przekaźnik.

–Gotowy?

–Gotowy, dec.

–Załaduj. – Podała mu jeden nabój. Wsunął go w otwór zasilania i wprowadził do komory.

–Pierwszy raz strzelasz ostrymi?

–Tak – skłamał Njangu.

–Odbezpiecz.

Trzasnął przełącznikiem.

–Patrz w stronę tarcz. W gotowości!

Z oboma oczami otwartymi spojrzął przez mały celownik optyczny. Kciuk Lir poruszył się na przekaźniku.

Nagle całkiem znikąd pojawił się zwieńczony głową tors. Njangu naprowadził punkt celowniczy lunety blastera na środek korpusu i ściągnął język spustowy.

Trzasnęło, kolba kopnęła go łagodnie w ramię i cel spowiły płomienie.

–Trafienie. W sam środek – powiedziała Lir, podając mu kolejny nabój.

Załadował.

–W gotowości!

Kolejnymi dziesięcioma strzałami zniszczył dziesięć celów.

–Naprawdę nigdy wcześniej nie miałeś broni w ręku?

–Dlaczego miałbym kłamać?

Niespodziewanie Lir uśmiechnęła się i poklepała go po ramieniu.

–Nieźle, żołnierzu. Może ci się udać.

Wstała lekko i poszła do stanowiska, na którym leżała Rada.

Yoshitaro wciągnął powietrze w nozdrza. Pachniało ozonem i czymś jeszcze. Chyba fiołkami i migdałami.

Uznał, że wprawdzie jego instruktorka nie ma żadnych ludzkich cech, ale przynajmniej zna się na perfumach.

–Łatwo jest snuć marzenia o tym, jakie będzie Cumbre, gdy wreszcie zyskamy możliwość zmiany porządku rzeczy tak, aby wszyscy praktykowali Drogę Raumów, wszyscy znali Prawdę, skłaniali przed nią głowę i stosowali się do niej – powiedział Comstock Brien do siedmiorga mężczyzn i kobiet zebranych na porębie. – Ale siedząc tak tylko i marząc, zgrzeszylibyśmy przeciwko Sprawie, bo planetarny rząd ma prawdziwych szpiegów, a jego wojsko ma prawdziwą broń, śmierć zaś kładzie kres każdej debacie. Najpierw więc zajmijmy się walką, a dysputę zostawmy na później. – Uśmiechnął się lekko i sześcioro słuchaczy posłusznie odpowiedziało tym samym.

Tylko Jord'n Brooks nie zareagował.

–Nie zgadzasz się? – zapytał go Brien.

–Oczywiście, że się zgadzam – powiedział Brooks. Ale nie ma w tym nic śmiesznego.

To niełatwe zadanie i musimy mieć pewność, że zmierzamy we właściwym kierunku, bo w przeciwnym razie wpadniemy w tę samą pułapkę co sohowie, nasi poprzednicy nauczający, że wystarczy poczekać, a wszyscy sami zrozumieją prawość Drogi. Powtarzali to i płaszczyli się przed tymi ze Wzgórz.

–Jasne, bracie. Ale nie możemy zapominać o takich ludzkich wartościach, jak miłość, radość, uprzejmość. Nawet w walce nie powinniśmy ich zaniedbywać.

–Na takie rzeczy przyjdzie czas, gdy przejmie władzę – uciął Brooks.

Brien skrzywił się lekko.

–Dobrze, bracie, później możemy się nad tym zastanowić. Teraz jest pora na działanie i naukę. – Rozwinął płachtę brezentu kryjącą kilka sztuk broni krótkiej.

–Jeśli macie dzieci, to pewnie poznajecie, co to jest. Niemniej teraz to nie zabawki, tylko pomoc szkolna młodego myśliwego. Niosą celnie mniej więcej na dwadzieścia metrów, co jest zupełnie wystarczające wśród tych wzgórz. To broń pneumatyczna, powietrze spręża się w niej ręcznie. Strzela małymi miedzianymi kulkami. Uderzają dość silnie, żeby zabić ptaka czy frelmeta... albo oślepić człowieka. Nie możemy sobie pozwolić na takie strzelnice, jakie ma wojsko Konfederacji, brak nam też amunicji na ćwiczenia. To wystarczy jednak, byście nauczyli się strzelać... i trafiać.

Rozdał sześć sztuk broni wraz z garścią miedzianego śrutu. Jedynie Brooks pozostał z pustymi rękami.

–Pierwsze ćwiczenie będzie polegać na tropieniu. Jeden z nas odegra rolę uciekiniera, a pozostali patrolu, który ma go wytropić. Gdy go znajdziecie, pamiętajcie, proszę, aby nie celować w twarz. Brak nam broni, ale jeszcze bardziej brakuje nam ludzi i nie możemy sobie pozwolić na to, by ktoś zginął w wypadku. Bracie Ybarre, będziesz dowodził patrolem.

Bracie Brooks – powiedział Brien z niemiłym uśmiechem – skoro teoria rewolucji jest dla ciebie jak powietrze i woda, zapewne chętnie i bez trudu zdołasz odegrać rolę uciekającego rewolucjonisty.

Brooks wstał.

–Policzymy do dwudziestu, a potem ruszymy za tobą.

Brooks skoczył w krzaki i zniknął im z oczu. Brien spojrzał za nim zdumiony, ale wzruszył ramionami i zaczął odliczać. Gdy doszedł do piętnastu, przerwał.

–Na wojnie nikt nigdy nie gra czysto. Za nim!

Jedni poruszali się w sposób świadczący, że znają leśne ostępy, inni niepewnie i niezgrabnie. Brien słuchał przez chwilę, jak przedzierają się z hałasem przez zarośla, i pokręcił głową, ale zaraz sobie przypomniał, że jego początki też były mało obiecujące.

Podszedł na skraj poręby i spojrzał ze stoku na odległy ocean. Na wschodzie majaczyły przedmieścia Leggett. Pewnego dnia, pomyślał, pewnego dnia... Nagle usłyszał za plecami jakiś szelest i obrócił się, aby obsztorcować tego, kto samowolnie przerwał ćwiczenia, ale zobaczył tylko przykucniętego Brooksa z ostatnim z pneumatycznych pistoletów w dłoni. Mierzył z niego w środek piersi Briena.

–Bracie, to nie jest...

Rozległ się głuchy odgłos i śrut uderzył boleśnie w tors Briena, który aż podskoczył.

–Powiedziałem...

–Bądź taki dobry i połóż się na ziemi, jak przystało na nieboszczyka – nakazał Brooks.

–W przeciwnym razie znowu będę musiał do ciebie strzelić.

Brien zmierzył go spojrzeniem i posłuchał.

–Miałeś rację – powiedział Brooks. – Na wojnie nikt nigdy nie gra czysto.

Przykucnął za drzewem, aby wziąć z zasadzki pozostałych, gdy będą wracali.

–Wcześniej nie było podobnych kłopotów? – spytał z niepokojem Haemer.

–Najmniejszych, panie gubernatorze – odpowiedział technik łączności. – Podczas próby uzyskania kontrolnego kontaktu z moim odpowiednikiem na Capelli 9 odkryłem, że kanał jest martwy. Automatyczny rejestrator potwierdził, że połączenie zostało zerwane siedemdziesiąt trzy minuty wcześniej.

–Próbował pan odzyskać łączność z Konfederacją?

–Natychmiast, panie gubernatorze. Od trzech godzin próbuję to zrobić, jak dotąd bez rezultatu.

–Zupełnie nic nie ma? Nawet szumów statycznych czy jak pan to nazwał?

–Nigdy nie słyszałem o podobnych problemach z łącznością nadprzestrzenną, panie gubernatorze. Szczególnie w przypadku otwartych kanałów, jak ten – odparł technik.

Haemer aż sapnął.

–Jest pan starszym technikiem? Na pewno nie ma na stacji nikogo z większym doświadczeniem?

–Jestem wykwalifikowanym operatorem urządzeń łączności, panie gubernatorze.

Kształciłem się na Centralnym, mam za sobą siedem lat praktyki, wszystkie oceny AA plus.

–Proszę się nie unosić – powiedział Haemer. – Woląłem spytać. Muszę mieć pewność.

Technik nie odpowiedział. Haemer przygryzł górną wargę.

–Trudno. Proszę rejestrować. Wiadomość w kodzie Q, osobista, do Alena Redrutha, protektora Lariksa i Kury. Treść: „Nie mogę nawiązać łączności z Capellą. Czy wasze kanały są drożne?” – Będzie pewien problem z nadaniem tej wiadomości, panie gubernatorze.

Próbowałem już skontaktować się z węzłem Larix/Kura. Przed godziną. Nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Żadnej.

–Proszę spróbować raz jeszcze. Redruth na pewno mi odpowie.

–Tak, panie gubernatorze.

Haemer spojrział na swoją asystentkę.

–Skontaktuj się ze wszystkimi członkami rady i caudem Williamsem. Za godzinę chcę ich widzieć w siedzibie rządu.

–Oczywiście, panie gubernatorze – odpowiedziała kobieta.

Haemer chciał już skierować się do drzwi, ale coś sobie przypomniał.

**–Mam nadzieję, że rozumie pan powagę sytuacji zwrócił się do technika. –
Potencjalne skutki...**

–Tak, panie gubernatorze.

–Nakazuję nie informować nikogo o kłopotach z łącznością. Nikogo, rozumie pan?

–Przekazałem już meldunek szczebel wyżej.

–Porozmawiam zatem z pańskim przełożonym.

–Przełożoną.

–Nieważne, do cholery! Nikomu ani słowa, to rozkaz!

–Tak...

Gubernator wyszedł, zanim technik zdążył dokończyć zdanie.

Mężczyzna gwizdnął bezgłośnie, dotknął kontrolki i z sufitu opadł ku niemu mikrofon.

–Szyfr dziewięć, en, osiem – powiedział. Głośnik zaszumiał i ucichł. – Ybar, Wual, dwadzieścia trzy. Balar, Balar, tu centrala gubernatora, odbiór.

–Centrala, tutaj Balar, słyszę cię – odparł głos dochodzący z samotnego księżycy Cumbre C.

–Keren?

–Tak, to ja.

–Gówny trafiło w wentylator – powiedział technik. Tym razem na serio.

Njangu został gońcem kompanijnym. Służba nie należała do trudnych. Przesiadywał w przedsiönku kanciapy podoficera dyżurnego, pilnował modułu łączności i biegał czasem tam, gdzie posyłali. Zwykle miał dość czasu, aby dać odpocząć nogom i oczyścić oporządzenie.

Tego wieczoru było inaczej. Zastępcza dowódcy, dec Alyce Quant, powiedziała Yoshitarowi, że alt Hedley nie opuszcza biura i od trzech godzin wciąż łączy się z kimś na bezpiecznej linii. Nie poszedł nawet na obiad, tylko kazał go sobie przynieść z kasyna. Coś się szykowało i Njangu uznał, że w tej sytuacji lepiej będzie odpuścić sobie pucowanie butów.

Aspirant Vauxhall i starszy tweg Gonzales weszli do Hedleya razem z trzema oficerami ze sztabu pułku. Wszyscy wyglądali na zaniepokojonych. Njangu zastanawiało, co takiego się dzieje. Od przysięgi nie widział tylu oficerów naraz.

Hedley otworzył drzwi.

–Dec Quant, proszę odszukać finfa Kipchaka i kazać mu zameldować się u mnie.

Njangu pomyślał, że chyba musi być niedobrze, skoro alt zaczął wszystkich tytułować stopniem.

–Tak jest, sir.

Drzwi zamknęły się.

–Słyszałeś rekrucie – rzuciła Quant. – Kipchak jest teraz... – spojrzała na tablicę z rozpiską przydziałów – w drużynie Gamma, pierwszy pluton. Biegiem!

Njangu znalazł Petra w sypialni drużyny. Robił akurat coś przy wiszącym na wieszaku mundurze polowym.

–Stary cię szuka – powiedział Yoshitaro.

–O! Czego chce?

–Nie wiem. Kazał cię tylko ściągnąć do siebie.

–Po dwakroć głośne „o”!

Petr włożył czapkę, sprawdził, czy jego mundurowi nic nie brakuje, i czym prędzej wyszedł. Njangu musiał go gonić.

–Jak ci leci? – spytał Kipchak. – Nie widziałem cię od tej parady.

–Mam dużo roboty.

–Słyszałem, że Lir umie to zorganizować. Trzymasz się jakoś?

–Cholera wie... Chyba tak sobie.

–Czyli jak każdy. – Zjechali windą na parter i pospieszyli do kancelarii dowódcy.

–Wchodź – powiedziała Quant i Kipchak wszedł do Hedleya. – Idę po kawę. Panowie oficerowie na pewno będą chcieli czegoś do picia, jak zwykle, gdy się rozgadają – rzuciła do Njangu i wyszła.

Yoshitaro podszedł do jej biurka i włączył interkom.

–Nie, sir – dobiegł go głos Kipchaka. – Nie słyszałem. Cały dzień byliśmy na strzelnicy.

–Jesteś jedynym, o którym wiemy, że w ciągu ostatniego roku przebywał na obszarze Konfederacji, na dodatek na samym Centralnym. Tweg Gonzales ma nadzieję, że nam trochę naświetlisz sytuację.

–Niezbyt, sir – powiedział z wahaniem Petr. – Nie jestem analitykiem. I byłoby dla mnie lepiej, gdybym nie mówił zbyt wiele.

–Dlaczego? – Njangu poznał głos Hedleya.

–Ponieważ to, co myślę na pewne tematy, może być niemile odebrane, sir.

–Może sami to ocenimy?

–Mów, Petr – poprosił dowódca. – Nie obchodzi nas, co komu pasuje. Chcemy znać fakty.

–Tak jest, sir – powiedział sztywno Kipchak. – Myślę, że Konfederacja się rozpada. Możliwe, że właśnie jesteśmy świadkami jej końca. Sir, po ostatnim wyjściu do cywila spędziłem rok na bezrobociu. To był paskudny rok. Wiem, że ludzie, którzy znaleźli się w moim położeniu, często przesadzają, ale tym razem naprawdę było źle. Nigdy nie dostałem bonów, które mi się należały po odejściu ze służby. Ile razy po nie chodziłem, zawsze się okazywało, że nikt nie wie, gdzie posłali moje papiery. W biurze czekało w ogonkach więcej takich jak ja, czasem w wielkiej potrzebie, i nikt nie mógł doczekać się pomocy.

Potem zacząłem zauważać, że w ogóle jest o wiele gorzej niż kiedyś. Na dodatek zdawało się, że nikogo to nie obchodzi, w każdym razie nikogo z władz. Metro nie

chodziło według rozkładu, a czasem nie chodziło w ogóle. Ruchome chodniki psuły się, a wszyscy tylko wzruszali ramionami. Wzrastała przestępczość, i to dziwna. Ludzie zabijali się dla samego mordowania, nie dla rabunku czy żeby w ogóle cokolwiek zyskać. Ze statystyk wynikało, że wszystko jest jak dawniej, ale już nikt w to nie wierzył. Każdy powtarzał, że dane są fabrykowane. Może jestem zbyt wyczulony na pewne sprawy, ale miałem wrażenie, że bogaci bogacili się bardziej niż kiedykolwiek, a biedni staczali na samo dno. Czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Bogaci zamknęli się w swoich dzielnicach. Wymykali się stamtąd tylko z obstawą, inaczej mogli dostać cegłą w przednią szybę. Wszyscy poza nimi uważali, że to zabawne.

Poza tym zaczęły się zamieszki. Trochę podobne do tych, które zdarzają się od ponad dziesięciu lat, co to je tłumiliśmy, gdy służyłem pod twego Gonzalesem. Ale jedynie trochę podobne, przynajmniej na Centralnym. Nie tylko biedota paliła sklepy, brali się do tego wszyscy, jakby każdemu coś dopiekło i nie potrafił sobie z tym poradzić. W holo przez jakiś czas mówili, że tak samo jest na innych planetach, ale potem rząd zakazał nadawania relacji na ten temat. Pojawiły się plotki, cała masa plotek o układach planetarnych, z którymi utracono kontakt, o całych sektorach, które ogłosiły niepodległość i odłączyły się od Konfederacji. Słyszałem nawet o strzelaninie w parlamencie, ale w to akurat nie uwierzyłem. A chyba powinienem. Zresztą może przesadzam, może mi się tylko zdaje, ale sporo czytałem o wydarzeniach poprzedzających upadek różnych imperiów. Rzym, Anglia, Drugi Mars, Capella. Jakoś nie dziwi mnie ta utrata łączności. Zostałem zapytany, powiedziałem, co o tym myślę, sir.

–Dziękuję, Petr – westchnął Hedley. – Możesz odejść. Dziękuję.

–Tak jest. Dziękuję, sir.

Njangu ledwie zdążył wyłączyć interkom, gdy Kipchak wyszedł. Był nieco blady.

–Niech to, ciężka cholera – mruknął pod nosem. Nie lubię gadać z oficerami.

Szczególnie gdy jest ich więcej niż dwóch. – Pospieszył z powrotem na kompanię, a Yoshitaro wrócił do interkomu. – ...całkiem możliwe – usłyszał.

–Ale po tylu latach? Jak długo istnieje Konfederacja?

–Z tysiąc lat. Trochę ponad.

–Ale gdy coś się rozpada, może zawalić się w kilka chwil – zauważył Hedley.

–Szczególnie jeśli od lat dbano tylko o fasadę. Farbą na rdzę... Odmalowany trup jakiś czas może wyglądać ładnie, ale pewnego dnia...

–Najważniejsze, co z nami – rzucił ktoś inny. – Jeśli Konfederacja ma problemy z łącznością, zaopatrzeniem i wszystkim, w jakiej sytuacji nas to stawia?

–Kogo masz na myśli, mówiąc „nas”? – spytał Hedley. Grupę Uderzeniową? Układ Cumbre? Gatunek ludzki?

–Pieprzyć gatunek – rzucił jeszcze ktoś. – Zaczniemy od naszej jednostki.

–Cóż, bez wątpienia siedzimy tu mocno. Nie wiem, jak ci Raumowie w górach mogliby nam zaszkodzić.

–A ja wiem – mruknął Hedley. – Ledwie usłyszą, że nie ma Konfederacji i że gubernator został sam, pozostali nastawią ucha na to, co gadają ich dysydenci, i wypną się na rząd planetarny i rentierów. Gdybyś był biednym Raumem pracującym w kopalni, kogo brałbyś wtedy poważnie?

–Chyba nie musimy się nad tym zastanawiać, sprawa jest oczywista – powiedział ktoś.

–Czy utrata Malverna jakoś się z tym wiąże?

–Piraci! – parsknął ktoś. – Czy caud Williams naprawdę w to wierzy?

–Musi – odparł Hedley. – W przeciwnym razie musiałby zacząć się zastanawiać, do czego właściwie zmierza Redruth.

–Nie podoba mi się kierunek, w którym zmierza nasza rozmowa – odezwał się kolejny z oficerów. – Zaraz zaczniemy kwestionować słowa przełożonego, lepiej więc zmieńmy temat. Nie mogę jednak się powstrzymać przed jedną uwagą: czy to możliwe, że Redruth dowiedział się jakoś o problemach Konfederacji i postanowił zatroszczyć się o siebie? Oczywiście jeśli ten wasz Kipchak nie jest nawiedzony i mówi prawdę.

–Chyba nie powinniśmy szukać odpowiedzi na to pytanie – powiedział Hedley. – O ile wiem, nie wiąże się ono w żaden sposób z naszymi obowiązkami. Zmieńmy temat.

Angara, jesteś związany z miejscową dziewczyną. Jak sądzisz, co ludzie zrobią, gdy zabraknie nadzoru Centralnego? Dostaną małego rozumu i wyjdą na ulice, jak to przedstawił Petr?

–Nie wydaje mi się, żeby moje życie osobiste mogło coś wniesć do sprawy. Ale jeśli mam zgadywać, sądzę, że do tego nie dojdzie. Cumbre to głęboka prowincja i nigdy nie miało bliższego kontaktu z Konfederacją. Rentierzy urządzili sobie całkiem wygodne gniazdko i nie obchodzi ich, co dzieje się poza nim. Raumowie zaś mają tę swoją nirwanę. Może zaczną szemrać, gdy zabraknie tego wszystkiego, czego tutaj

się nie produkuje. Ale Cumbre sprowadza głównie towary luksusowe, a nikt nie będzie burzył fundamentów państwa tylko dlatego, że zabrakło wegańskiego szampana.

–A co z musthami? – spytał Hedley. – Co będzie, gdy odkryją, że ludzie stracili tęgi kij, który mógłby ich w razie czego przywołać do porządku?

Njangu usłyszał, że ktoś nadchodzi, i czym prędzej wyłączył interkom. Pomógł Quant z tacą pełną napojów i przekąsek. Potem spytał, czy mógłby wyjść na chwilę zaczerpnąć świeżego powietrza.

Uniósł głowę i spojrzał na dwa z trzech księżyców planety. Jeden wisiał nieruchomo na niebie, drugi przesuwał się szybko na tle gwiazd. Tutaj, na krańcu imperium, zdawały się lśnić szczególnie zimno.

Co się stanie, jeśli zabraknie Konfederacji, jeśli się rozpadnie? Czyżby miał spędzić resztę życia w tej zapomnianej przez wszystkich dziurze?

Po raz pierwszy od czasu dzieciństwa Njangu Yoshitaro poczuł strach przed czymś, czego nie potrafił dostrzec, nie umiał zaatakować i przed czym nie mógłby uciec.

Jord'n Brooks słuchał ryku tłumu zapelniającego wielką halę widowiskową. Dobrze, świnie są już na miejscu i patrzą, jak ich bracia wyrzynają się nawzajem, pomyślał.

Skinął na swoich dwóch towarzyszy. Wyszli z ukradzionego poprzedniego dnia ślizgacza i ruszyli do głównego wejścia. Wszyscy trzej nosili długie do kolan prochowce mające ochronić ich przed ciągnącą od zatoki mżawką.

Dwóch strażników przy wejściu zauważyło ich i przerwało pogawędkę.

–Przykro mi, chłopaki, ale jest już połowa meczu i zamknęliśmy bramkę – powiedział jeden z nich.

–Jakie z nich chłopaki – rzucił drugi. – To Raumowie, kurde, i na dodatek...

Brooks rozchylił płaszcz, uniósł blaster i strzelił pierwszemu strażnikowi w brzuch, a gdy mężczyzna złożył się wpół, dobił go strzałem w głowę. Drugi ledwo zdążył przygotować się na śmierć, gdy padł po kolejnym cichym splat.

W panującej wrzawie nikt nie zwrócił najmniejszej uwagi na wystrzały.

Raumowie odciągnęli ciała za kępę paproci, otworzyli główne drzwi i weszli niespiesznie do środka. Minęli zatłoczony bar i dotarli po schodach do drzwi opatrzonych napisem TYLKO DLA PERSONELU.

Jeden z nich przestrzelił zamek, a gdy Brooks kopnął drzwi, wpadli do środka i przywarli do ścian po obu stronach wejścia.

W biurze było czworo ludzi, dwóch mężczyzn i dwie kobiety, a obok liczarki banknotów piętrzyła się sterta ładowanych właśnie do maszyny kredytów. Z drugiej strony wypadały już owinięte banderolami paczki.

Jedna z kobiet uniosła głowę, zobaczyła broń i otworzyła usta do krzyku.

–Nie rób tego – rzucił obojętnym tonem Brooks i kobieta zacisnęła wargi.

–Kredyty. Do tych worków. Szybko – powiedział.

Jeden z mężczyzn spojrzał na nich z niepokojem.

–Zrobimy, co każecie – powiedział spiesznie. – Tylko spokojnie. Nie ma takich pieniędzy, za które warto by umierać. Tylko zostawcie nas w spokoju.

Brooks skinął głową i cała czwórka zaczęła czym prędzej pakować banknoty do

worków. Gdy były już pełne, Raumowie zarzucili je sobie na plecy.

–Obiecujemy, że nie włączymy alarmu, póki się nie oddalicie – powiedział ten sam mężczyzna.

–Tak, tylko darujcie nam życie – dodała kobieta, która chciała krzyczeć. – Nigdy nic nikomu nie zrobiliśmy. Nie zapamiętamy waszych twarzy.

Brooks skinął na Raumów, by ruszali do drzwi, i sam zaczął powoli wycofywać się tyłem.

–Dziękuję, że nas nie zabiliście – powiedziała druga kobieta.

Brooksowi nie drgnął na twarzy żaden mięsień, gdy unosił blaster i ściągał język spustowy.

–Ten twój Brooks to pistolet – zauważył Comstock Brien. – Cztery wizyty w jeden wieczór i żadnych ofiar. Przy ostatniej zgarnęliśmy prawie ćwierć miliona.

–Powinniśmy uruchomić go już lata temu – zgodziła się Jo Poynton. – Po raz pierwszy nie muszę się martwić, skąd wziąć pieniądze na agentów czy realizację zadań. Ale czy nie przeciągnie struny, jak dalej będzie działał tak w Leggett? Może powinniśmy go stamtąd wycofać? Kto wie, czy nasz brat Brooks nie ma jeszcze innych talentów poza złodziejskimi?

–Może i ma – powiedział Brien.

–Po śmierci Targa i Miriam brakuje nam ludzi w zespole planowania.

–Wiem.

Poynton spojrzała uważnie na Briena.

–Nie lubisz go.

–Jakoś nie.

–Dlaczego?

–Jak na mój gust zbyt szybko wyrasta na wielką gwiazdę.

–Czy możemy sobie teraz pozwolić na folgowanie prywatnym gustom? – spytała Poynton.

Brien przygryzł wargę.

–Nie – odparł niechętnie. – Może zresztą potrzebujemy kogoś takiego. Może wtedy walka skończy się jeszcze za naszego życia.

–Może Brooks jest właśnie tym, kogo potrzebujemy...

–Dobrze. Wyciągnij go z Leggett – powiedział Brien. Zobaczymy, co zrobi, gdy zostanie rzucony na głęboką wodę.

–Proszę, panie Jaansma.

–Dziękuję, panie Dill – powiedział Garvin z uśmiechem i wśliznął się na fotel dowódcy griersona. – Proszę mi powiedzieć, kiedy zapnie pan pasy, panie Dill.

–Oczywiście, panie Jaansma.

–Szofer do SWR. Czy tych dwóch zjadło wczoraj coś nieświeżego?

–Tu SWR – odezwała się Kang. – Ewidentnie ryba im zaszkoziła.

–Cisza – powiedział Garvin, co odniosło pożądany skutek. – Szofer, dwadzieścia pięć procent mocy.

–Jest dwadzieścia pięć procent, dowódco.

–Startujemy, panie Górecki.

Grierson uniósł się łagodnie i wypłynął z hangaru. Wyglądał jak dinozaur, który został baletmistrzem. Garvin poczuł przyływ paniki. To się dzieje naprawdę, to żadna symulacja, pomyślał, ale zaraz odepchnął obawy.

Przesunął brodą selektor kanałów łączności.

–Wieża, tutaj dwa alfa trzy, prosimy o zgodę na start.

–Tu wieża. Obecny ruch w strefie lotniska... dwa zhukovy na wschodnim podejściu, trzy cooki ćwiczące ataki na trawiastym lądowisku. Masz zgodę na start według własnego uznania.

–Dwa alfa trzy, wchodzę na jeden tysiąc, kieruję się na zachód do strefy Tygrys. Dla twojej wiadomości, dowódca pojazdu jest kursantem.

–Przyjąłem, dwa alfa trzy. Sprzęt ratunkowy w pogotowiu.

–Do góry – rozkazał Garvin. – Pięćdziesiąt procent mocy.

–Na wznoszeniu – odparł Górecki i widoczne na ekranie lądowisko zaczęło maleć.

Jaansma musnął kontrolkę i na innym ekranie pojawiła się mapa.

–Potrzebujesz namiarów? – zapytał Góreckiego.

–Nie. We śnie bym tam trafił. – Żle – odezwał się Dill. – Jaansma ciągle się uczy. Według procedury.

–Jasne, szefie... czyli strzelcu.

–Nie przeciągaj struny, Garvin – rzucił Dill.

–Przepraszam. – Garvin przyjrzał się mapie. – Utrzymuj pułap, szybkość dziewięćdziesiąt. Kurs dwa trzy dwa.

–Pułap tysiąc, zwiększam szybkość do dziewięć zero. Jesteśmy nad wodą.

Grierson leciał nad zatoką kursem SSW, zbliżając się do mierzei i zamkniętego obszaru powietrznego poligonu określanego jako strefa Tygrys.

–Przełącz na auto – rozkazał Dill. – Oto, czego będę od ciebie oczekiwał, gdy znajdziemy się w strefie. Sprowadź nasze pudło na jakieś dwieście metrów.

Następnym razem cię przycisnę, ale teraz dostaniesz jeszcze trochę forów. Przeleć nad plażą, przeskocz nad wzgórzami i zejdź prosto na rejon celu. Zrozumiałe?

–Chyba tak.

–Tylko nie chyba, do cholery – warknął Dill. – Albo przyjmujesz rozkaz, albo nie.

–Zrozumiałem, szefie.

–Dobra. – Dill przełączył kanały. – Kontrola strefy Tygrys, tutaj grierson dwa alfa trzy. Zbliżamy się do waszego obszaru.

–Dwa alfa trzy – rozległo się w odpowiedzi. – Mamy was na ekranie. Czego sobie dzisiaj życzycie?

–Ustawcie program, hm... siedem trzy białe.

–Siedem trzy białe, bez odbioru.

–Podejdziemy na niskim pułapie nad silnie bronioną bazę przeciwnika – powiedział Dill, przełączając się z powrotem na interkom. – Przeciwnik to wydzielona część dywizji wsparta chyba pięcioma zhukovami, o ile pamiętam. Silna obrona przeciwlotnicza.

SWR, pełna gotowość.

Kang włączyła w swoim malutkim przedziale klimatyzację.

–SWR gotowe, szefie.

–Strzelec gotowy – powiedział Dill ze stanowiska Garvina. – Do roboty, szefie.

Jaansmę znowu na moment ogarnął lęk, ale po chwili dziwnie przybyło mu pewności siebie.

–Szofer... przyspieszamy do trzy pięć zero. Gotowość do nawiązania kontaktu bojowego!

Tuż przed nimi rozciągało się „nieprzyjacielskie” wybrzeże.

Njangu Yoshitaro uznał, że ma dość. Wszystkie mięśnie wyły z bólu, płuca ledwo pracowały na tym wicherze. Dość miał wrzasków wiecznie niezadowolonej z jego starań Lir, dość miał zwiadu, a przede wszystkim dość miał tego urwiska, na którym wisił dokładnie w połowie wysokości.

–Poddaję się – mruknął.

–Nie gadać tam na górze! – krzyknęła z dołu Lir.

–Powiedziałem, że się poddaję! – powtórzył głośniej.

–Jeszcze jedno słowo, a będzie kandydat do czyszczenia filtra tłuszczowego – zagroziła Lir.

Pierdolona majówka, pomyślał Yoshitaro. Nawet poddać się nie można. Nagle zrobiło mu się bardzo żal własnej osoby.

–Hej! – szepnęła Angie Rada.

Yoshitaro wetknął palec w wążiuteńką szczelinę i z wielką nadzieją, że występ, na którym opiera nogę, jest mocniejszy, niż się wydaje, zaryzykował i obrócił głowę.

–Popatrz na mnie – szepnęła znowu Angie. Stała na półeczce, która wydała się Njangu wielka jak plac defilad. Miała prawie dziesięć centymetrów szerokości. – Czyż nie wyglądam ponętnie? – Położyła dłoń na karku i wyprostowała się, eksponując piersi.

–Pieprzę cię – wykrztusił.

–Jeśli ładniej poprosisz, to dlaczego nie? Ale o przyjemnościach później.

Zgadnij, co mam pod sobą?

–Nie muszę zgadywać. Widzę.

–Nie, nie widzisz – rzuciła lekko. – Ta półka robi się dalej szersza i biegnie wzdłuż klifu aż do drogi. Ruszaj się. To naprawdę łatwiejsza droga.

–A co mi to da?

–Gromka Lir kazała nam wejść na szczyt, prawda?

Ale nie powiedziała jak. A w zwiadzie ceni się improwizację, czyż nie?

Njangu wydyszał coś w rodzaju zgody i znalazł siły, aby zmacać kolejne oparcie dla stopy, a potem podciągnąć się na poziom półki.

–Za mną, jak mawiają oficerowie – rzuciła i Yoshitaro posłuchał bez szemrania.

Przesuwał się powoli, nie patrząc na stumetrową przepaść i czyhające u dołu skały. Nagle rzeczywiście znalazł się na coraz szerszej ścieżce biegnącej w górę.

–I co? Nie cieszysz się, że moim zdaniem jesteś seksowny? – spytała.

Zdyszany Njangu zdołał jedynie pokiwać głową.

–Nie jak Faull, silny, ale stary Raum z dołów społecznych. On mógłby dla mnie wisieć tak długo, aż by zaśmierdnął. Albo zadbałabym, żeby Lir usłyszała o jego kapitulacji.

–Mniejsza z tym – wykrztusił Njangu. – Tak czy inaczej, wciąż mam zamiar się stąd wynieść.

–Nie gadaj. Jeszcze tylko ze sto lat tej mordowni i zostaniesz prawdziwym żołnierzkiem.

–Niedoczekanie. – Njangu, nadal ciężko łapiący powietrze, zgiął się wpół. – Odechciało mi się. Do końca mojej służby z uśmiechem będę kosił trawniki i opróżniał kubły na śmieci.

–A co potem?

–Znajdę jakąś robotę.

–Możesz się zatrudnić u mojego papy.

–A co on robi? Z moim szczęściem okaże się pewnie przewodnikiem górskim.

–Nie... Ma sześć domów towarowych, więc lepiej bądź dla mnie miłszy.

–Skoro jest tak bogaty, to co ty tu robisz?

–Myślałam, że w ten sposób najdobitniej okażę, jak bardzo się zbuntowałam – powiedziała z lekką urazą w głosie i spojrzała przez ramię na Njangu. – Nie żyjemy z ojcem zbyt dobrze.

–Głupia.

–Zamknij się – syknęła Rada. – Musimy teraz wejść na szczyt i przekonująco udać zasapanych, żeby nasza niedocycana Monique uwierzyła.

–Nie uda się wam – rozległo się nagle. – Zostańcie, gdzie jesteście.

Zamarli i unieśli głowy. Przed nimi stała na ścieżce dec Monique Lir.

–Jakim cudem... – zaczęła Angie.

–Wyprzedziłam was? Bo jestem silna, żyję higienicznie i robię tu za waszego boga. A teraz w zdwojonym tempie proszę na szczyt urwiska moją drogą.

Zanim dotarli na górę, Njangu znowu poczuł rwanie wszystkich mięśni. Pozostali trzej rekruci czekali cierpliwie, uradowani, że tym razem Lir wyładowuje sadystyczne zapędy na kimś innym.

–W jakiejś mierze masz rację, rekrucie Rada – powiedziała potem Lir, która nawet się nie zdyszała. – Nie powiedziałam, jak macie wejść na szczyt, a w zwiadzie ceni się inicjatywę. Jestem dumna z was obojga.

–Oho... – mruknął pod nosem Yoshitaro.

–Tak dumna, że zamierzam postawić was za przykład pozostałym. Zejdziecie teraz po urwisku, my zaś poczekamy na was, leniąc się w słoneczku. Ruszać! Prosto na dół, bez wycieczek na boki, zrozumiano?

–Tak jest, dec – odpowiedzieli chórem.

–Nierówno. Na zachętę dwadzieścia pięć pompek.

Odczekała, aż skończą.

–A teraz proszę o pokaz jakiejś ciekawej techniki schodzenia. Z góry uprzedzam: zjazd na tyłku, spadanie i wrzaski dyskwalifikują. Rada, ty pierwsza.

Angie rzuciła Lir nienawistne spojrzenie i podeszła ostrożnie do krawędzi. Gdy zaczęła schodzić, Lir wychyliła się za nią.

–Postaraj się nie spaść – poradziła i odwróciła się do Njangu. – Teraz ty, Yoshitaro.

Posłusznie podszedł do urwiska.

–A, przy okazji – zagaiła dec. – Czy dobrze mi się wydawało, że chciałeś mi coś powiedzieć?

Njangu już miał zamiar wyrzucić z siebie, że chce wynieść się stąd w diabły, gdy nagle wszystko to wydało mu się bardzo zabawne. Chyba przekroczył wreszcie jakąś granicę... Wiedział, że od teraz może nie będzie łatwo, ale da sobie radę. Ku swemu zaskoczeniu poczuł się całkiem dobrze. Nawet zbiegłby po tym urwisku, gdyby Lir sobie zażyczyła. Nie powiedział więc nic, tylko się roześmiał.

Lir spojrzała na niego z ukosa.

–To wszystko?

Njangu pokiwał głową.

–To ruszaj dupę i do zobaczenia na dole. Czeka nas jeszcze długi bieg do domu, a chcę wrócić przed capstrzykiem.

Grierson przyziemił w tej samej chwili co drugi bojowy pojazd piechoty i dwa zhukovy. Idealne lądowanie w szyku.

Chwilę później pośrodku kwadratu utworzonego przez te cztery maszyny wylądował statek kurierski. Na dziobie miał granatowo-białe barwy Konfederacji, a na burcie pierścień gwiazd. Pod kabiną pilota widniała z obu stron zielono-biało-brązowa flaga Cumbre.

Rampa desantowa griersona opadła i załoga ustawiła się w szeregu przez maszyną.

Wszyscy byli w galowych mundurach.

Właz statku kurierskiego odskoczył, wysunęły się schodki, na których pojawił się zaraz gubernator Wilth Haemer w towarzystwie cauda Williamsa i grupy asystentów.

–Cholera, nie można było mniej oficjalnie? – szepnął kącikiem ust Garvin. – Naprawdę musimy aż tak bardzo rzucać się w oczy?

–Cisza w szeregu – powiedział Dill. – Nie masz się czego bać. – Łatwo ci mówić. To nie ty stałeś niedawno przed jego ekscelencją, który nie tobie groził, że jak cię jeszcze raz zobaczy, to popamiętasz.

–Spoko – rzuciła Kang. – Nie będzie przeglądu kompanii honorowej. Zbyt wietrznie i za zimno.

Znajdowali się na płaskowyżu Dharmy. Mgła snuła się między ledwo widocznymi

drzewami. Haemer i pozostali ruszyli przed siebie, starając się nie robić wrażenia, że im się spieszy. Kierowali się ku grupie musthów czekających przed swoją kwaterą główną – kompleksem wielokątnych, wyglądających na szklane budynków ze wstawionymi gdzieś onyksowymi panelami.

Dla ludzi przyjęty przez obcych szyk wyglądał co najmniej dziwnie. Tuzin osobników, chyba podwładnych, tworzyło rozłożyste V, u wylotu którego stało jeden za drugim dwóch oficjeli. Garvin domyślił się, że któryś z nich to Aesc, przywódca musthów w układzie Cumbre.

Jaansma przestał w końcu myśleć o gubernatorze i skupił się na obcych. Dotąd widział ich jedynie w holo i wydawali mu się w miarę ciekawi. Byli rośli, prawie pod trzy metry, i mieli długie, giętkie szyje. Ciała porastało im futro, a za jedyne odzienie służyły im szerokie pasy ze skrzyżowanymi paskami mocowanymi do czegoś w rodzaju obroży i torby przypominające przerośnięte szkockie sporrany. Na obu biodrach dźwigali broń.

Garvin wysilał oczy, ale nie potrafił orzec, co to takiego. Jedna wyglądała jak mały karabin z bardzo długą lufą, druga – jak zwykle pudełko z uchwytem.

Sierść obcych wydawała się dość szorstka i była w większej części rdzawobrunatna, na ogonie i łapach przechodziła prawie w czarną. Od podgardla do brzucha ciągnął się pas jaśniejszego włosa, u góry żółtopomarańczowy, ku dołowi przechodzący w intensywnie pomarańczowy.

Dolne kończyny mieli masywne niemal jak u kangurów, ale wyprostowane.

U górnych, mniejszych niż dolne, zwracały uwagę łapy z dwoma kciukami. Palce uzbrojone były w chowane pazury, które na pewno nadawały się do walki nie gorzej niż najlepsze noże.

Krótkie ogony pomagały im chyba utrzymywać równowagę.

Wymogi ich ceremoniału musiały być luźniejsze niż u ludzi, bo cała gromada bez skrępowania kręciła głowami i rozglądała się nieustannie po okolicy.

Grierson Dilla został wybrany razem z trzema innymi pojazdami jako eskorta honorowa pojazdu gubernatora z okazji przypadającej akurat pory comiesięcznej wizyty składanej w bazie musthów na płaskowyżu Dharmy.

Haemer uklonił się pierwszemu musthowi i na pół wysyczał, na pół wygwizdał coś w obcym języku.

–I ciebie witam, gubernatorze generalny – odparł obcy, zapewne Aesc. – Miło spotkać cię znowu twarzą w twarz. Obrócił się ku swojemu towarzyszowi. –

Chciałbym poznać cię z dowódcą naszych wojsk, Wlencingiem.

Stojący za Aeskiem musth skłonił głowę.

–Ciekawie jesst ujrzeć twe oblicze – powiedział.

–Może wejdziemy do środka? – zapytał Aesc. – Chyba jest wam zimno.

–Jeśli nie macie nic przeciwko temu, przyjrzę ssie waszym żołnierzom – rzekł Wlencing. – Rzadko widuję ludzi, a w dyplomacji niewielki ze mnie pożytek.

–Oczywiście, że nie mam nic przeciwko temu – zgodził się caud Williams. – Chętnie ci potowarzyszę.

–Nie trzeba – powiedział Wlencing. – Jesstem pewien, że masz wiele do omówienia z Aeskiem. Dam ssobie radę.

Williams zmarszczył brwi, ale ostatecznie bez entuzjazmu pokiwał głową.

–Dobrze. Jestem pewien, że zrobią na tobie dobre wrażenie.

–Nie wątpię – odparł Wlencing i ruszył w kierunku griersona.

–I co ja mam zrobić? Zasalutować mu? – szepnął spanikowany Dill.

–Tak będzie najstosowniej – powiedział Górecki. – Na razie jeszcze z nimi nie walczymy.

Ben przytknął energicznie dłoń do czoła i przytrzymał ją tamże. Wlencing ze zdumienia wyciągnął szyję o jakieś trzydzieści centymetrów i cofnąwszy głowę, rozejrzał się wkoło niczym wąż.

–Czy to ssygnął zagrożenia? – spytał.

–Nie, sir – odrzekł Dill. – Tak oddajemy honory.

–Rozumiem. – Wlencing uniósł górną kończynę, skłonił lekko głowę i zastygł w tym położeniu. – To nasz odpowiednik tego ssamego.

Obaj opuścili ręce.

–Masz wielkich ludzi w tej załodze – odezwał się Wlencing.

–Tak, sir – przyznał Dill. – Zbieg okoliczności, sir dodał, nie wiedząc, co powiedzieć.

–Który jesst sstrzelcem pokładowym?

–Ja, sir – odezwał się Garvin.

Wlencing podszedł do niego.

–Jessteś dobry?

–Ciągle się uczę.

–Ale to ciebie i twoją załogę wybrano do eskorty jego eksscelencji?

Zasstanawiające.

A niech sspytam. Gdy ćwiczycie, używacie maszyn?

–Tak, sir – odparł nagle uspokojony Garvin. – Nazywamy je symulatorami.

–Ssymulatorami – powtórzył Wlencing, jakby smakował nowe słowo. – Kto jest waszym przeciwnikiem w tych ssymulatorach?

–Inne maszyny – odpowiedział Jaansma. – Statki kosmiczne, pojazdy opancerzone. Żołnierze.

–Czy ci żołnierze to musthowie?

–Nie, sir – odezwał się Garvin. – Ludzie. Noszą różne mundury, zależnie od potrzeby.

–Ssłyszałem co innego – stwierdził Wlencing.

Garvin chciał zaprotestować, ale zamknął usta. Musth zmierzył go spojrzeniem.

–Ale oczywiście wam kazano by w takim razie kłamać, żeby nie posstawić ssie w kłopotliwej ssytuacji – powiedział i przeszedł do Kang.

–Twoja sspecjalność?

–Systemy walki radioelektronicznej, sir.

Wlencing gwizdnął.

–Dobra jessteś?

–Najlepsza – odparła stanowczo Kang.

Musth parsknął w sposób, który trudno było zinterpretować. Mogło to oznaczać zarówno aprobatę, jak i rozbawienie.

–Tak mówi prawdziwy wojownik. Każdy z nas jest najlepszy, prawda?

–Ale ja naprawdę jestem najlepsza.

–Szkoda, że nie ma jak sprawdzić twoich przechwałek. Powinniśmy prowadzić między sobą gry wojenne. To by było dobre dla nas, dobre dla nas. – Odwrócił się, ale po chwili spojrzał na nich. – I na to przyjdzie pora, gdy zacznie się wojna. – Znowu zaszepotał i odszedł ku jednemu z żołdaków.

Garvin spojrzał z ukosa na Dilla.

–Mam nadzieję, że on ciągle uczy się wspólnego i nie do końca wiedział, co mówi – mruknął.

–A założysz się, że nie masz racji?

–Nigdy w życiu. – Mogę spytać cię o coś, nie ryzykując, że za bardzo się wkurzysz? – powiedział Njangu.

–Spróbuj – rzucił dobrodusznie Hank Faull. Siedzieli na szafce obok jego pryczy i czyścili oporządzenie.

–Jesteś Raumentem, zgadza się?

–Byłem Raumentem – poprawił go Faull, krzywiąc się. – A w każdym razie tak nazwałby mnie mój sołtys. Powiedziałby też, że jestem jeszcze odszczepieńcem, zdrajcą i niewiernym.

Czyli opisałby z grubsza dobrego żołnierza dodał z uśmiechem.

–Sołtys?

–Starszy. Diakon, który wsłuchuje się w słowa Jedynego i objaśnia nam wyznaczone przez niego Zadanie.

–Jedyny to bóg, tak? Ale Zadanie? Wymawiasz to tak, jakby na początku była wielka litera.

–Zadanie to nasza misja... wszystkich i każdego z osobna. Coś do przeprowadzenia tutaj, na Cumbre D.

–A jaki jest jej cel?

–Sprawienie, aby cały układ Cumbre należał do nas wyjaśnił Faull.

–Skromnie. A co z resztą mieszkających tu istot?

–Mogą przyłączyć się do nas albo... – Faull przeciągnął kciukiem po gardle.

–Rozwiązanie genialne w swej prostocie. Jednak co macie... przepraszam, co Raumowie mają na poparcie swoich roszczeń?

–Nasi sohowie uczą, że właśnie Raumowie byli pierwszymi ludźmi, zarówno w dziejach rodzaju człowieczego, jak i na Cumbre. Ich zdaniem przybyliśmy tutaj setki lat przed rentierami i ich sługami, chociaż badania archeologiczne wskazują, że przodkowie Raumów przylecieli do tego układu czwartą klasą kilkaset lat po jego skolonizowaniu.

Niemniej wszyscy powtarzają legendy, według których to rentierzy byli drudzy i na dodatek zjawili się uzbrojeni po zęby. Zapędzili Raumów do ciężkiej pracy, głównie w kopalniach, gdzie wielu trzodzi się do tej pory.

–A skąd przylecieliście?

–Tego dokładnie nie wiadomo. Nasza święta księga, Rozstaje, wypowiada się w tej kwestii dość enigmatycznie. Ani razu nie pada w niej nazwa naszej ojczystej planety, chociaż oczywiście można w niej przeczytać, że był to prawdziwie rajski zakątek.

Niektórzy sugerują w ogóle, że nasza migracja odbyła się jeszcze w okresie poprzedzającym wynalezienie napędu nadprzestrzennego.

–W tych dawnych czasach, kiedy po odpaleniu rakiety można było już tylko się modlić, żeby wszystko poszło dobrze?

–Rozstaje powiadają, że przyniósł nas tu żagiel wypełniony wiatrem zesłanym przez Jedyne. – Żagiel słoneczny?

–Nie wiem – odparł Faull. – Sohowie nie zachęcają nas zbyt do samodzielnej lektury świętej księgi. Uważają, że jest lepiej, gdy oni czytają ją za nas i przekazują nam tylko znaczenie poszczególnych jej fragmentów. W większości składa się ona z kazań wygłoszonych niegdyś w jakiejś kongregacji przez kapłana, zapewne kobietę, której imię jednak nie jest wymienione. Moje kłopoty z wiarą zaczęły się w chwili, gdy zdobyłem własny egzemplarz Rozstajów i nasunęła mi się cała masa pytań, na które sohowie nie potrafili odpowiedzieć. Ojciec zaś uczył mnie, aby zawsze samemu wyciągać wnioski i nie ignorować faktów. Dobrze to czy źle, ale tak właśnie zostałem wychowany i dlatego napytałem sobie biedy.

–Rozumiem – powiedział powoli Njangu. – Czy dobrze się domyślam, że sohowie chcą, aby Raumowie żyli odizolowani od wszystkich innych ludów?

–Tak – powiedział Faull z nutą goryczy. – Wśród Raumów wszyscy się znają.

Gdybyś był jednym z nas, każdy potrafiłby powiedzieć, jak się nazywasz, gdzie mieszkasz, kiedy i z kim chodziłeś do szkoły. Brak wśród nas miejsca dla obcych.

–I nie ma od tego ucieczki?

–Można się tylko zaciągnąć.

–Tak jak ty to zrobiłeś?

–Robię. Jeszcze nie wiem, czy mi się uda. Ale jedno jest dobre. Was, ludzi z innych światów, takie gówniane zabawy po prostu nie obchodzą.

–A gdybyś został Raumem, musiałbyś podjąć pracę w kopalni? – spytał Njangu.

–Po prawdzie jest cała masa naszych, którzy nigdy nie wzięli kilofa do ręki. Są kupcami, przedsiębiorcami, a poza miastami wielu trudni się rybołówstwem albo uprawia ziemię.

–Chyba coś mi umknęło. Skoro mogłeś wybierać, dlaczego zostałeś żołnierzem?

–Bo w gruncie rzeczy nie ma w czym wybierać – odrzekł Faull. – Możesz zająć się handlem, ale tylko z innymi Raumami. Możesz uprawiać ziemię, byle nie za dużo. A gdy otworzysz sklep, lepiej nie próbuj konkurować z senioratem.

–Czyli z góry jesteś na przegrany.

Faull pokiwał głową i zajął się znowu oporządzeniem.

–I to właśnie nasza armia tutaj chroni?

Faull znowu skinął głową.

–Jeszcze jedno pytanie. Wszyscy tu mówią o jakichś bogaczach zwanych rentierami.

Co to znaczy? Czy chodzi o nazwę statku, którym przylecieli, czy o coś innego?

–Kiedyś to sprawdziłem. Słowo to pochodzi jeszcze ze starej Ziemi, gdzie oznaczało majątnych ludzi żyjących z procentów od swoich pieniędzy i podporządkowujących sobie za ich pomocą innych ludzi.

–No tak. To by było na tyle, jeśli chodzi o prawdę, sprawiedliwość oraz idee leżące u fundamentów Konfederacji. Wszędzie ten sam syf i ta sama złota zasada: kto ma złoto, ten ustanawia reguły.

Górecki uczył Jaansmę pilotować cooka.

–To proste jak drut – zakończył wykład. – A teraz sprawdźmy to w praktyce.

–Dobra. Dokąd?

–Gdzieś dalej, może dookoła wyspy? – Świetnie – powiedział Garvin i wspiął się na siedzenie pilota.

Silnik był już włączony. Zanim Stanislaus usiadł, Garvin zapiął pasy. Spojrzał na puste jarzmo działka przed sobą.

–Gdybyśmy mieli jeszcze amunicję, zaryzykowałbym jakiś skok w bok, ale myślę, że...

–Ejże! – krzyknął ktoś. Odwrócili głowy i ujrzeli truchtającego w ich stronę Dilla.

Przez ramię miał przewieszony pas z kaburą, w której tkwił największy pistolet, jaki Jaansma widział w życiu. – Co, błazny? Myśleliście, że wybierzecie się na przejażdżkę beze mnie?

–W żadnym razie, dec.

–I dobrze – mruknął Dill, pakując się do przedziału pasażerskiego. – Ruszajmy, zanim ktoś znajdzie nam inne zajęcie.

–Chciałem okrążyć z nim wyspę – powiedział Górecki.

–Dla mnie bomba. Przeczeszemy trochę piasek na plaży. Zabierajmy się stąd, panie Jaansma.

–Już się robi, panie Dill – powiedział Garvin, przygazował i ściągnął do siebie ster przypominający odwrócone U. Cook zadrżał i uniósł się nad ziemię.

–Nie podoba mi się praca silnika – zauważył Dill.

–Jak ktoś nie lubi ryzyka, niech nie wsiada do cooka – rzucił sentencjonalnie Górecki.

–Bardzo zabawne. Jeszcze chwila i dostanę ataku histerii. Szybko i nisko, poproszę.

Niech mnie pył wodny ochłodzi.

–Do usług – powiedział Garvin i znurkował nad same fale.

–Ruszać się dzieci, bo spóźnimy się na jutrznię! – zawołała Lir.

Njangu chętnie by zaklął, ale brakło mu tchu. Wydawało mu się, że Gerd wydyszał coś obscenicznego, ale zapewne były to tylko pobożne życzenia. Lir zdawała się robić wszystko, co tylko w jej mocy, aby nikt z drużyny nie przetrzymał szkolenia.

Ostatnio brała ich codziennie na dwukilometrowe biegi po plaży. Co trzeci dzień wydłużała dystans do pięciu kilometrów.

–Dla dobrego strzelca najważniejsze są mięśnie nóg stwierdziła radośnie, biegnąc bez najmniejszego wysiłku tyłem tuż nad samą wodą.

–Niezupełnie – zdołała wykrztusić Angie Rada. – Najważniejsze to, co między nimi.

–Jeśli starcza ci tchu, żeby gadać, zaśpiewaj coś! zawołała Lir.

–Urwa ać – jęknęła Rada, ale posłuchała.

Kiedys byłem szczęśliwy, a teraz mam doła, Na griersonie latam, gdy zapalić zdoła, Szofer nami rzuca, aż się rzygać chce, A żołąd wciąż taki sam, jaki – każdy wie.

Latamy na akcje na tym naszym złomie,

Zwinny on jak gęś w pionie i poziomie,

Przy każdym lądowaniu coś nam się urywa, A żołąd wciąż taki sam i nic nie przy...

Urwała, słysząc silniki nadlatującej maszyny.

–Wyrównać, proszę cywilbandy! – krzyknęła Lir. Może to wasze matki nadlatują!

Cała piątka, biegnąc, sformowała ciasny szyk. Po chwili tuż nad nimi pojawił się niewielki cook i z jakiegoś powodu nagle zwołał. Njangu zastanowiło, któż może szwendać się tak daleko od bazy Mahan. Może jakiś oficer ze swoją lalunią, pomyślał z rozmarzeniem i spróbował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz nie zatrudniał w celach rozrywkowych własnej dłoni. Przy tej okazji pomyślał przelotnie, dlaczego właściwie nie spróbował jeszcze sprawdzić, czy Angie mówiła poważnie.

Zmrużył oczy i dostrzegł, że w cooku jest trzech pasażerów. Ten na tylnym fotelu uniósł się i Yoshitaro aż zdumiał się jego wzrostem. Nosił cztery belki deca.

Facet zasalutował z namaszczeniem i krzyknął:

–Na cześć dzielnych żołnierzy hip, hip hurra! Niech żyje piechota!

Lir odpowiedziała: „Żebyś skraksował!”, Yoshitaro krzyknął: „Udław się!”, Milot: „Żeby ci kutas odpadł!”, Penwyth: „Twoja siostra to dziwka!”, Rada: „Twoja matka daje za darmo!” Tylko Faull w ogóle się nie odezwał.

–To się nazywa duch walki! – krzyknął dec.

Njangu spostrzegł, że za sterami siedzi Garvin. Zdążył mu jeszcze pomachać, ale maszyna zniknęła i zostało tylko mieć nadzieję, że Jaansma go rozpoznał.

Czyste draństwo. Wiedziałem, że to był zły wybór, pomyślał i ujrzał, że cook zawraca.

Był jeszcze zbyt daleko, żeby usłyszano ich na pokładzie, ale niektórzy znaleźli siły na całkiem wymowne obsceniczne gesty.

Gdy przelatował w odległości jakichś stu metrów, nagle zapadła cisza. Moduł antygravitacyjny wyłączył się automatycznie i cook podszedł do lądowania na plaży. Trochę się zakołysał, ale przyziemił całkiem miękko. Zwiadowcy usłyszeli kilkakrotne daremne wycie startera i z radosnym wrzaskiem rzucili się ku maszynie. Po chwili stali obok niej.

–Wybieracie się gdzieś? – zakpiła Lir.

Dill skrzywił się kwaśno.

–Cześć, Garvin – powiedział Njangu. – Spacer też jest przyjemny. Można popodziwiać przyrodę.

Jaansma rozpoznał wreszcie Yoshitara, uśmiechnął się przelotnie i znowu wdusił przycisk startera.

Biegając, słyszeli jeszcze jego słabnący wizg, aż w końcu skręcili za niewysoki klif i odgłos ucichł.

–Jak widać, jeśli ładnie poprosić, Bóg bywa rychliwy, a czasem nawet sprawiedliwy – zauważył Dill.

–Ja nic nie mówiłem – zaprotestował Górecki. W każdym razie niewiele i cicho.

–Skoro uważa, że to jego wina, niech teraz poniesie nas z powrotem – zaproponował Garvin.

–W porządku. Dajcie mi radio – powiedział Dill. Wezwę pomoc.

Garvin przekazał mu mikrofon i nagle ujrzał, jak na kadłubie maszyny, o palec od jego lewej ręki, pojawiła się jasna rysa gołego metalu, i niemal jednocześnie usłyszał huk jakiejś klasycznej broni palnej i jęk rykoszetującego pocisku.

Spojrzał osłupiały na ślad po kuli, która omal go nie trafiła, i zanurkował za burtę kabiny. Wylądował na Dillu, który sięgał już po swoją armatę.

–Co za sukinsyn – wymruczał dec. Klęknął i wodząc lufą w lewo i prawo, zlustrował pobliskie krzewy. Chwilę potem ściągnął język spustowy i pistolet wypalił z takim hukiem, że Garwinowi omal bębenki w uszach nie popękały. Nie marnując czasu, Dill wyskoczył z maszyny i pobiegł w krzaki. Garvin nie wiedział, co powinien teraz zrobić, ale uznał, że w tej potrzebie bohatera głupota będzie chyba lepiej widziana niż logiczne tchórzostwo, i pognął za dekiem. Stanislaus poszedł w jego ślady.

Garvin wpadł z hałasem w krzewy i zobaczył, że Ben klęczy nad stosem gałęzi.

W palcach trzymał mosiężną łuskę.

–Zobacz, z jakiego antyka drań chciał mnie ustrzelić – powiedział. – Uwił tu sobie gniazdko i czekał, aż mu coś wejdzie pod lufę, ale miał chyba tylko jeden nabój.

Albo odwagi mu zabrakło.

–Ciekawe, dlaczego nie strzelił do tych piechociarzy spytał chwilę później Górecki. – Było ich więcej, zatrzymali się. Łatwiej byłoby mu trafić.

–Może uznał nas za lepszy cel – mruknął Dill.

Stanislaus i Garvin spojrzeli po sobie. Do obu dopiero teraz naprawdę dotarło, co się stało.

–Ktoś próbował nas zabić – powiedział półgłosem Górecki.

–Bez wątpienia – zadudnił Dill tonem eksperta. – Pytanie tylko, jak ten pieprzony bandyta zdołał dotrzeć aż tutaj, na wyspę?

Wszyscy trzej spojrzeli na widoczny w dali ląd.

–Idziemy za nim? – spytał Stanislaus.

Dill zastanowił się.

–Nie jestem pewien, czy naprawdę miał tylko jeden nabój – mruknął. – Poza tym co z wami? Tylko ja mam broń. Pójdę go szukać, a on zatoczy koło, wróci tu i bez trudu was załatwi. – Pokręcił głową. – Swoją drogą, ciągle nie mogę w to uwierzyć.

–Ktoś się chyba zesra na rzadko, jak o tym usłyszy powiedział Garvin.

Jednak gdy zameldowali o całym zdarzeniu, dowódca kompanii, cent Haughton, przekazał im tylko przez dowódcę plutonu, alta Wu, żeby na przyszłość bardziej uważali poza bazą, i na koniec zainteresował się, co oni, u diabła, właściwie tam robili.

Nikt więcej nie zameldował o pojawieniu się snajpera.

Lir obejrzała sobie całą piątkę od stóp do głów.

–I to ma być gotowość bojowa? Mundury wyglądają, jakbyście przez tydzień się w nich łajdaczyli. Za kwadrans chcę was tu widzieć w wyjściowych.

Pobiegli na kompanię. Przeklinając monotonię, odłożyli broń na stojaki, zrzucili wyposażenie i zaczęli się przebierać.

–Zabiję ją – warknęła Angie. – Będzie zdychać w boleściach. Możesz mi zapiąć bluzę z łaski swojej? Dzięki, Njangu.

–Zostały jeszcze dwie minuty, a już jesteśmy gotowi zauważył Faull. – Wyrabiamy się.

Wypadli na zewnątrz i zamarli. Czekali tam na nich alt Hedley i tweg Gonzales.

Obaj w galowych mundurach.

–Zbiórka! – krzyknęła Lir. Gdy ustawili się przed oficerami i zasalutowali altowi, zameldowała: – Sir, wszyscy obecni.

–Dziękuję – powiedział Hedley i wyciągnął z kieszeni jakąś kartkę. – Rozkazem dziennym numer taki to a taki, podpisanym przez cauda Williamsa, poniżsi rekruci zostają awansowani do stopnia szturmowców: Faul Henry, Milton Ton, Rada Angela, Penwyth Erik i Yoshitaro Njangu. Gratuluję wam. Najgorsze już się dla was skończyło. Udało się wam.

Wszystkim. Witam w zwiadzie.

Zaczaili się na Garvina obok sztabu, przy stawie. Dill podciął mu nogi i przytrzymał na ziemi, a Górecki i Kang złapali pod ramiona. Wyrwał się, ale i tak zataszczyli go nad brzeg.

–Raz... dwa... trzy... wodujemy!

Jaansma rozgłośnie chlupnął do stawu.

–Co to ma być, do diabła? – prychnął, wystawiwszy głowę nad powierzchnię wody.

–Nie jesteś już wszawym rekrutem – powiedział Stanislaus. – Teraz jesteś jednym z nas, biedny skurczybyku. Poza tym czeka cię miła wycieczka do Leggett. Bez nas, więc na pewno napytasz sobie jakiejs biedy.

Jaansma stanął w głębokiej do kolan wodzie. Nie zauważył, że do ramienia

przyczepiła mu się lilia.

–Dalej, szturmowcu Jaansma – powiedział Dill. – Przestań się mazać i rusz dupę na kompanię. Stary chce za godzinę załatwić to z tobą oficjalnie.

Garvin siedział na swojej pryczy. Obok niego leżała granatowa bluza od munduru.

Raz jeszcze przesunął palcami po naszytej właśnie czerwonej belce szturmowca.

–Nie odejdę stąd jednak – usłyszał.

Uniósł głowę. O jego pryczę opierał się Njangu. Też miał na pagonach po czerwonej belce.

–Nie do wiary, że nam się udało – odezwał się Garvin.

–A co się miało nie udać? – roześmiał się Yoshitaro. Ale nie przyszedłem tylko po to, żeby ci pogratulować. Wiesz, że mamy tydzień przepustki?

–Cent mówił mi coś o tym. Ale chyba myślałem akurat o czymś innym...

Njangu wyszczerzył zęby w uśmiechu.

–Ja też. Najważniejsze jednak mi nie umknęło. Tym bardziej że zaraz po naszym powrocie zaczynają się manewry całej jednostki. To będzie burdel na wrotkach.

Ale przedtem... masz ochotę wplątać się w jakieś kłopoty w towarzystwie szemranego gościa ze zwiadu?

–Jak diabli! – zawołał Garvin. – Myślałem już, że nigdy o to nie zapytasz, szturmowcu Yoshitaro.

Wejście do jaskini miało tylko metr wysokości i było ukryte za gęstymi zaroślami.

Dziesięć kroków dalej korytarz przechodził w wielką komorę zajmującą znaczną część wzgórza. Było tu chłodno, co stanowiło miłą odmianę po panującym na zewnątrz upale tropikalnej nocy.

Dwadzieścioro mężczyzn i kobiet siedziało w półokręgu na kocach, trzy lampy rzucały cienie na ściany i wysokie sklepienie. Wszyscy trzymali broń pod ręką.

Pośrodku stał Comstock Brien.

–Czy mamy pewność, siostrze, że ten meldunek jest zgodny z prawdą?

Jo Poynton wzruszyła ramionami i rozłożyła ręce.

–Mój agent nie popełnił dotąd żadnego błędu. Muszę jednak zaznaczyć, że nigdy też nie przekazał czegoś tak istotnego.

–Zatem jeśli jest prawdą, że rentierzy stracili kontakt ze swoimi władcami z Konfederacji, zespół planowania musi ustalić, w jaki sposób możemy na tym skorzystać – mruknął Brien.

Jord'n Brooks wstał.

–Przepraszam – powiedział uprzejmie. – Nazywam się Jord'n Brooks. Jak wiecie, jestem najnowszym nabytkiem zespołu planowania, wybaczcie mi więc, proszę, że nie zapamiętałem jeszcze wszystkich imion czy nazwisk, albo że naruszam protokół, nie czekając, aż wypowiedzą się starsi stażem. Myślę, że należy jak najszybciej wykorzystać okazję! Musimy zacząć mocnym uderzeniem, atakiem, który stanie się jawnym wyzwaniem.

–Na przykład? – spytał ktoś.

–Proponowałbym szturm na pałac gubernatora. Należy wybrać niewielki oddział, wyposażać go w ładunki wybuchowe i zaatakować. Niejeden zginie, oczywiście, ale staną się męczennikami rewolucji. Poza tym, jeśli dobrze zaplanujemy akcję, będą umierać ze świadomością, że zabierają ze sobą wielu spośród satrapów Konfederacji. A jeśli wybierzemy odpowiednią chwilę, dopadniemy i samego gubernatora.

–Ha! – parsknął Brien. – To czyste awanturnictwo, o włos od kontrrewolucyjnej propagandy! Musimy działać powoli i starannie rozważać każdy krok.

–Obrażliwe słowa i uleganie stereotypom. To nie przystoi bojownikowi – powiedział chłodno Brooks. – Czyżbyś nie miał innych argumentów na obronę swoich racji? To dlatego natychmiast atakujesz tych, którzy zgłaszają nowe pomysły i gotowi są do poświęceń?

Uważaj, bracie, bo to pachnie kultem jednostki i kultem elit. Nie po to chcemy zmierzyć się ze sługusami Konfederacji i rentierami, by utorować drogę nowemu dyktatorowi, tym razem z naszych szeregów.

–Ty również powinieneś zachować czujność, bracie Brooks – powiedziała Poynton. – Nie jesteś daleki od kwestionowania zasad Ruchu.

–Przepraszam i dziękuję za zwrócenie uwagi – odparł Brooks. – Zrozumiałem swój błąd, proszę brata Briena o wybaczenie i wycofuję propozycję. Oczywiście, że musimy działać ostrożnie i pamiętać o możliwości porażki, a nie stawiać wszystko na jedną kartę. Nie wolno nam jednak także zastygnąć w bezruchu, który może zostać uznany za tchórzostwo.

Skoro mój pierwszy pomysł nie zasłużył na akceptację brata Briena, pozwólcie, że przedstawię następny. Za kilka tygodni zaczynają się doroczne ćwiczenia wojskowe.

Mieszkańcy głównej wyspy traktują je od dawna jak swoistą atrakcję, prawda? Nie wszyscy wiedzą, że finał tych ćwiczeń, ostatnia bitwa, przyciąga zwykle sporą grupę członków rządu oraz wielu rentierów.

–Wszystko się zgadza – powiedział ktoś.

–Dlaczego nie zaatakować tych świń, gdy znajdą się na otwartej przestrzeni, z dala od swoich fortec, straży i sensorów? Jak silną będą mieli ochronę podczas tego niby-święta?

–Nawet jeśli to wojna na niby, ćwiczące oddziały są prawdziwe.

–A czym one nam zagrażą? Bronią nabitą ślepakami? Dlaczego mielibyśmy w ogóle przejmować się wojskiem? Stacjonujący u nas żołnierze są niedozbrojeni, mają starzejące się wyposażenie, a że stracili kontakt z Centralnym, ich morale musi być niskie.

Poza tym nawet najbardziej zwyrodniały żołdak z bazy Mahan na pewno choćby mgliście zdaje sobie sprawę, że jest żołnierzem armii okupacyjnej wykorzystywanej do uciskania Raumów.

–Jasne! Chyba że ma na ten temat inne zdanie! krzyknął ktoś, wywołując salwę śmiechu.

–Ciekawa koncepcja – powiedziała Poynton. – Domyślam się, że właśnie na tym oparłeś całą swoją strategię?

–Oczywiście – odparł z ożywieniem Brooks. – Uderzać od teraz, mocno i często.

Nie tylko w rząd i rentierów, ale również w musthów, gdziekolwiek uda się znaleźć to obrzydliwe robactwo. W Leggett czy na płaskowyżach, gdzie się okopali, żeby knuć plany naszej zagłady.

–A co nam to da? – spytała jakaś kobieta. – Nie wygląda na to, by ich imperium się rozpadało. A jeśli na nas uderzą? I to nie tylko tymi siłami, które mają w układzie Cumbre, ale i ściągną posiłki ze swoich światów?

–Tym lepiej – odpowiedział Brooks. – Jeśli tak zrobią, wypowiedzą wojnę nie tylko nam, ale wszystkim ludziom. Staną się naszym wspólnym wrogiem, a ponieważ tylko my mamy jakiś plan, dostaniemy wtedy Cumbre jak na tacy. I pokonamy musthów.

–Mówisz, że mamy szansę z nimi wygrać?

–Oczywiście – rzucił z pogardą Brooks. – Jesteśmy Raumami. Czy jest wśród nas ktoś, kto wątpi, że Jedyny, który nas stworzył, pozwoli musthom zwyciężyć? Dlaczego Jedyny miałby zaprzeczać sam sobie, odmawiając nam prawa do władania ich światami i całym wszechświatem? Przecież go nam obiecał.

Zapadła cisza. Po chwili dały się słyszeć głosy: „No nie”, „Jasne, że nie”.

Znowu rozległ się śmiech. Brooks wyszczerzył się i podjął temat:

–Nie ma zatem w ogóle co myśleć o niemożliwym. Uderzymy na musthów, zepchniemy ich najpierw do warownych enklaw, a następnie wyrzucimy z Cumbre D.

Potem będziemy mogli zaatakować ich bazę na Cumbre E i pozbedziemy się tego draństwa z całego układu. Gdy zdobędziemy jeszcze Cumbre C, bogactwa tego świata pozwolą nam na dalszą ekspansję. Triumfalną ekspansję.

–Raz jeszcze muszę ci wypomnieć, bracie, że żyjesz z głową w obłokach – powiedział Brien. – Wróćmy lepiej do Cumbre D. Co się stanie po tym, jak zaatakujemy podczas manewrów? Jakkolwiek silnie byśmy uderzyli, w bazie zostanie na pewno dość żołnierzy, aby mogli nam uprzykrzyć życie. Ruszą w góry, żeby nas tropić. To będzie okrutna kampania, chociaż jestem z tego zadowolony, gdyż pasuje to dokładnie do naszej oficjalnej strategii – dodał z naciskiem.

–Ja też zakładam, że wojsko ruszy w góry, ale po naszym zwycięstwie – powiedział Brooks. – Wtedy nas już tam nie będzie. Rewolucja powinna... rewolucja musi rozgorzeć w ludzkich sercach. Przyczyniamy się do tego i teraz, siedząc w górach i

przekonując do naszych prawd rolników, pasterzy czy myśliwych. Wciąż się do nas przyłączają, ale wolno, przerażająco wolno. Na dodatek na każdego nawróconego tracimy dwóch, którzy umierają od powszechnych w dżungli chorób, i jednego, który ginie z rąk wojska. To niedobre proporcje.

Nasi bojownicy, chociaż przyszło im żyć w lesie, są w większości podobni do mnie. Ich żywiołem jest miasto. Będę szczery: uważam, że nie przyczyniam się obecnie do powodzenia Sprawy najlepiej, jak bym mógł. W tych warunkach nie mam na to szans. Urodziłem się i wychowałem w Leggett. Zanim się przyłączyłem do Ruchu i zanim los rzucił mnie do pracy w kopalni, robiłem wiele innych rzeczy. Dobrze znam miasto. Jest terenem o wiele trudniejszym niż dżungla, jednak to właśnie do niego powinniśmy przenieść naszą walkę, gdyż tam będzie to walka na bliski dystans, którą łatwiej będzie nam wygrać.

Pośród ulic i budynków wojsko nie będzie mogło skorzystać ze wsparcia desantowców, rakiet czy artylerii. Jeśli zdecydujemy się na to, zmieni się również nastawienie do nas i do Sprawy. Gdy ludzie słyszą o patrolu wystrzelanym gdzieś w górach, ziewają i zmieniają kanał.

Jeśli jednak to samo zdarzy się w centrum Leggett... Wszyscy zobaczą, że jesteśmy silni, i zwycięstwo będzie o wiele bliższe.

Brien chciał coś powiedzieć, ale Brooks go uprzedził:

–Gdy odniesiemy pierwsze sukcesy, rząd i jego poplecznicy przykręca śrubę.

Rozstawiają punkty kontrolne, wydzielają strefy zakazane, wprowadzają zakazy i terror.

Ludzie sami stwierdzą, że mówimy prawdę o panującym na Cumbre porządku. Zaczną się do nas garnąć, a wojsko odpowie oczywiście nasileniem represji. Potem, bracia i siostry, będzie się to już nakręcać samo. Z garstki zapomnianych po części i lekceważonych bojowników kryjących się przez wiele lat w dżungli wyrosnie prawdziwa ludowa armia. Wszyscy staną się naszymi braćmi i siostrami i to będzie dzień naszego ostatecznego zwycięstwa!

Brooks umilkł i w jaskini zapadła cisza, czuł jednak, że zdobył tych ludzi. Po chwili ktoś zaklaskał, a Brien zerwał się na nogi.

–Brat Brooks jest jednym z naszych najbardziej natchnionych agitatorów – powiedział. – Myślę, że powinniśmy podziwiać moc jego słów, niemniej...

–Przepraszam, że ci przerywam, bracie – odezwała się Poynton. – Nie jestem pewna, czy powinniśmy dyskutować o tym właśnie teraz, gdy jesteśmy rozgorączkowani.

Proponowałabym, abyśmy odłożyli debatę na temat tak ważnych elementów naszej strategii do czasu, aż będziemy mogli spojrzeć na nią chłodno i omówić to w komórkach naszej organizacji. Z jednym wyjątkiem...

Brien wydał wargi.

–Podoba mi się pomysł brata Brooksa, aby wykorzystać manewry... – ciągnęła Poynton. – Szukaliśmy przecież okazji, aby zademonstrować nasze możliwości, przeprowadzając jakąś większą akcję. Dlaczego wydaje mi się, że to może być właściwa okazja? Bo moglibyśmy uderzyć małymi siłami, nie ryzykując życia wielu bojowników, i to z dala od naszych baz i domów, a cios zadany przeciwnikowi mógłby być bardzo dotkliwy.

Członkowie zespołu planowania spojrzeli po sobie z namysłem. W końcu jeden z mężczyzn wstał.

–Zgadza się. Uderzmy od razu, z przytupem, i zobaczmy, co z tego wyniknie!

Po chwili propozycję poparła kolejna osoba. A po niej jeszcze dwie.

–Rozumiem – powiedział Brien. – Brat Brooks przypomniał pomysł, z którym już od dawna się nosiliśmy. Nie kryję sceptycyzmu, ale może faktycznie nadeszła już pora przenieść wojnę na podwórko przeciwnika. Kto popiera ten plan?

Ręce poszły w górę.

–Ponad połowa. Muszę skłonić głowę przed bratem Brooksem i jego elokwencją.

Powinniśmy czym prędzej rozpocząć planowanie szczegółów akcji. Na razie jednak chyba musimy zakończyć spotkanie. Niektórzy z nas mają długą drogę do miejsc, w których muszą pokazać się o świcie.

Gdy uczestnicy spotkania zbierali swoje rzeczy, Poynton podeszła do Brooksa.

–Są tacy, którzy uważają, że dzięki tej akcji chcesz zdobyć pozycję do awansu w strukturze organizacji – powiedziała półgłosem.

–Pewnie tak gadają – odparł obojętnie Brooks. – Ale mało mnie to obchodzi. Dla mnie ważne jest tylko to, że potem nie będzie już miejsca na żadne kompromisy.

Zostanie nam już tylko walka aż do zwycięstwa.

–Ale jaja! – wycedził Erik Penwyth, patrząc na centrum rekreacyjne. – Zwykle koszary, tyle że pomalowane na kolorowo.

–I gorzej posadowione – dodał Njangu. – Z widokiem na gnojówkę.

Centrum rekreacyjne bazy tworzyły zabudowania przypominające wojskowe baraki.

Wznosiły się na stoku wzgórza nad największym w okolicy zbiornikiem osadowym, do którego spływały ścieki z Leggett.

Przepustkowicze byli w koszulkach z krótkim rękawem, szortach, podkolanówkach i skórzanych sandałach. Tylko obuwie było czarne, reszta w kolorze khaki.

–Czy gdybym miała jaja, zapytała królowa, byłabym królem? – rzuciła Angie nie bardzo na temat.

–Jaja to nie wszystko, odparł diuk. Mam je, a królem nie jestem – dokończył Garvin.

–Doprawdy, świetny żart – rzucił Njangu.

–Bawcie się dobrze i do zobaczenia za tydzień – powiedział Faull i pognął stokiem w dół, ku raczej symbolicznemu posterunkowi przy bramie centrum.

–Cześć i już go nie ma – mruknął Ton Milot. – Dokąd się tak spieszy? – Po chwili gwizdnął przeciągle, widząc obejmującą byłego Rauma urodziwą kobietę w widocznej ciąży.

Obok stał chłopiec, może trzyletni. – Dziś pytanie, dziś odpowiedź. Ma farta.

–Kim ona jest? – spytała Angie. – Jego żoną czy konkubiną?

–Tak czy owak, regulamin nie zabrania, prawda? rzekł Milot.

–Jasne – zgodziła się Angie. – Zameldujemy o tym?

–Chcesz go zakapować, Rada? – spytał Njangu ze stężałą nagle twarzą. – Po co?

–A, tak tylko powiedziałam – odparła zakłopotana Angie. – Przecież on jest z Raumów, prawda?

–Jest jednym z nas – powiedział Yoshitaro. – A wśród nas nie ma donosicieli.

–Tylko żartowałam.

–Tak, dobry żart... – mruknął Njangu.

–Pieprzę was. Zresztą mniejsza z tym, dobra?

Njangu nie był przekonany, ale pokiwał głową.

–Skoro już zaczynamy się kłócić... – zaśmiał się Garvin. – Czy ktoś naprawdę ma ochotę zostać w tym przybytku, który słynął z pancernych karaluchów już w czasach, gdy Budda był finfem?

–A mamy jakiś wybór? – spytał Milot. – Chyba że ktoś uzbroił się przypadkiem w coś więcej niż nasz normalny żołd.

–Rodzina podesała mi dwie setki na zakończenie unitarki – powiedział Penwyth. – Dorzucam do puli, chociaż obawiam się, że na pięć osób to niewiele zmieni.

–Więc chodzi tylko o pieniądze – ucieszył się Jaansma. – Zobaczymy, co uda mi się wykombinować.

–Potrzebujesz pomocy? – spytał Njangu.

–Chyba nie. A teraz módlcie się za mnie, bracia i siostry, albowiem wyruszam między nieczystych i nieumnych uzbrojon w nadzieję jedynie, że uda mi się ucieszyć serca nasze i rozjaśnić prozę życia naszego. Bracie Penwyth, wskaż z łaski swojej jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy umówić się na ponowne spotkanie. Miejsce stosowne dla już niebawem bogatego drania.

–Jeśli tak, to proponuję Shelbourne – powiedział Erik. Przy plaży, niedaleko stąd.

–To umawiamy się tam... powiedzmy o zmroku, dobra? – Nie czekając na odpowiedź, Garvin ruszył do bramy.

–Nic już nie rozumiem – mruknął Erik.

–Nasz przyjaciel poszedł skubać naiwnych, jak sam to określa – wyjaśnił Njangu.

–Obrotny w języku, jak na szturmowca.

–On w ogóle jest niezły. Jako szturmowiec i nie tylko – rzuciła z rozmarzeniem Angie.

–Taaa... Ale nie lubi szpicli.

–Przepraszam, wygłupiłam się – powiedziała dziewczyna, przysuwając się do niego.

–Mniejsza z tym – odparł Njangu. – Chodźmy zrzucić bagaże. Potem rozejrzemy się

trochę po Leggett.

Dużą część centrum zajmował rozległy park z licznymi krętymi ścieżkami i bujnymi zaroślami.

–W nocy wszędzie tu pełno wróbelków – powiedział Milot.

–Naprawdę? – zainteresował się Yoshitaro. – Takich na sznurku?

–Hę?

–Facet kryje się w krzakach i wystawia na wabia panienkę. Gdy ktoś złapie się na przynętę, ta daje znak współnikowi, który wyskakuje, wali niedoszłego klienta w łeb i zabiera mu forszę.

–No nie! – wykrzyknął Milot. – Ale ty masz o nas zdanie... Leggett nie jest takie.

–Pewnie jeszcze gorsze – mruknął Njangu. – Myślisz, że tam, gdzie jest forsa, nie ma występku? Ale pewnie wzorowy żołnierz nie powinien tak myśleć. Prowadź.

Uliczki w śródmieściu były wąskie i kręte. Czwooro wojaków musiało się przytulić do zaparkowanego na chodniku ślizgacza, żeby przepuścić inny pojazd.

–Kosztowniejszy kawałek świata, co? – mruknął Njangu, widząc, że Penwyth wpatruje się w wystawę sklepu jubilera.

–A tak... I to widać.

–Popatrzcie tylko na to – powiedziała rozemocjonowana Angie. Wskazywała na inną wystawę, na której stała tylko jedna torebka z paskiem na ramię. Była cała ze złotych łańcuszków. – Czy to nie cudo?

–Taaa... – przyznał Erik. – Tylko sześćset siedemdziesiąt osiem kredytów.

Dwumiesięczny żołd. Będzie ci pasowała do munduru, Angie.

–Skoro tak, to może wrócimy do parku? – zaproponował Milot. – Njangu twierdzi, że występki to dla niego nie nowina, więc to on zaczął się w krzakach. A może i ja się nadam?

Tak czy owak, zwykłą żołnierką nikt na to nie zarobi.

–Ale musi być jakiś sposób – powiedziała z rozmarzeniem Rada.

–I to byłoby na tyle, jeśli chodzi o moje ewentualne oświadczenia – westchnął Njangu.

–Nie stać mnie na żonę z takimi zachciankami.

Angie roześmiała się i objęła Yoshitara.

–Wybaczone? – zapytała.

–Co?

–Dziękuję.

–Hej, Erik! – zawołał ktoś i cała czwórka się odwróciła. Z drugiej strony ulicy machała w ich stronę jakaś kobieta.

–Jasith! – krzyknął Erik i pobiegł do niej, lawirując między ślizgaczami.

Pozostali ruszyli za nim, uskakując przed kolejnymi pojazdami. Ruch był tu spory.

Njangu uznał, że kobieta może być warta nawet śmierci w wypadku ulicznym. Była smukła jak modelka, z obu stron owalnej twarzy spływały jej długie czarne włosy.

Mogła mieć około dziewiętnastu lat. Pełne wargi i ciemne oczy obiecywały rozkoszne doznania.

Przez cienką bluzkę przebijały wyraźnie sutki niewielkich piersi. Obwiązana wkoło torsu barwna chusta wyglądała, jakby się z nich zsunęła. Dziewczyna nosiła jeszcze dopasowane kolorystycznie szorty i sandałki na wysokim obcasie.

Njangu patrzył z zawiścią, jak pada Erikowi w ramiona, ale zauważył z nadzieją, że pocałowała go raczej po przyjacielsku i zaraz się odsunęła.

–Ale z ciebie seksowny żołnierz – powiedziała chrapliwym, bliskim szeptu głosem.

–Bo ja jestem seksy w każdej roli – zaśmiał się Erik. Słyszałem, że ciężkie czasy skłoniły cię do podjęcia pracy w Mellusin Mining?

–Och, sam wiesz... Nic się nie dzieje, całkowity zastój.

Pomyślałam, żeby otworzyć jakiś sklep, więc tata chciał mi pokazać, jak robi się interesy. Bardzo nudna robota. Już miałam nadzieję, że się odnajdę w branży bielizny damskiej, ale wyszło na to, że równie dobrze mogłabym poprowadzić sklep mięsny.

Ta sama fatyga. Tu zniżka, tam okazja, potem kasa... Może dla odmiany wyjdę teraz za mąż. – Rozejrzała się. – To twoi przyjaciele?

Penwyth przedstawił ich kolejno.

–A to jest Jasith Mellusin. Stara przyjaciółka mojej rodziny.

Młoda stara przyjaciółka uścisnęła wszystkim dłonie, ale z Radą wymieniła dodatkowo spojrzenie pełne odwzajemnionej nienawiści.

–Więc wypuścili cię z klatki? – spytała Erika.

–Musieli. Byłem tak dobry, że oczy przecierali. Masz przed sobą superszturmowca.

–Nie wierzę ci nawet w połowie – powiedziała ze śmiechem Jasith. – Ale skoro dostałeś urlop czy jak to tam nazywacie, będziesz jutro na przyjęciu Bampura?

–Nie. Nikt mnie nie zaprosił, odkąd poszedłem w kamasze.

–Och, to będzie straszne, jeśli się nie pojawisz. Musisz przyjść. Właśnie cię zaprosiłam. Ciebie i twoich przyjaciół. Allah wie, jak bardzo brakuje nam nowych twarzy.

Njangu uklonił się.

–A jeśli będzie tam więcej takich twarzy jak twoja, to Allah wie, jak bardzo chcielibyśmy tam trafić.

Angie z jakiegoś powodu poczerwieniała, ale Njangu udał, że niczego nie zauważył.

Jasith zachichotała.

–On jest z Centralnego – powiedział Erik. – Był na tym statku, który porwali piraci.

–Naprawdę? – spytała Jasith. – Jak udało ci się uciec?

–To długa i krwawa opowieść – odparł Njangu. – Niestosowna dla uszu dziewic ani osób nazbyt młodych, żeby znieść ten wstrząs.

–Więc z całą pewnością mogę spokojnie posłuchać stwierdziła dziewczyna.

–Jeszcze czego – mruknęła Angie.

Jasith udała, że tego nie dosłyszała.

–Zatem do jutra – powiedziała do Erika. – Tylko nie zaśpij i zjaw się przed północą.

–Nawet nie będę się kładł – odparł Penwyth. – Zwalimy się wszyscy, z pompą i paradą.

–Co tam jest? – spytał Yoshitaro, spoglądając na kilka otwartych bram, którymi

można było przejść na sąsiednią ulicę.

–Miejsce, które ominiemy – powiedziała Angie.

–Dlaczego? Wygląda zachęcająco, a nas jest aż czworo, wszyscy po przeszkoleniu bojowym i tak dalej.

–To Eckmuhl, dzielnica Raumów – wyjaśnił Penwyth. – Nie wchodzimy na ich teren, a oni nie pchają się na nasz.

–Ciekawe zwyczaje tu macie – mruknął z dezaprobatą Njangu.

–Ważne, że to działa – odrzekła obronnym tonem Angie.

Milot parsknął. Njangu myślał, że zaraz coś powie, ale nie doczekał się komentarza.

W bramach stało siedmiu mężczyzn mniej więcej w wieku Njangu. Byli ubrani na jasno i opierali się miękko o kamienny mur, jakby nie mieli kości.

–Oto siedem powodów, aby tam nie wchodzić – powiedział Erik. – Kolesie o zdecydowanie złej reputacji, którzy chętnie sprawdzą nasze zeznania podatkowe.

Yoshitaro zdusił uśmiech wypływający mu na usta. Młodzieńcy bardzo przypominali mu jego samego i jego kolegów z czasów, gdy mieszkał jeszcze na Waughtal.

–Dzięki za info – mruknął całkiem szczerze. – Jak duża jest dzielnica Raumów?

–Ze trzy-cztery kilometry w każdą stronę. Kończy się zaraz pod dzielnicą rządową.

–Ilu ludzi tam mieszka?

Penwyth wzruszył ramionami.

–Milion? Może więcej? Rachmistrze tam nie zagląдают. Ani oni, ani nikt inny.

–A jeśli zdarzają się jakieś problemy?

–Raumowie sami o siebie dbają – powiedziała Angie. – Dwa razy dziennie gliny odbierają stamtąd mały konwój karawanów.

–Drugi oficer z łajby, na której pływałem, wszedł tam kiedyś. Nikt nie wie dlaczego.

Zawsze wydawało mu się, że jest największym twardzielem na świecie, i wszedł.

Może zresztą przyuważył jakąś dziewczynę. Rano patrol znalazł przed tą bramą jego głowę – powiedział Milot. – Nigdy się nie dowiedzieliśmy, co właściwie się stało.

–Ostre dranie – syknął Njangu. – A Hank? Nie napyta siebie biedy, że poszedł do wojska, chociaż jest Raumem?

–Kto to wie? – odparła Angie. – Tylko Raum zrozumie drugiego Rauma.

–I pewnie dlatego wojsko tak dobrze sobie radzi z bandytami – mruknął pod nosem Yoshitaro.

–Hej, to twoje? – spytał Njangu.

Napis głosił: RADA JEST DOBRY NA WSZYSTKO. Zajmował z pół frontonu budynku, a sądząc po wystawach poniżej, mógł nawet nieprzesadnie rozmijać się z prawdą.

Efekt wzmagały pomniejsze napisy: NIE MAMY TYLKO TEGO, CZEGO NIE

POTRZEBUJESZ, ZBIJAMY CENY

JAK NIKT INNY, ŁATWE

PŁATNOŚCI,

OBSŁUGUJEMY KAŻDEGO.

–Tak – niechętnie przyznała Angie.

–To może zajrzysz na chwilę i pobierzesz zaliczkowo kieszonkowe za najbliższe pół roku? Byłoby jak znalazł na imprezę.

–Nie. Nie mogę.

–Dlaczego? – zapytał Erik. – Jesteś kochaną córeczką tatusia, właśnie ukończyłaś najtrudniejszą szkołę, jaką może zafundować armia. Dlaczego nie miałby okazać, jak bardzo cię kocha?

–Kocha?! – prychnęła Angie.

–O co chodzi? – spytał Milot. – Nie żyjesz dobrze z rodziną?

–Zostaw, dobrze? – warknęła Angie. – Po prostu daj spokój, co?

–Przepraszam, że w ogóle zacząłem. Nie było rozmowy.

Njangu poczekał, aż reszta nieco ich wyprzedzi, i spojrzał na Angie.

–Mogę cię o coś spytać?

–Jeśli o moją rodzinę, to nie. W tej chwili nie mam siły, żeby to ruszać.

–Nie o rodzinę. W każdym razie niezupełnie. O co chodzi z tym napisem „Obsługujemy każdego”?

–Moja rodzina handluje ze wszystkimi, ale przede wszystkim z Raumami.

–No to chyba się zgubiłem. Jeśli tak na nich zarabiacie, to dlaczego ich nie cierpicie?

–Bo są brudni, mnożą się jak szczury i najchętniej wytłukliby wszystkich, którzy nie są Raumami. Powinno się ich pogonić z Cumbre – odparła zjadliwie. – Gdyby ludzie mieli choć trochę rozumu, już dawno by to zrobili i sami zaczęli pracować w

kopalniach. Ale nie chcą. Jak zawsze, wołają, żeby kto inny odwał za nich czarną robotę. Któregoś dnia to się zemści.

Njangu przyjrzał się uważnie dziewczynie i uznał, że już starczy tych indagacji.

–Hej – powiedział cicho.

–Co? – warknęła.

Ujął jej twarz w dłonie i pocałował. Oczy rozszerzyły jej się ze zdumienia, potem jednak z wolna rozchyliły się wargi, a język wysunął na spotkanie jego języka.

Objęła

Njangu.

–Wy tam! – krzyknął Penwyth. – Do nas! Żadnej fraternizacji w szeregach!

Angie spojrzała na Yoshitara.

–Mam nadzieję, że nie masz zwyczaju wydawać forsy, która do ciebie nie należy – powiedziała lekko zdyszana. – Już myślałam, że lecisz na tę bogatą dziwkę, znajomą Erika.

Njangu poruszył brwiami. Angie roześmiała się, a Yoshitaro pomyślał, że to całkiem miły dźwięk.

–I to tyle w kwestii nieustraszonych wojaków na szampańskiej przepustce – parsknęła Angie. – Wypuść takich i co zrobią? Jak zwykli turyści przespacerują się nabrzeżem, żeby popatrzeć na jachty. Dzień ma się prawie ku końcowi, a my? Wypiliśmy po dwa piwa na głowę, zjedliśmy jakieś byle co i grzecznie się przechadzamy.

–A co w tym złego? – spytał Milot. – Widok morza relaksuje.

–Gdybym chciała relaksu, walnęłabym się spać w centrum. A ja szukam czegoś żywszego. Wiecie, seks, dragi i takie tam...

–Zajrzyj do pierwszego z brzegu lokalu – poradził Erik. – Wszystkie wyglądają obiecująco, jeśli chodzi o porządne mordobicie.

Njangu rozejrzał się po nabrzeżu.

–Naprawdę? I myślisz, że to wystarczy naszej drogiej Angie? Myślałem, że dla niej zabawa zaczyna się od pięciu trupów wżwyż... A to co?

Całkiem niedaleko sześciu mężczyzn dopadło ulicznego handlarza. Był młody i raczej obdarty. Świecidełka, które sprzedawał, leżały na ziemi, a chłopak, popychany, zataczał się od jednego dręczyciela do drugiego. Yoshitaro słyszał ich okrzyki: „Cholerny Raum!”, „Do wody z nim!”, „Dokop mu, Sayid!” Sayid już się do tego zabierał, gdy nagle usłyszał za sobą cichy głos:

– Nawet o tym nie myśl.

Obejrzał się i ujrzał Njangu.

– Spadaj, żołnierzyku – poradził mu.

– Jasne – odparł zgodnie Yoshitaro i okręcił się na pięcie. Nagle wyrzucił stopę i kopnął mężczyznę w gołe nóżki. Sayid zawył i pochylił się, a wtedy Njangu wyrzucił go w powietrze i poprawił, przywalając z góry w kark.

Kolejny mężczyzna złapał Njangu za kołnierz, ale zaraz poczuł kolano w brzuchu i upadł, wymiotując.

Trzeci wyciągnął nóż z pochwy przy pasie, jednak Milot złapał go zaraz za uzbrojoną rękę i uderzył nią o swoje kolano tak silnie, że trzasnęły kości opryszka.

Czwartemu Angie wpakowała nóż w płuco. Zakrztusił się krwią i upadł.

Njangu dwa razy kopnął w głowę piątego. Uderzał mocno, z całej siły. Mężczyzna zajęczał i zachwiał się, przyciskając dłonie do zmasakrowanej twarzy.

Ostatni trzymał już ręce w górze i cofał się powoli przed zmierzającym w jego stronę Erikiem.

– To nie ja... ja nie chciałem – zapewniał.

– No to już cię nie ma.

Posłuchał, odbiegł z dziesięć metrów i rozdarł się na całe gardło:

– Policja! Pomocy! Policja!

Njangu pomógł wstać chłopcu.

– Ty też lepiej zmykaj, przyjacielu.

Raum spojrział na niego ze złością, splunął i błyskawicznie uciekł.

– Fajnie – mruknął z sarkazmem Yoshitaro, ocierając twarz rękawem. – Męstwo nasze samo w sobie ma być dla nas nagrodą. A teraz zmywajmy się, zanim naprawdę

zjawia się tu jakiś przedstawiciel prawa.

–Tutaj! – powiedział Njangu, gdy mijali wejście do hotelu, na który wyraźnie stać było wyłącznie przedstawicielei klasy próżniaczej. Luksusowe ślizgacze wyrzucały ostentacyjnie bogatych pasażerów, personel w liberjach miotał się pracowicie, aby przyjąć ich jak najgodniej. – Nikt nie będzie szukał żołnierzy w takim miejscu.

–Poza tym tutaj umówiliśmy się z twoim przyjacielem – zauważył Penwyth. – W najgorszym razie postawimy chociaż drinka naszej drogiej Angie.

Zwolnili i spróbowali przybrać zblazowane miny, ale niewiele im z tego wyszło.

Hol hotelu Shelbourne był urządzone w staroświeckim stylu, stały w nim głębokie, obite skórą fotele, ściany zdobiła ciemna boazeria i ryciny przedstawiające ludzi w czerwonych płaszczach, którzy uskakiwali i chowali się za jakimiś płótkami przed czworonożnymi rogatymi stworami.

–Gdzie tu może być bar? – głośno zastanowił się Njangu.

–Nie wiem, ale to na pewno nie jest miejsce dla mnie stwierdził Ton Milot. – Chodźmy stąd. Wolę już mieć do czynienia z glinami.

Na ich widok recepcjonista wydał pogardliwie wargi, ale nagle zmienił się na twarzy.

–Panie Penwyth! Nie wiedziałem, że podjął pan służbę wojskową.

–Patriotyczny obowiązek – warknął Erik możliwie nonszalancko.

–W każdym razie miło mi pana widzieć. Zamierza pan zjeść u nas obiad?

–Nie mam jeszcze sprecyzowanych planów. Na razie szukamy naszego przyjaciela, pana Jaansmy. Nie było go tutaj?

–Ależ jest, zameldował się z godzinę temu. Zapewne należy pan do tej grupy, którą zapowiadał. Pokoje już czekają. Sześć pokojów z widokiem na morze. Udało mi się ulokować wszystkich państwa na tym samym, ósmym piętrze. Szkoda, że nie wiedziałem, że i pan będzie w tym gronie. Gdyby zechciał się pan podpisać... A co słyhać u pańskich rodziców?

–Obecnie spędzają większość czasu na zewnętrznych wyspach – powiedział Erik. – Zamknęli główny dom na Wzgórzach.

–Aha – mruknął recepcjonista, podsuwając pozostałym archaiczną księgę gości. – To dlatego ostatnio ich nie widywałem. Serdecznie witamy w Shelbourne.

–Kazałem już przenieść tu wasze rzeczy z centrum powiedział wylegujący się na

łóżku Garvin. – Nie ma co tracić czasu i sił.

–Musiałeś ograć kogoś naprawdę bogatego – zauważyła Angie.

–I głupiego – dodał Milot.

–Zgadza się, co do joty. A teraz umyjcie zębki i za pół godziny spotykamy się w barze.

Njangu zawahał się z wyjściem.

–Nieźle się postarałeś. Chyba są pod wrażeniem.

–Chłopie, ja sam jestem pod wrażeniem, chociaż niby nie powinienem, bo graliśmy moją talią. A na początek chcieli się wykpić drobnymi, jakby to była zwykła gra.

Ale ostatecznie sięgnęli po grubszą walutę i powinniśmy mieć całkiem godziwy urlop.

Ech, jednego już się nauczyłem: czy jesteś biedny, czy bogaty, kredyty zawsze się przydadzą.

Njangu poszedł do swojego pokoju. Zamyślony dotknął jedwabnych zasłon, przyjrzał się klawiaturze kompa, sprawdził zawartość barku i popatrzył przez okno na spokojne, pogrążone w wieczornym zmroku morze. Nigdy nie sądziłem, że znajdę się w takim miejscu, pomyślał.

Nagle ktoś zastukał do drzwi. A właściwie nie zastukał, lecz zaskrobał. Njangu otworzył. W progu stała Angie z małą torebką w ręku.

–Gotowy? – spytała.

–Mmmm – mruknął wieloznacznie.

–Powiedziałaś Garwinowi, że trochę się spóźnimy.

–Mmmm?

–Nie wiem, jak ty, ale ja wolę gorące łóżko niż zimny szampan.

–Mmmm.

–Miałbyś ochotę się tym zająć?

Stanęła obok łóżka, wypięła biodro i przejechała kciukiem po zapięciu bluzy. Pod spodem nie miała regulaminowej bielizny w kolorze khaki, ale czarny koronkowy

stanik, przez który widać było sterczące sutki.

Njangu zaczął się rozbierać, ale nie przestawał obserwować Angie, która zrzuciła też sandały, podkolanówki i szorty. Położyła się w poprzek łóżka, zgięła nogę w kolanie i odchyliła ją.

–No to jak będzie? – mruknęła.

Njangu podszedł bliżej i pochylił się nad nią.

–To był zdecydowanie szybki numerek – powiedziała kilka minut później.

–Przepraszam, ale trochę minęło od ostatniego razu.

–Nie przepraszaj – szepnęła. – Wciąż jesteś gotowy.

–Staram się. Może spróbujemy z 69 i zobaczymy, co z tego wyniknie?

Angie posłuchała, a potem otworzyła usta i poszukała dla nich miłego partnerowi zastosowania. Tego wieczoru w ogóle nie dotarli do baru.

–Wyglądasz na trochę zmarnowanego – zauważył wesoło Erik, nalewając rano kawę.

Njangu ziewnął i machnął ręką, jakby oganiał się od much, a Angie przygryzła wargi.

–Za to jego chyba coś przejechało – zauważył Penwyth, wskazując na Garvina.

–Jeśli uważacie, że wyglądam źle, to szkoda, że nie mogę wam pokazać, jak się czuję – jęknął Garvin.

Ton Milot zachichotał.

–Siedzieliśmy sobie przy barze i czekaliśmy na was...

–I piliśmy – wtrącił Erik.

–I piliśmy, owszem, i całkiem nagle się upiliśmy.

–Ja się wtedy nie upiłem – zaprotestował Garvin. Dopiero chwilę później...

–Racja – zgodził się Erik.

Njangu spojrzał z zaciekawieniem na Jaansmę.

–Co było później? Nosorożec cię stratował?

–Grał tam taki zespół... – powiedział słabym głosem Garvin. – Mieli wokalistkę...

–Która ma słabość do blondynów, a jej byli faceci twierdzą, że w tych sprawach jest dzikuską – wyjaśnił Erik. Maya zajęła się Garvinem, a my musieliśmy wybrać sobie co popadnie spośród publiki. I dzięki niech będą za to niebiosom...

–Ja im dziękować nie będę. Kiepsko trafiłem – poskarżył się Milot, a Garvin znowu jęknął.

–Biedaczek – powiedziała Angie i poklepała go po dłoni.

–Mój... no, wiecie... towarzysz tak się czuje, jakby ktoś go przepuścił przez antyczną wyżymaczkę – mruknął Garvin. – Ta kobieta ma wiele osobliwe pomysły i jeszcze dziwniejszy smak... Nie, nie ma mowy, nie pijemy tam więcej. Wspominała coś, że dzisiaj też chętnie by się zabawiła. Jeszcze jedna taka noc, a wyląduję w szpitalu dla weteranów.

–Wyluzuj, dziś imprezujemy gdzie indziej, zapomniałeś? – uspokoił go Penwyth. – Będziemy gwiazdami przyjęcia i idolami stada biuściatych debutantek, które aż nogami przebierają, aby się umówić z hojnie wyposażonym przybyszem z innej planety.

–O czym ty mówisz? – spytał Garvin.

–Racja, zapomnieliśmy ci powiedzieć – przyznał Erik. Wybieramy się do posiadłości Bampura. Facet jest bogatszy od samego Stwórcy. Będzie ciekawie, bo jeśli cała rodzinka jest na miejscu, to stare pryki będą się ostro dobierać do świeżego towaru. A jeśli Bampurowie wyjechali na swoją wyspę i córeczka sama robi imprezę, wszyscy zaczną szybko dobierać się do wszystkich. – Klepnął Garvina w ramię. – Więc nie łam się, stary. Najlepsze dopiero przed nami.

–A co do tego czasu? – jęknął Garvin.

–Może coś ze sportów wodnych? – rzucił Njangu.

–Marya też mi to proponowała w nocy. I nie chciałem. Bardzo, ale to bardzo nie chciałem.

–Mimo to dźwignij cztery litery, inwalido wojenny – powiedział Njangu. – To ci może pomóc.

Niechętnie, bo niechętnie, ale Garvin przyznał w końcu, że godzina pośród załamujących się u plaży bałwanów przywróciła go do życia.

W końcu wytoczył się na suchy piasek, gdzie leżeli już inni.

–Starczy – oznajmił. – Czas na piwo... a potem zakupy.

–Ktoś cię mianował dowódcą naszej wesołej gromadki? – spytała Angie.

–Przecież nie będę obkupywał się sam.

–W co? – spytał Milot.

–W coś, co nie przypomina munduru.

–A co w nim jest takiego? – zaciekał się Milot.

–A to, że człowiek wygląda w takim ubranku jak żołnierz.

–To źle?

–Panie w niebiesiech – jęknął Njangu. – Już wiem, dlaczego on lubi łowić ryby.

Może sobie z nimi potem pogadać. Idziemy!

Ton Milot łyknął piwa i spojrzał na Njangu i Garvina.

–Chciałbym was o coś zapytać.

–Wal – powiedział Garvin.

–Nikt nie kłamie tak gładko jak my – dodał Njangu.

–Obaj jesteście spoza Cumbre – rzekł Milot. – A że teraz nie ma szans na to, żeby wrócić stąd do światów Konfederacji, czy myśleliście o karierze w armii? Macie zamiar przedłużyć kontrakt?

–Pieprz się.

–Nie jestem dość przystojny – stwierdził Ton i wrócił do tematu: – Bo co będzie z resztą, łatwo się domyślić. Erik wróci do rodziny i bogactwa i będzie pracował kilka godzin w tygodniu w kompanii tatusia. Angie... cóż, do wczoraj, gdy mało mi oczu nie wydrapała, myślałem, że przejmie któryś z rodzinnych domów towarowych...

–O, Ton, przepraszam – powiedziała Angie. – Nie powinnam...

–Mniejsza z tym. Nigdy nie byłem zbyt delikatny. A co do mojej przyszłości... gdy przestanę się dziwić, po kiego diabła właściwie włożyłem mundur, zamustruję się na jakąś łajbę, a jak dobrze pójdzie, za jakiś czas kupię własną. Ale wy dwaj? Ty, Njangu, zastanawiasz mnie szczególnie. Przypuszczam, że wolałbyś wrócić tam, skąd przyleciałeś, i dokończyć parę spraw...

–Tu się mylisz – powiedział Yoshitaro. – Gdybym wrócił, zaraz bym trafił przed sędziego. Zostałem nieodwołalnie wygnany.

–No dobra. Ale co będziesz robił?

–Nie wiem – mruknął Njangu, wpatrując się w szklanicę piwa. – Gdzieś polecę. Ta izolacja od Konfederacji nie potrwa wiecznie. Wrócę w bardziej cywilizowane regiony. Może potem znajdę transport na Centralny.

–Co nasuwa kolejne pytanie – odezwał się Penwyth. – Wczoraj, gdy wpadliśmy na tych neandertalczyków objających małego Rauma, zachowaliście się, jakby uliczne nawałanki nie były dla was pierwszozną.

–Uważałem na zajęciach z walki wręcz – odparł Njangu.

–Gówno prawda. Nikt nie uczył nas tak kopać. Szczególnie dwa razy z rzędu. Mam wrażenie, że zawodowo trudniłeś się uszkodzaniem ludzi.

–W żadnym razie. Jestem niewinne jagniątko – powiedział Njangu i zmienił temat: – Swoją drogą, to ciekawe: odcięło nas od mamuśki, a jakoś nikt nie wpada z tego powodu w panikę. Gdy pokazują takie historie w holo, zawsze widać cały tłum gości latających z obłędem w oczach i krzyczących, że doszło do katastrofy.

–Tak wielkie sprawy przenikają do ludzi powoli – mruknął Garvin. – Ale wcześniej czy później to odczujemy. Komuś zabraknie ziemskiego pieprzu, inny będzie na darmo wypatrywał renty. Całe szczęście, że piwo jest miejscowe. – Wychylił prawie pół szklanicy i kiwnął do kelnera, że chce następne. – Zastanawiam się za to, co będzie, jeśli przyjdzie nam rozwiązywać jakieś problemy poza planetą. Na przykład w kopalniach na Cumbre C, bo rozumiem, że to też nasz teren. Nie wyobrażam sobie, jak tam polecę moim griersonem.

–Na takie okazje wojsko czarteruje sporo odpowiednio przystosowanych cywilnych statków – wyjaśnił Eryk. Mój ojciec nieźle zarabia, utrzymując kilka z nich w gotowości do tego rodzaju zadań.

–Dobra, to wiele upraszcza – mruknął Garvin. – Ale powiedzmy, że musielibyśmy wyjść w przestrzeń międzygwiazdną? Niechby ktoś taki jak nasz caud albo ten pustogłowy gubernator zdecydował, że musimy odnaleźć tych „piratów”, którzy załęgali się w okolicy Lariksa i Kury. Gdzie jest ta flota Konfederacji, która powinna nas tam dostarczyć, pokonać flotę tego królika, a potem dać osłonę w trakcie lądowania?

Rozejrzał się po zgromadzonych. Tylko Njangu wydawał się zainteresowany tematem.

Angie ziewnęła ostentacyjnie.

–Za mało wypieś, Garvin. Łyknij jeszcze piwa i nie kracz.

–Gdyby do tego doszło, ktoś na pewno coś wymyśli powiedział niepewnie Erik. – Poza tym jesteśmy tylko zwykłymi szwejami. Nie nam martwić się czymś takim.

–Ale... Dobra, pieprzyć to – rzucił Garvin i poszedł za radą Angie.

–Wracając do mojego pierwszego pytania – zaczął znowu Ton. – Co ty zamýślasz, Garvin? Co będziesz robił w cywilu?

–To akurat łatwo przewidzieć – odparł Jaansma, prostując się dumnie. – Wrócę na Ziemię, gdzie moje miejsce, i znowu będę delfinem i jako następca tronu Francji będę miał dziewczyn na kopy.

–Delfin – prychnął Milot. – Pytałem poważnie.

–A ja poważnie odpowiedziałem i nie moja wina, że mi nie wierzysz. Może zatem tak: najmę się do cyrku, wykupię go i tak urządzę, że ludziom muchy będą do gąb wlatywać.

Njangu już miał się roześmiać, gdy dojrzał wyraz twarzy Garvina.

–Cyrk? – spytał, zanim ktokolwiek zdążył obmyślić dowcipną odpowiedź. – Potem to już chyba tylko do wariatkowa?

–Zapewne tak – odparł poważnie Jaansma.

–Dość tego gadania – powiedział Njangu, wstając i sięgając do kieszeni po drobne. – Pora zrobić się na bóstwa.

Pośród śmiechów i żartów żadne z nich nie zauważyło niepozornego mężczyzny, który ruszył w ślad za nimi po nabrzeżu.

–I co? – zapytała Angie.

–Hm... – mruknął sceptycznie Milot. – Nie wyglądam w tym jak rybak... i na pewno nie przypominam żołnierza.

–I o to chodziło – powiedział Garvin. – Masz wyglądać na bogate bezguście.

I powinno się udać, jeśli oczywiście Erik dobrze nam podpowiedział, co tu jest teraz modne.

Wszyscy byli już w cywilnych sandałach. Angie wybrała krótką sukienkę z

jedwabistego materiału, który mienił się czerwieniami, różami i pomarańczami.

Mężczyźni zadowolili się luźnymi oliwkowymi spodniami i jaskrawymi koszulami różnego kroju. Garvin zaryzykował ponadto kapelusz z nieco obwisłym rondem.

–I co teraz? – zapytał.

Njangu zerknął na palec z zegarkiem.

–Idzie na trzecią. Może byśmy wrócili na plażę, zjedli coś i zdrzemnęli się przed przyjęciem? Podobno nie powinniśmy pokazywać się tam przed północą.

–Zastanawiałem się nad tym – powiedział Milot. Bez obrazy, Erik, ale ja rezygnuję.

Nie czułbym się tam dobrze.

–Nic ci nie grozi, chłopie – zaprotestował Penwyth. To nie będzie sztywny bankiet, ale normalna impreza.

–Dla bogatych – dodał Milot.

–Nie tylko. Poza tym niektórzy z nich są całkiem przystępni.

–Tak czy siak, to nie mój świat. Jeśli nie macie nic przeciwko, chętnie bym teraz odbił na trochę. – Spojrzał na nich nieśmiało. – Chciałbym sprawdzić, jak się miewa moja rodzina.

–To ja też pasuję – odezwała się Angie. – Pewnie zrobiłabym coś głupiego albo rozwaliłabym czachę jakiemuś dowcipnisiowi. Chcesz towarzystwa?

Milot spojrział na nią zdumiony, ale pokiwał głową.

–Mieszkają w niewielkim miasteczku po drugiej stronie półwyspu – napomknął.

–Issus?

–Tak. Znasz je?

–Gdy byłam dzieckiem, mama wzięła mnie tam... chyba na trzy dni – powiedziała z zadumą Angie. – Mieli z tatą jakieś kłopoty. Pamiętam, że zatrzymaliśmy się w małej chacie. Ciągle jedliśmy ryby i nikt nas nie niepokoił. Bardzo mi się to spodobało. Chyba tak żyło się kiedyś, zanim świat nie zrobił się dziwny.

–Wiele się tam nie zmieniło – rzekł Milot. – Sama zobaczysz. Chętnie cię powitają.

Angie spojrzała na Njangu.

–Przepraszam, złotko.

–Za co? Za to, że mnie nie zaprosiłaś?

–Myślałam...

–To mi się podoba – powiedział Yoshitaro. – Znowu myślisz. Ale że jesteś tylko kobietą i szturmowcem, zadanie cię przerosło. Lubię wodę, a skoro Milot ma maniery ropuchy, sam się do niego zapraszam na ryby. Może być?

Garvin skrzywił się i spojrzał na Erika.

–I co ty na to? Najlepszy przyjaciel zostawia mnie na lodzie.

–Nie mam żadnych obiekcji – powiedział Erik. – Nikt nie powinien zmuszać się do czegoś, na co nie ma ochoty.

Garvin wsunął dłoń do kieszeni.

–Proszę... trzysta na łebka. Nie przepuście wszystkiego od razu.

–Dziękuję, tato – odezwał się Njangu.

–Nie dziękuj. Nie ma za co. Sztywnieję na imprezach, gdy wkoło jest wielu znajomych.

Niepozorny mężczyzna wrócił za nimi do hotelu, a potem znalazł spokojny kąt i wyjął mały telefon. Wystukał numer. Usłyszał słabe kliknięcie, a potem kobiecy głos:

–Melduj.

Mężczyzna wybrał na klawiaturze drugi ciąg cyfr.

–Teraz są w cywilnych ubraniach – powiedział i opisał stroje całej piątki. – Nie próbowali się z nikim komunikować. Zbliżyłem się do nich w barze i udało mi się co nieco usłyszeć. Rozmawiali o wojsku. Nie wiem, czy to ważne, ale poruszali tematy, o których zwykły żołnierz nie ma prawa nic wiedzieć.

–Nic nie świadczy o tym, dlaczego podjęli tę starannie zaplanowaną akcję ratowania naszego chłopca?

–Nic.

–Obserwuj ich dalej, ale nie rób nic więcej – rozkazała kobieta.

–Zrozumiałem.

Ton Milot uparł się, że powinni jechać w mundurach. – Żołnierze mają dwadzieścia procent zniżki na kolej – argumentował. – Poza tym moi strasznie się rozczarują, jeśli będę w cywilnym ubraniu.

–To może jeszcze weźmiemy broń? – warknęła Angie, ale za przykładem Njangu przebrała się.

–Mamy jeszcze pół godziny do pociągu – powiedział Milot. – Zadzwońłem do domu i uprzedziłem, że przyjeżdżamy.

–Taak – mruknął Njangu, oglądając się w szybie wystawowej.

–Narcyz jeden – zaśmiała się Angie. – Ale nie bez powodu: jest śliczny. – Ścisnęła rękę Njangu.

–Chodźmy – rzucił Yoshitaro. – Ale przy następnej witrynie też sprawdźcie, jak wyglądacie.

–Wszystko, gra. Wzorowe wojsko – ocenił Milot.

–Z ogonem. Widzicie tego gościa z tyłu? Nie odwracać się, cholera!

–Wygląda całkiem zwyczajnie – uznał Ton.

–Jak każdy dobry kapuś.

–Chyba masz manię prześladowczą.

–Idzie za nami już trzecią przecznicę. Jeśli uważasz, że to mania...

–I co z tego? Nie mam nic do ukrycia – stwierdził Milot.

–Ja zawsze coś ukrywam – wyznał Njangu.

–No to co robimy? Załatwimy go? – spytała Angie. Jeśli to gliniarz, mogą być kłopoty.

–Nie. Skręcimy teraz w prawo i wejdziemy do tego sklepu obok. W środku rozdzielamy się i spotykamy przy drugim wejściu.

Ruszyli biegiem i zniknęli za rogiem. Chwilę później pojawił się w tym miejscu ich ogon. Rozejrzał się, mruknął coś pod nosem, wszedł do sklepu i wyciągnął telefon.

–Trzy, jeden, jeden, pięć – powiedział, gdy uzyskał połączenie.

–Słucham – rozległ się kobiecy głos.

–Ciagle nie wiem, kim oni są. I do tego zgubili mnie, całkiem gładko.

–Zawodowcy?

–Chyba tak.

–Wracaj do hotelu. Tam jest jeszcze dwóch. Pilnujcie ich razem z Lompą. Dobrze pilnujcie!

–To ostatnia taka wpadka – zapewnił ponuro mężczyzna.

Nici szyn kolei magnetycznej spowijały całe miasto srebrzystą siecią, pośrodku której znajdował się przypominający hangar kamienny budynek. Pociąg do Issus wyskoczył przez otwór w dachu i pomknął po estakadzie jeszcze wyżej. Njangu zobaczył rozległe trawniki wkoło siedziby gubernatora, a potem Eckmuhl, ogrodzoną murem dzielnicę Raumów z licznymi wysokimi budynkami chylącymi się nad plataniną wąskich uliczek.

Tor przebiegał dalej blisko Wzgórz, czyli enklawy bogaczy. Angie podziwiała głośno wielkie posiadłości i otaczające je bujne ogrody, a Njangu dziwił się, dlaczego ktoś tak zafascynowany bogactwem nie chciał się udać na przyjęcie w jednym z tych pałaców.

Potem wrócił myślami do śledzącego ich mężczyzny. Kto to mógł być? Przyjaciel tych idiotów, którym daliśmy wycisk? Mało prawdopodobne. Gdyby tak było, zaraz skrzyknąłby jeszcze ze dwudziestu sobie podobnych i wszyscy oni zaczęliby się na nas w ciemnej uliczce. Po co mieliby nas śledzić? Więc nie oni. Kto jeszcze wchodzi w grę?

Gliny? Ale dlaczego? Co ich obchodzi, że ktoś przefasonował gęby kilku opryszkom?

Wywiad wojskowy? Ale przecież nie zrobiłem nic złego, przynajmniej nie na tej planecie. Może więc chodziło o innych? Ton Milot? Łowił ryby bez karty wędkarskiej? Angie Rada? Za to, że ma fioła na punkcie seksu? Bzdura. Ale to już były wszystkie możliwości, a w każdym razie nic więcej nie przychodziło mu do głowy.

Njangu jeszcze przez chwilę pozwolił krążyć myślom, a w końcu machnął na to wszystko ręką i spojrzał na migającą w dole bujną dżunglę. Przelotnie zastanowił się, kto też może kryć się pod koronami drzew, i uznał, że tak czy owak niebawem pewnie się tego dowie. Albo w trakcie jakichś manewrów, albo podczas rzeczywistych akcji zwiadowczych przeciwko leśnym bandytom.

Oparł się wygodnie, a Angie ułożyła głowę na jego ramieniu. Znowu dostrzegł w obecnej sytuacji coś dziwnego. Dlaczego po prostu nie zostali w hotelu, skoro oboje nie mieli ochoty poznawać przyjaciół Erika? Angie z pewnością znalazłaby dla nich wystarczająco ciekawe zajęcie. Dlaczego dziewczyna tego nie zaproponowała?

Uważała, że Njangu może nie mieć ochoty? A dlaczego on nie wyszedł z tym pomysłem? W łóżku na pewno byłoby bardziej interesująco niż na rybach.

Trudno, pomyślał Njangu. Trudno oczekiwać myślenia po żołnierzu. Dowolnej płci.

–Bogowie! – krzyknął Njangu do ucha Milota. – Powiedziałeś im, że dostałeś dowództwo floty czy co?

–Zostaliśmy wychowani w patriotycznym duchu! – odkrzyknął Milot, a orkiestra huknęła kolejnym marszem. Fałszowali niemiłosiernie, ale za to z wielkim entuzjazmem.

Jakaś piękna dziewczyna z kasztanowymi falującymi włosami, może ze dwa lata młodsza od Milota, objęła go ciasno w pasie. Powiedziała, że ma na imię Lupul.

–Czy to znowu hymn państwowy? – zapytała Angie.

–Chyba tak, więc lepiej wstańmy – odparł Njangu.

Wstali i udało im się prawie nie zachwiać.

Issus rozłożyło się nad głęboką zatoką, na klifie wyrastającym ze dwadzieścia metrów nad poziom wody i nabrzeża. Po chatach, które pamiętała Angie, nie było już ani śladu, na ich miejscu wyrosły proste, ale porządne drewniane domy ze spadzistymi dachami.

Pośrodku miasteczka rozciągał się trawiasty, obsadzony drzewami rynek, przy którym pobudowano różne biura, stację kolejową i ratusz. Njangu pomyślał, że to chyba już taki zwyczaj na Cumbre D, aby w centrum miejscowości zakładać park. Bardzo mu się to podobało.

Wydawało się, że przybyli tu wszyscy mieszkańcy miasteczka. Ponad dwa tysiące dusz witało syna, który wypełniał zaszczytny obowiązek.

–Tak. W patriotycznym duchu. Jak nic. Podaj flaszkę – mruknął Njangu.

–Lepiej nie – ostrzegł Ton.

–Dlaczego? Wszyscy tu wypili już znacznie więcej niż my.

–Tak, ale oni nie wypływają dziś na połów. My tak.

–Jacy my? Masz karzełka w kieszeni? – spytała Angie, łapiąc przechodzącą z rąk do rąk butelkę z nieco oleistym, ale poza tym zycznym destylatem.

–Nie musisz płynąć – powiedział Milot. – Zawsze możesz powiedzieć, że jesteś tylko słabą, bezradną kobietą.

–Hm... Chyba skorzystam z tej wymówki. Lubię wodę, ale w wannie. Tutaj jest jej zdecydowanie za dużo. Niezbadane głębie zostawiam mężczyznom – dodała Angie i zatrzepotała rżęsami. – Zajmę się raczej smakowaniem tego bimberku.

–Mógłbym się wykpić czymś podobnym? – spróbował Njangu.

–Nie masz najmniejszej szansy – pozbawił go złudzeń Milot. – Muszę dowieść, że nie zapomniałem o moich korzeniach, a ty musisz dowieść, że gościny w Issus.

Najpierw więc połowimy, a potem wrócimy i będzie wielkie świętowanie.

–A to teraz to co jest? – Njangu pokazał na tłum.

–Rozgrzewka.

–A co mamy łowić? I jak? Robi się już ciemno.

–Barraco. To duże i paskudne drapieżniki, które dochodzą do osiemdziesięciu kilo. Łowimy je na harpun.

–Smaczne?

–Najlepsze.

–I pewnie one też w nas gustują?

–Jesteśmy ich przysmakiem.

–A nie dałoby się poszukać czegoś mniejszego i może... bezpieczniejszego?

–Spoko – odparł Milot. – Ja się zajmę harpunem.

–A ja co? Mam ci trzymać kapelusz?

–Nie. Ty będziesz przynętą.

Milot wcale nie żartował. Wczepiony w reling Njangu powoli przesuwiał latarnią tuż nad wodą, podczas gdy ślizgacz nieledwie dryfował po spokojnym, fosforyzującym morzu.

Ton Milot stał obok Yoshitara z długim, najeżonym haczykami harpunem zaopatrzonym w pływak na linie. Alei, brat Milota, pilnował steru.

Obaj żołnierze zamienili mundury na zszargane szorty.

W pobliżu widać było światła jeszcze tuzina rybackich antygrawów. W dali jaśniało Issus.

–Patrz, jak machasz latarnią – powiedział Ton. – Szerzej, jakby nad wodą

przelatywał ptak z żarówką w tyłku.

–Dlaczego? – rzucił Njangu. – Wolę, żeby to rybsko zostało w wodzie.

–Nie chcesz jeść?

–Jasne. Mam wielką ochotę na sałatkę owocową...

Podskoczył, gdy spod powierzchni wystrzeliła ku niemu srebrzysta i uzębiona strzała.

Milot błyskawicznie cisnął harpun w paszczę ryby.

–Cholera! – krzyknął Njangu, stracił równowagę, potknął się, przeleciał przez reling i z chlupotem wpadł do wody. Zaraz też poczuł na sobie coś zimnego i gładkiego.

Zaczął dziko wierzgać nogami. Barraco trzepnął go ogonem i gdzieś zniknął. Njangu zanurkował jak mógł najgłębiej, a gdy w końcu wypłynął, żeby łyknąć powietrza, ujrzał ślizgacz jakieś pięć metrów od siebie. Pomiędzy nim a burtą kołysał się na wodzie martwy barraco.

Uczepieni relingu Milot i jego brat ze śmiechu ledwie mogli ustać na nogach.

–Może byście mnie wyciągnęli?! – krzyknął Njangu. Ten sukinkot może mieć liczną rodzinę!

–Jasne, jasne! – zawołał Alei. – Ale w życiu nie mieliśmy tak dobrej przynęty!

Może popływasz jeszcze trochę?!

–Zaraz kogoś zabiję – mruknął Njangu i popłynął ku ślizgaczowi, na wszelki wypadek nie próbując nawet zerkać pod siebie. – I będzie mi wszystko jedno kogo.

–A niech mnie – powiedział Garvin, patrząc na długi rząd smukłym limuzyn. – Nie wiedziałem, że w całym układzie Cumbre jest tyle forsy.

–A jednak – odpowiedział Erik. – Te kopalnie to żyła złota, choć wydobywa się w nich co innego.

–Jeszcze o czymś nie pomyśleliśmy – rzucił Garvin, gdy szli ku bramie rezydencji. – Skoro zostaliśmy odcięci od Konfederacji, kto będzie teraz kupował cały ten urobek? Czy nie znaleźliśmy się wszyscy na kruchym lodzie?

–Sporo z tej rudy zużywa się od razu tutaj, w Cumbre, a resztę biorą musthowie.

Kupują każdą ilość, wywożą na swoje światy i jest im wszystko jedno, kto ją

wykopał. To pewny kapitał, przyjacielu. Damy sobie radę.

–Dobry wieczór, panie Penwyth – powiedziała strażniczka w mundurze.

Erik skinął głową i ruszyli po szerokich schodach.

–Bampurowie muszą być naprawdę bogaci – mruknął Garvin. – Żadnych robotów wartowniczych, sami ludzie. Miło być w takiej sytuacji z kimś, kogo znają.

–Co, automatyzacja?! – zawołał w udanym przerażeniu Erik. – Gdy ciągle są zastępy biedoty i Raumów do zatrudnienia?! Gdybyśmy my, elita elit, zaczęli wysługiwać się robotami, kto by nas po cichu okradał czy szantażował, przyłapawszy w łóżku z niewłaściwą osobą?

–Ostrożnie, szturmowcu – przestrzegł go Garvin. Zaczynasz gadać jak rewolucjonista.

Przeszli pod frontonem długiej kolumnady prowadzącej do rezydencji Bampurów, Garwinowi wydawało się, że ciągle znajduje się na otwartym powietrzu, a kolumny są tylko elementem dekoracyjnym, ale po chwili zorientował się, że podpierają kolebkowy strop niczym się nie odróżniający od nocnego nieba.

–Zmyślnie – powiedział Erik. – Za dnia wygląda jak jasne niebo, a w nocy... sam widzisz.

–Skoro tak, to po co zadali sobie tyle trudu z tym dachem?

–Może nie lubią deszczu. Poza tym pamiętaj, że ci naprawdę bogaci rentierzy nie myślą jak ty czy ja.

–Myślałem, że ty też jesteś bogaty.

–Nie aż tak.

–No to czym oni się różnią? – spytał Garvin. – Nigdy nie miałem okazji poznać podobnych ludzi.

–Potrafią wynajdywać naprawdę głupie sposoby na wydawanie pieniędzy – szepnął Erik do ucha Garvina, jakby zdradzał mu wielką tajemnicę.

Kolumnada zakręcała w stronę łagodnie opadającego brzegu jeziora z wyspą, na której wznosiła się rezydencja. Prowadziła do niej okryta dywanem grobla ze zwodzonym mostkiem. Wzdłuż grobli płynął jakiś mężczyzna.

–Jestem rybą! – zawołał, zbliżywszy się do Erika i Garvina. – Płynę w górę strumienia... ep... tam, gdzie ikra.

–Na pewno nie przyszedliśmy za późno? – zastanowił się Garvin.

–W żadnym razie. Gdyby było za późno, dobry stary Raenssler leżałby martwym bykiem.

–Rozumiem. Ładnie tutaj.

–Gdy Bampurowie nie życzą sobie towarzystwa, zwijają dywan, podnoszą mostek i trzeba wołać o łódkę, żeby się do nich dostać.

–To chyba niezły pomysł.

–Chyba. O, proszę. Słyszysz? Wiedziałem, że Jasith dobrze nas nakieruje. Zespół zaczyna fałszować, czyli impreza dopiero się rozkręca.

Garvin skinął głową.

–Na trzeźwo nie sposób tak rzępolić – przyznał.

Weszli do głównej sali rezydencji. Po bokach otwierały się wysokie na dwadzieścia metrów łuki zaopatrzone w grube kotary, które można było opuścić w razie pogorszenia pogody. Tu i ówdzie widać było kręte schody i korytarze prowadzące do innych części gmachu.

Wszędzie kręcili się imprezowicze. Jedni tańczyli, inni pili, a niektórzy robili obie te rzeczy naraz. Z różnym skutkiem. Jakiś mężczyzna pochlipywał, wpatrując się w holo baletu, ktoś inny opierał się czule o brązowy posąg ziemskiej syreny i zwierzał się jej do ucha.

Garvin spróbował przybrać zblazowaną pozę, ale nie bardzo mu się to udało. W sali były trzy źródła alkoholu, a przy każdym aż czterech prawdziwych barmanów.

Jeszcze dziwniej wyglądali ludzcy kelnerzy w białych strojach. Kręciło się ich ponad dwudziestu.

Bampurowie naprawdę musieli mieć mnóstwo forsy.

Garvin zastanowił się tęsknie, czy dałoby się oskubać ich chociaż z drobnej części majątku, ale zaraz zapomniał o tych niecnym planach – w stronę Erika zmierzała żywym krokiem niewysoka ciemnowłosa dziewczyna. Jasith Mellusin nosiła czarną suknię do ziemi, rozciętą jednak po bokach od góry do dołu. Materię od pachy do połowy uda podtrzymywało kilka wielkich srebrnych zapinek. Łatwo było się przekonać, że poza tym dziewczyna nie ma na sobie nic więcej.

–Nie zapomniałeś o mnie! – zawołała.

Erik pocałował ją.

–Jak bym mógł? I widzę, że zjawilem się o właściwej porze, jak kazałaś. Coś mnie ominęło?

–Były dwa albo trzy pojedynki, kilka osób poszło pływać. Wiem też o jednej propozycji małżeństwa i trzech zerwanych zaręczynach. Na razie słabiutko.

–Możemy coś zrobić, aby nieco ożywić imprezę? – spytał Erik. – A przy okazji, to jest mój towarzysz broni. Jasith Mellusin, Garvin Jaansma.

Jasith zmierzyła Garvina spojrzeniem.

–Jesteś z kimś? – zapytała Erika.

–Tylko z nim – odparł. – A on nie pije. Prowadzi.

–Erik, miałam nadzieję, że ożywisz mój wieczór – szepnęła zmysłowo dziewczyna i objęła Garvina. – Tańczysz?

–Jak anioł.

–Co to jest anioł?

Garvin po rekiniemu wyszczerzył zęby.

–Zaraz się dowiesz. – Skinął głową Erikowi. – Dzięki za wprowadzenie, chłopie.

Pewnie wpadniemy tu jeszcze na siebie.

Poprowadził Jasith na środek parkietu i wziął ją w ramiona. Dwa zespoły zaczęły zgrzytliwie kolejną melodię.

–Och, to ten nowy taniec – mruknęła z rozczarowaniem Jasith. – Chociaż dla ciebie pewnie nie jest nowy, na Centralnym był znany już parę lat temu. Ale ja i tak nie znam kroków.

Garvin już chciał powiedzieć, czym naprawdę zajmował się podczas trzech tygodni rekruckiego pobytu na Centralnym, ale uznał, że nie ma co rozwiewać złudzeń dziewczyny i lepiej będzie zaprosić ją na drinka. Nagle jednak złapał rytm.

–To prosty kawałek – powiedział. – Pokażę ci. Trzymaj się pięć-sześć centymetrów ode mnie, ręce tak jak teraz. Obejmę cię jedną ręką w talii i... krok w bok, znowu w bok, do tyłu, do tyłu, w bok, w bok... i tak dalej. Co dziesięć taktów lekko ścisnę cię w talii, żebyś się obróciła, właśnie tak. A potem wracasz do mnie... Widzisz? Radzisz sobie.

Jasith wysunęła różowy języczek, koncentrując się na krokach. Gdy już jej lepiej szło, spojrzała na Garvina.

–Dobrze tańczysz. Gdzie się nauczyłeś?

Garvin uśmiechnął się lekko, wspominając, jak pewien przystojny mężczyzna i piękna kobieta w archaicznych wieczorowych strojach tańczyli w kręgu światła. Setki ludzi klaskały z podziwu...

–W cyrku.

Przypomniał sobie coś jeszcze. Staromodny namiot i ryk płomieni. Krzyki ludzi, zawodzenie pomp strażackich oraz małego chłopca siedzącego pośród popiołów i płaczącego nad światem, który właśnie zginął. Odepchnął to wspomnienie.

Jasith roześmiała się.

–Jasne, w cyrku. Byłeś mistrzem sceny?

–Nie sceny, areny. Ale do tego doszedłem znacznie później.

–Daj spokój, nie nabierzesz mnie. Nie jesteś aż tak stary, żeby tyle dokonać.

–Skoro tak mówisz... Ale gdy ufarbuję włosy na czarno, domaluję sobie wąsik i włożę kapelusz, przybywa mi lat.

–Przestań! I tak nie uwierzę. Co teraz tańczy się na Centralnym?

–Coś bardzo ciekawego – odparł Garvin. – Wiąże się partnerom ręce w nadgarstkach, a oni zarzucają je sobie nawzajem na szyje. Robi się po cztery kroki w przód i w tył, przy każdej zmianie kierunku krzycząc: „Ha-hu!” I jeszcze jedno. Wszyscy tańczą nago.

–Przesadziłeś. A prawie już dałam wiarę.

–Taki mój pech – zaśmiał się Garvin. Skończył się jeden kawałek i po chwili rozległy się pierwsze tony łzawej ballady. – A to już inny taniec – dodał, przyciskając partnerkę do siebie.

–Miły – wydyszała mu w ucho.

–Jak ty – odparł Garvin, który wprawdzie nic jeszcze nie pił, ale nagle poczuł się lekko wstawiony. – Twoje włosy pachną jak łagodna, tropikalna noc. I wiatr w nich szepcze...

–Może i naprawdę pracowałeś w cyrku – powiedziała Jasith. – Jesteś całkiem

wymowny.

–O pani, gdy biedak zakocha się w kimś z tak wysokich sfer jak ty, słowa są mu jedyną pociechą.

–Jedyną?

–Na parkiecie tak.

–Nie będę pytała, jak się pocieszasz poza parkietem, bo jestem pewna, że usłyszałabym coś sprośnego.

–Nie ode mnie – obruszył się Garvin. – Jestem niewinny i czysty jak... jak co?

–Płatki kwiatów?

–Właśnie – zgodził się. – Wziąłbym cię w ramiona, złożył na dywanie z płatków róż i spoczął u twego boku.

–Ostrożnie – ostrzegła Jasith. – Chyba wiem, co mogłoby być potem.

–Co takiego? Wysunąłbym mój dziewięciometrowy język i zagłębił go w twe ucho w poszukiwaniu uranu?

Jasith zachichotała.

–Już starczy, głuptasie.

–To dopiero początek – odparł Garvin, gdy przebrzmiała ballada. – Oboje zasłużyliśmy na drinka.

Zeszli z parkietu. Garvin zatrzymał się, aby rzucić okiem na fontannę. Ze spiętrzonych zmyślnie brązowych mis różnych kształtów i rozmiarów woda spływała kaskadami, ciurkając melodyjnie niczym pęk małych dzwoneczków. Ponad dziesięć osób zebrało się wokół przystojnego ogorzałego mężczyzny siedzącego na ocembrowaniu. Coś im opowiadał.

–Oczywiście, że istnieje istota wyższa, Jermy.

Jermy, starszy i łysy mężczyzna, pokręcił energicznie głową i uśmiechnął się lekko.

–Dowiedź tego, Loy.

–To proste. Gdyby nie było boga stwórcy czy istoty wyższej, jak wolisz, wszędzie panowałby chaos.

–Niekoniecznie – odparł Jermy. – Jest jeszcze porządek naturalny. Ewolucja i tak dalej.

–Bzdura. Nic nie dzieje się przypadkiem ani też „naturalnie”. Daj mi jakiś przykład tego naturalnego porządku... Nie, nie trudź się, nie znajdziesz. Nie ma czegoś takiego.

–Doprawdy, Jermy? Skoro więc podważasz moje słowa, sam podaj mi przykład dowolnego systemu, który zawsze jest zorganizowany tak dokładnie, jak powinien.

–Bez trudu. Rozejrzyj się wkoło. Wszyscy uważamy, że Raumowie należą do niższej klasy, a także niższej rasy, prawda?

Garvin zdrętwiał, słysząc liczne pomruki zgody.

–Tym samym ich zdolności muszą być bardziej ograniczone. Są naszymi sługami, prawda? Wyobrażasz sobie, że któryś z nich mógłby spróbować sił na parkiecie?

Albo dyskutować z nami? Jesteśmy ponad nimi i oni to rozumieją, zadowolając się przypisaną im przez stwórcę rolą naszych sług, nieważne, czy pracują w kopalni, czy... Loy podał pustą szklankę najbliższemu kelnerowi -...czy przynoszą mi następnego drinka.

Kelner, który miał dość lat, aby być ojcem Loya, wziął szklankę z ukłonem. Twarz miał pozornie całkiem obojętną, ale gdy jego spojrzenie spotkało się na moment ze spojrzeniem Garvina, Jaansma dostrzegł w oczach tego mężczyzny niebezpieczny błysk.

–Jeszcze jeden przykład... – zaczął przystojniak, lecz nagle krzyknął, czując, że po plecach spływa mu woda. Obrócił się i ujrzał Garvina manipulującego przy jednej z mis.

–Przepraszam – powiedział Jaansma. – Ręka mi się chyba omsknęła niezgodnie z naturalnym porządkiem.

Mężczyzna zapłonął świętym oburzeniem i zerwał się na nogi. Garvin uśmiechnął się, lecz wcale nie mile. Uniósł ręce i stanął lewym bokiem do obrońcy bożej ingerencji.

Loy stracił rezon.

–Mężczyźni! – prychnęła Jasith i zostawiła ich.

Garvin odczekał jeszcze chwilę, ale Loy nie wyrażał chęci do działania. Jaansma uklonił mu się więc zdawkowo i poszedł za dziewczyną.

Stała przed salą, na skraju jeziora. Wpatrywała się w noc.

–Hej – odezwał się.

Ani drgnęła.

–Hej, piękna! – powiedział głośniej.

Obróciła się do niego.

–Dlaczego wszyscy mężczyźni muszą się tak zachowywać? Nic, tylko chodzący testosteron.

–Ktoś musiał przerwać bredzenie tego nawiedźca powiedział Garvin. – Nauczyłem się już, że z bigotami nie warto rozmawiać. Testosteron nie ma tu nic do rzeczy.

–Loy Kuoro bigotem? To wykształcony człowiek i mój dobry przyjaciel! Jego ojciec wydaje „Matin” i Loy za parę lat przejmie holo. Jest bardzo inteligentny.

–Zgoda, to inteligentny dupek – przyznał Garvin. – Czy jeśli nie będę udawał, że dobrze o nim myślę, nie odepchniesz mnie, pani?

Jasith zawahała się.

–Nie, nie... ale nie powinieneś tak się zachowywać.

–Cóż, jestem tylko prostym żołnierzem z prostymi potrzebami.

Jasith spojrzała na niego sceptycznie.

–I czasem te potrzeby są silniejsze ode mnie – dodał. – Na przykład teraz. Gdy cię widzę w świetle księżyca, nade wszystko pragnę cię pocałować.

–Nie możesz... – zaczęła, ale usta ją zdradziły. Pocałunek trwał prawie minutę.

W końcu jakoś oderwała się od Garvina. – Kochany... nie pamiętam, żeby ktokolwiek tak mnie całował.

–Jesteś pewna?

–Nie, nie całkiem. Może powinnam sprawdzić jeszcze raz?

Nie próbował się sprzeciwić.

–Właśnie – szepnęła, topniejąc mu w ramionach. Wsunął dłoń przez rozcięcie sukni i pogładził jej biodra, a potem nagie pośladki, sięgnął palcem głębiej i spróbował

delikatnej pieśczoły. Zamruczała i zaczęła oddychać szybciej, a jej język błędził w ustach Garvina.

–Może poszukam tej sterty płatków? – wyszeptał po chwili.

–Nie możemy – odparła ze smutkiem.

–Dlaczego?

–Bampurowie wszędzie zainstalowali alarmy, a ja nie chcę skandalu, gdyby ktoś nas przyłapał na... no, gdyby nas ktoś przyłapał.

–Cóż, rozumiem. Jak tu przyjechałaś?

–Swoim ślizgaczem.

–O?

–Jest mały, dwuosobowy, i nie uda nam się... Nie byłoby nam wygodnie.

–No to pojedźmy gdzieś. Tak wyszło, że zatrzymałem się w miłym luksusowym hotelu – szepnął Garvin. – Jest tam duże miękkie łóżko i nikogo nie obchodzi, kto z kim je dzieli...

–A jak podzieli?

–Jakkolwiek zechcesz – powiedział i znowu się pocałowali. Tym razem sięgnął do jej piersi i twardych sutek.

–Ej, ty tam, gówniarzu!

Jasith pisnęła i odsunęła się gwałtownie. Garvin odwrócił się szybko. Przed nim stał Loy Kuoro. Był czerwony na twarzy, pięści miał zaciśnięte. Jaansma postarał się nie myśleć przez chwilę o dziewczynie.

–To było czyste draństwo, co mi zrobiłeś – powiedział Kuoro.

–Bo wygadywałeś głupstwa. Na dodatek w obecności nie tych ludzi co trzeba.

–Ludzi? Od kiedy to Raumowie są ludźmi?

–Od kiedy przestali nimi być wydawcy – odpowiedział Garvin równie szyderczym głosem. – Podobno nigdy nie dobieierałeś się do żadnej kobiety oprócz własnej siostry? To prawda?

Przerażona Jasith otworzyła usta, a Kuoro pobałdł jak ściana. Jaansma pojął, że

przypadkiem trafił w czuły punkt. Mężczyzna spróbował go kopnąć, ale Garvin odsunął się i but tamtego musnął tylko marynarkę.

–Nie rób tego – powiedział spokojnym głosem.

Kuoro potknął się i z trudem odzyskał równowagę. Garvin pojął, że jego przeciwnik jest bardziej pijany, niżby się zdawało. Zamachnął się i Jaansma złapał jego rękę i pociągnął.

Wydawca ponownie się zachwiał i tym razem wylądował na czworakach.

–Wracaj do środka i weź sobie coś do picia – zaproponował mu Garvin. – Igrasz z ogniem.

Kuoro pozbierał się jakoś i runął na Jaansmę, uderzając go dość mocno głową w pierś.

–Dość tego – powiedział Garvin tym samym opanowanym tonem i zdzielił mężczyznę dwa razy pięścią. Raz pod okiem, drugi raz w korpus. Z Kuora jakby uszło powietrze i zatoczył się nad brzeg jeziora. Garvin pchnął go, a wydawca zamachał rękami i z głośnym pluskiem wpadł do wody.

Garvin nie spojrział nawet, czy Kuoro wypłynął, bardziej interesowało go, gdzie zniknęła Jasith. Klnąc pod nosem, ruszył jej śladem przez salę, po grobli, schodami aż do głównego wejścia. Dojrzał jedynie mały jaskrawoczerwony ślizgacz znikający przed podjazdu.

–Powiniennem go zabić – sapnął Garvin i wrócił, aby poszukać Erika.

Nigdzie go jednak nie znalazł. Nici z transportu, pomyślał. Czeka mnie długa droga do domu.

–Dziwne – mruknęła Jo Poynton. – Bardzo dziwne.

–Jakie instrukcje? – spytał głos.

Poynton włączyła na chwilę mikrofon.

–Czekać – powiedziała.

Wróciła do skreślonego pośpiesznie zestawienia faktów:

Grupa żołnierzy ratuje przed pobiciem jedno z naszych dzieci. Dziwne. Potem okazuje się, że mają jakimś cudem dość pieniędzy, żeby zatrzymać się w jednym z najdroższych hoteli Leggett i zapewnić sobie luksusowe rozrywki. Jeszcze dziwniejsze. Troje z nich zwodzi jednego z moich najlepszych agentów i znika.

Dwóch pozostałych udaje się na bardzo ekskluzywne przyjęcie na Wzgórzach, wydawane w domu największych przeciwników Raumów. Nasz agent pracujący jako kelner identyfikuje jednego z nich jako Erika Penwytha, członka rodziny, która wprawdzie nie należy do najpodlejszych dręczycieli, ale też nie dała się poznać jako wspierająca naszą Sprawę. Z nieznanых powodów wstąpił niedawno do sił zbrojnych Konfederacji. Jego towarzysz, którego nie udało się zidentyfikować, ostro odpowiada na pomniejszą obrazę wygłoszoną na temat Raumów przez tę kreaturę Kuoro.

Dochodzi do rękoczynów, po czym opuszcza przyjęcie i obecnie wraca pieszo do Leggett.

Wszystko to jest bardzo niezwykle, a my nie potrzebujemy takich zdarzeń w przeddzień Świtu Gniewu.

–Nic z tego nie rozumiem – powiedziała cicho i rozejrzała się po pomieszczeniu skrytym w głębi Eckmuhl. Było puste, jeśli nie liczyć trzech odbiorników.

Pomyślała o skontaktowaniu się z Brienem albo z Brooksem. Szczególnie ten drugi, ze swoim świeżym spojrzeniem, mógłby wiele pomóc. Ale nie było dość czasu, a ona na pewno i tak lepiej orientowała się w realiach niż ci, którzy siedzieli teraz gdzieś wysoko w górach.

Włączyła mikrofon.

–Jaki jest ruch w waszej okolicy?

–Prawie żaden.

–Dacie z Lompą radę wziąć go żywcem? Żeby nie było nieporozumień: albo żywcem, albo nawet nie próbujcie.

–Moment. – Na chwilę zapadła cisza. – Da się zrobić. Lompa ma ogłuszacz.

–To przechwyćcie go, zanim zejdzie ze Wzgórz – rozkazała Poynton. – Ukryjcie się z nim w jakimś spokojnym kącie, a gdy dacie sygnał, podeślę wam transport.

–Zrozumiałem. Biorę się do roboty.

Poynton sięgnęła po inny komunikator.

–Mówi dyżurny. Obudzić zespół. Niech czeka na sygnał do akcji.

–Wybaczam temu barraco, że próbował mnie zjeść – powiedział z namaszczeniem Njangu, naśladowując dostojny ton Garvina. – Jest wystarczająco smaczny.

Przemknęło mu przez głowę, że już chyba dość wypił, aby uznać niemal każdy pomysł za genialny. Wziął ze służącego za ruszt rozgrzanego kamienia następny kawałek ryby i położył na krąg chleba. Polał to sosem z przyprawami, złożył na pół i odgryzł potężny kęs.

–Ile jeszcze zamierzasz go zjeść? – spytała Angie. Sądząc po bardzo starannej wymowie, też musiała być już nieco pijana.

–Dlaczego pytasz? Na pewno nie popsuję sobie figury.

–Ale wolałabym, żeby cię nie zmogło, bo nie będziesz zdolny do innych rzeczy.

–W dniu, w którym nie będę do tego zdolny, niebo zwali się nam na głowy.

–Taa... – mruknęła Angie.

Leżeli w piątkę na matach wkoło małego ogniska: Ton Milot, jego dziewczyna Lupul, Angie z głową na kostkach Njangu i smukła, chyba szesnastoletnia dziewczyna o imieniu Deira. Miała duże piersi, związane z tyłu ciemnorude włosy, łagodny uśmiech i wargi, o których Njangu wołał za wiele nie myśleć. Nie nosiła nic poza skromną suknią trzymającą się głównie na biuście i odsłaniającą od dołu stanowczo zbyt wiele.

–Wszyscy mężczyźni są tacy sami, prawda? – rzuciła Lupul.

–Z wyjątkiem mnie – odparł Milot. – Ja jestem idealny. – Beknął głośno. – Chcesz się przekonać?

–Chyba już pora – powiedziała Lupul i wstała chwiejnie. – O, trzęsienie ziemi...

Ton Milot wstał i rozciągnął usta w niezbyt mądrym uśmiechu. Spojrzał na plażę, gdzie dopalało się kilkadziesiąt innych ognisk. Wkoło majaczyły postaci siedzących, rozmawiających, a nawet tańczących, samotnie albo parami. – Chyba zostały już tylko najtrudniejsze przypadki – mruknął. – Zobaczmy się pewnie trochę po wschodzie słońca.

–To się jeszcze okaże – rzuciła Lupul. – Ich widywałeś ostatnio codziennie, mnie nie.

–Chodź, kochanie.

Oboje rozplynęli się w ciemności.

–Zostaliśmy sami – powiedział Njangu, pochylił się nad Angie i pocałował ją.

–Niezupełnie – odparła. – Jest jeszcze Deira. Nastrojona i gotowa.

Dziewczyna zachichotała.

–Do czego gotowa? – spytał Njangu.

–Pokaż mu – powiedziała Angie.

Deira wstała i rozwiązała włosy. Potrząsnęła głową, aż spłynęły rudą kaskadą prawie do pasa, i ominąwszy ognisko, podeszła do Njangu. Zrzuciła suknię i stanęła przed nim naga.

Wszędzie poniżej głowy była gładko wygolona.

–Jak ci się podoba tutejszy folklor? – zapytała Angie.

Njangu tylko wymamrotał coś pod nosem.

–Przyszła, gdy byliście na rybach – wyjaśniła Rada. Powiedziała Lupul, że uważa cię za przystojniaka, ale wie, że jesteś ze mną, a nie zna naszych zwyczajów. Ja też jej się spodobałam i chciała usłyszeć, co ja sędzę o niej. Odparłam, że jest piękna i jeśli chce mnie pocałować, nie mam nic przeciwko temu. Wspaniale całuje. I nie tylko to robi dobrze.

Czekając na was, wynajęliśmy jedną z chat.

Njangu poczuł, że zaschło mu w ustach.

–I co powiesz? Jest piękna, prawda?

–No... tak.

–Czy mogę go pocałować? – spytała Deira.

–Jasne – odparła ze śmiechem Angie.

Deira uklękła i delikatnie pchnąwszy Njangu na plecy, pochyliła się nad nim z otwartymi ustami. Njangu poczuł jej piersi na swoim nagim torsie. Całą wieczność później Deira uniosła głowę.

–Lubię go – powiedziała.

–Ja też – mruknęła Angie.

–A teraz chcę znowu pocałować ciebie – zapowiedziała Deira.

Rada rozpięła bluzę, zdjęła ją i po chwili zrobiła to samo z szortami i figami.

Njangu obrócił się znowu na bok i patrzył na dziewczyny.

–Nie wyglądasz na wstrząśniętego – zauważyła Angie.

Yoshitaro uśmiechnął się lekko. Dziewczyny z jego gangu od dawna oduczyły go dziwić się cemukolwiek, czy to chodziło o ich własne zabawy, czy też zabawy z udziałem chłopców.

–Jesteś za bardzo ubrany – powiedziała i Njangu pozbył się szortów.

Angie zwinęła swoje ubranie i położyła je przed sobą na macie.

–Chodź, Deira – szepnęła. – Obok mnie. Oprzyj biodra na moich ciuchach.

Dziewczyna zatonęła w ramionach Angie. Chwilę potem Rada uniosła głowę i Deira pocałowała ją w szyję, a potem zajęła się piersiami i brzuchem. Angie uniosła się trochę i jęknęła, gdy palce Deiry trafiły między jej nogi.

–Ale dobrze – westchnęła. – Njangu, chodź do nas.

Pogryź mnie może trochę tu i tam. Obiecałam jej, że będzie pierwsza.

Garvin oceniał, że został mu już tylko kwadrans marszu do hotelu. Schodził ze wzgórze i śpiewał sobie cicho:

Głupi Garvin z Altaira zawsze wszystko spieprzy, niech przeciągną go pod kilem, może będzie lepszy.

Zawsze gada jak najęty, takie z niego ziółko, a gdy go zaswędzą pięty, wtedy kopie w czołko.

Poszedł kiedyś na imprezę, ot tak, dla zabawy, pań napotkał całe mrowie, gorących i żwawych.

Jedna, o imieniu Jasith, wśród nich najpiękniejsza...

Urwał, szukając rymu do „Jasith”, ale żadnego nie znalazł.

–A taka była kochana i przyjazna, i ciepła... – jęknął zbolęły.

Nagle usłyszał jakiś szelest i odskoczył w bok. Pierwszy cios chybił celu, a napastnik z łamigłówką w dłoni zatoczył się kilka kroków. Drugi miał jakąś broń krótką.

Wycelował ją w Garvina, ale zanim strzelił, Jaansma błyskawicznie się uchylił. Broń syknęła i coś przeleciało tuż obok.

Na poboczu drogi rósł wysoki krzew o prostych gałęziach. Garvin oderwał jedną z nich i uniósł na wysokość piersi.

–Macie pecha – powiedział. – Wielkiego pecha. Chyba jeszcze nigdy nie napadliście na nikogo, kto byłby w tak podłym nastroju jak ja.

Drugi mężczyzna znowu uniósł broń. Garvin zrobił wypad i dźgnął go gałęzią w twarz. Napastnik krzyknął i chciał się cofnąć, ale Garvin nie dał mu na to czasu i uderzył go w nadgarstek. Broń upadła na drogę. Garvin tymczasem przełamał gałąź na kolanie, otrzymując dwie porządne półmetrowe pałki grube na dziesięć centymetrów.

–Zabawmy się – powiedział.

Pierwszy chciał sięgnąć po coś do kieszeni, ale dostał w przedramię, a drugi kawałek gałęzi zmiażdżył mu nasadę nosa. Krzyknął i przycisnął dłonie do twarzy. Garvin uderzył go jeszcze w brzuch, a gdy przeciwnik upadł, zneutralizował go kopniakiem w skroń.

–Teraz twoja kolej, łachudro – rzucił ponuro Garvin pod adresem drugiego, który trzymał się za nadgarstek i jęczał coś błagalnie. Jaansma uderzył go lewym kijem w łokieć, a gdy napastnik złapał się za kolejne bolące miejsce, przyłożył mu w twarz.

Trzasnęły pękające zęby. Garvin kopnął go jeszcze w brzuch tak silnie, jakby chciał wybić piłkę w trybuny. Mężczyzna sapnął, upadł na plecy i znieruchomiał. Zdyszany Jaansma stał chwilę nad nieprzytomnymi oprychami. Rozejrzał się, niepewny czy to wszystko, ale wkoło panowała cisza.

–Co za idioci – mruknął. – Napadać na żołnierza, który zwykle nie ma grosza przy duszy...

Spojrzał na drogę, ale była pusta. Podniósł broń i przyjrzał się jej. Jakiś ogłuszacz, pomyślał. Całkiem dobry i nowy. Zwykli rabusie raczej nie posługują się czymś takim.

Złapał jednego z mężczyzn za włosy i powąchał jego oddech. Nie cuchnął alkoholem.

Z drugim było tak samo. Też dziwne.

Przeszukał im kieszenie. Znalazł nieco pieniędzy, dwie karty tożsamości i dwa identyczne, raczej kosztowne komunikatory z modułami szyfrującymi. To było jeszcze dziwniejsze.

–Hm... szkoda, że nie jestem detektywem, może dopatryłbym się w tym jakiegoś sensu.

Zastanowił się, czy nie zadzwonić na policję, ale szybko zrezygnował. Uśmiechnął się pod nosem. Njangu dałby mi wycisk za sam pomysł, przeszło mu przez myśl. Poza tym gliniarze zamęczaliby mnie do rana głupimi pytaniami, na które i tak nie umiałbym im odpowiedzieć. Powkładał broń i dokumenty napastników do kieszeni i odmaszerował w kierunku Leggett.

Pół godziny później ujrzał przed sobą światła Shelbourne. Z cienia pobliskiego domu wyszła ku niemu jakaś kobieta.

–Dzień dobry, sestro – odezwał się do niej. – Tak późno do roboty?

–To najlepsza pora – odparła. – Zainteresowany?

–Nie, dzięki.

–A co, wolisz chłopców? – spytała grzecznie.

–Nie to – mruknął Garvin, przypominając sobie Jasith Mellusin i jej usta. – Jestem tylko za głupi.

–Dobra, oddział – powiedział alt Hedley. – Spocznij i proszę do najtajniejszej z naszych map. Usłyszycie dobrą nowinę. – Zwiadowcy wykonali rozkaz. – Po pierwsze, przywitajmy kolejnych obłąkańców, którzy do nas trafili. Monique nieco już ich wytrzęsła na wertepach, więc aż się palą, żeby do nas dołączyć.

Njangu wymienił spojrzenie z Penwythem i skrzywił się. Zdołał się dostać do dowodzonej przez Kipchaka drużyny Gamma w pierwszym plutonie. Ton Milot trafił do Alfy, Hank Faull do drużyny Vic, tyle że w drugim plutonie, w którym znalazła się też Angie, ale w drużynie Eta. Resztę urlopu spędzili w Issus, głównie z Deirą. W pewnej chwili Njangu wziął Tona na bok, zdał mu pokrótce relację z upojnej nocy i spytał, czy nie będą mieli z tego powodu jakichś kłopotów w wiosce.

Milot roześmiał się.

–Nie tutaj, przyjacielu. Uważamy, że każdy odpowiada za siebie. Świetnie wiemy, jaka jest Deira – dodał jakby z żalem. – Spędziliśmy kilka miłych chwil, zanim się jeszcze zaciągnąłem. Spytałem wtedy Lupulę, czy się zgadza, aby Deira do nas dołączyła.

Odparła, że musiałyby mi chyba obciąć to i owo, bo nie miałbym już sił na połów ryb. Nie martw się więc i korzystaj.

Korzystali więc wszyscy... a przynajmniej tak zdawało się Njangu. Zastanawiał się nawet, czy nie zaczyna się coś poważnego, ale pod koniec urlopu Angie przywróciła go do pionu.

–Słuchaj... gdy wrócimy... sypiam sama – powiedziała. – Między nami nic nie ma.

–Rozumiem – odparł Njangu. – Robota i łóżko nie chodzą w parze.

–Właśnie – stwierdziła jakby trochę zła Angie. – I nikomu o tym nie opowiadaj.

–O czym?

–O tym, co było z Deirą.

–Ale Ton Milot wie... – powiedział zdziwiony Njangu, lecz urwał, widząc minę Rady.

–Dobra. Nie rozgłaszam rodzinnych tajemnic.

–I lepiej, żeby tak zostało – rzuciła i zaczęła się pakować.

To zakończyło całą sprawę. Njangu starał się jak najszybciej o wszystkim

zapomnieć.

–Zatem za cztery dni mamy manewry, pamiętacie? ciągnął Hedley. – Wszystko, co ich dotyczy, jest oczywiście tajne, zgadza się?

Ktoś parsknął cicho.

–Nie zaprzeczać, bo skończycie z plecakiem pełnym kamieni. Po pierwsze i najważniejsze, jak zwykle będziemy agresorami. Dostaniemy do towarzystwa pierwszą i drugą kompanię trzeciego pułku, a ponadto kilka zhukovów i z pół tuzina griersonów. W tej chwili szukają jeszcze ochotników do obsady załóg. Nie muszę oczywiście dodawać, że to, co za chwilę usłyszycie, też jest ściśle tajne i nie rozmawiamy o tym nigdzie poza kompanią.

Oficjalnie nie mamy prawa tego wiedzieć.

Odłonił mapę. Njangu poznał górzysty środek wyspy Dharma z przedmieściami Leggett rozciągającymi się daleko po lewej. Tu i ówdzie naniesiono strzałki.

Kobieta w mundurze twega jęknęła rozgłośnie.

–Poznajecie, he? – powiedział rozbawiony Hedley.

–Tak, sir – odparła kobieta. – To samo co trzy lata temu, prawda?

–Co do joty – zachichotał Hedley. – Scenariusz też identyczny. – Położył palec na jednej ze strzałek. – Ogólny plan zakłada, że tutaj, około trzydziestu kilometrów na wschód od Leggett, Grupa Uderzeniowa dokona desantu wewnątrzatmosferycznego i uderzy na okopanego przeciwnika, czyli nas. Zostaniemy zepchnięci na północ, do podnóża góry Najim, gdzie się przegrupujemy. Wtedy Grupa Uderzeniowa przypuści szturm wprost na nasze pozycje, a my, zamiast wycofać się dalej na wschód, w góry, co zrobiłby każdy z odrobiną oleju w głowie, pozwolimy się otoczyć na stokach Najim. Tam staniemy do ostatniej, samobójczej walki i albo nas wybiją, albo trafimy do niewoli, co caud Williams uczci następnie bankietem dla szych z rządu i rentierów, a wszyscy będą wychwalać naszą dumną postawę i tragiczny los.

Monique Lir uniosła rękę.

–Słucham?

–Bez obrazy, szefie, ale te manewry miałyby o wiele więcej sensu, gdyby Grupa została ustawiona w pozycji obrońców walczących z desantem spoza planety. Może musthów? Albo tych piratów, którzy zgarnęli wszystkie nasze uzupełnienia?

–Nie rozumiesz kontekstu – powiedział spokojnie Hedley. – Atakowanie jest

romantyczniejsze niż obrona z jakiejś dziury.

–Cholera – mruknęła Lir.

Hedley wzruszył ramionami.

–Nie pytano nas o zdanie, w każdym razie nie bardziej niż zwykle. Oczekuje się, że dwie wspomniane kompanie odwalą zasadniczą robotę, czyli okopy i hałasy, a naszym zadaniem będzie robić zamieszanie za liniami przeciwnika. Jedno nam sprzyja.

Meteo zapowiada, że tego roku pora deszczowa zacznie się wcześniej. Jutro i pojutrze ma padać, co nam zapewni lepsze maskowanie.

Rozległ się śmiech, w którym pobrzmiwała złośliwa nutka.

–Przyjrzyjcie się uważnie mapie – powiedział Hedley. Szukajcie okazji, żeby dać naszym kochanym braciom w kość. Ogólne zasady nie pozwalają nam oczywiście zwyciężyć, ale chcę, żeby Biali mieli naprawdę trudną robotę. I jeszcze jedno, o czym ani słowa na zewnątrz. Własnoręcznie ukrzyżuję każdego, kto cokolwiek chlapnie. Tam rozciąga się prawdziwa dżungla, a w niej żyją ludzie, którzy naprawdę nas nie lubią, a szczególnie nie lubią kobiet w mundurach. Na wszelki wypadek każdy dostanie zatem magazynek ostrych, który będzie nosił w plecaku. Jeśli komuś pomylą się ze ślepakami, które oficjalnie dostaniecie, niech bogowie miłosiernie go chronią, bo ja nie będę. Jeśli ktoś przypadkiem oberwie, sam wniosę oskarżenie o morderstwo i zaprzeczę, aby ktokolwiek z naszych widział kiedyś ostrą amunicję poza strzelnicą. To wszystko. A teraz zajmijcie się swoimi pododdziałami. Rozejść się.

Hedley ruszył do siebie.

–Sir?! – zawołał za nim Kipchak.

–Czego ci trzeba, Petr?

–Kilku minut rozmowy na osobności, sir. Szturmowiec Yoshitaro ma coś, co może okazać się ciekawe.

–Chodźcie ze mną.

–Njangu, bierz fanty – rzucił Kipchak.

Fantami były dwa komunikatory, łamigłówka, ogłuszacz i karty tożsamości, które Garvin zabrał napastnikom. Opowiedział Njangu o zdarzeniu i spytał, co powinien zrobić.

Może zgłosić to policji? Yoshitaro oczywiście skwitował ten pomysł szyderczym uśmiechem.

Może zatem powinien pójść do dowódcy kompanii, cent Haughton? Njangu spytał Jaansmę, co o niej myśli. Garvin nie miał z nią wiele do czynienia, ale sądząc po jej zastępcy, Malagashu, nie należało za wiele oczekiwać. Njangu zdecydował więc, że porozmawia z własnym dowódcą, Hedleyem, który zdawał się mieć dobrze poukładane w głowie.

Zobaczy, co on powie.

–Dobra. Ale staraj się trzymać mnie z dala od sprawy – powiedział Garvin.

–Coś taki wrażliwy? Wracalesz z imprezy na Wzgórzach i próbowali cię napaść. Co w tym podpadającego?

–Caud Williams powiedział, że nie chce mnie więcej widzieć. Wykonuję rozkaz.

–Przesadzasz, ale niech ci będzie. Pewnie będę musiał zdradzić Hedleyowi, o kogo chodzi, ale poproszę go o dyskrecję.

Hedley dokładnie obejrzał komunikatory. – Ładne cacka, nowe... I zestrojone ze sobą. Po co takie urządzenia zwykłym rabusiom? A do tego z szyfratorem. Przy skoku się nie gada. I jeszcze typowo ogłuszająca broń. Kumple twojego przyjaciela byli dziwnie pokojowo nastawieni. Albo chcieli go żywego.

–To mnie właśnie zastanawia, sir.

–A te dwie karty należą do Raumów – powiedział Hedley.

–Skąd pan wie, sir? – spytał Kipchak.

–Rentierzy wymogli z siedem lat temu, aby wszyscy Raumowie dostawali dowody tożsamości z oznaczeniem zaczynającym się na Y. Oczywiście bez żadnego szczególnego powodu, bo to przecież nieszkodliwe żuczki. Jednak po co nawet najgorsi z najgorszych Raumów mieliby porywać zwykłego szturmowca? Chyba będzie lepiej, jeśli opowiesz mi o swoim przyjacielu.

Njangu opowiadał.

–Dlaczego nie wezwał glin? Większość żołnierzy, którym coś się przydarzy, zwykle tak robi.

–W tym akurat jest podobny do mnie, sir – odparł szczerze Njangu. – Jak dotąd żaden z nas nie miał policjantów za przyjaciół.

–Hmmm... I nadal wolałby pozostać poza sprawą. Dobra. Zrobię, co będę mógł.

Opowiem o tym zdarzeniu paru zaufanym ludziom z naszego wywiadu i jeszcze kilku analitykom z tutejszego wywiadu cywilnego. Są prawie w połowie tak dobrzy, jak im się wydaje. Zresztą powinni, bo mieli ze dwieście lat, żeby jakoś się pozbierać.

Możecie wracać do swoich zajęć. Dziękuję za meldunek. Na pewno nie trafi do kosza.

–I jeszcze jedna prośba, sir – powiedział Njangu. Chciałbym przekazać mojemu przyjacielowi to, co pan mówił o ochotnikach do obsady wozów.

–On lata na griersonie?

–Tak. Trzeci pluton, kompania A, drugi pułk piechoty. Jest strzelcem pokładowym.

Alt zastanowił się.

–Służy pod tym sukinkotem Benem Dilleem – podsunął Petr.

–Znam go... wiem o nim co nieco – odpowiedział Hedley. – Niedobrze. Gwałtowny gość niewiele mniejszy od zhukova. Gdyby nie to, że jest przeciwny spacerom, byłby świetnym zwiadowcą. Pozyskaj go dla nas. Przyda nam się jeszcze jeden dupek.

Szturmowiec Garvin Jaansma wszedł do kancelarii kompanii A, zdjął nakrycie głowy i stanął na baczność, strącając na świeżo wywoskowaną podłogę kilka kropli oleju maszynowego. Miejsca starczało tu akurat na biurko pisarza kompanijnego, humorzastego finf a imieniem Calmahoy.

–Szefowa chce cię widzieć – powiedział pisarz.

–Tak też mówił mi tweg Ric – odparł Garvin.

–Jest u siebie. Najpierw zapukaj.

Garvin podszedł do drzwi, podliczył w myślach wszystkie swoje grzechy i energicznie zastukał.

–Wejść.

Krążąca po kompanii pogłoska, że cent Dian Haughton prasuje co wieczór wszystkie baretki, nie była zgodna z prawdą, ale też daleko od prawdy nie odbiegała. Pani cent była trwale zrośnięta z armią i widać to było zarówno po jej idealnie przystrzyżonych na zapałkę włosach, po wzorowej postawie, jak i po nienagannym stanie munduru. Nikt nie wiedział jednak, jakim właściwie jest dowódcą, bo przez trzy miesiące sprawowania pieczy nad kompanią A załatwiała wszystko za pośrednictwem

swojego zastępcy, twęga Malagasha.

Garvin zsalutował jej najlepiej, jak umiał, i stanął wyprężony, żeby chociaż częściowo zatrzeć niekorzystny efekt związany z wyglądającymi z nie dopiętej kieszeni bluzy kawałkami elektroniki.

–Spocznij – powiedziała Haughton. – Wiesz, jakie mamy zasady w kwestii prywatnych rozmów telefonicznych w godzinach pracy?

–Wiem, proszę pani. Zabronione.

–Twoi przyjaciele też nie powinni wtedy do ciebie dzwonić.

–Tak jest.

Podala mu dwa blankiety wiadomości.

–Przeczytaj.

Garvin zastanowił się, kto mógł dzwonić... i nagle uniósł brwi ze zdumienia.

Pierwszy telefon był od Jasith Mellusin, drugi od Loya Kuoro.

–To twoja prywatna sprawa, ale jeśli nie masz nic przeciwko temu, zadam ci kilka pytań.

–Tak, proszę pani.

–Czy Jasith Mellusin jest spokrewniona z tą znaną rodziną od przemysłu wydobywczego?

–Tak jest.

–Hm... A Loy Kuoro związany jest z „Matin”?

–Tak jest.

–To twoi przyjaciele?

–Co do pierwszej z tych osób... mam nadzieję, że tak. Jeśli chodzi o drugą, możemy mówić raczej o wrogu.

–Jak na świeżo mianowanego szturmowca obracasz się w ciekawych kręgach.

–Naprawdę pani tak uważa? – spytał Garvin obojętnym tonem.

Haughton odczekała chwilę, aż pojęła, że Jaansma nie ma zamiaru rozwijać tematu.

Chrząknęła.

–Niech będzie. Możesz oddzwonić. Teraz. Skorzystaj z gabinetu szefa kompanii.

Niebieski aparat łączy bezpośrednio z miastem, więc będziesz miał nieco prywatności.

–Dziękuję pani.

Haughton zmierzyła go spojrzeniem.

–Ciekawe, do czego jeszcze dojdiesz? Odmaszerować.

–Jasith – rozległ się w słuchawce gardłowy szept.

–Mówi Garvin Jaansma. Spotkaliśmy się podczas... – Żołnierzu, prawie nic wtedy nie piłam i świetnie wszystko pamiętam.

–Chyba winny ci jestem przeprosiny? – zaczął Garvin.

–Nie. Zadzwoiłam, aby ci powiedzieć, że jest mi przykro. Krótco przed przyjęciem pokłóciłam się z ojcem, który ciągle mi powtarza, że nie chce mi się pracować i nie jestem godna naszego nazwiska. Byłam w paskudnym nastroju, chociaż udawałam, że jest inaczej.

Gdy zaczęliście z Loyem, chyba nie zrozumiałam, o co ci chodzi, i zrobiłam z siebie idiotkę.

Przepraszam, Garvin.

–Nie, to ja przepraszam. Powinienem pomyśleć, zanim coś powiem, i w ogóle.

–A zaczęło się robić tak miło... – szepnęła Jasith. Pamiętam twoje pocałunki.

–A ja pamiętam jeszcze inne rzeczy.

–Jak pomysł posłania z płatków róży?

Garvin poczuł, że puls mu przyspiesza.

–To też.

–Gdybyś chciał... może następnym razem?

–Chętnie.

–Wiem, że za cztery dni macie manewry. Tata i reszta będą obserwować ich zakończenie na górze Najim. Pewnie po wszystkim dadzą ci przepustkę?

–Pewnie tak.

–Masz mój numer. Nie ruszam się nigdzie bez komunikatora. Zadzwoń.

–Obiecuję.

Usłyszał jakiś dźwięk przypominający delikatne cmoknięcie i połączenie zostało zerwane.

–No to przepadłem – mruknął Garvin i wybrał drugi numer.

–Redakcja „Matin” – usłyszał w słuchawce kobiecy głos. – W czym mogę pomóc?

–Mówi szturmowiec Garvin Jaansma, kompania A drugiego pułku piechoty Grupy Uderzeniowej. Dzwonię w odpowiedzi na telefon Loya Kuoro.

–Proszę poczekać.

–Mówi Loy Kuoro – rozległo się chwilę później. – Chcę pana przeprosić za wszczęcie tej awantury na przyjęciu u Bampurów.

Przepadłem i będę potępiony, pomyślał Garvin.

–Nic się nie stało – powiedział przyjaźnie. – To nie była nawet awantura, tylko sprzeczka.

–Mam nadzieję, że nie zrobiłem panu krzywdy ani nic w tym rodzaju – powiedział Kuoro jakoś mniej serdecznie.

–Nie, chybił pan, a potem poszedł pan popływać.

–Może następnym razem, gdy się spotkamy, będę mógł panu postawić drinka?

–Obawiam się, że nie – odparł Garvin. – Pijam tylko z równymi sobie.

Kuoro syknął wściekle i zapadła cisza. Garvin wyłączył aparat i wyszedł z gabinetu.

Cent Haughton stała przy biurku Calmahoya i udawała, że czyta rozkaz dzienny.

–Dziękuję pani – powiedział Garvin. – Doceniam uprzejmość.

Haughton znowu mu się przyjrzała. Jaansma odezwał się do niej tak, jakby pod każdym względem byli sobie równi. Przemknęło jej przez myśl, że może jednak tak jest, a potem zastanowiła się nad tym, kim naprawdę jest Jaansma. On tymczasem podszedł do drzwi, nałożył czapkę i wyszedł.

Haughton patrzyła za nim jeszcze przez chwilę, aż nagle dostrzegła coś więcej.

–Calmahoy, co to za tłuste ślady? To kancelaria, a nie chlew! Zetrzeć mi to zaraz!

–Więc moja sława dociera coraz dalej – mruknął Ben Dill. – Dupek, powiadasz?

–Tak wyraził się alt Hedley – odparł Njangu, rozglądając się niespokojnie za jakimś ciężkim narzędziem. Wolałby mieć pod ręką coś, czym mógłby się obronić przed Dilem.

Jednak w pobliżu był tylko grierson. Trudno, w razie czego po prostu odleczę, pomyślał.

Nie okazało się to jednak konieczne, bo jego olbrzymi dowódca zaniósł się śmiechem.

–Dupek Ben, tak? Dobra, jest jak jest. – Uderzył pięścią w pancerz griersona. – Dalej, sardynki, wyłazić z tej puszki! Mamy do pogadania o zgłaszaniu się na ochotnika, zanim nam odbije i się zgłosimy!

–Można pytanie? – zagadnął Garvin Dilla, gdy ostrożnie rozmontowywali uzbrojenie strzeleckie griersona.

–Pytaj, a usłyszysz.

–Ludzie Hedleya zajmują się rozpoznaniem naziemnym, tak? A zwiad powietrzny robi to samo, tyle że głównie z góry, prawda?

–Z grubsza.

–To dlaczego właśnie drużyna Hedleya ma odgrywać rolę złych chłopców, a tamci trzymać się Grupy? Przecież gdybyśmy walczyli z prawdziwym przeciwnikiem, ten na pewno dysponowałby zwiadem powietrznym?

–Dobre pytanie – powiedział Dill. – Ale sprawa wygląda tak. Po pierwsze, podczas żadnych ćwiczeń nie pozwala się, aby agresor był za dobry. Jeszcze mógłby skopać dupę najlepszemu pułkowi albo wziąć sztab do niewoli... Jak myślisz, co by wtedy było z awansami? Alt Hedley ma plan awansów gdzieś, więc jego bawi ta rola, czym bardzo się różni od dowódcy zwiadu powietrznego, centa Liskearda. I jest wyższy stopniem od Hedleya, chociaż oba etaty zostały przewidziane właśnie dla centów. Po

drugie, nikt tutaj nie ma ochoty wdawać się w prawdziwą walkę, czym musi się skończyć na przykład ganiecie po górach za Raumami. Wszyscy oprócz Hedleya i paru rzeźników obawiają się, że ktoś z ich oddziału zacznie strzelać gdzie nie trzeba, może nawet do kobiet i dzieci. A karierowicze uważają, że na odgrywaniu agresorów mogą tylko stracić. To dlatego te dwie kompanie, które mają towarzyszyć oddziałowi Hedleya, nie zgłosiły się na ochotnika, tylko zostały wyznaczone. Daję głowę, że żaden z tych dowódców nie chciałby pakować się z własnej woli w takie gówno. Rozumiesz już, dlaczego tak to wygląda? Nikt nie chce zostać armijnym wykopaliskiem, młody Garvinie...

Jord'n Brooks stał przed szeregiem dwadzieścioro mężczyzn i kobiet zebranych na leśnej polanie. Obok siebie miał Jo Poynton i Comstocka Briena.

– Witam was, bracia i siostry – powiedział. – Witam was, bojownicy, i jestem dumny, że zespół planowania powierzył mi dowództwo tak wspaniałego oddziału ochotników gotowych wypełnić jedną z naszych najważniejszych misji. Gdy pewnego dnia Raumowie opanują już Cumbre D, a potem cały układ i sięgną do gwiazd, każdy, kto pomyśli o przeszłości, wróci właśnie do tej chwili i powie: „To był początek. To ci bohaterowie zapoczątkowali wyzwolenie naszej rasy i naszego ludu oraz rozkwitu naszej kultury”. – Zebrał się w sobie, aby podnieść głos. – Oto nadszedł też początek końca naszych wrogów, rentierów, oraz wszystkich istot we wszechświecie, które powątpiewają w Prawdę.

Weźcie broń i plecaki, które widzicie przed sobą. Znajdziecie w nich instrukcje.

Przeczytajcie je, zapamiętajcie, bo będą potrzebne podczas przygotowań i ćwiczeń przed akcją. Nasz oddział niczym pochodnia zabłyśnie w oczach uciśnionych, stanie się znakiem bliskiego wyzwolenia.

Cała dwudziestka zaczęła wiwatować. Brooks przymknął oczy i słuchał tego w uniesieniu.

Wyspa Chance zadrżała w posadach, gdy setki zhukovów, griersonów i cooków Grupy Uderzeniowej wypełnionych siedmioma tysiącami ludzi wzniosły się nad ziemię i pomknęły ku wylotowi zatoki. Pięć kilometrów nad oceanem utworzyły zwartą formację.

Oczywiście nie obeszło się bez kłopotów – prawie tuzina niebezpiecznych zbliżeń i kilku kolizji. Niemniej ofiar nie było dużo. Większość uszkodzonych pojazdów desantowych zdołała wylądować, tylko część musiała skorzystać z napędu awaryjnego. Kilkoro ludzi zmuszonych było skakać. Trzy spadochrony się nie otworzyły, a dwaj żołnierze, którzy jakimś sposobem wywinęli się od obowiązkowych lekcji pływania, utonęli w zatoce.

Potem cała formacja zeszła prawie nad same fale i przyspieszyła do bezpiecznej szybkości dwustu kilometrów na godzinę, by przeprowadzić desant. Wirtualne przeciwlotnicze pociski rakietowe zestrzeliły trzydzieści dwa pojazdy, ale równie wirtualny ostrzał z zhukovów i griersonów zniszczył ich wyrzutnie. Grupa Uderzeniowa zbliżyła się do strefy desantu w chwili, gdy nad wyspą Dharma

przetaczała się kolejna fala monsunowego deszczu.

Caud Williams uznał desant za wielki sukces i zbagatelizował straty od ognia przeciwnika, stwierdziwszy, że wynikły one wyłącznie z małej szybkości zespołu, w tych warunkach niestety jednak koniecznej. Machnął również ręką na wieść, że dziewięć procent sprzętu zawiodło już w trakcie przygotowań albo przy samym starcie. Nie obchodziło go też, iż prawie tysiąc żołnierzy zostało w bazie skierowany do „innych obowiązków”, które nie miały nic wspólnego z manewrami.

Agresorzy, prozaicznie nazwani Niebieskimi, byli już od dwudziestu czterech godzin gotowi do walki. Dwie kompanie trzeciego pułku oczekiwały najgorszego, w tym całego dnia kopania i umacniania pozycji obronnych, okazało się jednak, że transeje i schrony sprzed czterech lat są w całkiem dobrym stanie. Wystarczyło wzmocnić je w paru miejscach workami z piaskiem i przyciąć roślinność, która rozpanoszyła się w okopach.

–Całkiem jak na koloniach – powiedział jeden z żołnierzy.

–Może – rzuciła jego towarzyszka. – Ale wtedy miałam porządny gumowy karabinek, a nie takie gówno jak ta dwudziestka jedynka.

–Nie marudź, tylko syp piasek do worka.

Bateria wyrzutni pocisków Shrike na griersonach sunęła z wolna nad błotnistą drogą.

Dowodzący nią cent miał nadzieję, że rosnący po obu stronach las świetnie skrywa przemarsz. Co chwila zerkał na ekran satelitarnego pozycjonera, który twierdził niezmiennie, że zaraz będzie odnoga na północ, prowadząca na łączkę nadającą się akurat do odpalenia „rakiet” w kierunku Niebieskich. Wszystko byłoby dobrze, gdyby cholerna skrzynka nie obiecywała mu tego już od dwóch godzin.

Trasa stawała się coraz trudniejsza, deszcz tłukł w pancerze griersonów, a drzewa rosły coraz bliżej drogi. Cent wiedział, że jest już niedaleko linii Niebieskich, i bez wsparcia zhukovów nie ważył się wznieść ponad wierzchołki drzew, by naocznie sprawdzić swoją pozycję.

Odetchnął z ulgą, gdy za kolejnym zakrętem ujrzał wreszcie obiecane rozwidlenie.

Co więcej, tuż obok stał cook z oznaczeniami żandarmerii wojskowej, a przy jego burcie – porządnie umundurowana dec.

–Zwolnić i przyziemić – rozkazał. – Musimy sprawdzić pozycję. – Pilot wykonał rozkaz, a cent otworzył właz.

Dec zasalutowała.

–Chyba nieco się zgubiłem – wyznał dowódca baterii.

–Na taką ewentualność nas tu skierowali – powiedziała. – Mapa jest niedokładna.

Musicie teraz skręcić w lewo.

–Dobrze – odetchnął cent. – Mój pozycjoner mówi mi coś przeciwnego.

–Tego można się było spodziewać.

Cent zatrzasnął właz, otrząsnął się z deszczu i wydał rozkazy. Kolumna uniosła się i powoli ruszyła wąską drogą.

Dec Monique Lir uśmiechnęła się niczym wilczyca i wskoczyła do cooka.

–Wynosimy się stąd – rzuciła i włączyła radio. – Vara Siedem, tu Sybilla Beta.

Mam dla was zadanie ogniowe.

–Tu Vara. Mów.

–Bateria shrike'ów na griersonach w kolumnie marszowej. Góra jeden, lewo dwa.

Przesuwa się na północ z szybkością około czterech kilometrów na godzinę.

–Mamy już namiar ogniowy. Odpalać?

–Jeszcze nie. Daj im z piętnaście minut, aż wyjadą na otwarte. Przekazuję ci prowadzenie celu. Dobrej zabawy. Bez odbioru. – Spojrzała na swojego kierowcę.

Poszukajmy jakiegoś wzgórza, żeby sobie popatrzeć.

Kwadrans później pierwszy pojazd wychynął z lasu. Przeklinający głośno cent kazał całej kolumnie wyjechać na goły stok. Wziął namiar z pozycjonera i bateria nieco zmieniła kurs.

–Ognia – powiedział odległy o pięć kilometrów alt, który dowodził baterią Niebieskich. Po chwili połączył się z rozjemcami. – Zgłaszam zniszczenie baterii shrike'ów przeciwników.

–Potwierdzam – powiedziała kobieta po drugiej stronie. – Czysta robota. Grupa Uderzeniowa zaraz dowie się o swoich stratach.

Griersony zeszyły w rejon desantu w formacji kilku ciasnych V. Pod osłoną

symulowanego ognia zhukowów otworzyły tylne rampy, wypuszczając piechotę, która zaraz ruszyła do ataku na umocnienia Niebieskich. Zgodnie z planem przeciwnik został wyparty z przygotowanych pozycji i zmuszony do odwrotu ku podnóżu góry Najim.

–Dobra rada – odezwał się jeden z finfów do młodego szturmowca. – Po ślepakach broń jest cholernie zapaskudzona. Rzadko strzelaj, często krzycz „bang, bang!”, to mniej się naczyścisz.

Kolejka do kuchni polowej mokła cierpliwie na deszczu.

–Co macie? – spytał jeden z żołnierzy.

–Wszystko co najlepsze – odparł radośnie finf od chochli. – Prawdziwą, jajecznicę i jakieś kielbaski. W każdym razie wyglądają na kielbaski. Poza tym tosty, owoce i herbatę.

–Co z tego jest na ciepło?

–Większość. No, trochę. Zresztą co lepsze, to czy konserwy?

–Dobra, nakładaj.

Kryjący twarz pod kapturem, Erik Penwyth niczym się nie wyróżniał spośród stojących przed nim i za nim żołnierzy. Przełożył menażkę do lewej ręki, a prawą zaczerpnął kubkiem z kotła bulgoczącej herbaty.

Zaspany kucharz nie zauważył, że zanurzany kubek nie był pusty. Penwyth wypełnił go do połowy małymi fioletowymi kryształkami, które teraz rozpuszczały się w herbacie.

Zrobiwszy swoje, odszedł, niby to szukając jakiejś wolnej kłody albo maski pojazdu, która mogłaby posłużyć za stół. Gdy zszedł już wszystkim z oczu, spojrzał na zawartość menażki, skrzywił się i wyrzuciwszy wszystko w krzaki, pobiegł ku zamaskowanemu stanowisku drużyny Gamma.

Dodane do herbaty kryształki nadmanganianu potasu miały niebawem dostarczyć ciekawych wrażeń wszystkim, którzy kosztowali owego napoju. Za kilka albo kilkanaście godzin, zależnie od pojemności i wrażliwości pęcherza, dzielne wojsko powinno zacząć sikać na jaskrawoczerwono. Mogło to mieć niejaki wpływ na morale...

Caud Williams śmiałym manewrem wycofał oddziały z prawego skrzydła i skierował je ku zamaskowanym stanowiskom, na których oczekiwały griersony. Całość, wraz z formacjami rezerwowymi, przerzucił potem na lewe skrzydło, aby uniemożliwić

Niebieskim wycofanie się na zachód, ku wzgórzom za dzielnicą bogaczy. Teraz mogli cofać się jedynie w kierunku Najim.

–Bystre jak cholera – mruknął Hedley. – Gdybym był dowódcą Grupy Uderzeniowej i gdyby to była prawdziwa wojna, zagoniłbym przeciwnika z powrotem ku przedgórzu. Na otwartym stałby się łatwym celem dla artylerii i ataków z powietrza. Mokra plama by została.

Ale co ja wiem o wojnie? Jestem tylko marnym altem i nie napisałem ani jednego podręcznika taktyki. Ale może i tak uda nam się zabawić trochę kosztem naszego Aleksandra Wielkiego...

Cztery cooki kompanii rozpoznania przemieszczały się w gasnącym świetle dnia w kierunku SSW, wnikając w lukę pomiędzy siłami głównymi a lewym skrzydłem Grupy Uderzeniowej. Napęd jednego z pojazdów odmówił posłuszeństwa, ale pozostałe trzy szczęśliwie dotarły daleko za linie „przeciwnika” i skryły się w gęstwie krzewów dwieście metrów od drogi łączącej stanowiska Grupy Uderzeniowej z wybrzeżem.

–Dobra, najpierw drużyna Gamma, potem Alfa, na końcu Delta – rozkazał Kipchak. – Monique, będziesz z Betą osłaniać mi skrzydła?

–Dlaczego ty pierwszy? – spytała Lir. – Jestem wyższa stopniem.

–Ponieważ to ja dowodzę patrolem i to był mój pomysł.

–Robi się ciekawie – mruknął dowódca Alfy, dec Nectan. – Zauważyliście, że nikt z nas nie współdziałał dotąd z inną drużyną? Każdy ćwiczy osobno...

–I co z tego? – spytał Petr. – Przecież to tylko manewry. Co innego, gdybyśmy mieli do czynienia z Raumami, którzy nosiliby prawdziwą broń.

–Cóż, racja.

–Niemniej dobrze, że zwróciłeś na to uwagę – orzekł Kipchak. – Przekażcie drużynom, że gdyby wszystko się posypało, wracamy za rzekę, zbieramy się i atakujemy raz a mocno, po czym odrywamy się i zaczajamy pięćdziesiąt metrów za naszymi cookami, żeby sobie obejrzeć tamtych. Czekamy, aż je znajdą. Na pewno będą zaskoczeni. Wtedy wycofujemy się jeszcze trzysta metrów, zawracamy kawałek i urządzamy zasadzkę na tych, którzy chcieliby pójść po naszych śladach. O bladym świetle wracamy do siebie. Ale to plan tylko na wypadek, gdyby nam się nie udało. Na razie spróbujmy popsuć im chociaż końcówkę dnia. – Rozejrzył się wkoło. – Njangu, prowadzisz.

Yoshitaro ukrył zdumienie. Nie czuł się jeszcze do tego gotowy i chciał zaprotestować, ale spojrzawszy na Petra, spasował.

–Jasne, szefie – odparł i ruszył pierwszy tak samo, jak chadzał kiedyś po ulicach miasta: czujnie, zakładając, że w każdej chwili może się zdarzyć coś nieprzewidzianego, że wszędzie może czaić się wróg. Całkiem jak w symulacji, pomyślał. Ale następnym razem będę się przekradał między Raumami, więc niech praktyka czyni mistrza.

Zatrzymał się w górze rzeki i zlustrował ją spod zarośli. Nikogo. Skinął na bocznych i poczekał, aż zjawi się reszta. Tak jak go nauczono, pokazał na migi: ja pierwszy, potem wy dwaj, następnie pozostali. Boczni szli w sporej odległości z obu stron głównej kolumny.

Nagle Njangu uświadomił sobie, że chociaż ciągle jeszcze można go zwać żółtodziobem, dostał dowództwo nad trzema dziesiątkami ludzi. Zaraz jednak odsunął tę myśl, żeby mu się w głowie nie przewróciło.

Woda była zimna i sięgała prawie do pasa. Kierując się lekko pod prąd, szybko przebrnął dziesięciometrowy nurt i wspiął się na przeciwległy brzeg.

Bezpiecznie.

Przechodzić. Patrol szybko do niego dołączył, przegrupowali się i dotarli do drogi. Njangu przykucnął za krzakiem i przyjrzał się jej.

Petr i Monique przeszli obok, pokazali mu na migi, żeby miał oko na wszystko od południa, i wyszli na pokruszoną szosę. Przyklęknęli i zaczęli się nad czymś niemo naradzać, często macając nawierzchnię. Njangu nie miał pojęcia, o co może im chodzić.

Monique poruszyła kciukiem, jakby rzucała monetą, Petr poklepał się po pośladku.

Potrząsnęła głową z udanym obrzydzeniem i wskazała na południe.

W końcu Kipchak wrócił.

–Poprowadzisz patrol na południe, tą stroną drogi – wyszeptał. – Ja z resztą będę się trzymał za wami. Jeśli pierwsi dojrzycie przeciwnika, schować się i obrzucić granatami, wtedy wszyscy zaatakujemy. A jeśli tamci wypatrzą was pierwsi – wzruszył ramionami – starajcie się umrzeć z godnością.

Przeszli ze dwa kilometry, gdy w ciemności dobiegł ich najpierw warkot silników, a zaraz potem ujrzeli błyski reflektorów, których użycie było wyraźnie sprzeczne z regułami manewrów.

–Dobra – powiedział Petr i Njangu aż się wzdrygnął. Tym razem Kipchak nie szeptał, lecz mówił normalnym głosem. – Alfa, Beta po tej stronie drogi, cofnąć się w las.

Gamma, ubezpieczacie ich. Dorwith, trzymaj się blisko Njangu. Monique, gdy się zatrzymają, wyjdiesz im na tyły, a gdy dam znać, obskoczysz ich.

–Jasne, szefie – odparł Dorwith.

–Tak jest, finfie Kipchak – powiedziała Monique. Już ja się nimi zajmę. – Zniknęła za zakrętem.

–Njangu, zdejmij opaskę.

Yoshitaro ściągnął oznaczenie agresora. Kipchak zrobił to samo, po czym oparł blaster o drzewo, rozpiął kamizelkę pancerną, podwinął jeden rękaw i rzucił hełm na ziemię.

–Jeśli wygrają, rozstrzelają nas jako szpiegów – powiedział. – A teraz kładź się tu na poboczu, a ja odegram tragedię. Gdybyś nie wiedział, zapadłeś nagle na tajemniczą chorobę i potrzebujemy pomocy. O, nadjeżdżają.

Na drodze pojawiło się sześć griersonów w konfiguracji ciężarowej, ze skrzynią ładunkową zamiast przedziału desantowego. Pozostawiono im po jednym działku w wieżyczce, ale lufy broni były skierowane w niebo, co oznaczało, że stanowiska nie zostały obsadzone. Sunęły pięć stóp nad ziemią, jak nakazywał postępować regulamin w pobliżu przeciwnika. Na tej wysokości były niewidoczne dla radarów.

Jadący w pierwszym griersonie chorąży dowodzący konwojem ujrzał na poboczu rozchełtanego finfa machającego gwałtownie rękami i wzywającego pomocy. Obok leżał bezwładnie drugi żołnierz.

–Stój, Sy – powiedział do pilota i wyszedł na dach, zanim jeszcze pojazd się zatrzymał. – Co się stało?! – zawołał do Petra.

–Sir... zgubiliśmy się... chcieliśmy wejść na drzewo, żeby sprawdzić... ale się nie udało – wydyszał Kipchak. – Obawiam się, że mój aspirant nie żyje... nie rusza się...

Chorąży zeskoczył czym prędzej na ziemię i podbiegł do obu żołnierzy.

–Spokojnie, człowieku... Co jest?! – krzyknął, gdy biadolący finf przystawił mu broń do głowy.

–Ognia! – krzyknął Kipchak, a Lir i jej ludzie wybiegli na drogę. Wszyscy mierzyli w konwój.

–Jesteście jeńcami Niebieskich! – obwieścił Kipchak. Niech nikt się nie waży pisnąć!

–Nie możecie! – zaprotestował chorąży. – Nie nosicie oznaczeń przeciwnika.

–Racja – odparł Petr. – To bezprawne i chyba niemoralne. – Zwrócił się do swoich ludzi. – Po dwóch do każdego pojazdu. Gdyby ktoś stawiał opór, wiecie, co robić.

Zwiadowcy kopnęli się ku griersonom. Z jednego z nich dobiegł jakiś krzyk, a potem jęk. Po chwili we włązie dowódcy tego pojazdu pojawiła się głowa Nectana.

–Załatwione. Jedno podbite oko.

–To już wykracza poza reguły gry – zauważył chorąży.

–Istotnie – zgodził się Kipchak. – Bardzo mi wstyd. Co wieciecie?

Dowódca konwoju zacisnął usta.

–Słuchaj, przyjacielu – powiedział spokojnie Petr i tak się tego dowiem. Nie zamazałeś numerów wozów, więc wiem, że jesteście z czwartego pułku. Powiedz mi z łaski swojej, co macie na skrzyniach, albo zachowam się jak prawdziwy partyzant.

Wrzucę cię do rzeki, a potem przywiążę do drzewa, zostawię i zadbam, żeby znaleźli cię najprędzej za dwa dni.

Chorąży spojrział z niedowierzaniem na Kipchaka i doszedł chyba do wniosku, że wpadł w łapy szaleńca. Słyszał zresztą, że ci ze zwiadu co do jednego mają nierówno pod sufitem. Uznał, że lepiej będzie współpracować.

–Na pierwszych dwóch griersonach są namioty i śpiwory, na następnych dwóch podgrzewane racje obiadowe, a ostatni wiezie prowiant dla kuchni oficerskiej.

Tymczasem wszyscy jeńcy opuścili już pojazdy i zebrali się na poboczu. Monique zjawiała się akurat na czas, żeby usłyszeć ostatnie słowa byłego dowódcy konwoju.

–Przykra sprawa – powiedziała bez krzty żalu. – Szykuje się mokra noc, a niektórzy będą się musieli obejść bez namiotów i kolacji. Założę się, że czwarty pułk ruszy rano do boju z pieśnią na ustach. Tym bardziej że podobno jutro też ma padać.

–Nie możecie tego zrobić – spróbował raz jeszcze chorąży.

–Już to zrobiliśmy – powiedział Kipchak. – Masz łączność z rozjemcami?

–Nie.

–Hm... to trochę kłopotliwe. Moglibyśmy wprawdzie zrzucić cały ładunek i spalić pojazdy, żeby było autentyczniej, ale papcio Williams nie byłby z tego zadowolony. Lir, umiesz czasowo unieruchomić griersona?

–Tak.

–No to już wiesz, co robić. – Kipchak spojrział znów na chorążego. – Zwiad nie bierze jeńców. Mógłbym was puścić na słowo honoru, ale wyglądacie mi na takich, którzy w żywe oczy żelgają, że nigdy nic nie obiecywali. Gdyby to było naprawdę, najpewniej ustawilibyśmy was pod najbliższymi drzewami i popełnili zbrodnię wojenną. Aby dowieść rozjemcom, że jednak was załatwiliśmy, zabierzemy wam karty identyfikacyjne i spodnie.

Ale puścimy was wolno, bo miłujemy pokój. Wasi są sześć mil dalej, w drugą stronę jest zapewne tyle samo. Miłego spaceru.

Grupa Uderzeniowa atakowała aż miło, a wiszące nad poligonem ekipy holo nieustannie rejestrowały przykłady męstwa „naszych dzielnych kobiet i mężczyzn w mundurach”. Widzowie wiadomości mieli dostać swoją dawkę propagandy, tym bardziej że tydzień nie obfitował w ciekawe wydarzenia.

Niebiescy cofali się ciągle na nowe, dogodniejsze do obrony pozycje, aż w końcu znaleźli się na zboczach góry Najim. Radośni, że wreszcie skończyło się to nieustanne kopanie, przygotowali się do ostatniej walki, po której caud Williams miał wyprawić wystawny bankiet dla swojego sztabu i rentierów z Cumbre D. Żołnierze obu stron łudzili się jeszcze, że skapnie im coś z tego stołu.

–Nie pokochają nas za to – powiedział aspirant Vauxhall, rozważywszy propozycję Hedleya.

–Zapewne nie – przyznał Hedley. – Wielkie mi mecyje.

–Będą kląć – zauważył zamyślony starszy tweg Gonzales.

–Po to chyba jesteśmy, żeby wróg na nas klął?

–Chyba tak. – Gonzales spojrział uważnie na przełożonego. – Jon, pozwól, że spróbuję zgadnąć, dlaczego wyskoczyłeś z tym pomysłem. Masz nadzieję, że chociaż za to oberwiemy, to w końcu ci ze Wzgórz pójdą po rozum do głowy i każą nam się zająć prawdziwymi bandytami?

–Cholerny mądrala – skomentował Hedley.

–Niżej – rozkazał caud Williams. – Chcę się lepiej przyjrzeć temu wzgórz.

–Tak jest, sir – powiedział Niedźwiedź i opuścił cooka na trzydzieści metrów. – Wałą do nas z dołu, sir.

–Zignoruj. To nie jest lot w ramach ćwiczeń – rzucił z irytacją caud, wbił spojrzenie w ziemię i sprawdził coś na wyświetlaczu topograficznym. – To będzie to – zdecydował. – Łatwo dojechać z drogi. Nasi goście będą widzieli cały obszar

manewrów, a gdyby jutro padało, jest dosyć miejsca na namioty.

Zabrząca radiostacja. Caud włączył mikrofon.

–Tu szóstka, jesteśmy... dobrze, milu Rao, słucham. Przez chwilę milczał, tylko oczy robiły mu się coraz większe. – Brachu... – wyrwało mu się. – Odebrałem, rozumiem. Za kwadrans jestem z powrotem. Poinformuj moich sztabowców, żeby byli gotowi. Bez odbioru.

–Odłożył mikrofon. – Wracamy do sztabu.

–Tak jest, sir.

–Wreszcie coś się ruszyło – mruknął caud.

Niedźwiedź milczał, ale zastrzygł uchem.

–To tajne – powiedział Williams. – Przyszła oficjalna wiadomość przez subradio.

–Od Konfederacji? – spytał z nadzieją Niedźwiedź.

–Nie. I nie przerywajcie mi, żołnierzu. Od Aleny Redrutha, protektora Lariksa i Kury.

Zjawi się u nas za tydzień na rozmowy z gubernatorem Haemerem.

Niedźwiedź odczekał chwilę i zadał oczywiste pytanie:

–O czym chce rozmawiać, sir?

–Nie wiemy. Ale nie chce się spotkać tutaj, tylko na Cumbre C. Gubernator oczekuje, że zapewnimy mu odpowiednią eskortę. – Zastanowił się. – Niemniej manewry i tak możemy dokończyć, tyle że bez paru oddziałów, które zaczną już się przygotowywać do zaszczytnego zadania. – Że jak? – warknął Hedley.

–Zabieramy się stąd, sir – powiedział Ben Dill. – Wycofują nas. Wszystkie griersony, które dostaliście jako wsparcie, mają wracać do Mahanu.

–Dlaczego?

–O tym nie było ani słowa, sir. Zasugerowano nam tylko, że mamy się przygotować do jakiegoś zadania w próżni.

–Nikt mnie, do diabła, nie uprzedził. Zostaniemy bez transportu, tylko z garścią małych cooków. Wszystkie moje plany diabli wezmą. A może w ogóle odwołują manewry?

Dill pokręcił głową.

–Nie wiem, sir.

–Raczej nie – mruknął Hedley. – I jak ja teraz pociągnę to wszystko...

–Nie rozumiem – odezwał się Vauxhall. – Dlaczego zabierają nasze wsparcie powietrzne, zamiast ruszyć swoją rezerwę?

–Powód jest prosty. Dill, bądź uprzejmy zatkać uszy, bo będę się źle wyrażał o twoich przełożonych.

–Tak jest, sir – odparł olbrzym, ale w ogóle się nie ruszył.

–Agresor zawsze przegrywa, więc chcą nam ułatwić zejście z tego padołu.

Zapomniałeś, po co nas tutaj postawili?

–Aha... No to co teraz zrobimy?

–To, co zawsze – powiedział Hedley. – Zaczniemy improwizować i zrealizujemy plan

Linie Niebieskich rozciągały się półkolem w odległości jakiegoś kilometra od płaskiego szczytu góry Najim. Pół kilometra niżej wznosiło się wzgórze, które caud Williams wybrał na punkt widokowy. Wszyscy poniżej stopnia mila zwali je po prostu Pyszczem.

Williams rozłożył się ze swoimi namiotami sztabowymi zaraz za nim. Oczywiście sztab był zamaskowany, ale i tak nikt nie odważyłby się posłać tam pocisku. I bez tego było trudno o awanse. Na szczycie Pyszcza pojawiły się też rzędy krzesel dla gości, a z boku wyrósł wielki namiot w jasne pasy. Tam miał się odbyć bankiet. Caud Williams był już gotowy zwyciężać.

Gubernator Wilth Haemer przybył razem z całym stadkiem asystentów i dość dziwnym wyrazem twarzy. Caud Williams zasalutował regulaminowo, a Haemer zaraz odciągnął go na bok.

–Zdumiewa mnie twój spokój – powiedział.

–Nie ma się czym przejmować – stwierdził Williams. – Ćwiczenia przebiegają dokładnie według planu.

–Nie o tym myślę. – Gubernator rozejrzał się wkoło. – Chodzi mi o wizytę Redrutha.

–Mam zwyczaj martwić się tylko o jedno naraz – powiedział caud. Nieco się napuszył.

–Jestem pewien, że protektor Redruth chce jedynie omówić z nami skutki problemów łącznościowych z Konfederacją. Może ma dla nas jakieś dobre wieści albo chce zaproponować współpracę. Jego ostatnia wizyta przebiegła w bardzo przyjaznej atmosferze, prawda?

–Tak, tak, ale...

–Wszystko będzie dobrze.

–Bardzo bym chciał, abyś miał rację.

Rozeszli się. Każdy życzył w duchu temu drugiemu rychłego skąpania się w szambie.

Prawie kilometr na zachód od Pyszcza ukryło się dwudziestu jeden ludzi w

mundurach Konfederacji. Podobnie jak pierwsi osadnicy na Cumbre D, znaleźli schronienie w rozłożystym zagajniku kwelfa. Roślina ta rosła w krąg, wysyłając na jego obwodzie liczne pędy, które oplatały okoliczne drzewa i naginały je coraz niżej, aż tworzyły gęsty i wysoki żywopłot. Niemniej pośrodku kręgu nie rosło zwykle nic większego niż krzewy, i to z rzadka.

Polana o promieniu od dziesięciu do trzydziestu metrów idealnie nadawała się na kryjówkę.

Zwykle ukrywający się wycinali jedno drzewo, a następnie ustawiali je w tym samym miejscu.

Jord'n Brooks spojrzął na zegarek.

–Za trzydzieści minut oficjalne zakończenie tych głupich manewrów. Idziemy.

Niech

Jedyny pomoże nam wykonać zadanie.

Jego podkomendni bez słowa złapali za broń i ruszyli do wyjścia z kręgu.

–Przemyślałam to, co mówiłeś, tato – powiedziała Jasith Mellusin. – I postanowiłam się tu zjawić. Chciałeś przecież, abym zaczęła brać większy udział w życiu rodzinnym i naszych interesach. A przecież robimy interesy z wojskiem, prawda?

Godrevy Mellusin uniósł brwi.

–Jasith, nie traktuj mnie jak głupca tylko dlatego, że jestem twoim ojcem. Nie, nie robimy żadnych interesów z siłami zbrojnymi Konfederacji, chyba że ty sprzedajesz im coś w tym przynoszącym straty sklepie z galanterią, na który mnie namówiłaś. Nie wierzę też, abyś wyszła ze mną na ten deszcz tylko po to, żeby sobie popatrzeć na zabłoconych żołnierzy ganiających po okolicy. Chcę wiedzieć, kto to jest i czy ma dość wysoki stopień, żebym nie musiał zgrzytać zębami.

Jasith spojrzała na niego oczami wyrażającymi jedynie niewinność.

–Naprawdę nie wiem, o czym mówisz – powiedziała i zachichotała, a Godrevy uśmiechnął się krzywo. Jeden z jego asystentów poprowadził oboje na zarezerwowane dla nich miejsce.

–Co jest? – spytał zirytowany Loy Kuoro.

–Przepraszani, sir, ale wykonuję rozkazy cauda Williamsa – powiedział Gonzales. – Rekwirujemy ten pojazd na czas manewrów.

–Cooo?! Nie możecie! On należy do „Matin”! Wiecie, co to jest „Matin”, prawda?!

–Tak, sir. Sieć holo. Ale ja mam moje rozkazy. Proszę wysiąść.

–Ale to właśnie ja robię relację z tej waszej zabawy, do cholery! Jeśli weźmiecie mój ślizgacz, nie będzie żadnego reportażu!

–Tak jest, sir – powiedział Gonzales. – Wielka szkoda, sir. A teraz, czy zechce pan wysiąść?

–Za diabła. Ruszaj! – rzucił do pilota.

Mężczyzna dotknął startera, ale Gonzales błyskawicznie otworzył drzwiczki i wyciągnął go na zewnątrz.

–Ty sukin... – Pilot uniósł pięść, ale Gonzales trzasnął go w żołądek i zgiętemu w pół dołożył w kark.

–Wszystko widziałem! – krzyknął Kuoro.

–Widział pan, jak pański pilot pośliznął się i upadł? zapytał Gonzales. – Uderzył głową o kamień. Widziało to jeszcze z pół tuzina ludzi, którzy chętnie zaświadczą, że doszło do przykrego wypadku. To w razie gdyby chciał pan nas o coś oskarżyć. A teraz, jeśli zechce pan opuścić ślizgacz, będziemy mogli zająć się swoimi sprawami.

Kuoro wysiadł, a dwóch szturmowców wzięło go zaraz pod ramiona i odprowadziło na bok.

–Połóżcie go razem z innymi – rozkazał Gonzales. Odciągnijcie też tego biedaka i niech ktoś sprawdzi, czy nie trzeba mu pomocy medycznej.

Już wcześniej sprowadzili z drogi siedem prywatnych i firmowych ślizgaczy. Ich piloci i pasażerowie znajdowali się obecnie pod strażą kilkorga żołnierzy. Po chwili w zarośli wyłonił się alt Hedley.

–Będzie z tego lekki smród – zauważył Gonzales.

–Pewnie tak – zgodził się Hedley. – Ale gdybyśmy go puścili, na pewno by coś chlapnął, a dowództwo Grupy nie jest aż takie głupie. Niemniej trochę szkoda tego żurnalisty.

Pamiętasz, jak ci z „Matin” popierali pomysł podniesienia żołdu altom?

–Nie, sir. Czytam tylko „The Economist” – odparł Gonzales.

–I jak ja mam o tobie dobrze myśleć – mruknął oficer i postukał w karoserię

ślizgacza.

–Z drugiej strony to może mieć pewien smaczek. Potrzebuję trzech... nie, czterech ochotników. Na kogo teraz kolej? Gamma. – Obrócił się w stronę zarośli. – Dawać mi tu Kipchaka, Dorwitha z blasterem wsparcia, Heckmyera i tego nowego, Yoshitara.

Cała czwórka zaraz się zameldowała.

–Pakować się do tego medialnego ślizgacza i czekać nakazał im Hedley. – Zobaczycie, co to znaczy zrobić rzecz wielką, śmierdzącą, nielegalną i nieśmiertelną.

Wirtualne pociski z pierwszej fali griersonów nadleciały od wschodu, zza kurtyny deszczu, i uderzyły w zbocze pagórka. Równocześnie odpalono przygotowane tam wcześniej ładunki i rzucono kilka bomb dymnych, a griersony i zhukovy wystrzeliły cały rój petard.

Było na co popatrzeć.

Jeśli nawet ktokolwiek zauważył, że dla uniknięcia uszkodzeń wszystkie pojazdy wylądowały ostrożnie i powoli, zachował to dla siebie. Nikt też nie powążył się spytać cauda Williamsa, dlaczego zarządził przynoszący duże straty frontalny atak, zamiast uderzyć na Niebieskich z flanki. Żołnierze Grupy Uderzeniowej zaczęli przedzierać się z krzykiem ku pozycjom przeciwnika. Zgodnie z rozkazem byli bardzo agresywni.

Druga fala desantu nadleciała z zachodu i wylądowała jeszcze bliżej przeciwnika.

Teraz walka wrzała z obu stron Pyszcza.

–Gdzie się pchacie, idioci?! – krzyknął jakiś dec. Bitwa już się skończyła, wy...

Brooks zastrzelił go od ręki, a idąca obok kobieta zlikwidowała dwóch ludzi stojących obok podoficera. Czwarty żołnierz zastygł przerażony widokiem krwi i przedśmiertnych drgawek kolegów. Zanim zdążył oprzytomnieć, Brooks zabił i jego.

–Szybko – rozkazał. – Jesteśmy za liniami desantu.

Raumowie przedarli się między drzewami. Nie zwracali w ogóle uwagi na krzyki drugiego rzutu, który właśnie atakował Najim. Mieli własny cel: wzgórze z pasiastym namiotem i miejscami dla widzów.

–Ruszyć trzeci rzut – rozkazał Williams i jego adiutant, mil Rao, sięgnął po mikrofon.

Pięć ugrupowań griersonów pierwszego pułku uniosło się z ukrytego lądowiska i ruszyło w kierunku góry Najim w idealnej chwili. Właśnie ustał deszcz i pokazało się słońce. Caud Williams ogarnął spojrzeniem swój nienagannie funkcjonujący sztab i

wsluchał się w ryk dziesiątków pojazdów desantowych. To wszystko moje dzieło, pomyślał z dumą.

Sam stworzyłem tę jednostkę, zbudowałem ją z niczego.

Pierwszy pułk miał przelecieć nad pagórkami z trybunami i wylądować tuż za liniami Niebieskich, kończąc tym samym wojnę... kończąc manewry, poprawił się w myślach caud.

Kończąc je triumfalnym zwycięstwem.

Williams ujrzał nagle mały dziennikarski ślizgacz z logo „Matin” przemykający przed formacją griersonów. Jeśli ten idiota wejdzie moim ludziom w drogę i doprowadzi do kolizji... pomyślał, ale zaraz odetchnął, zorientowawszy się, że maszyna leci dużo poniżej pułapu desantowców. To pewnie ten zapaleniak Kuoro. Jego ojciec mówił, że będą kręcić całe manewry dla holo. Będzie miał dobry materiał, akurat dla spragnionych wrażeń Cumbrian.

Niech serca prawdziwych obywateli Konfederacji zabiją żywiej. Muszę pamiętać, aby poprosić go o dysk z kopią nagrania. Ślizgacz skręcił i zanurkował prosto na sztab Williamsa. Dołączyło do niego siedem innych, które wynurzyły się nagle z dżungli na wschodzie.

Jasith Mellusin rozglądała się wkoło, próbując dojrzeć, gdzie też jest jej Garvin... No, może jeszcze niezupełnie „jej”. Żałowała, że nie zapytała go, jakie dostał zadanie.

Wiedziałyby teraz, gdzie patrzeć.

Znudzony Garvin natryskiwał farbę na zadrapania na pancerzu lśniącego poza tym griersona. Myślał przy tym, czyby nie urwać się na chwilę i nie zadzwonić do Jasith, ale ostatecznie uznał, że to nie jest dobry pomysł. Robił, co robił, na rozkaz Bena Dilla, a nie skutkiem fanaberii starszego twega Rica czy innego dupka, którego rozkazy miałyby w głębokim poważaniu. Wrócił do pracy, zastanawiając się, czy to tajne zadanie, dla którego odwołano ich z ćwiczeń, okaże się ciekawe i czy będzie mógł po nim pojechać do Leggett na przepustkę. Żandarm w wymuskany mundurze uniósł władczo rękę.

–Stać. To teren dla VIP-ów, nie możecie...

Jeden z ludzi Brooksa strzelił mu w głowę. Mężczyzna runął w drgawkach na ziemię.

Brooks usłyszał ostrzegawcze krzyki, ale nie zwrócił na nie uwagi. Zostało im już tylko dwieście metrów do trybun. Był gotów wykonać zadanie. Ślizgacz przysiadł obok sztabu. Dwóch wartowników, którzy podeszli do maszyny, zanim jeszcze drzwi otworzyły się do końca, ujrzało pięciu wyskakujących ze środka ludzi.

Wszyscy byli zarośnięci i nosili opaski Niebieskich. Dorwith skosił wartowników serią ślepaków.

–Jesteście zabici! – krzyknął do nich Njangu i wpadł do sztabu.

–Hedley! – wrzasnął caud Williams. – Co to ma...

Hedley odbezpieczył granat z niebieskim dymem i rzucił go pod nogi Williamsa.

–Jesteśmy bohaterskimi idiotami w misji samobójczej! – zawołał. – Obawiam się, że pan nie żyje, sir!

–Nie możecie...

–Już za późno, sir. – Sztab zasnuły kolorowe dymy, było słycać paniczne krzyki oficerów i strzały. Na zewnątrz zawyły silniki pozostałych ślizgaczy i zawołania bojowe zwiadowców, którzy wzięli się do „wyrzynania” struktury dowodzenia „wroga”.

Nad to wszystko wzbił się w pewnej chwili stentorowy ryk cauda Williamsa:

–Hedley, ty skurwysynu, już po tobie! Pójdiesz pod sąd polowy! Twoja kariera...

I wtedy Njangu usłyszał prawdziwe strzały.

Trzech Raumów przykłękło i ostrzelało trybuny. Zaraz potem do szczęku ich broni dołączyły krzyki bólu i strachu.

–Dalej! Ładować ostre! Oni naprawdę strzelają! – zawołał Gonzales.

Jasith Mellusin rozglądała się zdezorientowana, usiłując zrozumieć, co tu się dzieje.

Nagle stojącemu dwa metry od niej mężczyźnie coś rozsadziło głowę. Dziewczyna otworzyła usta do krzyku, ale ojciec zaraz podciął jej nogi, przewrócił na ziemię i osłonił własnym ciałem.

Cywil z pistoletem w dłoni zanurkował pod ślizgaczem i strzelił do Brooksa.

Chybił.

Zanim Brooks zdążył zareagować, trzymająca się obok niego kobieta wpakowała w mężczyznę dwa ładunki. Brooks pokazał zęby w bezgłośnym warknięciu i pobiegł ku trybunom.

Jego przyboczny ściągnął język spustowy, zapomniawszy, że przestawił karabin na ogień ciągły. Seria poszła w powietrze i broń zamilkła. Raum stanął ogłupiały i

spojrzał ze zdumieniem na pusty magazynek. Zanim zdążył się nadziwić, zginął. Brooks nie zauważył, kto go zabił.

Njangu wybiegł ze sztabu. Zmacał przycisk zwalniający magazynek, a lewą ręką sięgnął do kieszeni na biodrze po drugi, z ostrą amunicją. Wsadził go do gniazda i przybił dłonią dla pewności, że wszedł jak trzeba. Zaraz pognął dalej. Po raz pierwszy w życiu słyszał wkoło siebie huk prawdziwej strzelaniny.

–Za tym! – krzyknął Hedley, biegnąc w kierunku pasiastego namiotu. Njangu, Dorwith i reszta zwiadowców pospieszyła za nim, mijając nieruchomego, leżącego z rozdziawionymi ustami hauta.

Njangu wypadł na otwartą przestrzeń... i trafił prosto w jądro szaleństwa.

Gromada żołnierzy Konfederacji metodycznie ostrzeliwała VIP-ów. Co, u diabła?

–Zabić ich! – zawołał Hedley. – Oni są tylko przebrani w nasze mundury! Zabić ich wszystkich!

Njangu nie zastanawiał się, tylko przyklęknął i uniósł broń do ramienia.

Naprowadził punkt celowniczy na korpus jednego ze strzelających i ściągnął język spustowy.

Nie zobaczył płomienia i nawet nie poczuł kopnięcia, ale mężczyzna zadrżał, wyrzucił karabin wysoko w powietrze i upadł bezwładnie. Yoshitaro wziął na cel kobietę, która przeładowywała akurat blaster, i znowu wypalił.

Ręczny blaster wsparcia zaszczekał w dłoniach Dorwitha i zabójcy padli jak ścięci kosą. Nagle zwiadowca dostał w ramię. Odtoczył się, jęcząc z bólu. Njangu przypomniał sobie, czego go uczono, wziął umilkłą broń i mimo świszczących obok pocisków skoczył naprzód. Przykucnął za transporterem kołowym, uspokoił trochę oddech i skosił serią trzech napastników.

Ktoś rzucił się ku niemu z wrzaskiem:

–Przestań, do kurwy nędzy! Zabijasz naszych ludzi!

Dostał, nim dobiegł. Njangu wypatrzył tego, który go zastrzelił, i posłał mu kilka ładunków.

Prosto na Brooksa szła, potykając się, jakaś kobieta w czarnej sukni.

Zakrwawione dłonie przyciskała do twarzy. Gdy je odjęła, ujrzał jedną krwawą miazgę.

Strzelił jej dwa razy w pierś i poszukał następnego celu.

Dwóch Raumów obok niego padło. Obrócił się, przyklęknął i strzelił. Dec Alyce Quant dostała w bok.

Njangu ujrzał klęczącego mężczyznę, który wyjął z plecaka gruby cylinder i odchylił się do rzutu. Nie zdążył zrobić nic więcej. Trafiony przez Njangu wypuścił cylinder, który upadł tuż obok jego bezwładnego ciała. Inny z napastników wrzasnął na ten widok i rzucił się do ucieczki. Granat eksplodował w błysku czerwonego ognia i czarnego dymu, rozrzucając pacyny błota, odłamki i fragmenty ciała.

Brooks widział śmierć grenadiera i wybuch, który zabił co najmniej sześciu Raumów.

Nie musiał się długo rozglądać, żeby policzyć swoich ludzi. Zostało ich już tylko troje.

–Uciekać! – krzyknął i pobiegł zygzakami ku odległej dżungli.

–Już po wszystkim! – usłyszał Njangu. – Wszyscy załatwieni! Wstrzymać ogień! – Ze zdumieniem zorientował się, że to on sam tak krzyczy. Strzały natychmiast ucichły i dały się słyszeć jęki oraz wołania dochodzące z trybun, ku którym biegło już kilku ludzi z krzyżami na rękawach. Przed nimi leżały dziesiątki zmasakrowanych ciał. Coś się poruszyło, ktoś strzelił. Ciało zadrgało i znieruchomiało na dobre.

W taśmie jego ręcznego blastera wsparcia zostało jeszcze z dziesięć pocisków.

Z bronią ciągle w gotowości podszedł do pozabijanych szaleńców. Obok pojawił się kręcący z niedowierzaniem głową, ciągle jeszcze wściekły Kipchak.

–Co za cholerny sposób prowadzenia wojny...

Armia pochowała swoich poległych pod szarym, zaniesionym chmurami niebem.

Razem z pięcioma zwiadowcami i czterema innymi, którzy zginęli, odpierając atak Raumów, pożegnano też siedem ofiar wypadków podczas manewrów. Jeśli nawet ktokolwiek ze zwiadu miał coś przeciwko temu, nic nie powiedział.

Zginęło dziewiętnastu cywilów, dwakroć tylu zostało rannych. Grasujące bandy zamordowały sześciu niewinnych Raumów, a gubernator zarządził dla mieszkańców Eckmuhl godzinę policyjną. Jak powiedział, „Wyłącznie dla ich dobra”. Rentierzy chcieli, żeby wyciągnął surowe konsekwencje wobec wszystkich Raumów, ale na to Haemer już się nie zgodził. Niemniej wielu szemrało, że coś należy z tym zrobić.

–To była czysta głupota i błazenada – powiedział caud Williams.

Alt Hedley stał przed nim na baczność i milczał. Nie sądził, aby jego przełożony oczekiwał komentarza.

–Niemniej pan... – ciągnął Williams – i pańscy ludzie zasłużyliście na pochwałę za szybką reakcję i skuteczne przeciwdziałanie zamachowi.

–Dziękuję, sir.

–Mam jednak pytanie. Przy okazji wyszło na jaw, że wszyscy pańscy ludzie mieli ostrą amunicję, czego regulamin w takich okolicznościach surowo zakazuje.

Hedley ponownie uznał, że najlepiej będzie zachować milczenie.

–Gdyby brakło mi rozumu... a szczęśliwie tak nie jest... mógłbym spytać, dlaczego pan na to zezwolił i skąd pańscy ludzie wzięli pełne magazynki, skoro obowiązuje nas ścisłe racjonowanie amunicji. Czy zechce mi pan to wyjaśnić? – Odczekał sekundę. – Tak myślałem.

W normalnych okolicznościach heroiczna postawa pańskich ludzi zostałaby nagrodzona odznaczeniami i awansami. Z drugiej strony powinienem was ukarać za nieregulaminowe postępowanie. Mam wrażenie, że w tym wypadku kara i nagroda się znoszą. Co pan o tym sądzi?

–Szczерze, sir?

–Przypuszczam, że inaczej nie potrafiłby pan odpowiedzieć.

–Dobrze, sir. Nie dbam o siebie, ale myślę, że to cholernie nie w porządku wobec moich ludzi, którzy po prostu wykonywali moje rozkazy.

Williamsowi aż uszy poczerwieniały. Wciągnął głęboko powietrze, przytrzymał je dłuższą chwilę w płucach i wypuścił.

–Chciałem szczerzej odpowiedzi... i usłyszałem ją. Będzie, jak postanowiłem.

Teraz przejdźmy do innych spraw. Za dwa dni czeka nas specjalne zadanie. Lecimy na Cumbre C, i to w bardzo ważnej sprawie. Zajmie to nam jeden dzień, a może nawet mniej. Gdy wrócę, rozprawimy się ostatecznie z tymi bandytami, którzy kryją się w górach. Nie będziemy szczędzić w tym celu sił ani środków. Pańska kompania znajdzie się w awangardzie.

Zostaniecie wzmocnieni orkiestrą oraz ludźmi z kompanii honorowej, to znaczy drużyną z ochrony sztabu, która dołączy do was, gdy wróci z Cumbre C. Dostaniecie też kilka ciężkich pojazdów desantowych oraz drużynę zwiadu powietrznego. Jeśli to nie wystarczy, mil Rao ogłosi zaciąg ochotniczy albo wyznaczy kolejne pododdziały.

–Tak jest, sir – powiedział Hedley i zasalutował. Wyszedł, zastanawiając się, co jego banda pomyśli o tych uzupełnieniach. Czyścibuty z kompanii honorowej i grajkowie!

Cumbre C Wiatr omiatał poranioną przez ludzi powierzchnię planety i wirami wynosił pył wysoko w pustkę. Powietrze nadawało się tutaj do oddychania, ale było tak gorące, że każdy jego haust wdzierał się do płuc palącym ostrzem.

Ludzka kwatera główna mieściła się w kompleksie klimatyzowanych budynków schowanych pod niską kopułą, całkiem jak na pozbawionym atmosfery księżycu. Pół planety dalej mieściło się centrum musthów, dwa czteropiętrowe gmachy kryte czymś, co przypominało dachy pagód.

Wszędzie trafiało się na wielkie dziury w ziemi w kształcie odwróconych ziguratów, a w nich ciężką maszynę, po części całkowicie automatyczną, po części zdalnie sterowaną.

W sumie kręciło się tu bardzo niewielu ludzi.

Dwa transportowce zawisły dwanaście metrów nad powierzchnią i otworzywszy luki, zaczęły wypuszczać przywiezione griersony i zhukovy, które wylatywały o własnych siłach i natychmiast rozkładały anteny.

Garvin i Kang zeszli ze swoich stanowisk i stanąwszy za fotelem Dilla, spoglądali przez przednią szybę na pustynny krajobraz.

–Wiem, że to się opłaca, ale czy musi wyglądać tak paskudnie? – spytała Kang.

–Cisza na pokładzie – warknął Dill. – Stanislaus ma pełne ręce roboty, a jak będziecie tak gadać, jeszcze staranuje którąś z tych wielkich kryp.

Oboje umilkli, podczas gdy Górecki, ostrożnie manewrując griersonem, podprowadzał go ku linii pojazdów ustawionych przed kwaterą główną. Po całej serii drobnych przesunięć do przodu, do tyłu i na boki kierujący ruchem żołnierz ustawił griersona pod sznurek z pozostałymi i zdecydowanie skrzyżował uniesione ręce. Górecki posłusznie wylądował.

–Jesteśmy, Ben – zameldował.

–Nie wyłączaj napędu, ale możesz zablokować stery.

–Dobra – rzucił Górecki i podszedł do niego. – I co teraz?

–To, do czego nas szkolono – odparł Ben. – Czekamy.

–A nie domyślasz się na co?

–Za diabła. Jestem tylko mała cichutka pieczarka, co rośnie w ciemności karmiona gównem i czeka, aż ją zetną.

Caud Williams rozkazał, aby pojazdy przydzielone do grupy witającej protektora zachowały żółty stopień gotowości. Oznaczało to załadowanie wszystkich wyrzutni i dział, ale bez gotowości do otwarcia ognia. Garvin przypomniał sobie Malverna i Celidona, który był przecież psem łańcuchowym Redrutha, i uznał, że na miejscu Williamsa wybrałby stopień czerwony – czyli pełną gotowość bojową. I kazałby pojazdom czekać nie na ziemi, ale w powietrzu.

Pół standardowej doby później ożył głośnik radiostacji:

–Wszyscy wysiadać.

–Z bronią czy bez? – spytał Garvin.

–Z bronią. Gdy nic nie mówią, wtedy brać – wyjaśnił Dill.

Dziesięć minut później, gdy stali już w szeregu przed griersonami, z żółtobrazowego nieba opuściła się na napędzie pomocniczym kolejna jednostka.

–Dobrzy bogowie, a to co takiego? – zdumiał się Garvin.

–Chyba niszczyciel klasy Remora – powiedziała Kang. Przeznaczony na okręt dowodzenia flotyli małych niszczycieli Konfederacji. Budowałam model takiego, gdy byłam mała. Ale tamten na pewno nie miał tylu osłon i wież artyleryjskich.

–Na pograniczu to normalne – rzekł Dill. – Gdy Konfederacja coś już tutaj przyśle, uważa, że powinno starczyć na dwa pokolenia, modyfikuje się więc każdy złom tak długo, jak długo może latać.

–To akurat zrozumiałe, ale oni go chyba kafarami w tej stoczni potraktowali. A to co?

Wokół niszczyciela leciała w zwartym szyku jego eskorta – cztery przypominające strzały patrolowce.

–Niech mnie – mruknął Dill. – Grat, którym mógłby dowodzić jeszcze mój dziadek, a obok coś, co wygląda, jakby dopiero w zeszłym tygodniu zostało przysłane z Centralnego.

–A to sukinsyn... – szepnął Garvin. – Słyszałem, że Malvern wioził w ładowniach jakieś naprawdę nowe wynalazki. Ciekawe, czy Redruth wykupił je od piratów, czy...

–Zamknij dziób – rzucił Dill. – Chcesz sobie narobić kłopotów?

Niszczyciel przyziemił, ale eskorta została w powietrzu. Na dziobie okrętu widać było jego nazwę, Corfe, i znak, którego Garvin z niczym nie kojarzył.

Słuchaweczki w uszach zaszumiały i usłyszeli głos cauda Williamsa:

–Cała grupa... przygotować się do oddania honorów Alenie Redruthowi, protektorowi Lariksa i Kury.

Spod kopuły wyszedł gubernator Haemer w towarzystwie flankujących go cauda Williamsa i mila Rao. Za nimi ciągnęła gromada oficerów, poczet sztandarowy oraz orkiestra o zmniejszonym składzie. Wszyscy ruszyli w kierunku Corfe, który otworzył tymczasem właz i opuścił rampę. Zeszły po niej cztery postaci. Pochylił się sztandar i gruchnęła muzyka.

–Prośmy bogów, żeby tamci zostawili nas w spokoju – szepnął Górecki. – Nie lubię robić za małpę.

Niemniej przybysze wyraźnie mieli ochotę na przegląd.

–Nie garbić się – mruknął Dill i jego załoga wyprężyła się, zachowując jednak czujność. Garvin szczególnie chciał zobaczyć Redrutha. Nigdy nie znalazł się blisko żadnego przedstawiciela tego zagrożonego gatunku, jakim byli dyktatorzy. Gość jednak nie robił wielkiego wrażenia: niewysoki, łysiejący, pod czterdziestkę, wyglądał bardziej na pomniejszego biurokratę niż wielkiego przywódcę. Nosił prostą brunatną bluzę i także spodnie oraz jakąś ozdobę na szyi. Dwaj ludzie idący po jego bokach bezsprzecznie byli tylko ochroniarzami.

Uwagę Garvina zwrócił mężczyzna podążający zaraz za Redruthem. Był wysoki, muskularny, czoło przecinała mu blizna po źle zagojonej ranie. Spoglądał na otoczenie z zimnym dystansem podszytym lekkim rozbawieniem. I raczej pogardliwie. Nosił ciemnozielony mundur z baretkami, czarne oficerki i czarny skórzany pas z kordzikiem z jednej i pistoletem z drugiej strony. Garvin dobrze pamiętał go z Malverna. To był Celidon, dowódca „piratów”. Jestem niewidzialny, pomyślał Jaansma, gdy podeszli do ich griersona.

Nic we mnie ciekawego, ot jeszcze jeden żołnierz w szeregu.

Jednak goście zatrzymali się akurat przed nimi.

–Jeśli można, chciałbym zadać kilka pytań pańskim ludziom – zagadnął Celidon Williamsa.

–Oczywiście, proszę – odpowiedział lekko zdenerwowany caud.

Celidon podeszedł do Dilla i spojrzał na rząd baretok na jego piersi.

-To wasza druga tura służby?

-Tak jest, sir – odparł Ben.

-Zamierzacie związać się na stałe z armią?

-Jeszcze nie postanowiłem, sir.

Celidon pokiwał głową i niczym jastrząb omiół spojrzeniem resztę załogi. Jego oczy spoczęły na Garvinie.

-Jaki macie przydział, szturmowcu?

-Strzelec pokładowy, sir.

-Jaki jest zasięg skuteczny waszych shrike'ów?

-To tajna informacja, sir.

-Możecie mi powiedzieć, żołnierzu – warknął Celidon. – Larix i Kura są waszymi sojusznikami. Sam wiele lat byłem oficerem Konfederacji.

Garvin milczał.

-Słuchamy, szturmowcu – powiedział Williams.

-W teorii i przy zawczasu rozpoznanym celu – pięćdziesiąt kilometrów.

W rzeczywistości pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt, i to w sprzyjających warunkach, sir.

-Prawie dokładnie – stwierdził Celidon. – W walce lepiej trzymać się czterdziestu.

Strzelaliście już?

-Nie, sir.

-Myślicie, że traficie coś w ogniu bitwy?

-Na pewno, sir.

Celidon uśmiechnął się przelotnie.

-Obyście mieli rację. A jak jest z waszymi działkami?

-Skuteczny zasięg ognia cztery tysiące metrów. Najlepiej przy widoczności celu, naturalnej albo przyrządowej.

–Ile czasu trzeba na przeładowanie?

–Okolo trzech minut, sir.

–Pewnie wam uda się szybciej. Jesteście dobrzy, moje gratulacje. Mam wrażenie, że znacie swoje narzędzia walki. Ale jeśli można, jeszcze jedno pytanie. Nie obawiacie się, że Grupa Uderzeniowa pozbawiona jest obecnie możliwości operowania w przestrzeni kosmicznej i że w układzie Cumbre nie ma żadnej jednostki marynarki Konfederacji?

–Nie sir, mnie to nie martwi. Takie sprawy spoczywają na barkach cauda Williamsa, nie moich.

–A co z musthami?

–Co pan ma na myśli, sir?

–Czy oni was nie niepokoją?

–Nie, sir. Między naszymi rasami panuje pokój, nie ma więc żadnego powodu do obaw.

Celidon skinął głową, jakby usatysfakcjonowany.

–I ostatnie pytanie. Jak długo służycie w Grupie Uderzeniowej?

–Osiem miesięcy, sir. Przyleciałem na Malvernie.

Celidon drgnął, lecz natychmiast się opanował, udając, że nie usłyszał nic niezwykłego.

–Nie znam tej jednostki – powiedział. – Idziemy.

Dygnitarze oddalili się, ale caud Williams pozostał obok Jaansmy.

–Kazałem ci kiedyś przemyśleć to wszystko, co miałeś do powiedzenia, prawda? – spytał.

–Tak jest, sir.

–Nie jestem głuchy ani ślepy. Widziałem reakcję Celidona. Mam nadzieję, że nie rozpowszechniałeś swoich teorii na temat Malverna!

–Nie, sir – odparł Garvin. – Zgodnie z rozkazem.

–I dobrze – mruknął Williams, spoglądając za Redruthem. – Tak, chyba mamy się

nad czym zastanawiać. Przekaż swojemu dowódcy pojazdu, że możesz sobie przypiąć jeszcze jedną belkę, finfie Jaansma. Dobrze się dzisiaj spisałeś.

–Tak jest, sir. Dziękuję, sir.

Haemer zaprowadził gości spoza układu do rzadko używanej, ale dobrze wyposażonej sali konferencyjnej. Z początku nie poruszał żadnych ważkich tematów, co zdawało się odpowiadać Redruthowi.

W końcu gubernator stracił cierpliwość.

–Protektorze Redruth, mieliście ostatnio jakiś kontakt z Konfederacją? – Żadnego – odparł Redruth, uśmiechając się krzywo. Chciałem nawet zadać to samo pytanie, ale już pan na nie odpowiedział. Nic. Żadnych przekazów ani gości. Nie było też wizyt jednostek marynarki, nie zjawił się żaden konwój, a garstka niezależnych kupców z pogranicza, która zjawiała się ostatnio na naszych planetach, wiedziała tyle co my, czyli nic.

Dwa miesiące temu podjąłem ryzyko i wysłałem w kierunku Centralnego korwetę, ale gdzieś przepadła, a w każdym razie nie daje znaku życia i nie odpowiada na wezwania.

Haemer i Williams spojrzeli uważnie na protektora. Obaj przypuszczali, że Redruth kłamie, ale z jego twarzy nie dało się wyczytać nic poza lekkim zaniepokojeniem.

–I dlatego właśnie składam tę wizytę – dokończył.

–Tak? – rzucił spięty Haemer.

–Muszę dbać o właściwe planowanie gospodarcze i strategiczne. Gdyby miało dojść do dłuższego okresu bezkrólewia a... przecież nie wiemy, co się stało z Centralnym. Niemniej były meldunki o niepokojach i rozruchach, nawet o świątach występujących z Konfederacji, a potem nagle zapadła cisza. Różnie można ją interpretować, ja jednak jestem człowiekiem czynu i nie zamierzam biernie czekać. Postanowiłem zatem, że sam zadbam o pokój i bezpieczeństwo mojego ludu. Zainicjowałem program rozbudowy floty i będziemy potrzebowali dodatkowych dostaw rudy, które chciałbym pozyskać... zakupić w układzie Cumbre.

Haemer nieco się odprężył.

–Dobrze. Odcięcie od rynków Konfederacji nie służy naszemu przemysłowi wydobywczemu i cieszę się, że chcecie zwiększyć wasze zamówienia. Nasze kopalnie nie będą miały trudności z zaspokojeniem dowolnych potrzeb.

–Spodziewałem się, że ta sprawa nie nastreczy problemów – powiedział Redruth. –

Za to z uwagą przyglądam się musthom.

–Pod jakim kątem?

–Znam ich zamiary. Chcieliby kontrolować cały znany wszechświat. Realizują swój cel powoli, krok po kroku, jednak obawiam się, że wieść o tym, że straciliśmy wsparcie Konfederacji, może... że tak powiem... rozbudzić ich ambicje.

–Też mnie to niepokoiło, jednak nasze stosunki pozostają szczere i otwarte – powiedział gubernator.

–Mimo to chcielibyśmy zaproponować zwiększenie środków bezpieczeństwa. Grupa Uderzeniowa nie ma żadnych możliwości operowania w próżni, my natomiast tak.

Kilka naszych jednostek stacjonujących w układzie Cumbre chyba uzdrowiłoby sytuację.

Przypuszczam, że bez trudu zdołalibyście je utrzymać, a obywatele Cumbre spaliby spokojniej.

Haemerowi zaschło w ustach. Tak długo zastanawiał się nad odpowiedzią, że caud Williams odezwał się pierwszy.

–Dziękujemy za propozycję. Bardzo nas cieszy, że jesteście gotowi pospieszyć nam z pomocą. Jednak wasza obecność mogłaby wywołać u drugiej strony niepożądane reakcje, których wszyscy się obawiamy. – Jakimś cudem w jego głosie nie było słychać najłżejszej nawet nuty sarkazmu.

–Nie rozumiem – rzucił nerwowo Celidon, ale Redruth pokiwał ze zrozumieniem głową.

–W tym rzecz – ciągnął Williams. – Musthowie, jak pan zaznaczył, są bardzo ambitni.

Uważają, że ich obecność w układzie Cumbre jest w pełni uzasadniona, a ja nie mam wątpliwości, że liczą na więcej. Nie zdziwiłbym się, gdyby spróbowali zawładnąć przynajmniej tą planetą i jej zasobami. Gdyby Larix i Kura nagle zwiększyły swoje wojskowe wpływy w Cumbre, musthowie zapewne uznałyby to za zakłócenie równowagi i niektórzy z ich bardziej radykalnych przywódców potraktowałiby to jako pretekst do korzystnej dla nich reakcji.

–I co z tego? – zapytał szyderczo Celidon. – Chyba nie chce pan zasugerować, że ci obcy mogą być w czymkolwiek lepsi od ludzi? Nie cofamy się przed żadnym wyzwaniem, a jestem pewien, że wkrótce nas to czeka. Wszystkie zwierzęta wiedzą, co to strach, trzeba więc to wykorzystać.

–Musthowie nie są zwierzętami – zaznaczył Williams.

–Ludźmi też nie są. – Celidon wzruszył ramionami.

Zapadła cisza, co wykorzystał Haemer.

–Dowódca naszych sił zbrojnych trafił w sedno. Jakikolwiek incydent pomiędzy naszymi rasami mógłby się okazać iskrą, która wzniesi wojnę. Bez wsparcia Konfederacji skutki takiej konfrontacji byłyby dla nas druzgocące. To dotyczy również Lariksa i Kury.

Celidon parsknął z niedowierzaniem, Redruth znowu pokiwał głową.

–Rozumiem wasze argumenty – powiedział. – Zajmijmy się więc zmianami w naszej wymianie handlowej. Porozumienie w tej materii nam wystarczy. Przynajmniej na razie.

–Co to się porobiło! – zawołał Njangu. – Kogoś wydymałeś... czy wręcz przeciwnie?
 – Ładne, prawda? – powiedział Garvin, podsuwając mu pod nos dwa paski na swoim rękawie. – Dobrze, że armia poznała się wreszcie na swoim najlepszym żołnierzu.

–Gadaj mi tu zaraz, biały bracie, jak do tego doszło, albo sam z ciebie to wycisnę.

Njangu aż gwizdnął, usłyszawszy o Celidonie. Zaraz przerwał przyjacielowi, odszukał Petra i kazał Garwinowi zacząć od początku.

–Chłopie... – westchnął Kipchak. – Czyli co, Redruth ostrzy sobie zęby na Cumbre?

Może nie będzie z tego burzy, ale co nam zalezie za skórę, to jego. Musthowie przed nami, Raumowie po lewej, byczki Redrutha po prawej i nikogo, kto by chronił nasze tyłki. Oj, będzie bal...

–Jedno pytanie, Garvin – powiedział Njangu. – Wszyscy zwijają się jak w ukropie, żeby ruszyć w pole i zrobić porządek ze zbuntowanymi Raumami, a ty znalazłeś czas, żeby przyszyć sobie te belki i jeszcze przyszwendałeś się tu do nas, jakbyś nie miał nic do roboty.

Jakim cudem?

–Alt Wu, mój kochany nie doceniany dowódca plutonu, dał mi sześć godzin przepustki i pozwolenie, żebym wykorzystał ten czas na kontakty z cywilizacją.

–A ty przyszedłeś tutaj tylko po to, żeby się popisać nową belką przed niegdyś najlepszymi przyjaciółmi?

Garvin przestał się uśmiechać i spojrzał pytająco na Petra, który przekrzywił głowę w sposób zdradzający, że podziela zdanie Njangu.

–Cóż, miło, że przyszedłeś i pogadaliśmy – rzucił i wrócił do przerwanych zajęć.

–Dobra – powiedział Yoshitaro. – O co chodzi?

–Co teraz zamierzasz z sobą zrobić?

–W jakim sensie?

–A bardzo prostym, Njangu. Pomyśl. Wstąpiłem do armii... bo zaczęło się robić ciekawie. Myślałem, że zrobię swoje, odsłużę jedną turę i zostawię pewne problemy za sobą.

–Zaciągnąłem się, bo gdybym tego nie zrobił, sąd posłałby mnie na pranie mózgu.

A może i ty wreszcie zdradzisz, dlaczego tu jesteś?

–Na razie mniejsza o to... trzymajmy się tematu. Tak czy owak, nigdy nie sądziłem, że wyląduję na takim zadupiu, i na pewno nie planowałem czegoś aż tak ciekawego jak nagle zniknięcie Konfederacji.

–A ja niby co? – mruknął Njangu. – Miałem nadzieję, że dostanę przydział gdzieś blisko Centralnego. Na tyle blisko, żeby urwać się we właściwej chwili i wrócić do tego, co robiłem wcześniej. Tyle że drugi raz nie dałbym się złapać. Rozważałem też taką możliwość, aby jak ty odsłużyć jedną turę i zacząć z czystym kontem. A teraz wygląda na to, że całkiem straciliśmy kontrolę nad naszą przyszłością. O tym myślałeś, pytając, co zamierzam?

–Owszem. Masz jakieś pomysły?

–Hm... Jeśli tu zostaniemy, możemy oberwać, i to zdrowo.

–Zgadza się.

–Robi się coraz paskudniej i nieprędko zmieni się na lepsze.

–Też się zgadza.

–W tej sytuacji mamy tylko trzy wyjścia – powiedział Njangu. – Pierwsze: możemy się wykupić.

–Znasz kogoś z większą forszą?

–Nie, chyba że zaprzyjaźnisz się na serio z kimś ze Wzgórz. Druga opcja to dezercja.

–Dokąd?

–Nie wiem, cholera. Tylko głośno myślę. W Leggett raczej trudno zniknąć, chociaż nie sądzę, żeby szukali nas do upadłego. Nie wydaje mi się jednak, aby tu było jakieś godne uwagi środowisko przestępcze, w którym ktoś taki jak ja mógłby sobie znaleźć miejsce. Tobie zawsze zostaje gra. Może nająłbym się na twojego ochroniarza?

–Na dłuższą metę to nie interes – powiedział Garvin. – Wcześniej czy później jakiś szemrany bystrzak zauważy, że zbyt często dostają ci się asy, i z czystej złośliwości połamie ci kciuki. A wtedy trudno już manipulować kartami.

–Czyżbyś coś o tym wiedział? – rzucił niewinnie Njangu.

–Nie draż tematu – ostrzegł go Garvin. – Ktoregoś dnia ci o tym opowiem. I nie tylko karciana szulerka bywa niebezpieczna. Dotyczy to też speców odznaczonych kości.

Wcześniej czy później zgrywają się do gaci.

–No to ucieczka na drogę przestępstwa odpada – mruknął Njangu. – Moglibyśmy jeszcze nawiać na inną wyspę i pracować na chleb powszedni. – Wzdrygnął się lekko. – Znam wioskę, w której wyżylibyśmy z rybołówstwa.

–I odkryli w sobie powołanie – rzucił z sarkazmem Garvin. – Aż tak cię tam ciągnie?

–Trochę tak, ale bardziej do pewnej dziewczyny, nie do ryb. A ty? Obracałeś się nieco wśród możliwych tego świata. Nic ci nie podsunęli?

–Jeszcze nie, ale za chwilę jadę do Leggett i może coś się tam wykluje. Może.

Jak dotąd nic tego nie zapowiadało. – Garvin zamyślił się. – Zawsze możemy sprawdzić, czy ci bandyci z gór nie potrzebują instruktorów.

–Kiepski pomysł. Na razie siedzimy na tyłkach, ale wcześniej czy później zaczniesz się polowanie z nagonką. A wtedy wolałbym być myśliwym, nie zwierzyną.

–Racja. No to co robimy? Wojakujemy dalej?

–Na razie nic lepszego nie przychodzi mi do głowy – powiedział ponuro Garvin. – Wiesz, zawsze miałem się za takiego, co to nawet z szamba wypłynie z różą w zębach, a tu proszę... Wpędzasz mnie w depresję.

–Sam się już w nią wpędziłem – mruknął Garvin. – Będziemy musieli jeszcze o tym pomyśleć.

–No chyba. Musi być jakieś wyjście. Dzięki, że zajrzałeś, finfie Jaansma.

–Cała przyjemność po mojej stronie, szturmowcu Yoshitaro!

Garvin chodził tam i powrotem przed dworcem w Leggett. Wypatrywał czerwonego ślizgacza Jasith i prawie nie zwrócił uwagi na długą czarną limuzynę, która zatrzymała się przy krawężniku. Zerknął tylko na nią z zazdrością, gdy nagle uniosły się drzwi i ze środka wyjrzała Jasith.

–Garvin! – zawołała. – Tutaj! – W jej głosie brak było szczególnej radości.

Garvin, który zaraz pomyślał o obszernej tylnej kanapie limuzyny, pospieszył ku dziewczynie. Pochylił się, żeby ją pocałować, ale pokręciła głową.

–Chcę, żebyś poznał mojego ojca – powiedziała, spoglądając na wysokiego

mężczyznę o szczerej twarzy, który siedział obok niej i wyciągał rękę.

–Godrevy Mellusin – przedstawił się. – Jasith powiedziała, że dostałeś pan przepustkę do miasta i że nie macie żadnych szczególnych planów, więc pomyślałem, że mógłbym was zaprosić na obiad.

Garvin najchętniej wzniosłby ręce ku niebu i zawołał z wyrzutem: „Panie, chciałem tylko chwili wytchnienia na płatkach róż!”, ale udało mu się opanować i mocno, po męsku uścisnął dłoń Mellusina.

–Tyle przynajmniej mogę zrobić dla kogoś, kto dwa tygodnie temu uratował nam życie – rzekł Mellusin. Poza tym chciałem poznać przyjaciela córki. Pamiętam, że gdy byłem młody, miałem nienasycony apetyt, więc wiem, jak temu zaradzić.

Garwinowi wydawało się, że starszy pan powiedział to z lekkim błyskiem złośliwego rozbawienia w oku.

–Wskakuj, chłopcze. Kazałem już przygotować to i owo w klubie.

–Przepraszam – szepnęła mu Jasith, gdy usiadł obok niej. – Nie miałam wyjścia.

Podróżując, Garvin jadał już w kilku ekskluzywnych klubach i wcale nie miał ochoty na wizytę w następnym. Nie dość, że szlag trafił romantyczny wieczór, to na dodatek miał dostać talerz pełen czegoś jeszcze gorszego niż obiad, który darował sobie dziś w bazie.

Trafiły mu się jednak paszteciki z wątróbek z orzechami w rosole, schab nadziewany jakimiś cierpkimi owocami i polany sosem musztardowym, nie znane mu czerwone ostre warzywo oraz podana na ciepło sałatka z pieczonym bekonem i słodkawym dresingiem o smaku brandy. Na deser był suflet czekoladowy w sosie waniliowym. Wcześniej Mellusin wezwał kelnera od win i spytał, czy zostało im jeszcze trochę ziemskiego taittingera.

Usłyszał, że owszem, kilka skrzynek.

Gdy kelner poszedł, Mellusin pokręcił głową.

–Większość tych ludzi uważa się za właścicieli piwnicy, którą się opiekują. I myśli, że im jest większa, tym lepiej. Zapominają o jakości. Smutne.

–Prawdziwy szampan? – spytał Garvin. – Nie wiem, czy mój awans o jedną belkę wart jest aż czegoś takiego.

–Każda okazja warta jest szampana, Garwinie – powiedział Godrevy. – W moim wieku przeżycie jeszcze jednej nocy to już coś. Niemniej obawiam się, że w obecnej

sytuacji będziemy musieli zmienić nasze upodobania do trunków. Niestety miejscowe wina musujące nadają się tylko do czyszczenia butów. – Nagle przestał się uśmiechać. – Co myślisz o utracie kontaktu z Konfederacją?

–O niczym nie wiem – odparł Garvin. – Ale nie podoba mi się to.

–A komu się podoba? – odezwała się Jasith. – Nic nie wiemy o modzie, nie dochodzą plotki, nowiny o sławach, muzyka, holo... Jakbyśmy żyli w próżni.

–Bo tak właśnie jest, kochana – powiedział jej ojciec.

–Wiesz, o czym myślę.

–Czasem mam wrażenie, że Jasith chce uchodzić w moich oczach za głuptasa – sapnął starszy pan. – Myśli, że będę łatwiej ulegał jej zachciankom.

Jasith roześmiała się.

–Teraz już przesadzasz.

Podano szampana, kelner odkorkował butelkę. Trunek został zaakceptowany i rozlany do kieliszków. Krótco potem na stole pojawiły się pierwsze dania.

–Skoro zbyłeś moje pierwsze pytanie, Garwinie, pozwól, że zadam następne – powiedział Mellusin. – Jak oceniasz wizytę protektora Redrutha? Nie patrz na mnie z takim zdziwieniem. O większości z tego, co się dzieje w naszym układzie, dowiaduję się w kilka sekund po tym, jak się stanie. Mellusinowie należą w końcu do rentierów.

–Nie wiem, czy powinienem o tym mówić – wyznał Garvin. – Ostatnio niemal wszystko jest utajniane.

–Takiś ostrożny? Nawet nie potwierdziłeś, że Redruth był na Cumbre.

–To prawda, proszę pana.

–Większość ludzi w twoim wieku nie może się doczekać chwili, gdy będą mogli wypaplać wszystkim wkoło wszystkie swoje sekrety. O ile jakieś mają, rzecz jasna.

–Już jakiś czas temu nauczyłem się postępować inaczej.

Mellusin odczekał dłuższą chwilę, ale Garvin nie podjął wątku.

–Dobrze – powiedział w końcu starszy pan. – Ja jednak mogę powiedzieć, że to wydarzenie wcale mnie nie cieszy. Protektor zjawia się w naszym układzie, spotyka się z Haemerem i jego ekipą, rozmawiają przez jeden dzień, a potem wraca do siebie. Żadnego bankietu, oficjalnego powitania na Cumbre D, ani słowa do ludzi, z którymi

spotkał się poprzednim razem. Na przykład ze mną – dodał. – I to nie podoba mi się jeszcze bardziej.

Skoro wybrał się na Cumbre C, jego wizyta musiała mieć coś wspólnego z przemysłem wydobywczym. A jednak nie skontaktował się ze mną, chociaż jestem w tej branży jednym z najpoważniejszych przedsiębiorców. Nawet po tym sabotażu sprzed kilku miesięcy. To niepokojące, nie sądzisz?

–Zapewne tak, proszę pana – zgodził się Garvin. Wspaniała ta pieczeń, prawda?

–Trudno, poddam się. – Mellusin spojrział na córkę. Twój młody znajomy to wzór dyskrecji.

Jasith zachichotała i przypomniała sobie lekcję pływania udzieloną Loyowi Kuoro.

–Co w tym śmiesznego?

–Nic, ojcze.

–No dobrze... To może porozmawiamy o czymś neutralnym. Co sądzisz o Cumbre, Garvinie? Jak znajdujesz ten świat?

–Jest interesujący.

–Z jakiej planety pochodzisz?

–Mieszkałem na różnych, proszę pana. Moja rodzina wiele podróżowała.

–A w jakiej branży działa?

–W rozrywce.

–Bardzo ciekawe. A ty nie chciałeś pójść w ich ślady?

–Przez jakiś czas tak było. Jednak różne okoliczności sprawiły, że ostatecznie zaciągnąłem się do wojska.

–Całkiem niezły pomysł – powiedział Mellusin. – Sam często się zastanawiam, jakie byłoby moje życie, gdybym kiedyś wybrał służbę wojskową, a nie to, co teraz robię. I tak zostałeś zesłany tutaj, na sam kraniec wszechświata.

–Jak dotąd podoba mi się na Cumbre. – Spojrział znacząco na Jasith i zaraz został za to nagrodzony. Dziewczyna wysunęła stopę z buta i pod osłoną obrusu zaczęła nią przesuwac po wewnętrznej stronie jego uda.

–I dobrze. Takie planety stwarzają wiele szans dla młodych i ambitnych ludzi.

–Prawdę mówiąc, dzisiaj rozmawiałem o tym z przyjacielem. Zakładając, że zdjąłbym mundur po jednej turze i że stałoby się to właśnie tutaj, na Cumbre D, jakie miałbym możliwości?

Jasith przesunęła stopę jeszcze dalej i zaczęła poruszać palcami.

–Zauważyłem, że wiesz, jak się posługiwać sztucami i pochwaliłem już twoją dyskrecję. Byłbyś pożądanym pracownikiem w którymś z przedsiębiorstw należących do rentierów. Na przykład Mellusin Mining. Potrzebujemy dobrych specjalistów od ochrony.

Garvin pokiwał głową.

–Nie wiem, czy nim zakończę służbę, nie znudzi mi się to, że ktoś do mnie strzela.

Mellusin uśmiechnął się.

–Ambicję też tutaj cenimy. Jak najpewniej zauważyłeś, Cumbre D ma własny system klasowy.

–Tak – odparł beznamiętnie Garvin.

–Niektórzy uważają, że odbija się w tym naturalny porządek rzeczy.

–To także zauważyłem.

–Garvin miał wątpliwą przyjemność poznać u Bampurów poglądy Loya Kuoro – powiedziała Jasith i spojrzała pytająco na obu mężczyzn, niepewna, czy ma mówić dalej.

–To ty wrzuciłeś tego bałwana do stawu z liliami?

–Tak. Niemniej nie obeszło się bez prowokacji.

–Kuoro cały jest jedną wielką prowokacją, podobnie zresztą jak jego ojciec.

Obaj idioci. Jak przypuszczam, dowodził, że Raumowie należą do niższej rasy?

–Właśnie, proszę pana. Na dodatek wypowiadał się tak w obecności Rauma.

Uznałem, że to bardzo niestosowne zachowanie.

–I jak tu się dziwić, że ten i ów ginie czasem w ciemnej uliczce. Ostrzegałem go, aby zachował te poglądy dla siebie albo przynajmniej wygłaszał je w obecności właściwych osób.

Ale nie chciał. Miejmy nadzieję, że sam to zrozumie, zanim ktoś wbije mu to do głowy.

O wiele boleśniej niż ty. Ale jak mówiłem, na Cumbre D panuje system klasowy.

Jego zręby powstały krótko po przybyciu pierwszych kolonistów i otwarciu kopalń. Raumowie zjawili się tu i zostali naszymi pracownikami nieco później. Większość ludzi, niezależnie od pozycji, w pełni akceptuje ten porządek. Zaczynają się niepokoić zwykle wtedy, gdy nie są pewni przyszłości, a zadaniem przywódców jest zapewnić im tę przyszłość. Coś nie tak, Garvinie?

Jaansma zaczął się lekko pocić: stopa Jasith buszowała w okolicach jego rozporka.

Dziewczyna ledwo skrywała wesołość.

–Nic takiego, proszę pana. Trochę tu ciepło.

Mellusin skinął na kelnera i kazał zwiększyć obroty wentylatora. Gdy odwrócił na chwilę uwagę, Garvin zdołał uszczypnąć Jasith w stopę. Stłumiła pisk i cofnęła nogę.

–Na czym skończyliśmy? – spytał Mellusin.

–Wyjaśniał pan, dlaczego rentierowie są prawowitymi władcami układu Cumbre – powiedział Garvin.

Mellusin zerknął na niego ostro, ale napotkał jedynie szczere i zaciekawione spojrzenie.

–Chodź, Garvin, wywołują już twój pociąg – powiedziała Jasith.

–Idę – odparł, wysiadając ostrożnie z limuzyny. Był nieco pijany. – Dziękuję za obiad i za... ciekawą rozmowę, panie Mellusin.

–To ja tobie dziękuję. To spotkanie było dla mnie przyjemnością i podobnie jak moja córka, jestem pod wrażeniem. Zapraszam ponownie, Garvinie Jaansma.

–Dziękuję. Bardzo chętnie.

–Chodź! – krzyknęła Jasith i Garvin potruchtał ku niej. Spojrzał na tablicę z rozkładem jazdy.

–Mówiłaś coś, że zaraz odjeżdża, tymczasem mam jeszcze kwadrans.

–Chcę cię pocałować, głupi. To powinno potrwać właśnie około piętnastu minut.

Chyba że wolisz wrócić i pogadać jeszcze z moim tatą.

–No nie... poszukajmy jakiegoś cichego kąta. Ale wiesz, czego naprawdę bym chciał?

–Pochylił się ku niej i wyszeptał kilka słów.

–Garvinie Jaansma! Co za język!

–Po prostu chciałem jasno postawić sprawę, żeby przy następnym spotkaniu obeszło się bez nieporozumień na temat tego, czym właściwie mamy się zajmować.

–Po czymś takim nieporozumienie nam nie grozi – odparła dziewczyna, udając wstrząśniętą. – Ale ja też ci powiem, czego chcę. – Teraz ona wyszeptała mu coś do ucha.

–Bogowie! – jęknął Garvin. – Nie wiedziałem, że dziewczyny znają podobne słowa!

–A znamy – rzuciła gardłowym głosem. – I powinieneś zobaczyć, co potrafimy zrobić z ustami, gdy akurat nie mówimy. To jeszcze bardziej szokujące.

Altowi Javowi Hofzeigerowi chciało się płakać. Nikt, ani jego ojciec, emerytowany haut mieszkający na Mauren VI, ani jego instruktorzy w Akademii Wojskowej na Centralnym, ani nawet koledzy, inni młodszy oficerowie, nie powiedzieli mu, że tak właśnie może wyglądać walka.

Była to walka, ponieważ broń mieli załadowaną ostrą amunicją, a krążące w górze griersony i zhukovy dostały bojowe rakiety. Rozkazy nakazywały zabić każdego uzbrojonego człowieka, który nie podda się na pierwsze wezwanie.

Tyle że co to za walka? Nie widzieli żadnych celów. Napotykali jedynie ciemnych wieśniaków, którzy wytrzeszczali oczy, słysząc jego pytania, i nie potrafili nawet pokazać na mapie, gdzie właściwie leży ich wioszczyna.

Niesione przez troje spoconych żołnierzy radiostacje wyrzucały przez cały patrol potok pytań i rozkazów.

Pierwszy: „Dzida Delta Diabeł, mówi Dzida Delta, podajcie swoją pozycję...” Dzida Delta oznaczało dowódcę czwartego pułku piechoty, sympatycznego mila Frana Whitleya, którego Jav jeszcze do niedawna całkiem lubił. On sam – i jego drugi pluton kompanii Delta czwartego piechoty – był Dzida Delta Diabeł. Miał pod swoim dowództwem siedemnaścioro żołnierzy.

Drugi: „Dzida Delta Diabeł, tutaj Delta Sześć... Słuchaj, Hofzeiger. Mam kontakt wzrokowy z Bravo, zostali za bardzo w tyle. Proponuję, żebyś uszykował się do obrony okrężnej i poczekał, aż dołączą do głównych sił. Bez odbioru”. Deltą Sześć była dowodząca kompanią Delta cent Theresa Rivers, osóbką o ostrym głosie. Jav miał ją za bardzo kompetentną, może tylko nieco nadgorliwą. Chociaż jeśli chodzi o nadgorliwość, przypuszczał, że jego podwładni mogą mówić to samo o nim. „Dzida Delta Diabeł, mówi Lanca Sześć. Czemu idziecie tak wolno? Wleczecie się jak na wycieczce... Jesteście cztery kilometry za grafiką przemarszu... podajcie waszą pozycję.

Odbiór”. Za kryptonimem Lanca Sześć krył się bóg tej wojenki, caud Jochim Williams. Latał nad okolicą w swoim cooku. Rivers siedziała w griersonie, a dowódca pułku w kolejnym cooku.

Aż trzy szczeble dowodzenia skupiały jednocześnie uwagę na jego patrolu, który miał przebyć drogę z nadmorskich nizin wyspy Dharma do złowrogich, nie zamieszkanych i zasnutych mgłą wyżyn w głębi ładu. Wywiad Grupy Uderzeniowej podał, że na tych właśnie stokach ukrywają się Raumowie, którzy grabią okolicznych rolników i zmuszają młodzież, by wstępowała do ich oddziałów. Jak dotąd nie napotkali jednak żadnych bandytów i nie słyszeli nic poza nieustannym jazgotem

całej gromady przełożonych, trwającym już od przedświt, gdy patrol wysiadł z griersonów.

Jaw najchętniej złapałby wszystkie trzy mikrofony w garść i wrzasnął, żeby zamknęli się na chwilę, dali mu pomyśleć i odszukać przybliżoną pozycję na mapie, która tak rozmijała się z rzeczywistością, że alt zaczął już się zastanawiać, czy na pewno przedstawia wyspę Dharma. Legenda się zgadzała, ale nic poza tym Chciałby też dać chwilę wytchnienia swojemu plutonowi. Przecież nie był złym oficerem... może nie najlepszym w całym pułku, ale zawsze dostawał najwyższe noty. A teraz nie dawali mu się wykazać.

Jeden z żołnierzy z radiostacją spojrzął na niego ze współczuciem. Alt nie był taki zły, ale te dupki na niebie nie miały pojęcia, jak to jest wdrapywać się po czterdziestostopniowej oślizłej stromiźnie. Co chwila trafiali na rozmokłą glinę i musieli wbijać w nią pazury, aby nie zjechać na tyłkach aż do błyszczącego w dole oceanu. Nawilgłe od deszczu pasy plecaków wrzynały się w ramiona, broń z każdym krokiem zdawała się ważyć pół kilo więcej, pnącza łapały za nogi, krzewy czepiały się odzieży i jeszcze coś hałasowało dziwnie w zaroślach.

Nie było szans, żeby w tych warunkach dojść z czymkolwiek do ładu.

–Zaczyna się równe – zgodnie z regulaminem wyszeptał idący z przodu żołnierz.

Kilkadziesiąt metrów nad nimi huczał silnik cooka, a głośniki trzech radiostacji co rusz darły się z całą mocą.

–Równe przed nami – powtórzył odruchowo kolejny żołnierz i Hofzeiger pokiwał obojętnie głową. Dopiero po chwili przypomniał sobie, co sam wcześniej rozkazał plutonowi, i podał informację dalej, a następnie otarł pot z czoła i sięgnął po mikrofon, przez który porozumiewał się z caudem Williamsem.

–Lanca Sześć, tu Dzida Delta Diabeł... przekazuję sygnał... mapa nie odpowiada terenowi, a teren niemal nie do przebycia – musimy wycinać sobie drogę...

Odbiór.

–Delta Diabeł, tu Lanca. Nie prosiłem o wymówki, żołnierzu! Wykonywać rozkazy albo poślę tam kogoś innego!

Hofzeiger chętnie by zaklął, ale tylko dwa razy przełączył mikrofon, dając znać, że odebrał wiadomość. Z przodu dotarł do niego kolejny szept: „Wioska przed nami.

Zamieszкана. Co najmniej sześciu mieszkańców”.

–Kurwa mać – mruknął alt. – Kolejna, której nie ma na mapie. – Włączył mikrofon. –

Lanca, tu Delta Diabeł. Bądźcie w gotowości, mamy wioskę do przeszukania. To samo powtórzył do pozostałych dwóch mikrofonów. Sześciu przed nami – podał dalej i zaczął się przedzierać wyciętą w zaroślach ścieżką. Łącznościowcy ruszyli za nim, ale nagle wpadł na inny pomysł. – Wy trzej zostajecie tutaj. Sam sprawdzę teren.

Pierwszy uśmiechnął się z ulgą. Cieszył się, że przez jakiś czas nikt nie będzie na niego krzyczeć.

Zastępca Hofzeigera, tweg Adeon, czekał już na skraju lichego pola uprawnego.

Przed nimi leżała wioska: kilka chat rozrzuconych wkoło placu, na którym stał wielki chroniony drewnianym daszkiem automat telefoniczny, nakryty półkolistym dachem dom z prefabrykatów noszący dumne miano SKLEP i długa wiata, która służyła tu chyba za dom kultury, knajpę i salę zebrań.

–Jakieś ślady wrogiej aktywności? – spytał alt.

Adeon pokręcił głową.

–Dwoje dzieci, jedna chuda kobieta koło trzydziestki, zapewne w szóstym miesiącu ciąży, dwa giptele. Żadnych goblinów. Ta wioska wykarmiłaby góra jednego bandytę, a i to dopiero, gdyby przeszedł na dietę.

Giptel był najbardziej udomowionym z miejscowych zwierząt. Służył okolicznym mieszkańcom Cumbre D jako maskotka, stróż dobytku, a czasem i źródło mięsa, które było jasne i w smaku przypominało nieco wieprzowinę. Miejscowi biedacy nie hodowali zwykle innych zwierząt. Pierwsi osadnicy sprowadzili wprawdzie również kury, ale szybko stały się one ulubionym obiektem polowań stobora, powszechnego na planecie dwunogiego drapieźnika o węzowym ciele.

Hofzeiger dostrzegł wyglądającego z jednej z chat mężczyznę, który błyskawicznie się schował.

–Wiedzą, że tu jesteśmy – powiedział. – Podciągnij ludzi, niech się rozstawią, i przeczeszemy wioskę. A my sprawdzimy, co to za wsiowy głupek tam się czai.

Kwadrans później było już po wszystkim. Żołnierze znaleźli tylko dwudziestu sześciu przerażonych wieśniaków, wyłącznie kobiety, dzieci i starców. Doświadczeni żołnierze powinni poczuć się tym zaniepokojeni, ale alt myślał o czym innym. Wszystkie trzy radiostacje znowu zaczęły zalewać go pytaniami, czy patrol coś znalazł, a jeśli tak, to co, albo dlaczego i po co. Hofzeiger zignorował w końcu cały ten jazgot, wycelował broń w najbliższego tubylca i zapytał go o imię.

–Eichere – odpowiedział niechętnie mężczyzna.

–A jak się nazywa ta wioska?

–Nie ma nazwy. Mówimy o niej po prostu wioska.

–Kosmopolityczne towarzystwo – mruknął jeden z łącznościowców.

–Cicho – rzucił alt. – Czy w okolicy są jacyś bandyci?

–Bandyci? Nie wiem, o co chodzi.

–Ludzie z bronią. Tacy, którzy odmawiają posłuszeństwa rządowi – powiedział niecierpliwe Adeon.

–Tylko wy macie tu broń – odparł Eichere. – A czy jesteście posłuszni rządowi, tego nie wiem.

–Należy mu się kilka kopów – warknął finf. – Robi nam tu kabaret, zamiast gadać.

Hofzeiger zgromił podoficera spojrzeniem i zwrócił się do tubylca. Pół tuzina wieśniaków podeszło do nich lękliwie i nastawiało ucha.

–Jesteś pewien, że w okolicy nie ma żadnych bandytów?

Eichere zacisnął wargi, odwrócił wzrok i pokiwał głową.

–Kłamię – odezwała się jakaś kobieta. Miała trzydzieści parę lat i była nieco mniej zniszczona pracą niż pozostałe. Jej ubranie było nieco czystsze i staranniej połatane niż łachmany innych kobiet.

–Kim jesteś?

–Nazywam się Balcha.

–Widziałaś bandytów?

–Jasne – odpowiedziała. – Wszyscy widzieli. Ale on i reszta boją się powiedzieć.

–Dlaczego? Obronimy was przed nimi.

–W nocy? – spytał cynicznie Eichere. – Wróćcie tu z miasta dopilnować, żeby nie spalili mi domu? I mnie?

–Jesteś tchórzem, Eichere – rzuciła pogardliwie Balcha. – Musimy ufać rządowi.

Eichere prychnął.

–Gdzie poszli ci bandyci? – spytał Hofzeiger.

–Tamtą ścieżką. – Wskazała na drugi kraniec wioski. – Niedaleko stąd mają obóz.

–Obóz?

–Tak, proszę pana.

–Możesz nas tam zaprowadzić?

Balcha zawahała się.

–Zapłacę ci – dodał alt.

–Nie. Nie wezmę pieniędzy. Ale jeśli was zaprowadzę, zabijecie ich wszystkich?

Wtedy będziemy bezpieczni.

–Zabiję tylko tych, którzy spróbują stawiać opór odpowiedział Hofzeiger. – Reszta zostanie aresztowana i stanie przed sądem. Otrzymają surowe wyroki.

–I nigdy już nie wrócą do naszej wioski?

–Nigdy – zapewnił ją stanowczo oficer.

–Więc chodźcie za mną. To jakieś dwie, może trzy godziny drogi. – Ruszyła w kierunku ścieżki.

–Czekaj, Balcha – powstrzymał ją Hofzeiger. – Muszę o tym zameldować przełożonym.

Dwadzieścia minut później Balcha, która szła druga, zawahała się przed rozwidleniem.

–Tędy – wskazała w końcu jedną ze ścieżek, ale niezbyt pewnie. – Świetnie – wyszeptał któryś ze szturmowców. – Gubi się pół kilometra od domu.

Po kilku minutach przystanęła pod dwumetrowym kopcem zbudowanym z wyschniętego błota przez owady, które Cumbrianie nazywali mrówkami. Rozglądała się przez chwilę ze zdumieniem, a w końcu obróciła się do alta Hofzeigera, który szedł zaraz za nią razem z twegiem Adeonem i trzema łącznościowcami.

–Obawiam się, że prowadzę was w złym kierunku. Pozwólcie, że wrócę i jeszcze raz przyjrzę się rozstajom. Czy jeden z was może na wszelki wypadek pójść ze mną?

Hofzeiger jęknął pod nosem i złapał spojrzenie jednego ze szturmowców, który nie

zdołał na czas odwrócić głowy.

–Habr, idź z nią. – Wyciągnął rękę, a łącznościowiec włożył w nią mikrofon. – SzeF będzie zachwycony... Delta Sześć, tu Dzida Delta Diabeł...

Balcha odczekała, aż znajdą się z Habrem za zakrętem ścieżki, potknęła się i padła na kolana. Habr pochylił się, żeby jej pomóc, ale nagle chrząknął i spojrzał wstrząśnięty na wystającą z jego piersi rękojeść noża. Ostrze weszło tuż pod pancerną kamizelką.

Twarz wykrzywiła mu się cierpieniem, oczy zamglily i upadł. Kobieta, która przedstawiła się jako Balcha, włożyła dwa palce w usta i gwizdnęła.

Comstock Brien, kryjący się nieco dalej w krzakach pięć metrów od ścieżki, usłyszał gwizd i skinął na człowieka trzymającego małe plastikowe pudełko. Mężczyzna otworzył je i wdusił znajdujący się w środku przycisk.

Opuszczone mrowisko zostało pospiesznie podkopane, gdy patrol wysiadał z griersonów. Upakowano w nim potłuczone butelki, zardzewiałe gwoździe i wszystkie śmieci, jakie udało się znaleźć na obrzeżach wioski, a na końcu dodano jeszcze dwieście kilo materiału wybuchowego. Część pochodziła z napadu na magazyn kopalniany na Cumbre C sprzed dwóch miesięcy. Po umieszczeniu w materiałach wybuchowych dwóch sterowanych radiem zapalników zatkano dziurę gliną.

Wybuch unicestwił alfa Hofzeigera, dwóch łącznościowców i wszystkich, którzy stali tuż obok, a także sześcioro z pozostałej dwunastki żołnierzy. Połowa ocalałych zwijała się na ziemi z bólu, reszta w głębokim szoku patrzyła tępo na skrwawione ciała.

Brien krzyknął i trzydzieścioro jego bojowników wypadło z kryjówek i otworzyło ogień z bardzo różnorodnej broni, od wojskowych blasterów po karabinki sportowe.

Gdy skończyli, zostało już tylko dwóch kwilących rannych żołnierzy. Brien zastrzelił pierwszego, drugiego dobiła jedna z kobiet.

–Szybko – odezwał się Brien. – Brać broń, buty, wszystko.

Kobieta odwróciła młodego żołnierza twarzą do góry i ujrzała, że jego pierś jeszcze się porusza. Uniosła archaiczną strzelbę.

–Nie – wyszeptał żołnierz. – Proszę.

Strzelba wypaliła.

Jedna z radiostacji jakimś cudem przetrzymała eksplozję.

–Delta Diabeł, Delta Diabeł, tu Delta Sześć. Co tam się, u diabła, dzieje?

Delta

Diabeł, odpowiadać natychmiast.

–To też zabrać – rozkazał Brien.

Zza zakrętu ścieżki wybiegła Balcha.

–Dobra robota – pochwalił ją Brien.

Podziękowała skinieniem głowy i przyklękła przy jednym z ciał. Szybko zaczęła zdejmować z trupa oporządzenie.

–Czy ktokolwiek w wiosce próbował kolaborować z tymi giptelami? – spytał Brien.

–Nie – odparła. – Są dobrze wytresowani. Nie musimy nikogo karać.

Cztery minuty później na ścieżce zostało tylko dwanaście nagich ciał.

Caud Williams wysiadł z cooka i przeszedł powoli przez wyciętą pospiesznie w dżungli polanę. Kierował się do miejsca zasadzki. Ostatnie ciała zniknęły właśnie w plastikowych torbach. Cent Rivers siedziała na powalonym drzewie, twarz kryła w dłoniach. Na spotkanie Williamsa wyszedł cent Angara. Zasalutował.

–Nie rób tego – powiedział Williams. – Jesteśmy w strefie działań zbrojnych.

–Przepraszam, sir – odpowiedział Angara. – Myślałem o czymś innym.

Williams pokiwał głową i ruszył ścieżką.

–Czy macie jakieś pojęcie, ilu ludzi wroga zdołali zabić ci dzielni żołnierze, nim ulegli jego przewadze?

–Najmniejszego, sir. Nie ma śladów krwi ani niczego.

–Musieli przed ucieczką oczyścić teren, dranie. Trudno, będziemy musieli podać przybliżone szacunki.

–Sir?

–Jak myślisz, ilu bandytów mogli zabrać ze sobą?

–Sir, nie znaleźliśmy żadnych śladów świadczących o tym, aby przeciwnik poniósł jakieś straty – powiedział Angara.

–Nie mogę uwierzyć, aby tak dobrze wyszkoleni żołnierze nie zdołali w ogóle odgryźć się wrogowi – stwierdził Williams. – Masz pojęcie, jak bardzo może ucierpieć morale naszych ludzi, jeśli usłyszą, że ich towarzysze broni zostali zaszlachtowani, nie mając szansy stawić oporu? Angara nie odpowiedział. – Więc rozumiemy się. Założmy, że każdy zdołał dopaść co najmniej jednego. Odnotujemy zatem w kronice pułkowej, że tych osiemnastu naszych, nim poległo zabiło zapewne dwudziestu jeden wrogów i zraniło piętnastu.

Angara ciągle milczał.

–Słyszał mnie pan?

–Tak jest, sir – odparł cent. – Dwudziestu jeden zapewne zabitych i piętnastu rannych.

Sir.

Williams przyjrzał mu się uważnie. Angara odwrócił głowę.

–Co z wioską?

–Wysłałem tam dwie ekipy, żeby przesłuchały tubylców. Na razie niczego się nie dowiedziały. Kobieta, która zaofiarowała pomoc, przyszła do wioski w tym samym czasie, gdy wieśniacy usłyszeli, że nasi lądują, i kazała traktować się jak swoja.

Zagroziła, że w przeciwnym razie stanie się im coś bardzo złego. Powiedziała, że mają robić, co im każe.

Większość młodszych mężczyzn przyłączyła się do bandytów, podobno pod przymusem, ale ja bym w to nie wierzył. Nie mają pojęcia, skąd bandyci przyszli ani gdzie poszli, ilu ich było i w ogóle o niczym.

–Trudno. Kontynuować.

Wciągnął głęboko powietrze i podszedł do Rivers. Usiadł obok niej. Uniosła głowę i Williams ujrzał, że po jej twarzy spływają łzy.

–Zrobiłaś z nich żołnierzy i straciłaś ich – powiedział łagodnie. – Tak to już jest. Ale pierwszy raz najtrudniej znieść.

–Jav... alt Hofzeiger był jednym z najlepszych – odezwała się. – Rekomendowałam go do awansu na centa. Teraz... – Zamrugnęła i przełknęła z wysiłkiem. – Wymordowali mi cały pluton. Finf Zelen strzelili w twarz... Przeżyłaby, gdybyśmy ewakuowali ją w porę. Ale... – Głos jej się załamał.

–Chodź, Thereso. Mamy jeszcze prawie tysiąc sześcuset żywych. Polegają na tobie.

–Wiem. Mam tylko nadzieję, że znajdziemy jeszcze sposób, żeby za to odplacić.

–Na pewno – powiedział Williams.

Rivers spojrzała na ciemne, schnące już plamy krwi i zacisnęła wargi.

–Tak, sir. Ktoś na pewno wkrótce za to zapłaci.

Dwa dni później o zmierzchu w pobliżu wioski wylądował ostrożnie samotny grierson. Wsiadło z niego dwudziestu pięciu ludzi w ciemnych strojach, z poczernionymi twarzami i dłońmi. Mieli pistolety i noże bojowe. Wszyscy byli ochotnikami.

Noc nie była zbyt jasna, na niebie lśniły tylko dwa mniejsze księżycy, Penwyth i Bodwin.

Grupa zebrała się wkoło cent Rivers, która wyciągnęła nóż i uniosła go do góry.

–Chcę, aby wszyscy na Cumbre D wiedzieli, że nigdy nie zapomniani i zawsze karzemy morderców. Wszyscy w tej wiosce są winni. Ja prowadzę.

Schowała nóż i cały oddział ruszył przez dżunglę w kierunku wioski.

–Słyszałeś najnowsze wieści? – spytał Garvin.

–A owszem – mruknął Njangu.

–W której wersji?

–W obu. „Matin” utrzymuje, że zrobili to wyrzuceni poza nawias prawa Raumowie, gdyż któryś z wieśniaków był na naszych usługach. To jest wersja oficjalna.

–A ty wiesz, że to bujda.

–Wiem.

–Cholera, ale to ich nauczy – zapalił się Garvin. Zadrzyj z bykiem, to weźmie cię na rogi. Ilu zabili?

–Okolo czterdziestu. W większości kobiety i dzieci.

–Słyszałem, że to cent Rivers poprowadziła ten oddział.

–Też tak słyszałem – przyznał Njangu.

–No to co się martwisz? To ich porządnie wystraszy. Zrozumieją, że nie można grać na dwa fronty.

–Garvin, przestań gadać i zacznij myśleć – powiedział znużonym tonem Njangu.

–O czym? Tak się załatwia podobne sprawy. Oni zabijają naszego, my zabijamy ich tuzin. To ich nauczy nie kombinować.

–Nauczy ich, owszem. Że trzeba wstąpić do partyzantki.

Garvin spojrział ze zdumieniem na przyjaciela.

–Dlaczego tak myślisz?

–Prosta sprawa. Po pierwsze, spójrz na to z perspektywy tych wieśniaków. Nasz oddział zjawiał się na pół godziny i miał wrócić na wyspę, a tamci Raumowie są za miedzą.

–No tak...

–Gdybyś był takim wieśniakiem i chciał jeszcze pożyć, dla kogo byłbyś bardziej uprzejmy?

–Chyba dla Raumów – zgodził się niechętnie Garvin.

–A teraz jeszcze to. Zaczęliśmy patrolować góry i zamierzamy zaprowadzić tam ład, prawo i sprawiedliwość, tak? Więc pierwsze, co robimy po wystrzelaniu naszego patrolu, to posyłamy szwadron śmierci, który wyrzyna baby i dzieciaki. Świetny pokaz sprawiedliwości i genialny sposób wzbudzania miłości u ludu.

–A kto powiedział, że mają nas kochać? Nie po to dostaliśmy broń.

–Spokojnie, przyjacielu. Po tym, jak ta popieprzona dziwka urządziła tę rzeź, nawet najgłupszy wieśniak nie będzie miał wątpliwości, co wybrać. Po której stronie byś stanął, gdybyś był nim?

–Kurwa – warknął Garvin i przysiadł ciężko na pryczy Njangu. – Nie pomyślałem.

–Chyba nikt naprawdę nie pomyślał. I założę się, że nie zaczniesz myśleć.

Williams nie może postawić Rivers przed sądem polowym. Nawet gdyby chciał. Dał więc w ten sposób przyzwolenie następnemu idiotcie, który miota się od ściany do ściany, bo mu kumpla ustrzelili.

–Chyba masz rację.

–Na pewno mam.

–Jakim cudem jesteś taki mądry? – spytał Garvin.

–Nie mądry, tylko przebiegły – poprawił go Njangu. – Gliny mogą mylić się do woli, ale ci z drugiej strony popełniają zwykle tylko jeden błąd.

–Więc chyba lepiej będzie, jeśli myślenie zostawię tobie?

–Tak może być bezpieczniej. I powiem ci jeszcze jedno. To, co zrobiła Rivers, niczego nie załatwi. Niebawem zaczną się zasadzki na kolejne patrole i wkrótce nasi będą się bali ruszyć na pogórze w sile mniejszej niż cała kompania. A wtedy tamci zmienią taktykę.

Będą strzelać z ukrycia, zza drzew, zabierając jednego po drugim.

–Ale z ciebie musi być drań, że takie rzeczy lęgną ci się w głowie.

–Ano jestem – Njangu odłożył czyszczony właśnie celownik i wziął czapkę z pryczy. – Chodź. Postawisz mi piwo. Może jak się upiję, upodobnię się nieco do, tej bandy roześmianych morderców, naszej Grupy Uderzeniowej.

Następny patrol został wystrzelany trzy dni później, a cztery dni po tym kompania honorowa omal nie wpadła w zasadzkę podczas rutynowego przeczesywania terenu niecałe pięć kilometrów od Wzgórz.

Przy obu tych okazjach udało się zabić ledwie pięciu Raumów, chociaż oficjalne komunikaty mówiły o dziewięćdziesięciu. Tylko siedmiu pojmano. Wypędzono ludzi z sześciu wiosek uznanych za wspierające Raumów, a tuzin, w których znaleziono broń albo inne zakazane materiały, zrównano z ziemią.

Caud Williams nakazał zmianę taktyki. Odtąd w dżunglę miały wyruszyć patrole w sile kompanii i – zaopatrywane z powietrza – pozostawać tam do pięciu dni, wysyłając drużyny na bliskie rozpoznanie.

–Gdy taki mały patrol zlokalizuje bandytów, nie będzie trudno uderzyć na nich z powietrza albo siłami całej kompanii – wyjaśnił. – Przewagę zapewnia nam też możliwość rozpoznania i dowodzenia z powietrza. Bandyci dodatkowo będą się musieli wystrzegać wszystkiego, co lata, a my już zadbamy, aby zawsze coś nad nimi wisiało. Dzięki temu ta kampania nie potrwa dłużej niż miesiąc albo dwa i potem spokój zapanuje w tych górach.

–Chyba bogowie się na mnie uwzięli – powiedział ponuro Garvin.

–Dlaczego? – zapytała Jasith. – I dlaczego tak kiepsko widać?

–Bo dzwonię z budki przed naszą kwaterą – wyjaśnił Jaansma. – Pełno tu różnych zabezpieczeń cenzurujących to, co mówię. Jest też chyba jakieś opóźnienie w przekazie. Nie żebym chciał zdradzić coś tajnego. Do diabła, nawet nie znam żadnych tajnych informacji.

–No to dlaczego tak biadolisz? Przecież udało ci się do mnie dodzwonić.

–Chodzi o to, co zamierzam – powiedział Garvin. – I ponieważ... – Coś zahuczało i na chwilę silnie zniekształciło jego głos. – ...rozumiesz więc, dlaczego tak powiedziałem?

–Nie. Nic nie słyszałam.

–Pewnie to też jest tajne. Dobra, muszę się zastanowić, jak to powiedzieć inaczej.

–Chodzi o nas?

–Tak.

–Może o to, że jeszcze trochę potrwa, nim znowu się zobaczymy? – Układy cenzorskie zagłuszyły Garvina, ale zdążył pokiwać głową. – Tego już się domyśliłam. Tata mi wyjaśnił... a on wie to od bardzo grubych ryb. – Ładnie. Chyba wszyscy wkoło, Raumów nie wyłączając, wiedzą o mnie więcej niż ja sam.

–Może ja do ciebie przyjadę?

–Wątpię, żeby cię do mnie puścili. Wszyscy nasi pracownicy cywilni dostali polecenie, aby trzymać się z dala od bazy, a na dodatek podwojono... – Reszta zdania zniknęła w szumach. – Przepraszam, Jasith – powiedział tonem, jakim może mówić jedynie dwudziestoletni mężczyzna zmuszony żyć w celibacie. – Naprawdę miałem nadzieję, że... – Kolejna przerwa. – Może któregoś dnia... do diabła.

Przez chwilę tylko patrzyli na siebie.

–Muszę kończyć – powiedział. – Ludzie czekają w kolejce do automatu.

–Garvin. Nadal chcesz się ze mną spotkać?

–Oczywiście. Dobrze wiesz, że tak.

–To pozwól, że zadbam, abys miał o czym myśleć w tej całej bazie.

Szybko rozpięła i rozchyliła bluzkę. Nie nosiła nic pod spodem, a piersi miała jędrne i pełne. Podrażniła paznokciem sutek, aż nabrzmał. – Żałuję, że nie ty mi to robisz –

szeptnęła.

–Ja też – odparł ochryple Garvin.

–Pokazałabym ci więcej... dałabym ci coś więcej, ale nasz majordomus kręci się w pobliżu. Tęsknię za tobą, Garvin. I będę gotowa, gdy mnie zechcesz. – Powoli przeciągnęła językiem po wargach i rozłączyła się.

Garvin wstał, nie odrywając wzroku od poszarzałego ekranu. Ktoś załomotał do drzwi budki.

–Wyłaź stamtąd! Inni też mają dziewczyny!

–Nie takie jak moja – powiedział. – Nie takie.

Dwa miesiące później lista ofiar po stronie Raumów liczyła dwudziestu zabitych, pięćdziesięciu sześciu pojmanyh i osiemnastu, którzy się poddali. Armia straciła trzydziestu ośmiu żołnierzy, prawie dwudziestu było rannych. Z rąk obu stron zginęło też siedemdziesięciu trzech cywilów. Wojsko oraz patrole sił paramilitarnych spaliły sześćdziesiąt cztery osady. W całej Grupie nikogo nie puszczono na przepustkę.

–Sam widzisz, to jest droga do zwycięstwa – powiedział Comstock Brien. – Powoli, krok po kroku, ale dobieramy im się do skóry, i to nie tak ryzykownym sposobem jak twój.

Jord'n Brooks uśmiechnął się lekko.

–Oby tak było, bracie – powiedział. – Oby twoje nadzieje nie okazały się płonne.

–Nie będą – rzucił Brien. – A teraz dobrze będzie pokazać wszystkim, jak bardzo staliśmy się silni.

Pięć dni później co najmniej dwustu uzbrojonych Raumów pojawiło się jakby znikąd na przedmieściach Leggett i opanowało stację holo na czas wystarczający, aby nadać na całą planetę swój manifest. Żądali w nim sprawiedliwości i równości dla wszystkich swoich pobratymców. Zagrozili, że jeśli ich warunki nie zostaną spełnione, Cumbre C i D spłyną krwią. Odprawili „sąd” nad obsadą miejscowego komisariatu i powiesili siedmiu policjantów oraz przedstawicieli lokalnych władz. Pozostali albo uciekli, albo zginęli podczas ataku.

Trzydziestu dziewięciu cywili oskarżyli o zdradę ludu i zastrzelili, po czym zniknęli równie dyskretnie, jak się zjawili. Posiłki policji przybyły dopiero pół godziny później, a armia potrzebowała na to aż trzech kwadransów.

Wyskoczyli z griersona z bronią gotową do strzału. Nad nimi wokół budynków krążyły niewidoczne we mgle trzy zhukovy. Wstawał szary świt.

Wśród trupów ludzi krążyli musthowie. Naliczyli trzydziestu trzech obcych w oporządzeniu bojowym. Parami przechodzili od jednych ludzkich zwłok do drugich i upewniali się, że to już tylko zwłoki.

Njangu i reszta drużyny Gamma obiegli dowództwo musthów i zorganizowali tymczasową obronę okrężną. Niecałe dwa metry od Yoshitara leżał martwy mężczyzna ubrany jak zwykły rolnik, tyle że na wierzchu miał wojskową kamizelkę, a obok niego upadł regulaminowy blaster piechoty. W piersi trupa ziała dziura wielkości pięści.

Njangu odwrócił wzrok, ale zaraz znowu na niego spojrzął, gdyż w ranie coś się poruszyło.

Białoszare robaki robiły już swoje. Njangu z trudem przełknął ślinę.

–To jakaś ich broń – powiedział uspokajająco Kipchak, który przycupnął za plecami swoich ludzi. – Wystrzeliwuje kapsułkę, która wywala dziurę w ciele i pęka, uwalniając te robale. A one zjadają żywcem delikwenta, zanim zdąży kwiknąć. Robactwo też pewnie potem ginie.

–To akurat już nie ma znaczenia – mruknął Penwyth.

–Cisza tam! – warknął Gonzales.

–Twoi żołnierze nie muszą się trudzić – powiedział jeden z musthów do alta Hedleya.

–Te sstworzenia possunęły ssie za daleko, ale nie ssprawią już nikomu żadnego kłopotu. Nie ma ich więcej w okolicy. Znaleźlibyśmy ich naszymi czujnikami.

–Na pewno – odparł Hedley i obejrzał się na cauda Williamsa, który ze swoją ekipą wysiadł ze sztabowego griersona. – Ale mam swoje rozkazy.

–Marnujcie sswój czass, jak wam ssie podoba. Nie moja ssprawa.

Hedley pokiwał głową i obszedł posterunki swojej kompanii. Raumowie musieli podejść tamtym wąwozem, pomyślał, widząc usłany z ciał trop wiodący od wylotu parowu prawie aż pod same budynki. Pierwsi zabici zginęli od zwykłej broni strzeleckiej i wyglądali w miarę normalnie, jak zwykłe ofiary blastera. Jednak ci,

którzy dobiegli do budynków, mieli o wiele paskudniejszą śmierć. W jednym miejscu leżał stos prawie że poszatkowanych trupów, a gdzie indziej...

–Ciekawi cię, jak to było? – spytał musth, który nagle pojawił się obok niego.

–Tak.

–Nazywam ssie Wlencing – powiedział obcy. – Dowodziłem żołnierzami, którzy zabili tych partaczy, bo chyba tak trzeba ich nazwać.

–Dlaczego partaczy? – spytał alt. – Ja jestem Jon Hedley.

–Czy jeśli ktoś atakuje i ginie, nie zadając przeciwnikowi żadnych sstrat, można go nazwać dobrym żołnierzem? A może źle to widzę?

–Jeśli chodzi o sam atak, widzisz to całkiem dobrze.

–Czy to ta ssama grupa, o której mówicie w waszych holo? Nazywacie ich chyba bandytami?

–Tak. To ci renegaci. Zbuntowani Raumowie.

–Wiem, kim ssą Raumowie – powiedział Wlencing. Robactwo, które kopie w ziemi dla waszych władnych. Można by ssądzić, że powinni znać sswoje miejscsce i nie próbować walki.

–Nie są w tym najlepsi – zgodził się Hedley.

–To każe mi ssie zasstanowić nad pewnymi ssprawami. Szczególnie nad tym, jak dobrze walczyacie.

–Nie znam waszego uzbrojenia. Tych tam zabito z blasterów. Ale ci bliżej?

–To bardzo tajna broń – wyjaśnił Wlencing, wyjmując z torby pudełko z zaokrąglonymi rogami. – Dotykam tego przycissku i rzucam. Gdy uderzy, wylatują z niego wkóło małe sstworzonka z... klujkami? Jesst takie ssłowo? – Żądłami?

–O właśnie, żądłami. Trudne ssłowo.

–Powiedziałaś, że to tajemnica. Dlaczego więc tyle mi zdradzasz?

–A dlaczego nie? Nie wydaje mi ssie, żeby to było coś sspecialnego. Osiągi sstatków kossmicznych, sstrategia, pocisski, tak, to jesst tajne, ale prosste pudełko? Śmieszne. Poza tym to ja dowodzę naszymi żołnierzami i nikt nie będzie mi mówił, co mam robić.

Albo czego nie robić.

–Rozumiem – mruknął Hedley.

–Macie duże kłopoty z tymi partaczami, którym wydaje się, że mogą wszystkim dyktować prawa?

–Bóg mi świadkiem, że tak jest. – Hedley spojrzał na kolejne ciało, kobiece. – Jak ona zginęła?

–Od innej broni ręcznej – powiedział Wlencing i sięgnął do torby po coś z krótką i pękatą lufą oraz dwoma paskami. Wziął urządzenie w dłoń i paski same ją objęły. – Bardzo, bardzo żrący kwas wyrzucany strumieniem mocno sprężonego powietrza. Tak samo skuteczny jak wasze blaszki, chociaż na krótszy dystans. Schował broń i spojrzał na grupę dowódczą. Do Williamsa dołączył jakiś musth. – To Aesc – powiedział. – Nasz dowódca w tym układzie. Mówi waszemu dowódcy, co się stało, i ostrzega go.

–Ostrzega? – spytał Hedley. – Żaden musth dzisiaj nie zginął podczas tego napadu. To dobrze. Tak musi być.

Niech tak będzie dalej. Gdyby jeden musth... choć jeden... zginął z rąk tych rebeliantów, wszyscy ludzie, winni, niewinni, wszyscy w układzie Cumbre albo by zginęli, albo poszli pracować w kopalniach, a te światy stałyby się częścią imperium musthów.

Wieść o masakrze na płaskowyżu wzburzyła zarówno Raumów w kopalniach na Cumbre C, jak i tych osiadłych na Cumbre D. Największy ferment wzbudziła jednak w Eckmuhl, getcie Raumów w Leggett. Jego mieszkańcy wprost oszaleli. W mieście nie było żadnych musthów, nienawiść Raumów obróciła się więc przeciwko policji oraz wyzyskującym ich rentierom. Przewracali i palili policyjne ślizgacze, pobili bądź zamordowali wielu funkcjonariuszy. Oddziały mające stłumić zamieszki zostały przegonione, a komisariaty zamieniły się w oblężone twierdze. Ograbiono wiele sklepów, w tym dwa domy towarowe rodziny Angie Rady. Wszędzie krążyły gangi Raumów i każdy, kto wypuścił się na ulicę nie uzbrojony albo w nie dość licznym towarzystwie, ryzykował życie.

W końcu ściągnięto z gór wojsko, aby zaprowadziło porządek. Żołnierze oczyścili ulice i ustawili na nich solidne zapory, jednak nienawykli do radzenia sobie z cywilnym bałaganem, traktowali wszystkich Raumów jak wrogów. Każdego, kto nie potrafił natychmiast wiarygodnie wytłumaczyć, co robi w tej chwili w tym akurat miejscu, natychmiast aresztowali. Czasem starczyło nawet mieć po prostu nazwisko sugerujące raumskie pochodzenie. Kiedy Raumowie sporadycznie próbowali stawiać opór, w najlepszym razie trafiali do szpitala, w najgorszym – do kostnicy.

Niemniej na ulicach zapanował spokój. Holo, a w szczególności „Matin”, wychwalało wojsko pod niebiosa. Żołnierze, obwołani przez media zbawcami Cumbre, chętnie tego słuchali, bo rzadko bywali chwaleni. Tylko nieliczni okazali się odporni na tę wazelinę.

Należeli do nich alt Hedley, finf Kipchak, finf Jaansma, szturmowiec Yoshitaro, cent Angara i jeszcze parę osób.

–Teraz sama widzisz, że mój pomysł przeniesienia walki do miasta miał sens – powiedział Jord'n Brooks do Jo Poynton, gdy zespół planowania zbierał się na kolejne spotkanie, tym razem w spalonej wiosce.

–Nasi ludzie zostali pokonani – zauważyła Jo.

Brooks wzruszył ramionami.

–Tylko się burzyli, to nie była prawdziwa walka. Zostali pobici, ale nie pokonani.

W duszach, sercach i umysłach wciąż walczą. Czy wśród nich został choć jeden, który by nie rozumiał, kto jest naszym wrogiem?

–Tego nie kwestionuję – powiedziała ostrożnie Poynton. – Jednak długofalowo plan Briena dawał nam więcej niż twój, a zadaniem naszego zespołu jest wybierać

rozwiązania gwarantujące sukces.

–Owszem – mruknął Brooks. – Ale jak długo będzie nam się udawać? Jak dotąd armia walczy z nami na pół gwizdka. Jeśli jej dowódcy nie są zupełnymi kretynami, wcześniej czy później nauczą się działać po naszymu. I co wtedy?

Jo Poynton kiwnęła głową i odwróciła się od Brooksa, by posłuchać rozpoczynającego zebranie Briena.

–Puścili cię! – pisnęła Jasith.

–Na krótkiej smyczy – odpowiedział Garvin. – Bohaterom wypada jednak udzielić paru przepustek. – Jasith nie wyczuła sarkazmu. – Możemy się spotkać?

–Tylko powiedz gdzie – szepnęła zmysłowo.

Garwinowi przyszedł na myśl bar w hotelu Shelbourne, ale zaraz przypomniał sobie Maryę i odrzucił ten pomysł.

–Nie jestem tutejszy, zapomniałaś? Ty wybieraj.

–Siedzisz jeszcze w bazie?

–Tak. Najbliższy prom do Leggett mam za dziesięć minut.

–Poczekaj tam – nakazała mu dziewczyna. – Nic nie rób, tylko ładnie wyglądaj.

Przyjadę po ciebie.

Pomiędzy promami, taksówkami i prywatnymi ślizgaczami mignęła wreszcie Garwinowi znajoma czarna limuzyna. Kierowała się wprost ku niemu.

–Cholera – jęknął. – Znowu będę musiał wysłuchiwać, jak to nasza pieprzona armia ocaliła pieprzoną cywilizację. Żeby cię, Jasith! Czyżbyśmy przestali się rozumieć? Ślizgacz przyziemił, uniosły się drzwi od strony kierowcy i ze środka wyjrzała Jasith.

–Zaskoczony?

–Nieustannie.

–No to wsiadaj. Z przodu, obok mnie.

Garvin zerknął w głąb limuzyny. Jasith przyjechała bez ojcowskiej asysty. Włosy związała na karku, włożyła czerwoną bluzkę na naramkach i obszerne czarne spodnie z krepy.

Była boso. Bez słowa przypadli do siebie i wzięli się do całowania. Odsunęli się dopiero, gdy ktoś zaczął na nich trąbić.

–Bierz mnie – powiedział Garvin. – Jam twój.

Jasith sięgnęła do sterów. Ślizgacz uniósł się i odpłynął po rampie w stronę oceanu.

–Tata dał mi dwóch ochroniarzy, żebym czuła się bezpiecznie – powiedziała dziewczyna.

–Gdzie ich trzymasz? W bagażniku?

–Udało mi się go przekonać, że tutaj nic mi nie grozi. Przyznał w końcu, że przy tylu żołnierzach wkoło nie ma się czym martwić.

–Nie widzę żadnych żołnierzy.

–Spostrzegawczy jesteś.

–Dokąd lecimy?

–Donikąd. – Ustawiła coś na konsoli i pojazd uniósł nos, aż w przedniej szybie widać było tylko ciemność. Tym kursem dolecimy do... – Włączyła wyświetlacz pozycjonera. – ...wyspy Lanbay. Przy tej szybkości będziemy tam o świcie.

–A co jest na tej wyspie?

–Nic. Skały, drzewa, plaża. Ale nie myślałam, żeby tam dolecieć.

–A o czym myślałaś?

–Po pierwsze, żeby włączyć autopilota... O, jest. Po drugie, włączyć alarm przeciwkolizyjny. I jeszcze wcisnąć to tutaj. – Ciemny dach limuzyny stał się nagle przezroczysty. Ujrzeli przemykające nad nimi burzowe chmury. – Teraz możemy przenieść się do tyłu, o tak. – Jej fotel obrócił się i przesunęła się obok Garvina. – Dołączysz?

Garvin zmacał kontrolki z boku fotela i przycisnął którąś. Fotel się rozłożył.

–Nie ten guzik, głupi – wyjaśniła Jasith. – Ten pierwszy. Ale najpierw złóż fotel.

Garvin posłuchał.

–A teraz co?

–Kazałam kucharzowi rozmrozić jeden z koszy piknikowych. Jest w schowku za fotelami. Same pyszności: dziczyzna, pasztet, wołowina w kwaśnym sosie, sałatka z cykorii, mrożone owoce i kilka butelek ziemskiego taittingera, którego tak trąbiłeś, gdy tata zaprosił cię na obiad. Możemy więc coś przekąsić. Albo...

–Albo co?

–Albo wciśniesz ten przyczek pod oknem.

Garvin sięgnęła, gdzie pokazywała, i tylna kanapa rozłożyła się na płask, a z obu stron pojawiły się poduszki. Jasith powoli uniosła nogi i jej fotel dołączył do łoża, a oparcie się opuściło.

–Tata ściągnął ten wóz aż z Centralnego – powiedziała Jasith, moszcząc się. – Nie wiem, na co mu to dodatkowe wyposażenie. Powiedział, że zamontowali je przez pomyłkę, ale ja mu nie wierzę. Myślisz, że mógłby czasem zdradzać moją macochę?

Garvin nie odpowiedział. Wpatrywał się jak zahipnotyzowany w Jasith. Usiadła, rozpuściła włosy i sięgnęła do umieszczonego między piersiami zapięcia bluzeczki.

–Ja to zrobię – zaofiarował się Garvin.

–Dobrze.

Jasith znowu się położyła. Garwinowi palce nagle zmieniły się w drewniane kołki, ale jakoś dał radę. Pochylił się ku niej, musnął ustami sutki. Westchnęła i pogłaskała go po krótko przyszytych włosach. Wsunął dłonie pod elastyczny pasek spodni Jasith i ściągnął je. Nie miała nic pod spodem.

–Rozbierz się dla mnie – szepnęła.

Po chwili zmierzyła go spojrzeniem.

–Piękny jesteś.

–Ty też.

–A teraz... – uniosła jedną nogę, oparła ją o drzwi i wyciągnęła ramiona nad głową... – chodź do mnie. Trzymaj mi ręce wysoko, tak żebyśmy się nie mogła ruszyć. Garwinie mój, Garwinie... proszę...

Niemal całą wieczność później limuzyna miękko o coś uderzyła. Jasith zamruczała, usiadła i spojrzała przez okno.

–Kochanie...

–Co jest? – spytał Garvin.

–Chyba się zgubiliśmy. Na oceanie nie ma takich rzeczy.

Limuzyna odpływała właśnie z wolna od niskiego budynku opatrzonego napisem

STRZELNICA NR 7. MAGAZYN

TARCZ CELOWNICZYCH.

–Zeszliśmy z kursu – ocenił Garvin. – I to paskudnie. Jesteśmy znowu na wyspie Chance, a dokładnie na jednej ze strzelnic na jej wschodnim krańcu. Dostanie się nam, jeśli nas złapią.

–Jak mogliśmy się tu znaleźć? – zdziwiła się Jasith.

Garvin zauważył, że na pulpicie sterowniczym mrugają nerwowo jakieś światełka.

–Widocznie kopnęliśmy przypadkiem co nie trzeba powiedzieć. – Chyba nawet alarm antykolizyjny udało się nam wyłączyć. Lepiej się zbierajmy. Widzę już światła jakiegoś pojazdu.

Jasith przesunęła się obok na fotelu kierowcy i przebiegła palcami po kontrolkach.

Limuzyna uniosła się na dwa metry i ruszyła gwałtownie. Przeskoczyli nad klifem, przemknęli nad kamienistą plażą i po chwili byli już daleko w morzu.

–Myślisz, że będą do nas strzelać? – zapytała Jasith.

–Nie wiem. Może na wszelki wypadek zejdziesz jak najniżej i zmówisz jakąś modlitwę?

Fale zaczęły uciekać ledwie parę metrów pod nimi.

–I co teraz?

–Poczekajmy, aż będziemy poza zasięgiem strzału i zejdziemy im z oczu – odparł Garvin. – Znowu lecimy w kierunku Lanbay?

–Mniej więcej.

–Nie widzę śladu pocisków – oznajmił Garvin, patrząc do tyłu. – Chyba udało nam się pokazać im figę... a raczej gołe pośladki. Może już zwolnisz?

–A potem?

–Wracaj, gdzie twoje miejsce.

–Dobrze. I co?

–Da się jakoś otworzyć ten dach?

–Jasne. – Po chwili zaczął na nich kapać ciepły tropikalny deszczyk.

–I jak teraz?

–Zostań na kolanach – polecił Garvin i wstał. – I pozwól, że czymś cię zaskoczę.

Chwilę później Jasith zaczęła pojękiwać.

–O tak... cały jesteś we mnie... Garvinie, Garvinie...

O świcie, gdy senni ludzie w mundurach zaczęli się wysypywać z koszar na zaprawę, nad wielki plac apelowy nadciągnęła wielka czarna limuzyna. Gdy przyziemiała, wysiadł z niej nie ogolony i nieco zmarnowany Garvin Jaansma. Obszedł wóz i przystanął po stronie kierowcy.

–I czy tata nie miał racji? – spytała cicho Jasith. Było bardzo bezpiecznie, prawda?

Pocałował ją.

–Zadzwońcie, żołnierzu, gdybyście czegoś potrzebowali. – Okno zamknęło się i limuzyna wzniosła się nieco, obróciła wkoło własnej osi i odleciała ponad zatoką w kierunku Leggett.

Garvin Jaansma zaczerpnął głęboko powietrza i przy wtórze narastającej kocie muzyki ruszył przez plac.

–Jeszcze raz... Twierdzi pan, że nic nie wie o zabójstwie pana Scryfa i jego rodziny?
– zapytała technik Warbeck tonem, w którym wyraźnie pobrzmiwało niedowierzenie.

–Nic.

–Ale pan przecież pracował u nich jako majordomus powiedziała.

–Pracowałem.

–Był pan w domu, gdy doszło do morderstwa.

–Owszem, byłem.

–I niczego pan nie słyszał? Nic pana nie obudziło?

–Sypiam bardzo mocno – odparł mężczyzna.

–Strażnik!

Otworzyły się drzwi i na progu stanął mundurowy.

–Do zwolnienia – powiedziała Warbeck i zwróciła się do przesłuchiwanego. – Ale niech pan będzie w kontakcie, na wypadek, gdybyśmy mieli jeszcze jakieś pytania.

Mężczyzna wstał z lekkim uśmieszkiem błąkającym się na wargach i wyszedł.

–Dlaczego go nie przyskrzyniłaś? – zapytał mundurowy. – Ten drań tam był, wiemy to na pewno. Znaleźliśmy nawet ślady krwi z sypialni Scryfów w jego sypialni.

–Sam popatrz – powiedziała kobieta, zdejmując osłonę z maszyny, za którą siedziała. – Zero odczytów na wszystkich polach. Nic się nie wychyla, co oznacza, że jest niewinny i tyle.

Tak to odczyta sąd.

–Niemożliwe.

–A jednak – powiedziała ze znużeniem Warbeck. Jeśli ktoś do tego stopnia uwierzy we własne kłamstwa, że są dla niego prawdą... zawsze się wywinie.

–Do czego to doszło... Ktoś zabija rentiera i całą jego rodzinę i nic nie można mu zrobić?

–Jak widać.

Cook zawisł kolejny raz nad ścieżką w dżungli i wypluł z burtowego zasobnika mały biały kolec, który po chwili wbił się w ziemię. Nim minęła godzina, na ścieżce pojawiła się grupa trzech kobiet i dwóch mężczyzn. Idący na przedzie niósł jakieś urządzenie, wyraźnie domowej roboty. Ilekroć zabuczało, cała piątka zaczynała uważnie przepatrywać grunt wokoło, aż trafiali na któryś z kolców. Wtedy jedna z kobiet zakrywała go czarną metalową misą. Potraktowali w ten sposób wszystkie czujniki prócz jednego. Przy ostatnim zostawili parę wyjątkowo brudnych portek, a jeden z mężczyzn obsikał ziemię dookoła. Potem pobiegli szybko z powrotem do obozu.

Nim minęły trzy godziny, nad dżunglą pojawiły się trzy zhukovy. Zanurkowały w kierunku ostatniego czujnika i oddały salwę kierowanych rakiet Fury. Dżungla zakołysała się od eksplozji. Pośród rozwiewanego przez wiatr dymu wylądował samotny grierson. Po rampie zbiegła drużyna rozpoznania.

–Kursk, tu Sybilla Beta – zameldował dowódca drużyny. – Brak śladów.

Dowodzący akcją alt zapomniał z wrażenia, jak należy rozmawiać przez radio.

–Co?! – wrzasnął z pokładu zhukova. – Mieliliśmy pozytywne odczyty!

–Tu Sybilla Beta – usłyszał. – Powtarzam: brak śladów. Żadnych trupów. Wasza maszyna zawiodła. Bez odbioru.

Dwa cooki krążyły nad wioską.

–Ani śladu życia – zameldowano z jednego z nich.

–Sprawdzać dalej – rozkazał dowódca batalionu ze swojego griersona. – Informacje na temat tej wioski są pewne.

Pierwsza maszyna zanurkowała, a druga zaraz za nią.

–Może w tym parowie coś będzie? – rzucił pilot jednego cooka na kanale łączności między maszynami.

–Za tobą – odpowiedział jego boczny.

Cook wleciał w rozpadlinę. Gdy zwalniał na zakręcie, przed nim i za nim uniosła się nagle gruba sieć. Strzelec uruchomił działko, ale pociski przerwały ledwie parę lin i pojazd wpadł w pułapkę. Po chwili to samo spotkało drugiego cooka. Dowódca batalionu bezskutecznie próbował ostrzec załogi, widząc, jak sześciu Raumów wylazi z ukrycia i składa się do strzału ze zdobyczej broni. Po chwili oba pojazdy obsypał grad pocisków.

–Spokojnie – powiedział cicho Comstock Brien. – To ich stała trasa?

–Tak – odpowiedział młodzieniec. – Ale nie wiem, czy szczęście dopisze...

–Nie mów mi o szczęściu – przerwał mu Brien. – Trzeba działać, trzeba być twardym.

Im bardziej się postarasz, tym więcej szczęścia przyciągniesz.

Młodzieniec mruknął coś sceptycznym tonem. Trzeci mężczyzna, który czekał oparty o skleconą naprędcę ramową konstrukcję, nie odezwał się wcale. Kilka minut później młodzieniec uniósł głowę.

–Słyszę go.

Po chwili starsze, mniej wyczulone uszy Briena też wychwyciły wycie silników.

Sto metrów niżej pojawił się zhukov. Leciał nad krętą drogą przebiegającą u stóp urwiska.

Młodzieniec i jego pomocnik odsunęli maskowanie z liści i przepchnęli bliżej urwiska skrytą pod nim ramę. Była to prymitywna wyrzutnia z jednym pociskiem raketowym typu Shrike – niewybuchem pozostałym po operacji sprzed dwóch tygodni. Raumowie odnaleźli go, zapalnik zbliżeniowy zastąpili uderzeniowym i przenieśli daleko w głąb wyspy. W rakiecie pozostała jeszcze połowa paliwa.

Drugi mężczyzna odsunął się od wyrzutni. Czekał, aż zhukov dotrze do upatrzonego przez nich krzewu. Trzeci z oddziału odbiegł kilka kroków i wziął do ręki mały przełącznik, od którego biegł drut do tylnej części rakiety.

–Czekaj... czekaj... czekaj... Teraz!

Shrike zasyczał, buchnęło gorącem, rama zakołysała się i pocisk wyrwał niemal wprost na nadlatującego zhukova. Uderzył zaraz za główną wieżą. Ładunek kumulacyjny wypalił w pancerzu pojazdu dziurę, przez którą wdarł się do wnętrza ładunek główny: mocno sprężony łatwopalny gaz. W ułamku sekundy doszło do eksplozji. Niesterowny zhukov runął w dżunglę. Niczym konająca bestia skosił szereg drzew i legł nieruchomo.

Trzej Raumowie pozwolili sobie na chwilę triumfu i czym prędzej uciekli.

Pięć cooków leciało na zachód około stu metrów nad dżunglą. Po lewej miały urwisko, którym kończył się płaskowyż. Jedna z maszyn trzykrotnie zapuszczała się nad napotykaną polanę, zawisała tam na chwilę i wracała do formacji. Czwarty taki manewr pozornie nie różnił się od pozostałych, tyle tylko, że cook zawisł nad polaną

moment dłużej, akurat na tyle, aby od jego burt mogło się odczepić jedenastu ludzi, którzy zaraz ukryli się w okolicznych krzakach.

Była to drużyna Gamma dowodzona przez alta Hedleya. Nosili ciemnozielono-czarne stroje maskujące, które pasowały do barw dżungli, twarze i dłonie mieli poczernione, każdy niósł ciężki plecak. Przez pięć minut czekali z bronią w gotowości. Wkoło słyhać było tylko szum deszczu i chwilami wiatr. Jakiś wyjec odezwał się w oddali. Nagle rozległ się strzał, daleki i przytłumiony. Chwilę potem następny. I trzeci, i czwarty, każdy słabszy niż poprzedni.

–Kurwa! – powiedział Petr i wstał. – Mają nas.

Reszta drużyny nie poruszyła się, tylko Hedley chyłkiem podszedł do Petra.

–Co robimy? – zapytał go.

–Ewakuujemy się, bo zaraz zjawi się tu ich kilka tuzinów. Ostatnio nasze strefy desantu zrobiły się dość niebezpieczne.

–Wszystkie?

–Prawie. Wygląda na to, że jakimś cudem potrafią rozpoznać, który desant jest prawdziwy, a który tylko symulowany. Może napakowali wszystkie polany czujnikami, chociaż na razie niczego nie znaleźliśmy. A może wystawili wszędzie obserwatorów... nie wiem. Ale to już mój czwarty patrol w tym tygodniu, z którego nic nie wyszło. – Kipchak skinął na łącznościowca i wziął mikrofon. Sybilla Jeden Wieża, tu Sybilla jeden Gamma.

Zostaliśmy wykryci, ewakuujemy się. Bez kontaktu.

–Mówi Sybilla Wieża – rozległo się w głośniczku. Miła krótka wizyta. Czekać.

Transport w drodze.

–Widzisz, o czym mówiłem, szefie? – spytał Petr.

–Owszem – mruknął Hedley. – Wiem, że jesteście dobrzy i że inne drużyny też są dobre. Prosta sprawa. Wszystko gra i wszystko idzie świetnie, tyle że źli chłopcy są górą.

Caud Williams dumał nad kieliszkiem sherry – pochodzącej z ostatniej dostawy, którą otrzymał z Centralnego, co dodatkowo psuło mu humor – gdy ktoś zapukał do drzwi.

–Wejść!

W progu pojawił się Jon Hedley.

–Mogę na słowo, sir?

–Możesz. Drinka? – spytał gospodarz. – Za tą fałszywą biblioteką jest niemal wszystko, czego dusza zapagnie.

–Nie, sir. Chciałem poprosić o przysługę.

–Petr, Monique – rzucił Hedley. – Łapcie kubki i przystawcie sobie krzesła.

Szukam ochotników.

–Szefie – powiedział Kipchak – piszę się na wszystko, co będzie lepsze od tej ciuciubabki, w którą się ostatnio bawimy.

–Ja też – dodała Lir.

–Nie szukam pojedynczych ochotników – stwierdził Hedley. – Potrzebuję dwóch drużyn, jednej do samej akcji, drugiej do wsparcia.

–Masz Gammę – odparł Kipchak.

–I Betę, też – zadeklarowała Monique.

–Nie zapytacie ludzi o zdanie?

–Nie trzeba – mruknęła Lir. – Jeśli komuś się nie spodoba, odeślę go do mieszania błota.

Kipchak pokiwał głową na znak, że myśli tak samo.

–Pogadałem trochę z naszym bogiem wojny – powiedział Hedley. – Caud Williams wysłuchał mnie i uznał, że warto spróbować. Wydaje się dość przybity ostatnimi wypadkami.

–Nie obrażając żadnego z oficerów, zdziwiłbym się, gdyby tryskał humorem –

zauważył Kipchak. – Całe to wymiatanie wygląda na jeden wielki żart.

–Ale przy odrobinie szczęścia może uda nam się zrobić dla odmiany coś na poważnie – powiedział Hedley. – Oto plan. Wysadzimy was na świeżym tropie. Wymyśliłem, jak to zrobić niepostrzeżenie, w każdym razie mam taką nadzieję. Będziecie tam tak długo, aż natraficie na większe siły.

–Czyli jak długo?

–Ile będzie trzeba. Do śmierci, emerytury albo zwolnienia z wojska.

–A co z zaopatrzeniem?

–Weźmiecie superkoncentraty. Nic więcej nie będzie, chyba żebyście konali z głodu – powiedział Hedley. – Wtedy urządzimy jakieś sprytnie zamaskowane zrzuty.

–Kto dowodzi? – spytała Lir. – Żeby nie było znowu, że musimy się czołgać, bo cały sztab lata nam tuż nad głowami.

–Tu Williams szczęśliwie dał mi wolną rękę. Ja dowodzę i nikt więcej nie będzie się w to mieszał, chyba że to się okaże niezbędne.

–No to wracajmy do sprawy – powiedział Petr. – Jak to ma wyglądać?

–Będziecie szli śladem rebeliantów. Jeśli to jakiś mały, samodzielny oddziałek, zniszczycie go albo zmusicie do poddania się. Jeśli część większego, któremu sami nie dacie rady, będziecie mogli wezwać dowolne wsparcie.

–Co znaczy dowolne?

–Gdyby było trzeba, to nawet całą Grupę Uderzeniową – wyjaśnił Hedley.

Lir gwizdnęła bezgłośnie.

–Jak ci się to udało? Przyłapałeś cauda na nekro – czy pedofilii?

–Jesteś małej wiary. Po prostu wysłuchał, co miałem do powiedzenia, i powiedział: salaam.

–Tak, jasne...

–Zajmijcie się swoimi ludźmi. Ja mam parę spraw do załatwienia. Zanim polecicie, dojdzie jeszcze do paru pomniejszych cudów...

–Dupek Ben znowu szuka ochotników – powiedział Dill. – Tak samo jak wcześniej, do współpracy ze zwiadem. Tyle że tym razem to naprawdę będzie wojna. Mają jakiś

nowy, supertajny pomysł.

–Dlaczego nie? – rzuciła Kang.

Dill spojrział na pozostałą dwójkę. Skinęli głowami.

–Nie wiem dokładnie, na czym to będzie polegać, ale mamy trafić na pierwszą linię.

I jeszcze jedno, Garvin... będziemy wspierać twojego kumpla Yoshitara i całą drużynę Gamma.

–Więc to będzie prawdziwe naprawdę – powiedział Jaansma.

–Mam nadzieję – westchnęła Kang. – Bo inaczej do usranej śmierci będę zabijać tylko symulaki.

Caud Williams patrzył, jak pięćdziesięcioro żołnierzy wchodzi do hangaru i siada na posadzce. Odczekał, aż wyznaczeni wartownicy zamkną drzwi.

–Witam wszystkich – powiedział. – Nie zajmę wiele czasu. Tą operacją dowodzi bezpośrednio alt Jon Hedley i to będzie od początku do końca jego cyrk. Chcę tylko zaznaczyć, że Grupa Uderzeniowa jest jednym zespołem. Waszym zadaniem jest tego dowieść. To tyle.

Hedley zasalutował, caud oddał honory, a potem ku zdumieniu obecnych usiadł ze skrzyżowanymi nogami na betonie, jak wszyscy inni.

–Tak, jesteśmy zespołem – odezwał się Hedley. – Od teraz chciałbym, żebyście zapomnieli o licytowaniu się, kto lepszy, zwiad, piechota, łączność czy ktokolwiek. Wszyscy mamy tę samą robotę. Zabijać albo łapać rebeliantów. Tym właśnie mamy się zająć.

Nie zdobywaniem terenu, nie szukaniem przyjaciół wśród wieśniaków czy szczyrzeniem zębów do holo. Nie będziemy też zabijać nikogo, kto nie będzie próbował nas zabić.

Koniec z żądaniem wsparcia ogniowego, bo gdzieś mogą kryć się gobliny, nie będzie też ostrzeliwania wiosek tylko dlatego, że są „podejrzane”. Dość tych nonsensów.

Interesują nas wyłącznie bandyci, w ostatecznym rachunku wszyscy mają być martwi albo pojmmani.

Ci drudzy mają potem śpiewać o swoich kumplach jak ptaszęta wiosną. Gdy zdrowo ich przyciśniemy, mniejsze ptaszki zaczną się zastanawiać, czy stanęły po dobrej

stronie, a większe pomyślą, że grozi im powrót do kopalń czy innych dziur, w których wcześniej pracowały. A my nie spoczniemy, póki ich nie przekonamy do śpiewania.

Przypominało to trochę podstawowe szkolenie, ale nie do końca. Instrukctorem był Kipchak, a kursantami reszta drużyny.

–Pierwsza sprawa to reakcja na kontakt bojowy – powiedział Petr. – Będziemy ćwiczyć tak długo, aż to się stanie odruchowe i bez namysłu będziecie robić co trzeba. Zasada jest prosta. Jeśli oddział dostanie się pod ogień, wszyscy uskakują na boki, ale naprzemiennie, pierwszy w lewo, drugi w prawo i tak dalej. Potem pierwszy posyła w stronę przeciwnika serię dziesięciu pocisków i wycofuje się biegiem, drugi zaraz po nim robi to samo, aż cały patrol zerwie kontakt z przeciwnikiem i wypracuje sobie lepszą pozycję...

Ćwiczyli to raz za razem na względnie bezpiecznych leśnych ścieżkach wyspy Chance, zawsze z prawdziwą amunicją. Nikt nie był karany za błędy, starczało, że Petr spojrzał na kogoś takiego ze smutkiem i powoli pokręcił głową. To było o wiele gorsze niż wszystko, co wcześniej wymyślała Lir. Może dlatego, że niebawem czekała ich prawdziwa walka.

Monique ćwiczyła ze swoją drużyną to samo, a także cichy marsz przez dżunglę.

Najpierw palce, potem pięta, chwila bezruchu, następny krok... Musieli też zapamiętać dokładnie, gdzie co niosą: zapasowe magazynki w dolnych kieszeniach kamizelki, leki w lewej górnej kieszeni koszuli, przekąski w prawej górnej, opatrunki na prawym biodrze i tak dalej. Każdy musiał umieć znaleźć wszystko natychmiast i o każdej porze dnia i nocy, przytomny czy wyjący z bólu.

–Dobrze – powiedział Petr po kilku dniach. – Nie jesteśmy jeszcze gotowi, ale na razie lepiej już nie będzie. Nie ma co marnować czasu, pora do dżungli.

–Masz chwilę?

–Jasne – powiedział Njangu i spojrzał podejrzliwie na Erika. Wyglądało na to, że chce powiedzieć coś ważnego, a Yoshitaro nie miał akurat ochoty robić za spowiednika.

–Słyszałeś o Angie?

–Nie. Zbyt byłem zajęty lataniem po polu.

–Odeszła.

–Co?

–Właśnie to. Wykupiła się dwa dni temu.

–Skąd wzięła tyle kredytów? – zdumiał się Njangu. Zostały jej jeszcze dwa-trzy lata.

Licząc po podstawowej stawce, wychodzi tysiąc kredytów za rok plus pewnie coś ekstra za szkolenie w zwiadzie. Może nawet pięć setek. To masa forsy.

–Jej rodzina ma pieniądze – zauważył Erik.

–Ale ona podobno z nimi nie gada.

–Wiesz, że spalili parę ich domów towarowych?

–Widziałem w holo. Chciałem ją nawet o to spytać, ale jakoś nie było ostatnio okazji pogadać.

Penwyth nie wracał jakoś na swoją pryczę. Njangu spojrział na niego wyczekująco.

–Hm... jest jeszcze coś – powiedział Erik. – Ona i ja... spędziliśmy razem nieco czasu.

Kilka tygodni temu, na ostatniej przepustce.

–I co z tego? – zapytał Njangu. – Mnie spakowała i wystawiła za drzwi ponad dwa miesiące temu. Zresztą to nie była miłość, nie płaczę po niej w poduszkę, a przynajmniej nic o tym nie wiem.

–My też nie rozmawialiśmy o miłości – wyznał Erik. – Ale zdarzyło się coś dziwnego.

Może ty mi wyjaśnisz, o co chodziło.

–Nie wiem. Słabo znam Angie.

–Na koniec tygodnia wylądowaliśmy u mnie. Mam własne mieszkanie z osobnym wejściem, więc to nie był problem. Spytałem ją, czy ma ochotę poznać moich rodziców, a może pójść na jakieś przyjęcie czy jeszcze na coś. Ponieważ była ogólnie swobodna, myślałem, że dogada się łatwo z moimi znajomymi. Zgodziła się wyjść... i nagle zmieniła zdanie, a w dodatku była o coś zła. Nie robiliśmy więc nic innego, tylko po prostu byliśmy przez ten czas razem.

–Przy mnie też tak się zachowywała – powiedział Njangu.

–To jeszcze było do zniesienia, chociaż może trochę egzotyczne. Nie żebym się chwalił, ale szukam wyjaśnienia, bo nie skończyło się na tym. Wieczorem, gdy mieliśmy już wracać, powiedziała mi, żebym się na przyszłość od niej odczepił i że jeśli powiem komuś o tym, co zaszło, to mnie wypatroszy.

–Ja usłyszałem to samo.

–Ale co zrobiłem źle? – spytał Erik. – Bo owszem, nie byliśmy w sobie zakochani, ale zachowywała się normalnie i myślałem, że może jeszcze coś z tego będzie, a tymczasem... spadaj.

Njangu potrząsnął głową.

–Przykro mi, przyjacielu, ale nie mam pojęcia.

–Dziwne – mruknął Erik. – Naprawdę dziwne.

Cztery dni później w góry wyruszyła kolejna wyprawa, tym razem w składzie dwóch kompanii z drugiego pułku. Dołączyło do nich jeszcze dziesięciu ludzi, którzy wyglądali jak zwykli żołnierze. W rzeczywistości jednak sporo się od nich różnili. Wszyscy zostali skąpani w specjalnym płynie przygotowanym przez chemików z logistyki. Miał on gwarantować oszukanie czujników, a nawet węchu zwierząt. Mundury tej dziesiątki miały zaś dodatkową warstwę zmniejszającą emisję ciepłą.

Dwie kompanie przedarły się przez dżunglę i przeszukały wioskę, którą podejrzewano o ścisłe związki z Raumami. Żołnierze skontrolowali dokumenty, wieśniaków poprosili o współpracę z rządem, obiecali wielką nagrodę dla każdego zbuntowanego Rauma, który się ujawni albo wskaże innego rebelianta, i opuścili okolicę bez żadnych pozytywnych rezultatów. Wczesnym świtem grierzony zabraly ich z powrotem na wyspę.

Nikt nie zauważył przy tym drużyny Gamma, która zapadła w chaszczach kilometr od wioski. Zwiadowcy zorganizowali obronę okrężną i wyciągnęli z plecaków miniradiostacje.

Kipchak sprawdził, czy ma łączność ze wszystkimi, i zapadła cisza.

Godzinę później w pobliżu przeszły trzy kobiety, głośno i ostentacyjnie poszukujące jakoby zagubionego giptela. Kipchak spojrział z uśmiechem na Njangu. Nikt się nie odezwał, bo chociaż ich radia z superczułymi mikrofonami i miniaturowymi słuchawkami były nastrojone na jedną częstotliwość, wiedzieli, o co chodzi, i nie mieli ochoty strzępić języka po próżnicy. Zwiadowczynie Raumów minęły ich, niczego nie zauważywszy.

Połowa drużyny wzięła się potem do jedzenia, a reszta trzymała wartę. Racje żywnościowe składały się z batoników proteinowych o wartości energetycznej cztery tysiące kalorii każdy. Żołnierze wzięli ich po dwadzieścia cztery. Pozwalały na długotrwały wysiłek, jedynym minusem ich dłuższego stosowania mógł być zastój czynności jelit. Jednak Kipchak uznał, że to nawet dobrze: „Przynajmniej nie będziemy narażać tyłów” – powiedział.

O zmroku zaczęło padać, z czego nawet się ucieszyli, gdyż ułatwiało to poruszanie się i maskowanie. Godzinę później Kipchak dał znak. Wyszli na ścieżkę i ruszyli z powrotem do wioski. W domach zapaliły się już światła, a główny budynek był pełen ludzi.

Petr uniósł rękę i ludzie poszukali ukrycia. Kipchak tymczasem zdjął plecak, skinął na Heckmyera i razem z nim przekradł się naprzód. Na skraju zarośli wyjął z kieszeni nocną lornetkę. Omiótł spojrzeniem wioskę i tłumek przed domem spotkań. Proszę, proszę, pomyślał. Skąd przyszli ci młodzi geroje? Na pewno nie było ich tutaj podczas wizyty naszych. I wszyscy są pod bronią. Chyba nie na naszą cześć...

Kipchak leżał za daleko, żeby cokolwiek usłyszeć. Pomyślał o ściągnięciu mikrofonu kierunkowego, który też był na wyposażeniu drużyny, ale ostatecznie uznał, że nie warto.

Rewolucyjne gadanie zawsze było takie samo. Dotknął mikrofonu.

–Wracaj do reszty – powiedział i Heckmyer odpełził do tyłu. – Rebelianci w wiosce – przekazał pozostałym. – Naliczyłem siedemnastu.

–Moglibyśmy ich teraz załatwić – zaproponował po chwili Penwyth.

–Nie. Byłyby ofiary wśród cywili. Obejdziemy wieś i ukryjemy się przy drodze na południe. Sądzę, że tamtędy właśnie pójda, jak nie dziś wieczorem, to jutro.

Potem poszukamy okazji, żeby ich dopaść. Wolałbym załatwić wszystkich za jednym zamachem, niż skubać ich po kolei.

–A co z drugą drużyną? – spytał finf Newent.

–W tej chwili nie ma szans, żeby ściągnąć ich tutaj, nie wywołując alarmu.

Biedna

Monique.

Tuż przed świtem szturmowiec Deb Irthing usłyszała dochodzące z wioski hałasy.

Trąciła Stefa Bassasa, który pełnił z nią wartę. Odpełził kawałek i potrząsnął stopami śpiących w układzie rozgwiazdy zwiadowców. Petr podczołgał się do Deb, posłuchał chwilę i wybrał częstotliwość dowódcy.

–Gamma rusza – nadał i przełączył radiostację z powrotem na kanał drużyny.

Pięć minut później na ścieżce pojawiły się ciemne sylwetki. Petr doliczył się szesnastu. Nie poruszył się, póki obok nie przeszedł ostatni. Cieniasy, tak nigdy nie

dopadnięcie pana Kipchaka, pomyślał.

–Idziemy – rzucił, policzywszy do stu, i wyczołgał się z ukrycia. Drużyna ruszyła śladem Raumów.

Szli bardzo wolno, pilnując się, by nie zakłócić ciszy nawet głośniejszym oddechem.

Wiedzieli, że znający teren Raumowie idą szybciej, ale też na pewno nie spodziewają się ogona. Co godzina Petr włączał mały nadajnik. Za każdym razem na komputerowej mapie w sali sztabowej kompanii rozpoznania w obozie Mahan pojawiała się czerwona kropka.

Czekała na nią cała, wypełniająca w połowie pomieszczenie gromada oficerów, głównie z Sekcji II. Był również zastępca dowódcy Grupy, mil Rao. Rzadko ktoś się odzywał i rozlegający się co jakiś czas stłumiony kaszel czy brzęk kubka zdawał się brzmieć wręcz ogłuszająco.

Dzień był pogodny i upalny, a niebo bezchmurne, toteż błotnista ścieżka zaczęła niebawem wysychać. Kipchak co godzina zmieniał prowadzącego, ale nie pozwolił nikomu zająć własnego, drugiego miejsca. Regularnie przyklękał i sprawdzał ślady pozostawione przez siedemnastu tropionych. Jeśli odciski ich butów wypełniały się już wodą, nie zmieniał tempa, ale dwa razy zatrzymał drużynę, widząc, że wgłębienia są jeszcze suche.

Musieli wtedy trochę odczekać, aż Raumowie znowu się oddalą.

Mimo ostrożności koło południa omal na nich nie wpadli. Rebelianci zeszli ze ścieżki, żeby coś zjeść, i tylko szczęśliwy traf sprawił, że przechodzący właśnie na pozycję prowadzącego Bassas dojrzał lekki błysk broni w zaroślach. Zamarł, poruszył dwa razy dłonią i powoli, bardzo ostrożnie cała drużyna cofnęła się dwadzieścia pięć metrów.

Odczekali, a gdy usłyszeli, że przeciwnik znowu wychodzi na ścieżkę, poszli za nim.

Późnym popołudniem usłyszeli wizg ślizgacza. Zeskoczyli ze szlaku, nie próbując nawet zerknąć w górę, chociaż twarze mieli pokryte pastą maskującą. Maszyna przeleciała nad nimi. Petr poczuł, że zaraz trafi go szlag. Co za dranie, obiecali nam się tu nie szwendać, i co? pomyślał. Pewnie Williams, żeby go cholera, nie mógł usiedzieć na dupie... Ślizgacz wrócił i tym razem Kipchak zaryzykował spojrzenie. Maszyna nosiła na burcie logo „Matin”.

Zaklął pod nosem, ale w zdecydowanie odmiennej tonacji. Czyli gdzieś musi być przeciek, uznał. Pismaki wiedzą, że coś się kroi w tym rejonie, i szukają tematu.

Njangu też dojrzał oznaczenia ślizgacza. Powiem Garwinowi, pomyślał. Przy

następnej okazji niech skręci temu Kuorowi łeb. A potem utopi popaprańca. Ślizgacz przeleciał jeszcze raz nad nie odznaczającą się niczym szczególnym dżunglą i w końcu zniknął. Patrol poszedł dalej.

Godzinę przed zmrokiem poczuli woń dymu i usłyszeli ujadanie gipteli. Przed nimi leżała kolejna wioska. Była nieco większa niż pierwsza i prowadziły do niej aż trzy drogi.

Potem dobiegły ich śmiechy i odgłosy rozmów, w powietrzu poniósł się zapach pieczystego.

Musiało być chyba bardzo smaczne. Przeżuwając swoje racje, żołnierze starali się nie patrzeć na przekłute batoniki.

–Dwóch weźmie od wszystkich menażki i cofnie się ćwierć kilometra do strumienia – polecił Kipchak. – Sądzę, że jutro pójda górną ścieżką. Ale na dolnej też na wszelki wypadek zostawimy pluskwę. Njangu, zajmiesz się tym. Weź ze sobą Irthing.

Njangu zsunął plecak, wyjął z jego kieszeni dwa małe urządzenia przypominające zwykłe gwoździe z dużymi łebkami i z blasterem w ręku poszedł w kierunku wioski.

Było już prawie ciemno. Żałował, że nie ma pistoletu, ale tej broni im nie wydawano. Broń krótką można było co najwyżej kupić za własne pieniądze. Tylko Kipchak miał coś takiego. Raz jakiś giptel zwęszył go albo usłyszał i zaniósł się skowytem, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi. Mieszkańcy wioski i ich goście zbyt byli zajęci świętowaniem. Njangu znalazł ścieżkę, włączył czujniki i zagrzebał je po obu stronach szlaku.

Był tylko trzy metry od tylnej ściany jednego z domów. Ze środka dobiegało go dyszenie jakiegoś mężczyzny i jęki kobiety. Kobieta pisnęła po chwili, mężczyzna chrząknął kilka razy. Jestem w niewłaściwym towarzystwie, pomyślał Njangu, ale zaraz przestał myśleć. Z chaty wyłonił się nagi mężczyzna. Yoshitaro powoli uniósł broń. Ku swemu zdumieniu stwierdził, że coś się w nim buntuje przeciwko zabiciu człowieka bez ubrania.

Mężczyzna rozejrzał się wkoło. Njangu położył palec na języku spustowym, ale nagus nagle się roześmiał i zaczął sikać. Strumień moczu prawie że dosięgnął twarzy Yoshitara, który poczuł rozbryzgi na policzkach. Tamten skończył, podrapał się i wrócił do chaty, skąd znowu dał się słyszeć śmiech. Njangu z wysiłkiem przełknął ślinę i ruszył z powrotem do swoich. Po drodze zabrał kucającą za pobliskim drzewem Irthing. Jej ramiona podejrzenie się trzęsły. A więc tak zostaje się legendą Grupy, pomyślał Yoshitaro.

Petr poprowadził Gammę w górę stoku na kawałek płaskiego terenu ponad wioską.

Tam zebrał ludzi wkoło siebie.

–Tu jest bezpieczniej – powiedział. – Widać stąd szlak, którym chyba rano wyruszą.

No i nikt na nas tu nie wpadnie. Ani nie nasika – dodał z chichotem. – Njangu, dwadzieścia metrów stąd jest staw. Możesz się w nim umyć, a my się postaramy cię nie zastrzelić, gdy będziesz wracał.

Wartę trzymali we troje, Kipchak, Jil Mahim i Njangu. Zabawa w wiosce dobiegła końca i zostało tylko kilka palących się ciągle świateł. Byli dość wysoko, by drzewa nie zasłaniały im widoku na zatokę i migoczące daleko po prawej latarnie Leggett oraz mającące bardziej na zachód światła bazy, gdzie było ciepło, sucho i mieliby co jeść.

Petr pozwolił rozmawiać, byle cicho, ale ani Mahim, ani Njangu nie mieli akurat nic do powiedzenia. Myśleli o nocy, dżungli i pobliskich Raumach.

Powietrze było bardzo czyste, gwiazdy świeciły jasno i wyraźnie. Njangu zastanowił się, czy gdyby wiedział, gdzie patrzeć, dojrzałby stąd ten punkcik, wokół którego krążyła planeta Waughtal. Miał nadzieję, że nie.

Prawie podskoczył, gdy Petr zaczął nagle mówić. Cicho i trochę tak, jakby głośno myślał.

–Gdy byłem chłopcem, oglądałem pewne holo. Bardzo stare, aż kolory wyblakły.

Było o planecie zwanej Rzym, która budowała własne imperium. Jej żołnierze nazywali siebie legionistami, imperium obsadzało nimi granice, by strzegli jego bezpieczeństwa. Może właśnie wtedy zdecydowałem, że zostanę żołnierzem. Bronić innych to nie jest najgorsze, co można robić w życiu. Tam jednak byli też barbarzyńcy. Naciskali ze wszystkich stron, aż imperium robiło się coraz mniejsze i w końcu Rzym upadł. Sporo o tym myślałem i chciałem wtedy być takim legionistą służącym na dalekich peryferiach imperium. Takim, który spojrzawszy w gwiazdy, dojrzy wśród nich wrogów i będzie wiedział, że nie ma się już gdzie cofać, bo został odcięty od metropolii i nie dostanie też wsparcia, gdy nadejdą barbarzyńcy.

Zastanawiałem się, jak tamci ludzie mogli się czuć. I nigdy nie sądziłem, że sam znajdę się w takiej sytuacji.

Umilkł i wkoło słyhać było tylko szumiący cicho wiatr.

–Wywiad mówi, że Gamma ciągle ma oko na tych Raumów – oznajmił Dill. – Zatrzymali się na nocleg w kolejnej wiosce, a Gamma siedzi na wzgórzu powyżej i czeka. Jak dotąd tamci wydają się cali radośni i niczego nie przeczuwają.

–Jak długo nasi mają zamiar ich śledzić? – spytał Górecki.

–Tego nikt z nas, tyłowych dupków, nie wie i nie ma prawa wiedzieć, ale wedle centa Angary, do czasu, aż doprowadzą ich do jakiegoś większego celu. Albo gdy się zorientują, że mają ogon.

–Miejmy nadzieję, że wytropią grubą zwierzynę – odezwała się Kang. – Na przykład sztab Raumów, najlepiej na otwartym.

–Daj sobie po hamulcach, Ho – mruknął Garvin. Kto czeka cierpliwie, wszystkiego się doczeka.

–Nie mówię o czekaniu, tylko o walce, do cholery!

–Z takim gadaniem powinnaś zostać strzelcem.

–W żadnym razie – odparła Kang. – Każdy głupek potrafi nacisnąć na spust. Do elektroniki trzeba mieć poukładane w głowie.

–Chyba się nie wykażesz – zaśmiał się Jaansma. – Założę się, że gdy ich znajdziemy, nie będą mieli nic więcej poza paroma pukawkami, które zdołali nam ukraść.

–Wtedy poproszę cię, żebyś puścił mnie do działek.

–Zgoda. Wielki nasz wodzu, czy mogę zapytać o coś, co mi się pomyślało?

–Też coś. Myślenie jest dozwolone w armii dopiero od deca w górę. Ale spróbuj.

–Zastanawiają mnie Raumowie. Większość z nich mieszka w miastach, tak?

A najwięcej jest ich w Leggett?

–Jeśli nie liczyć kopalń na Cumbre C, to się zgadza powiedział Dill. – No i jest jeszcze ta nieprzeliczona rzesza siedząca po lasach i zapadłych wioskach.

–Ci ostatni nie wydają się szczególnie zajmujący.

–No to już nie rozumiem, o co ci chodzi.

–Wcześniej czy później i tak ich dopadniemy – wyjaśnił Garvin. – Bo przecież nie będziemy chyba cały czas działać jak idioci?

–Z caudem Williamsem wszystko jest możliwe.

–Gdy zaczniemy na nich polować, coraz trudniej będzie im zaopatrywać się u

rolników, rybaków i tak dalej, prawda?

–Jasne – odezwała się Kang. – Szczególnie jeśli ruszymy głową i zaczniemy się przyglądać rynkowi artykułów spożywczych. Wtedy szybko ustalimy, w których wioskach ilu ich się żywi.

–Nieźle – mruknął z podziwem Garvin. – Dać jej awans. Ale... gdy zaczniemy na nich polować, to bez wytchnienia i żadnemu nie przepuścimy.

–Owszem. Trudno inaczej.

–Dobrze. A teraz pomyśl o czym innym. Gdy zabijają kogoś w tej głuszy, nie ma o tym wiele w holo. A co się stanie, jeśli złączą zabijać ludzi w Leggett? Ile zabójstw na stopniach swojej siedziby mógłby zignorować taki „Matin”? Dwa? Przy trzecim coś by w końcu powiedzieli, prawda?

–Jasne – powiedział Dill. – Przypomnij sobie, co się porobiło po zabójstwie tego rentiera... nazywał się chyba Scryfa. W zeszłym miesiącu został zamordowany razem z całą rodziną. Jeśli Raumowie złączą regularnie urządzać takie jatki czy podrzucać bomby tu i tam, całe Curabre D dostanie nagłej cholery.

–Czy więc nie byłoby dla nich korzystniej przenieść walki do miasta? Tak, żeby rząd znalazł się pod presją i dał się zmusić do rozmów na temat tego, o co walczą?

Dill spojrzał uważnie na Garvina.

–Wiesz, chłopcze, chyba cieszę się, że jesteś z nami, a nie z nimi. Bo obawiam się, że to, co mówisz, ma ręce i nogi.

Njangu obudził się przed świtem. Głowa mu pękała, kiszki się skręcały. Spróbował wymiotować, ale nie miał czym. Zaraz podpełzła do niego sanitariuszka drużyny, Jil Mahim.

–Co ci jest? – spytała.

–Nie wiem. Zatrucie albo coś. Pewnie od tego obsikania.

–Spokojnie. – Sięgnęła do torby z medykamentami. – Masz. Przeciwbólowy i przeciwzapalny.

Njangu odkręcił manierkę, połknął tabletki i popił łykiem wody. Po dłuższej chwili obudziła się reszta drużyny.

Kipchak podczołgał się do Jil i wypytał ją, co się dzieje.

–Możesz iść? – zwróciła się do pojękującego Njangu.

–Tak, u diabła – wykrztusił Yoshitaro. – Lepsze to niż druga możliwość.

Petr pokiwał głową. Gdyby Njangu nie mógł iść, zostawiliby go tutaj, a po opuszczeniu terenu przez Raumów i patrol Yoshitaro zostałyby ewakuowany. Tyle że nie wiadomo, czy byłoby jeszcze kogo ewakuować.

–No to zbieraj się.

Njangu niezdarnie nałożył plecak, sięgnął po broń. Penwyth i Mahim pomogli mu wstać.

–Bez ułatwień poproszę – powiedział i chyłkiem ruszyli ku ścieżce, aby poczekać na Raumów.

Dzień był gorący, suchy i mgławcy. Njangu zdawało się, że całe ciało mu płonie.

Każdy staw zdawał się boleć z osobna. Najchętniej odczołgałby się gdzieś, ułożył się i zasnął.

Albo umarł. Jednak jakoś się powstrzymał. Szedł dalej, chociaż cały świat zawęził się dla niego do ciężaru plecaka, zaciśniętej na blasterze dłoni i stawianiu stóp kolejno, jedna za drugą. Ile razy otarł się o gałąź albo kamień, wydawało mu się, jakby zetknął się z żywym ogniem.

W pewnej chwili zorientował się, że po policzkach płyną mu łzy. Otarł je czym prędzej rękawem. Wraz z nimi zeszła też część pasty maskującej. Nikt nigdy nie widział, żeby Njangu Yoshitaro płakał. Teraz też nie zobaczą. Nikt, odkąd... Nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy to było. Narastała w nim coraz większa nienawiść do siebie i wszystkich wkoło. Kipchaka, który narzucił tak mordercze tempo, i prowadzącego, który chyba umyślnie wybierał ciągle same stromizny. I jeszcze tego z tyłu, bo nie zaproponował, że poniesie mu plecak. Sami dranie.

Koło południa obojętnie przełknął jakiś bulion, który podsunęła mu Mahim. Kilka minut później wszystko wymiotował. Sanitariuszka wyciągnęła pneumatyczną strzykawkę, ale on ledwie dosłyszał syk. Ktoś go uniósł, znowu stanął na nogach, potknął się i omal nie padł pod ciężarem plecaka, ale utrzymał równowagę. Poszli dalej.

Dzień włókł się niemiłosiernie, a każdy krok naznaczony był bólem. Gdy znowu łzy napłynęły mu do oczu, nie próbował ich już wycierać. Nie widział, co dzieje się wkoło, nie obchodziło go w ogóle, czy nie idą w zasadzkę Raumów. Jeśli nawet, to przynajmniej przestaną wtedy maszerować i będzie miał spokój, bo przecież nic, nawet kula między oczy, nie może boleć bardziej niż to, co już go bolało.

W końcu się zatrzymali. Ktoś podprowadził go do drzewa, zdjął mu plecak i

powiedział, żeby usiadł. Ktoś inny znowu podsunął mu taki sam bulion i tym razem jedzenie utrzymało się w żołądku. Mahim dała mu kolejny zastrzyk. Natychmiast stracił przytomność.

Obudził się szarym świtem. Czuł się wspaniale. Nie umarł, chyba że po śmierci trafiało się do dżungli. Z niedowierzaniem sprawdził ręce i nogi. Czuł wprawdzie zapach swojego ciała i ciągle była to woń choroby, ale żył. Wspomnił wczorajszy płacz i ku swojemu zdumieniu wcale się nie zawstydził.

Właśnie coś pokonałeś, przyjacielu, pomyślał nagle. Całkiem jak wtedy na urwisku.

Nauczyli cię czegoś, prawda? Odsunął tę beznadziejnie romantyczną myśl i zaczął się przygotowywać do całodziennego marszu.

Szli za Raumami następne dwa dni. Im bliżej byli płaskowyżu, tym rzadziej trafiali na wioski. Kolejny obóz przeciwnik rozbił w kępie kwelfów. Drużyna nie miała tyle szczęścia i nocowała na otwartym. W końcu jednak przestało padać – zaczynała się pora sucha.

Njangu prowadził. Czujny, napięty do granic, każdy powiew wiatru odczuwał na skórze jak uderzenie. Powietrze było ostre i czyste, a każde drzewo, każdy kwiat pachniały inaczej. Oddychał powoli, regularnie, mocno pracując przeponą, tak jak się nauczył od swojego sensei na planecie Waughtal. Wyczuwał przeciwnika przed sobą. Raumowie byli o jakieś trzy kilometry i maszerowali beztrósco, pewni siebie.

Wzdrygnął się, gdy Kipchak poklepał go po ramieniu i pokazał kciukiem na tył kolumny. W pierwszej chwili ogarnęła go złość, ale zaraz posłuchał. Przyszła pora na zmianę, bo po jakimś czasie każdy tracił czujność. Obok niego przeszedł finf Newent.

Uśmiechnął się lekko, odstaniając zęby.

Nagle dżungla przed nimi eksplodowała. Newenta rzuciło do tyłu, jego blaster wsparcia wyleciał w powietrze i finf upadł na Njangu. Strzelano do nich. Newent dostał drgawek, chrząknął i znieruchomiał.

–Ognia! – krzyknął ktoś. Njangu dopiero po chwili poznał, że to Kipchak.

Odepchnął ciało Newenta i strzelił cztery razy z biodra. Zwalczył pokusę, aby paść plackiem, zmacał granat przy pasie, odbezpieczył go kciukiem i cisnął przed siebie. Przyklęknął i wpakował kilka ładunków w zielen. Inni też strzelali. Raumowie z wolna przestali odpowiadać. Sięgnął po kolejny granat, rzucił i odtoczył się. W samą porę, bo za nim rozerwały się trzy inne.

Zmusił się do przyklęknięcia, dźwignął blaster Newenta i przejechał serią po dżungli.

Na chwilę zapadła cisza.

–Do tyłu! – krzyknął Kipchak, wycofując się z zasadzki. Potknął się i omal nie upadł, gdy pocisk trafił w gałąź nad jego głową. W końcu dotarli do jakichś skał i skryli się za nimi.

–Tutaj... nie zostawaj! – zawołał Kipchak. – Jesteś ostatni!

Biegli ostrożnym, posuwistym krokiem.

Njangu zorientował się, że zamyka kolumnę i jest najbliżej wroga. Zdjął go strach.

Kipchak znalazł się nagle obok niego. Strzelił gdzieś do tyłu.

–Wracamy do rozwidlenia – rozkazał. – Urządzimy zasadzkę.

Njangu dotarł tam ciężko zdyszany. Drużyna rozlokowała się po obu stronach rozstajów. Njangu zwrócił uwagę na gęste zarośla rosnące z jednej strony.

–Jil, ty i Stef pobiegniecie dalej – polecił. – Róbcie dużo hałasu.

Zatrzymajcie się po pięćdziesięciu metrach i ukryjcie gdzieś z boku. Strzelajcie do wszystkiego, co zobaczycie.

Gdyby co, zawołamy was z powrotem. Reszta schować się. Bądźcie gotowi dołożyć im, gdy nadejdą. Zastanowił się jakimś fragmentem świadomości, co mu się stało, że nagle zaczął dowodzić. Najważniejsze jednak, że go słuchali. Po chwili wrócił Petr. Njangu powiedział mu, jakie wydał rozkazy, i Kipchak pokiwał głową. Kilka sekund później dojrzeli ruch na ścieżce. Biegło nią pięciu Raumów.

–Jeszcze nie... nie... nie... – szeptał Petr. – TERAZ!

Pięć blasterów bluzgnęło ogniem. Njangu usłyszał krzyki, ujrzał miotane pociskami ciała. Sam też strzelał.

–Dość! – rozkazał Kipchak i krzyknął na Mahim i Bassasa, żeby wracali. – Teraz będą już czujni... uważać.

Podszedł do Raumów. Czterech nie żyło, jeden – jeszcze chłopiec – płakał.

Kipchak wyciągnął pistolet, strzelił i zapadła cisza. Pięciu, pomyślał Yoshitaro.

Jeszcze dwunastu. Po chwili stanęła mu przed oczami twarz Newenta: krwawa maska, pusty wzrok. Mahim przyczepiła do ciała znacznik. Później je zabrają.

Cały dzień szli za Raumami. W pewnej chwili w słuchawkach zaczęło coś

pogadywać i Petr włączył mikrofon.

–Mówi Gamma. Precz z tej częstotliwości albo zerwę łączność. Bez odbioru.

Ktoś krzyknął coś gniewnie w słuchawkach, ale po chwili było już cicho.

–Jesteśmy za blisko – powiedział Petr, nakazawszy postój. – Widzicie, zostawiają krwawe ślady. Dajmy im kilka minut, potem znowu siądziemy im na ogon.

–I co dalej? – spytał Penwyth. – Chciałbym im odpłacić za Newenta.

–Znowu będą chcieli zastawić pułapkę. Jeśli im się nie uda, spróbują nas zgubić, na co im nie pozwolimy. Dostaniemy ich.

Raumowie przygotowali jeszcze trzy zasadzki, ale ich pospieszne wysiłki zostały w porę zauważone. Potem, jak przewidział Kipchak, zwolnili i skręcili w gęstwinę. Szli wznoszącym się stromo suchym, kamienistym korytem strumienia. Drużyna Gamma nie miała jednak kłopotów z wypatrzeniem ich tropów.

Gdy zwiadowcy wyszli z za kolejnego zakrętu koryta, ujrzeli dwoje leżących na ziemi, słabo się poruszających Raumów.

–Zaczynają się denerwować – powiedział Petr. – Zostawiają swoich rannych.

Mahim chciała ku nim pobiec, ale Petr ją powstrzymał.

Puścił po serii w rannych. Pociski odepchnęły kobietę i Njangu ujrzął leżący pod nią ładunek wybuchowy, który zaraz eksplodował, rozrywając trupa.

–Ciekawy numer, ale nie zadziałał – mruknął Kipchak i podjęli pościg.

O zmroku byli już na tyle wysoko, że dosięgły ich sączące się z płaskowyżu mgły.

Njangu zdawało się, że oddycha żywym ogniem. Reszta równie ciężko łapała powietrze.

Petr skinął na niosącą radiostację Irthing i wziął od niej mikrofon.

–Mówi Sybilla Gamma. Wiadomość szyfrowana. Pstryknął przełącznikiem. Szyfrator nie tylko pożerał rezerwy mocy, ale i ograniczał zasięg transmisji. – Słyszycie mnie wyraźnie?

–Tak, Sybilla Gamma, tutaj Sybilla Wieża – szepnęły słuchawki głosem Hedleya.

Kipchak szybko zameldował o ostatnich wydarzeniach.

–Chyba schowają się gdzieś na noc – stwierdził na koniec. – W każdym razie powinni, jeśli nie są całkiem głupi. Możecie mi podesłać zwiad powietrzny?

–Załatwione.

–Nie uderzajcie na nich – powiedział Petr. – Powtarzam, nie atakujcie ich.

Dajcie mi tylko znać, gdyby ruszyli się przed pierwszym brzaskiem. Niech idą, myślę, że doprowadzą nas do czegoś ciekawego.

–Zrozumiałem, Gamma, potwierdzam. Ale uważajcie. Mogą coś dla was szykować.

–Zrozumiałem, Wieża. Dlatego chcę, żebyście przypilnowali ich z góry i ostrzegli mnie, gdy to będzie konieczne.

–Jasne.

–Dajcie mi tylko szansę, a dostaniecie to, o co wam chodziło. Bez odbioru.

Wszyscy, nawet rewolucjoniści, popadają z czasem w rutynę. Tak samo było z raumskimi rebeliantami. Mimo że nie spotykali się nigdy dwa razy w tym samym domu, w tej samej wiosce czy tej samej nocy, wielka jaskinia na skraju płaskowyżu awansowała do roli stałej kwatery dowództwa. Małe wejście było dobrze strzeżone, ale prowadziły doń porządnie wydeptane ścieżki. W środku zgromadzono najważniejsze dla Ruchu komputery, banki pamięci i urządzenia łączności, których obsługa liczyła tylu ludzi co mały garnizon.

Różne oddziały Raumów wracały tu po akcjach czy zjawiały się po rozkazy, a ponieważ kryjówkę uważano za idealnie bezpieczną, ludzie ci zostawali tu przez dzień albo dwa, aby nieco wypocząć, porozmawiać normalnie, a nie szeptem, pośmiać się bez obawy, że zdradzą swoją pozycję.

W jaskini zebrało się dwadzieścioro kobiet i mężczyzn z zespołu planowania oraz piętnastu najbardziej szanowanych przywódców Raumów. Comstock Brien stał przy stojaku, na którym wisiała zdobyczna mapa.

–Oto świetna okazja, aby uderzyć na rentierów i ich psy łańcuchowe – mówił. – Ten patrol to bez wątpienia tylko przynęta. Śledził nasz oddział od paru dni, ale nie nawiązywał kontaktu bojowego. Skoro jednak Grupa Uderzeniowa chce bitwy, myślę, że należy dać jej szansę.

–Bracie, skąd ci przyszło do głowy, że możemy pokonać żołnierzy Konfederacji? – spytała, wstając, Jo Poynton.

–Jak dotąd cały czas to robimy – powiedział. – Oni zaś nie potrafią nawet w porę

podciągnąć posiłków. Spróbowałem postawić się na miejscu ich dowódcy. Chce nas wywabić na otwartą przestrzeń. Myśli zapewne, że wyślemy góra stu pięćdziesięciu ludzi, więc sam ściągnie trzystu. Z jego perspektywy świetna proporcja. Ale jakie ma szansę, że te ich sypiące się pojazdy desantowe zdołają przerzucić trzy setki ich ludzi w góry?

Powiedziałbym, że marne. Ponadto cokolwiek tutaj podłeci, możemy stracić pociskami ziemia- powietrze. Będą więc ostrożni. Mój plan jest prosty: przed jaskinią mamy trzystu wyszkolonych żołnierzy. Ich zwiadowcy są ledwie o trzy godziny marszu. Do świtu dotrzemy na miejsce i najpierw jakąś setką ludzi zneutralizujemy ten patrol, dając mu jednak dość czasu, żeby zameldował, co się dzieje. Wtedy przyślą posiłki. Gdy tylko wylądują, uderzymy na nich resztą sił.

Zaraz ściągnę jeszcze dwustu bojowników z okolicznych wiosek, będziemy więc mieli nad nimi miażdżącą przewagę. Zanim wojsko zorientuje się, że to pułapka, znaczna część tych na ziemi zginie, a zapewne uda nam się też zniszczyć wiele ich pojazdów. Oczywiście wpadną wtedy w panikę i przypuszczą kontratak wszystkim, co im jeszcze zostało w Mahanie. Nas już jednak tu nie będzie. Wycofamy się z wielką ilością zdobyczej broni, a może nawet jakimiś pojazdami. Wyznaczyłem już tajne lądowisko dla takich zdobyczy w centralnej części płaskowyżu, gdzie te głupie giptele nigdy się nie zapuszczają.

Rozległy się okrzyki aprobaty, ale Jord'n Brooks wstał z mało radosną miną.

–Nie – powiedział głośno i nagle zapadła cisza. – To nie przemyślany, awanturniczy plan. W ten sposób możesz zaprzepaścić zdobycze wieloletniej walki. Jedną akcją pogrzebiesz nasze nadzieje. Jeśli wygramy, bracie, będzie cudownie, ale jeśli przegramy? Co wtedy?

Brien aż poczerwieniał ze złości.

–Nie przegramy, bracie. Wiem, że nie przegramy. Ale żeby to nie była tylko moja decyzja i żeby nikt nie powiedział, że kreuję się na ważniejszego od innych, powiedzcie, bracia i siostry, co powinniśmy teraz zrobić?

Rozległy się okrzyki: „Walczyć!”, „Na nich!”, „Tak!”, „Atakować!”, ale Brooks stał nieporuszony.

–Trudno, bracie Brien. Zaatakujemy więc – powiedział. – I mam nadzieję, że to my ich wybijemy, a nie oni nas.

–Na moją ciotkę Fanny, co siaduje po prawicy Buddy! – zakrzyknął cent Angara. – Ruszaj się z tej pryczy, Hedley, a dostąpisz nirwany!

Hedley błyskawicznie znalazł się przed wielkim ekranem przekazującym obraz z

griersona zwiadu elektronicznego, który unosił się kilometr nad oddziałem Raumów.

–A niech mnie – westchnął Hedley. – Ale tego... Zobacz tylko te wszystkie czerwone kropki. Wypłoszyliśmy ich.

–Jak diabli – zgodził się Angara. – Dyżurny!

–Sir?

–Budzić starego i postawić wszystkich na nogi. Alarm bojowy, gotowość za trzy minuty. Caud Williams wyda rozkaz do ataku.

Hedley był już przy radiostacji.

–Alarm dla zespołu desantowego. Niech wezmą stamtąd moich ludzi. – Zmienił kanał.

–Eskadra Golan, potrzebuję jednego z twoich zhukovów do brudnej roboty. Odezwę się za dziesięć minut. Potwierdzenie rozkazu w sztabie Grupy Uderzeniowej.

–Ruszamy się! – warknął Dill. – Gamma dojrzała do ewakuacji. Biegiem! Światła w hangarze zapłonęły pełnym blaskiem i załoga zerwała się z legowisk rozłożonych obok pojazdu. Górecki skoczył w nie zapiętych butach na swój fotel.

Drzwi hangaru uniosły się i grierson wyleciał po chwili nad wrzący aktywnością obóz Mahan.

–Sybilla Gamma, Sybilla Gamma – powiedział Hedley. – Mówi Sybilla Wieża.

Zwijajcie się i czekajcie w gotowości. Zabieramy was. Ptaszki już lecą.

–Tu Gamma – warknął zaraz Kipchak, który chyba w ogóle nie sypiał. – A co z tymi, których ścigamy?

–Sprzątniemy ich z powietrza.

–Oni są moi, do cholery!

–Już nie, Petr. Teraz zajmie się nimi maszynka do mięsa.

Dziesięć minut później pojedynczy zhukov zanurkował na odległy o pół kilometra od drużyny Gamma obóz Raumów. Jego systemy broni, kierowane przez elektronikę wiszącego wciąż wyżej zwiadowczego griersona, zostały nakierowane na cel i wyrzutnie wypluły salwę pocisków Fury. Po ich eksplozji mały obóz zmienił się w piekło płomieni. Ciężka maszyna zawróciła i przeorała go jeszcze seriami z automatycznego działka kalibru trzydzieści pięć milimetrów i dwudziestkiątki w

wieźcycze dowódcy pojazdu. Cała dziesiątka Raumów zginęła, nie zdążywszy się nawet dobudzić.

Grierson usiadł na małej polance, łamiąc gałęzie drzew i krzewy. Tylne rampa opadła i noc rozjaśniło ciepłe, prawie domowe światło.

–Wsiadać – rozkazał Kipchak i wyczerpana drużyna Gamma załadowała się do maszyny. Kang i Dill rozdali zaraz wszystkim po kubku gorącej kawy i ciepłe jeszcze bułeczki nadziewane duszonym w winie giptelem z musztardą, ogórkiem i jajkiem na wierzchu. Garvin pomógł Njangu usiąść. Yoshitaro klapnął na ławę niepomny, że ma jeszcze na sobie plecak. Rampa uniosła się i zapadła błogosławiona cisza. Grierson wystartował.

–Udało się wam! – zawołał Garvin. – Wyciągnęliście ich na otwarte!

–Bez obsuwy?

–Całkiem bez. Cała Grupa już na nich leci. Dostaniecie pewnie jakiś medal.

–Aha – odpowiedział Njangu z pełnymi ustami. – I może dadzą się wykąpać?

Garvin zmarszczył nos.

–Faktycznie, lekko od was zalatuje.

–Jakby nas ktoś obsikał? – zagadnęła Deb.

–Aż tak źle to nie, ale prawie.

–Prawie, prawie – wymamrotał Njangu i odgryzł następny kęs.

–I bardzo dobrze – powiedział caud Williams do swoich sztabowców i spojrzał znowu na ekran. – Pierwszy pułk skierujemy ku tym oddziałom na otwartej przestrzeni po lewej...

Drugi na prawo, aby zamknął kleszcze, a trzeci uderzy wprost na ich bazę czy co to jest.

Czwarty zostanie w rezerwie.

Hedley oderwał oczy od mozaikowego zdjęcia i zdjął okulary pozwalające widzieć fotografię w trzech wymiarach.

–Sir?

–Słucham, alcie?

–Myślę, że już wiem, gdzie jest ta baza. Tutaj, gdzie schodzą się te wszystkie ścieżki.

Dochodzą do urwiska i znikają. Gobliny znalazły sobie jakąś jaskinię.

–I co z tego?

–Jaskinie trudno oczyścić.

–Alcie, pańscy ludzie wykonali świetną robotę, odnajdując przeciwnika, ja zajmę się jego zniszczeniem.

Hedley pochylił głowę i nic nie powiedział. Żeby przerzucić pierwszy i drugi pułk, trzeba było uruchomić niemal wszystkie griersony, a i tak ich przedziały desantowe były wyjątkowo zatłoczone. Przy akompaniamencie nieustannie wyrzaskiwanych komend pojazdy zebrały się w trzy grupy i ruszyły na niewielkiej wysokości na zachód od Leggett, w kierunku maszerujących Raumów, płosząc niezliczone zwierzęta zamieszkujące dżunglę.

Przednie oddziały rebeliantów szybko dostrzegły nadciągającego przeciwnika.

Zaalarmowano przeciwlotników, jednak nie byli najlepiej wyszkoleni, nie znali też dobrze zdobywczych wyrzutni. Nadlatywały pierwsze griersony, a oni ciągle się zastanawiali, jak to jest z tym odpalaniem.

W jednym z pojazdów leciał Ben Dill. Ledwie zdążyli wysadzić drużynę Gamma, zaraz ich skierowano na plac apelowy, skąd zabrali żołnierzy pierwszego pułku.

–Ktoś tam się nas spodziewa – mruknęła Kang ze swojego stanowiska. – Szuka... szuka... namierzył nas.

–Górecki... unik na jej komendę.

–Nigdy bym się nie domyślił – zachichotał Górecki.

–Tryb śledzenia... jeszcze... odpalił! W dół!

Grierson ostro zanurkował. Czuwający przy celowniku Garvin przez chwilę zmagał się z żołądkiem.

–Strzelec – powiedziała spokojnie Kang. – Daję ci namiar na wyrzutnię.

Garvin przełączył celownik na śledzenie wedle wskazań czujników Kang.

–Jest.

–Co z tym pieprzonym pociskiem? – warknął Górecki.

**–Ciągłe leci... śledzi nas... Garvin, poczęstuj czymś tę wyrzutnię – rozkazała Kang.
– Pilot... mocno na dziewiątą... pocisk na trzeciej... nadlatuje... w górę! – Grierson
aż zajęczał, gdy Górecki dał pełen ciąg. – A, mały drań, rozmyślił się i skręcił... Ciągłe
szuka... oślepiam go... oślepiam... mam! Załatwiony... Garvin, strzelisz wreszcie czy
nie? A przy okazji, wisisz mi piwo za to gadanie, że nie będę miała nic do roboty.**

**–Mam cel – powiedział Garvin i uderzył twarzą o celownik tak mocno, że aż mu łyzy
pociurkały. – Złapał namiar... jest...**

–Strzelaj, gdy tylko będziesz gotowy – powiedział Dill.

**–Pierwszy poszedł... drugi poszedł... trzeci poszedł zgubiłem cel, na lewo, bardziej
na lewo, do cholery! – rozdarł się Garvin i Stanislaus poprawił kurs. – Mam cel...
czwarty poszedł... KURWA MAĆ! – wrzasnął, gdy dżungla zapłonęła ogniem, a potem
pociemniała i rozjaśniła się ponownie od pożaru. Widać było rozrzucone wkóło ciała i
sprzęt.**

–Cel zniszczony.

**–Panie Jaansma, podczas zadania proszę zachować dyscyplinę rozmów – odezwał
się Dill.**

–Przepraszam, Ben. Szukam...

–Trzy minuty do strefy lądowania – powiedział Górecki. – Uprzedźcie piechociarzy.

**Pierwsza fala desantu wypadła z griersonów prosto na ścianę ognia. Wykonali
szybkie padnij, ale kilku już nigdy nie miało się podnieść. Po chwili atakujący
odpowiedzieli Raumom ogniem, z początku nieśmiało, potem coraz mocniej.
Podoficerowie wywrzaskiwali jeden rozkaz za drugim, darli się na ludzi, żeby ruszyli
tyłki i zmiotali ze strefy lądowania, bo inaczej ich tu pochowają... Żołnierze wstali i
pobiegli zygzakami przed siebie. Grupy wsparcia ogniowego strzelały albo do
widocznych tu i ówdzie celów, albo po prostu przed siebie, rakiety masakrowały
przeciwnika. Siejąc wkóło zniszczenie, ogarnęli w końcu przednie pozycje Raumów.**

–Gdzie są nasi? – spytał Brien.

–Jakieś dwadzieścia minut stąd – odparła kobieta niosąca jego radiostację.

**–Za daleko. Niech rzucają wszystko poza broń i amunicję i biegną ile sił w nogach,
bo przegramy.**

Kobieta pokiwała głową i uniosła mikrofon.

Drugi pułk uderzył na nie ubezpieczone skrzydło Raumów, którzy najpierw się cofnęli, ale szybko przegrupowali i przy niewielkich w sumie stratach stawili zdecydowany opór. Żadna ze stron nie okazywała w tej walce miłosierdzia.

–Głupie sukinsyny – warknęła kobieta z przenośną wyrzutnią rakiet. – Kto nauczył was atakować taką kupą? Nacisnęła spust i pocisk z sykiem wystrzelił z rury, a po sekundzie eksplodował pośrodku zwartej grupy Raumów. Chwilę później snajper przeciwnika dostrzegł wyrzutnię, sprawdził szybko dystans, wycelował i strzelił. Pocisk trafił kobietę w łydkę.

Upuściła z jękiem broń i upadła. Jej aktualny kochanek, który stał obok, zawahał się, ale zgodnie z rozkazami złapał wyrzutnię i ruszył dalej w nadziei, że kobieta zdoła otworzyć opatrunek albo trafi jej się jakiś sanitariusz dość szybko, żeby się nie wykrwawiła. Zatrzasnął ludzką część swego umysłu i poszukał celu.

Grierson Dilla startował właśnie, żeby wrócić po kolejnych żołnierzy, gdy nagle zakołysał się i coś pchnęło go mocno w bok. Garvin usłyszał, jak silnik przerywa, zapala i znowu gaśnie.

–Trzymać się! – zawołał Stan. – Próbuję go uruchomić!

–Ho, Garvin – krzyknął Dill – na stanowiska awaryjne! – Oboje wywołani przypasali się na ławie w przedziale desantowym. – Siedemdziesiąt cztery metry, pod nami woda.

Chlupniemy.

Silnik zaskoczył, zakrztusił się i znowu złapał rytm, chociaż wył jak wysokoobrotowa maszyna, której ktoś piasku w tryby nasypał.

–Daje sześćdziesiąt procent mocy – oznajmił Górecki. – Ale za cholerę nie wiem, jak długo pociągnie.

–Grierson bez napędu lata jak cegła, więc zostańcie na awaryjnych – powiedział Dill. – Może uda się dociągnąć do czegoś solidniejszego niż to bajoro.

Garvin nasłuchiwał przerywanego czkawką wycia silnika i zaciskał usta. Nie, nie będziesz się modlić, pomyślał. Nie wierzysz przecież w nic poza samym sobą, więc żadnych głupich modlitw.

Dymiący silnie grierson przeleciał chwiejnie nad plażą i przy szybkości siedemdziesięciu dwóch węzłów przyziemił na placu apelowym. Wpadł w poślizg i jak pijany, kołysząc się na boki, zaczął powoli wytracać pęd.

W końcu wstrząsy i zgrzyty ustały i Garvin otworzył oczy. Spojrzał na Kang i od

razu pojął, że lądowanie było bardzo awaryjne, gdyż wcześniej dziewczyna siedziała naprzeciwko, teraz zaś nad nim wisała. Dill wyczołgał się ze swojego stanowiska i ręcznie odblokował zamek rampy.

–Wyskakiwać! – krzyknął. – Griersony podobno się nie palą, ale ten może być wyjątkiem! Szybko, szybko!

Garvin odsunął manipulującą przy pasach Kang, wyskoczył na zewnątrz i pobiegł do przodu, żeby wyciągnąć Góreckiego przez właz awaryjny. Nie oglądając się za siebie, cała czwórka odbiegła kilkadziesiąt metrów i padła na ziemię. W końcu zrozumieli, że nie będzie żadnej eksplozji, i unieśli głowy. Słysząc już było syreny nadciągających ambulansów.

–Nie wkurzą się, gdy nie znajdą rannych? – spytał Garvin.

–Ja jestem ranny – powiedział Dill. – W mały palec. Pora na medale!

Cztery cooki przemknęły nad dymiącą dżunglą, ziejąc ogniem z wszystkich luf, i kontratak Raumów stracił impet, a po chwili się załamał. Maszyny zawróciły na niskim pułapie i raz jeszcze skąpały pozycje przeciwnika w ogniu, a po chwili zaskoczyły na otwartej przestrzeni obsługę dwóch wyrzutni przeciwlotniczych.

–Do dowódcy Cambrai... mam ich tu całą masę... zameldował obserwator z maszyny zwiadu elektronicznego. – Spiesz się, jakby się bali gdzieś spóźnić. Przekazuję wam namiary celu.

–Dzięki, Oczko. Pewnie nie chcą się spóźnić na bal. – Dowódca zhuków przełączył się na inny kanał. – Klucz Cambrai... mamy duży cel. Piechota na otwartym... wygląda na posiłki. Użyć artylerii głównej, dokończyć działkami. Pora zebrać trochę skalpów.

Trzy zhukovy zanurkowały na Raumów, gdy nagle zawyły w nich alarmy przeciwkolidacyjne. Piloci dali stery na siebie, niemal doprowadzając do przeciągnięcia.

Z chmur nad płaskowyżem wyłoniło się pięć obcych maszyn w kształcie półksiężyca.

Leciały obłą stroną naprzód. Od rogu do rogu mierzyły jakieś dwadzieścia pięć metrów. Na górze i pod kadłubem miały stanowiska strzeleckie. Musthowie zwali te maszyny aksai, od przypominającego węża zwierzęcia żyjącego na ich macierzystej planecie, znanego z zaciętości i śmiercionośnego jadu.

–Dotarło do nass, że znaleźliście kryjówkę naszych wspólnych wrogów – rozległo się na ogólnej częstotliwości. – Może moglibyśmy pomóc?

Nie czekając na odpowiedź, formacja musthów zanurkowała z przewrotu i zaatakowała. Na spiczastych końcach maszyn zajaśniało zjonizowane powietrze i po chwili pociągnęły się za nimi linie żywego ognia, który spłynął na szeregi Raumów. Po chwili musthowie powtórzyli manewr.

Piloci zhukovów doszli tymczasem do siebie, ale nie zostało już wiele celów dla ich dział kalibru 150 milimetrów. W dole huczał ogień trawiący po równo drzewa, krzaki, ludzi i chyba nawet samą ziemię.

–Dobrze jest palić robactwo, prawda?

–Cholera – powiedział jeden z piechociarzy. – Nie ma już nikogo do zabicia.

–Ani jednego – przyznał drugi. – Chyba...

–Tam jest jakiś – przerwał mu pierwszy, pokazując Rauma wyłazącego z leja po pocisku artyleryjskim i idącego chwiejnie w ich kierunku. Tulił coś do piersi i krzyczał jakieś oderwane słowa. Obaj żołnierze wystrzelili. Raum padł na bok i znieruchomiał.
– Ciekawe, co niósł. Może mielibyśmy jakąś pamiątkę?

–Sprawdźmy.

Wypuszczony przez Rauma ładunek eksplodował i żołnierze przytulili się do ziemi.

Gdy opadł już deszcz piachu i kamieni, spojrzeli po sobie.

–Ten facet traktował całą sprawę o wiele za poważnie – powiedział z namysłem jeden z nich.

Comstock Brien pozbiierał się i otarł krew zalewającą mu oczy. Wkoło miał jeszcze z piętnastu albo dwudziestu poruszających się bojowników, ale i oni byli ranni.

Kobieta obsługująca jego radiostację leżała nieprzytomna, wkoło niej rozlewała się kałuża krwi z przeciętej arterii. Wyjął mikrofon z jej dłoni.

–Baza, tu Brien.

–Mówi baza – rozległo się po całej serii trzasków. Co się dzieje? Dwa razy was wzywałem, nie było odpowiedzi.

–Tu Brien. Nie wiem. Jakiś pocisk uderzył obok nas. Znowu otarł twarz. – Jesteśmy otoczeni. Mamy jakieś rezerwy? Zostały nam jeszcze jakieś rezerwy?

Jord'n Brooks spojrzął na zgromadzone w jaskini trzydzieści osób i znowu uniósł mikrofon.

–Nie ma już żadnych rezerw. Nie możecie się przedrzeć?

Na chwilę zaległa cisza.

–Nie. Znaleźliśmy się w pułapce.

Znowu chwila ciszy.

–Brooks... Tu Brien. Miałeś rację.

Brooks spojrzął na Poynton.

–Wolałbym jej nie mieć.

–Coś się kończy, ale coś się też zaczyna – powiedział Brien. – Teraz ty poprowadzisz Raumów. Nie płacz po nas. Przekonasz się, że nie zginęliśmy na próżno.

Głośnik umilkł.

–Słyszeliście go – powiedział Brooks. – Ty... ty i ty... Wskazał po kolei dziesięciu ludzi. – Wyjdziecie na zewnątrz i powstrzymacie przeciwników jak długo zdołacie, żeby za nami nie poszli. Zaatakują za kilka minut. Reszta... bierzcie, co tylko się da, ile uniesiecie.

Bądźcie gotowi za pięć... – Wybuch bomby wstrząsnął jaskinią. – Nie, za trzy minuty. Bierzcie tylko najważniejsze. Zapisy, bazy danych. Od teraz my jesteśmy sercem Ruchu, sercem rewolucji. Nie wolno nam zawieść.

Przeciwnik nie poddawał się, do niewoli trafiła tylko garstka rannych. Inni woleli popełnić samobójstwo albo zmusić żołnierzy, żeby ich zabili. Jeden z nich mógł być Comstockiem Briem – ranny mężczyzna ze świeżą blizną na czole, który udawał martwego i zastrzelił trzech żołnierzy, a na końcu siebie. Jednak gdy ludzie z wywiadu połapali się, z kim zapewne mieli do czynienia, i wrócili w to miejsce, nie znaleźli ciała.

Straty Grupy Uderzeniowej były względnie niskie: siedemdziesięciu pięciu zabitych, dwa razy tyle rannych. Zginęło prawie pięciuset Raumów.

–Teraz zajmiemy się ich bazą – powiedział Williams.

Trzeci pułk wspierany przez kompanię zwiadu ruszył w kierunku jaskini. Pewni siebie i rozgrzani zwycięstwem żołnierze dostali ogień na wprost. Zginęło czterech oficerów i dwóch podoficerów. Pułk wycofał się, przegrupował i zaatakował ponownie. Znowu został odparty.

–Trudno – orzekł caud Williams. – Skoro nie chcą po dobroci... Milu Rao, zechce pan ściągnąć zhukovy, żeby zmiękczyły ich z powietrza.

–Sir, gdybyśmy wzięli jeńców, byłoby to... – odezwał się Hedley.

**–Alcie, będzie pan mógł przepytać trupy, gdy dym się rozejdzie – warknął Williams.
– Nie będę niepotrzebnie tracił ludzi. I doradzam panu powściągnąć język, bo wyczerpie się cała moja wdzięczność za namierzenie tych Raumów.**

Hedley ugryzł się w język, zasalutował i wyszedł z pojazdu dowodzenia.

–Hej, Monique! – zawołał finf z drużyny Beta. – Szef miał nosa. Tam naprawdę jest jaskinia.

–Drużyna do przodu – rozkazała dec Lir. – Dwaj ochotnicy ze mną. Reszta, pilnować, żeby nic się tu nie ruszało.

Z blasterem w ręce weszła do mrocznej jaskini, ale zaraz rozkaszała się od dymu i musiała się cofnąć.

–Ktoś ma światło?

Rzucono jej latarkę. Nałożywszy maskę, weszła ponownie do środka. Plama światła przesunęła się po kamieniach. W jaskini leżał z tuzin ciał rebeliantów. Wszyscy zginęli od bliskiego wybuchu. Nie było widać żadnych obrażeń, tylko strużki krwi sączącej się z uszu i ust.

–Wchodźcie! – krzyknęła. – Już po nich! Cholera, najlepsze przypadło Kipchakowi.

Farciarz jeden. – Przesunęła światłem latarki po stertach papierów, dysków i potrzaskanych komputerach. – Ale my też coś znaleźliśmy, będzie z tona różnego dobra – mruknęła pod nosem. Ci z Sekcji II zlecą się tu w komplecie.

Pięć maszyn musthów wylądowało obok griersona Williamsa. Dolna wieżyczka jednego z nich odchyliła się i po chwili na ziemi stanął Wlencing w towarzystwie dwóch przybocznych. Ruszyli ku Williamsowi. Caud zasalutował, Wlencing uniósł pazurzastą kończynę.

–W końcu pokonaliście tych niegodnych – powiedział bez wstępów. – Może gdy przyjdzie czas na wojnę między nami, nie okażesz się bezradny jak dziecko.

Caud Williams nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

–Uporacie się teraz z resztą tej bandy?

–Mam nadzieję. Myślę, że tak.

–Dobrze – odparł Wlencing. – Nie przysstoi dorosłemu zachowywać się jak dziecko.

Pierwszej nocy ocaleli Raumowie znaleźli schronienie w nieodległej wiosce.

Wystraszeni rolnicy niechętnie dali im jeść.

–Spokojnie – powiedział Jord’n Brooks. – Nie zostaniemy długo, za godzinę idziemy dalej.

W ciągu dwóch dni mieli dotrzeć do Leggett i rozplątać się wśród innych Raumów w Eckmuhl. Wojna jeszcze się nie skończyła, tyle że teraz miała rozgorzeć na innym froncie.

Njangu Yoshitaro, Petr Kipchak, Erik Penwyth i reszta drużyny Gamma przespali cały ten krwawy dzień. Jeśli nawet śniła im się jakaś masakra, nic z tego nie pamiętali, budząc się późno następnego dnia.

–Powiedzieć ci, co mam pod tym kostiumem? – szepnęła Jasith.

–Lepiej nie, bo jeszcze wybiję ci przednią szybę – powiedział nieco chrapliwie Garvin.

–Mojej przedniej szybie to by się nie spodobało. Pooglądaj więc może krajobrazy.

Przynajmniej przez chwilę... Widzisz, tam jest mój dom.

Garvin wytężył wzrok, usiłując zainteresować się tym, co było poza pojazdem.

Spojrzał na wysoką skarpę niemal w samym środku Wzgórz. Wyraźnie została wydrążona, znaczyły ją wielkie okna i balkony.

–Które są twoje?

–Wszystkie, głuptasku. Wszystkie te pomieszczenia są połączone, są też inne, pod ziemią... a właściwie pod skałą. Ale mój własny dom jest tam.

Zmniejszyła ciąg i ślizgacz łagodnie obniżył lot. Zbliżyli się do jakiegoś opuszczonego przed wiekami wyrobiska. Wszędzie rosły tu intensywnie kolorowe rośliny.

Pośrodku, przy jeziorku z fontanną, stał niewielki dom z ciemnego drewna.

–Kiedyś był tu kamieniołom, jedna z pierwszych inwestycji mojego ileś razy „pra” dziadka – wyjaśniła Jasith. – Wydobywali tu wielobarwnie żyłkowane skały przypominające granit. W tamtych czasach rentierzy chętnie budowali z nich swoje rezydencje.

Przypuszczam, że Mellusinowie zawsze zajmowali się górnictwem, na Corwinie VIII, skąd przybyli, pewnie też. Przodek wzbogacił się na tym kamieniołomie i zaczął wykupywać wielkie kawały Cumbre C i inne rzeczy. Dom jednak postawił tam, gdzie zaczął. W końcu skała się skończyła i kamieniołom stał pusty, aż moja matka wyszła za mojego ojca. Była z Kemperów, którzy zrobili pieniądze na giełdzie i uważali, że są z tego powodu lepsi od ojca.

Tak przynajmniej słyszałam, chociaż tata nigdy nie wspomina jej źle. Zmarła prawie dziesięć lat temu.

–Przykro mi.

–Niepotrzebnie. Chyba nigdy mnie nie lubiła, a ja odwzajemniałam się jej tym

samym. Tak czy owak, zmarła, więc to już nieważne. Zajęła się tym terenem po tym, jak wrócili z miesiąca miodowego, i powiedziała, że chce tu urządzić ogród. Wzięła się do roboty razem z prawie trzystoma Raumami, których tata zatrudnił dla niej na pełen etat.

Zbudowała ten mały dom nad jeziorkiem. Podobno to kopia czegoś zwanego na starej Ziemi herbaciarnią.

Spędzała tu dużo czasu. Chyba że jeździła na zakupy. Gdy byłam mała, często tak zniknęła.

Latała na Larix. Nie wiem, może miała tam kochanka, a może tylko sklepy z lepszymi zabawkami. Chyba całe to małżeństwo nie było zbyt udane. Gdy zmarła, spytałam, czy mogłabym wziąć ten dom, i tata dał mi go na szesnaste urodziny. Ogród też. Wciąż zatrudniam tu siedemdziesięciu pięciu ogrodników. O co chodzi, Garvinie?

–Nic, nic... To tylko mój przeciążony mózg. Mieszkasz tu całkiem sama? A tata nie zamontował ci kamery i pluskw przy wejściu? Nie przekupił służby?

–Nic nie wiem o kamerach ani pluskwach. Zresztą coś takiego zdarza się wyłącznie w romansach.

–Nie zakładałbym się, że wyłącznie.

–Oczywiście, że przekupił moją służbę – przyznała Jasith. – Ale mam nieco własnych funduszy, więc zapłaciłam im więcej.

–Ci bardzo bogaci nie są jak ty czyja – mruknął Garvin. – Są sprytniejsi. Mogę coś zaproponować?

–Jasne.

–Wyląduj, kochana, bo znowu na coś wpadniemy. Odczuwam przyływ żądź.

–Wszystko, co tylko zechcesz, Garvinie. Absolutnie wszystko.

Położona w głębi Eckmuhl restauracja godna była polecenia tylko z dwóch powodów: miała wyjścia na wszystkie cztery otaczające ją ulice, które z kolei, w odróżnieniu od większości wąskich i krętych uliczek getta Raumów, pozwalały na obserwację i ostrzał całej okolicy. Każdego wyjścia pilnowało obecnie po dwóch ludzi z wojskowymi blasterami.

Przejeżdżający obok policyjny patrol w typowym dla tej dzielnicy składzie trzech ślizgaczy dostrzegł uzbrojonych cywili i rozsądnie przyspieszył.

W restauracji siedziało siedemnaścioro ludzi. Oni też byli pod bronią. Jord'n Brooks i Jo Poynton zajęli miejsca przy stole naprzeciwko nich.

–Pora na odprawę, bracia i siostry – zaczął Brooks. Będzie tu bezpiecznie jeszcze tylko kilkanaście minut. Jesteście najlepszymi bojownikami i agentami, którym udało się przeżyć tę katastrofalną, źle zaplanowaną kampanię w dżungli. Chciałbym stworzyć z was nowy zespół planowania. Jeśli zechcecie, zostaniecie sohami naszego ruchu. Tych kilkoro z was, którzy należeli do poprzedniego zespołu, bardzo proszę, aby kontynuowali tę służbę.

Jeden z Raumów wstał.

–Tak, bracie Ybarre? – zapytał Brooks.

–To niezgodne z regulaminem, bracie. Ustaliliśmy, że zespół planowania powinien być wybierany przez bojowników po długim namyśle, modlitwie i dyskusji.

–W normalnych czasach – zastrzegł Brooks. – A to nie są normalne czasy. Trudno by chyba było o bardziej niezwykle okoliczności niż teraz. Zarówno podczas ostatniej bitwy, jak i przerzucania grup operacyjnych do miast ponieśliśmy ciężkie straty. Jak je szacujesz, siostró Poynton?

–Okolo czterdziestu procent. To rzeczywiście tylko szacunek, ale myślę, że bardzo bliski prawdy.

Rozległy się pełne przerażenia szepty. Brooks pokiwał głową.

–Właśnie. Nie chcę, aby ta informacja została rozpowszechniona. Jeszcze bardziej podkopałaby i tak już nadwątlone morale. Psy rentierów dały nam w kość. Nigdy tego nie zapomnimy i nigdy już nie popełnimy takiego błędu. Nasze Zadanie uznamy za wykonane, dopiero gdy odniesiemy zupełne zwycięstwo. Teraz będziemy jednak walczyć pośród naszych wrogów. Będziemy uderzać mocno i skutecznie. Jednak musimy wybierać tylko pewne cele.

Jeśli raz jeszcze zostaniemy pobici tak jak ostatnio, zapewne nie osiągniemy niczego za życia tego pokolenia i dopiero nasze dzieci zdołają odbudować Ruch. Jednak nie pozwolę, aby doszło do takiego nieszczęścia. Musimy być cierpliwi i przebiegli. Musimy też działać szybko. Czas liczy się najbardziej. Proponuję wznieść niebawem wielkie powstanie. Im rychlej, tym lepiej. Dokładnie, w ciągu najbliższych sześciu miesięcy. – Kilku osobom wymknęły się okrzyki zdumienia. – Tak, bracia i siostry. Bliski jest już dzień, kiedy sięgniemy po władzę. Tym razem nie zawiedziemy. Nim minie rok, układ Cumbre będzie nasz.

–Jesteś Raumką, prawda? – zapytał Njangu.

–Dlaczego tak myślisz? – odpowiedziała pytaniem dziewczyna.

–Bo jestem podejrzliwy. I jak?

–A jeśli jestem?

–To cię spytam, dlaczego interesujesz się śmierzącym żołnierzem.

–A dlaczego nie miałabym się nim interesować?

–Och... nie wiem. Niektórzy nie lubią facetów z hałaśliwymi urządzeniami służącymi do zabijania ludzi. Szczególnie ostatnio. A może zgubiłaś gdzieś ostatni rok?

–Nie interesuję się polityką.

–Dobra. To następna sprawa... Wyglądasz dość młodo. Na pewno jesteś w wieku pozwalającym podejmować samodzielne decyzje?

–Czy wy, żołnierze, potraficie tylko rozmawiać?

–Nie tylko – mruknął Njangu, pochylił się ku dziewczynie i wyszeptał jej coś do ucha.

Rozszerzyły jej się oczy.

–No wiesz! A co to jest króliczek?

–Mniejsza z tym. Chcesz jeszcze zatańczyć?

–Niee... Chodźmy na spacer. Mam na imię Limnea.

–A ja jestem należycie wyposażony Njangu. – Yoshitaro wstał, rzucił na blat kilka monet i wziął czapkę. Gdzie idziemy?

–Może przejdziemy się plażą?

–Równie dobre miejsce na napad jak każde inne.

Hałaśliwa muzyka ucichła, gdy zamknęły się za nimi dźwiękoszczelne drzwi. Noc była wspaniała, na niebie wisiały wszystkie trzy księżyce. Njangu zadrżał lekko, gdy powiała chłodna bryza. Dziewczyna, która nosiła zielone, chyba jedwabne obszerne spodnie na szelkach zakrywających sutki, wyraźnie nie reagowała na zimno. Miała pełne piersi, krótko przystrzyżone rude włosy, a powieki, paznokcie, wargi i uszy pomalowała na niebiesko.

Njangu spojrział na nią, a potem na romantycznie szumiące morze, wyciągnięte na

brzeg kolorowe łodzie rybackie, obok których przechodzili, i pożałował, że nie ma pistoletu.

–Co robisz w armii? – spytała Limnea.

–Niewiele. Przekładam papiery z jednej sterty na drugą. Pilnuję, żeby ludzie dostali forszę na czas.

–Och – mruknęła dziewczyna z rozczarowaniem. – Myślałam, że jesteś jednym z tych, których widziałam w holo. Wiesz, tych z karabinami...

–Nie ja. Nie lubię hałasu.

Njangu oparł się o burtę jednej z łodzi, Limnea przystanęła obok.

–Możesz to uznać za komplement, jeśli chcesz... przypominasz mi parę dziewczyn, które bzykałem.

–To znaczy?

–Nic takiego – odparł Njangu. – Może zresztą się mylę. Chciałbym. – Położył dłonie na jej biodrach i przyciągnął ją do siebie, aż oparła się o niego pośladkami. – Ładne? – spytała.

–Aha – mruknął, przesuwając dłońmi po jej brzuchu.

–To miłe – powiedziała cicho.

Przesunął ręce wyżej, nakrywając piersi. Musnął sutki palcami. Westchnęła, obróciła się i objęła go ramionami. Wsunęła mu język do ust...

I nagle zamrugnęła, a Njangu odepchnął ją prosto na mężczyznę, który zbliżał się do niego z nożem. Zapiszczała i upadła na piasek. Mężczyzna spróbował cięcia, ale Yoshitaro zdążył się cofnąć. Napastnik tym razem pchnął i Njangu złapał go za nadgarstek ręki z nożem, pociągnął w dół i wyrzwał kolanem w klatkę piersiową. Trzasnęły pękające żebra.

Nożownik zakrztusił się i upadł. Njangu kopnął go jeszcze w twarz i sięgnął po porzucony nóż, pojawił się bowiem drugi bandzior. Yoshitaro ciął go przez rękę i tamten, krzyknawszy z bólu, cofnął się.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Nagle Njangu odskoczył w bok i zaciśniętą na nożu ręką uderzył mężczyznę w nasadę szyi, a cofając ją, rozciął mu twarz.

Napastnik zatoczył się, ale wciąż machał nożem, trzymając Yoshitara na dystans.

Njangu poruszył gwałtownie ostrzem, przykuwając doń spojrzenie mężczyzny, i zrobił krok w jego kierunku. Bandzior zareagował nagłym atakiem. Njangu odsunął się w porę i przejechał mu nożem po wewnętrznej stronie nadgarstka. Mocno pociekła krew, ranny krzyknął i spróbował ją zatamować. Yoshitaro, nie czekając, kopnął go w splot słoneczny.

Mężczyzna kaszlnął, złożył się wpół i padł nieprzytomny.

–Czasem bardzo przykro jest mieć rację – mruknął Njangu.

Dziewczyna uciekała plażą. Dogonił ją i podciął jej nogi. Potoczyła się po piasku, w końcu spojrzała na niego. Wciąż trzymał w ręce nóż.

–Skąd wiedziałeś? – Że nie jesteś zainteresowana moim seksownym ciałem? To proste. Takie historyjki, w których piękne dziewczyny lecą na żołnierza, ledwie wejdzie do baru, zdarzają się tylko w holo. Zwykle kończy się to albo zejściem, albo pożegnaniem z forszą.

Dobrowolnym albo wymuszonym. Poza tym kiepsko grałaś.

–Nie zabijaj mnie – jęknęła. – Proszę.

–Dlaczego nie? Wystawiłaś mnie tym dwom, a oni nie mieli żadnych zahamowań – powiedział sucho. – Ale nie odpowiedziałaś mi na pytanie. Jesteś Raumką?

Limnea energicznie pokiwała głową.

–Co to miało być? Rabunek czy likwidacja kolejnego żołnierza?

Limnea nie odpowiedziała.

–Domyślam się, że to drugie. Pewnie w imię rewolucji. Pozostaje więc pytanie, co z tobą zrobić. Rozedrzeć się i wezwać gliny? – Limnea wyraźnie się przeraziła. – Słyszałem, że chłopcy z policji wypracowali ciekawe techniki przesłuchań Raumów.

Szczególnie kobiet.

–Proszę, nie – szepnęła Limnea.

–Dlaczego? Ty nie zamierzałaś mi okazać miłosierdzia, prawda?

–Może by cię nie zabili.

–Tak... tylko zabrali na wycieczkę do zoo. – Rozejrzał się wkoło. – Wstawaj.

Posłuchała, nie spuszczając z niego oczu. Z niego i z noża.

–Widzisz te skałki? Właż tam – nakazał. – Dobrze – powiedział, gdy była już na górze.

–Możemy zacząć negocjacje. Gliny albo... podobno dobrzy rewolucjoniści potrafią żyć na kolanach.

Bardzo powoli zsunęła z ramion szerokie szelki i pozwoliła im opaść. Potem rozpięła spodnie, które spłynęły jej do stóp. Ściągnęła jeszcze małe majteczki i stanęła naga.

–Bardzo dobry początek. A teraz chodź do mnie.

Podeszła. Oddychała szybciej, usta miała lekko rozchylone.

–Gdy tak nieuprzejmie nam przeszkodzono, robiłaś akurat coś językiem.

Całując go, zaczęła majstrować przy jego pasku i spodniach. Po chwili oderwała się od niego.

–Mamy takie powiedzenie, że kto wykona Zadanie, zostanie nagrodzony.

–A my, że zwycięzca bierze łupy – powiedział Njangu. Spojrzał na nóż w swojej dłoni i odrzucił go daleko. Żelastwo chlupnęło w wodę. Njangu zaczął rozpinać koszulę.

–Nie – szepnęła. – Chcę poczuć na sobie twoje medale, gdy we mnie wejdiesz.

Ale najpierw, jak kazałeś, zrobię co trzeba na kolanach.

Raumowie uderzyli na posterunki policji w ponad dziesięciu miastach na całym Cumbre D, w tym na dwa w Leggett. Dokładnie wiedzieli, czego chcą. Materiałami wybuchowymi otworzyli sobie sejfy, zabrali z nich kredyty i wszelkie dokumenty, które mogły mieć jakąś wartość dla ich wywiadu. Tylko dwóch oberwało, a i tych towarzysze zabrali, nim przybyły policyjne posiłki.

Rząd odpowiedział na to, zawieszając niektóre prawa obywatelskie. Od teraz można było aresztować każdego podejrzanego i trzymać go za kratkami bez nakazu sądowego przez dwa miesiące. Na zewnętrznych wyspach utworzono specjalne obozy dla internowanych, które bardzo szybko zaczęły się zapelniać.

Gubernator Haemer ogłosił, że niebawem wszyscy Raumowie otrzymają nowe karty identyfikacyjne, a każdy bez takiego dokumentu albo legitymujący się ciągle starym zostanie natychmiast aresztowany. W teorii miało to zmusić rebeliantów do wyjścia z podziemia.

Rada rentierów zażądała, aby nałożyć na społeczność Raumów dwumilionową grzywnę za ukrywanie kryminalistów i dysydentów oraz odmowę współpracy z

rzędem, ale gubernator odmówił.

Mieszkańcy Wzgórz zaczęli pomrukiwać ze złością na bezwład resztek konfederacyjnej administracji. Uważali, że trzeba jak najszybciej zaprowadzić rządy silnej ręki.

Policjanci zaczęli patrolować miasto co najmniej parami. Włożyli też kamizelki pancerne, nosili odtąd broń kulową, a wielu nawet blasty piechoty.

Stanęli we trzech przed drzwiami małego mieszkania na jedenastym piętrze bloku.

Dwaj w ogóle nie zwrócili uwagi na wiszące w powietrzu kuchenne zapachy, smród wielu nie mytych ciał, potu i tłuszczu. Urodzili się w mieście i wyrosli wśród takich odorów. Trzeci jednak, który niedawno przybył ze wsi, walczył z mdłościami.

Otworzyła im kobieta z dzieckiem na biodrze. Za nią widać było dwie małe dziewczynki. Wszystkie cofnęły się, zobaczywszy broń.

–Jesteśmy z Ruchu, siostró – powiedział jeden z mężczyzn. – Nie ma się czego bać.

Przyszlismy po karty identyfikacyjne. Twoją i twojej rodziny.

–Ale... co my bez nich zrobimy?

–Nic się nie stanie. Każdy Raum dostanie to samo polecenie.

–Aaa... – mruknęła kobieta. – I gdy nikt nie będzie miał karty...

–Właśnie. Przetrwamy... albo zginiemy wszyscy razem. Lepiej rozumiesz naszą walkę niż większość ludzi,

–Zaraz je przyniosę. Gdy będziecie pukać do drzwi obok, róbcie to głośniej. Tam mieszka prawie głucha staruszka.

–Nasze światy macierzyste są bardzo zainteresowane utrzymaniem spokoju w tym układzie, szczególnie wobec utraty łączności z Konfederacją – powiedział Haemerowi Aesc, zwierzchnik wszystkich musthów w układzie Cumbre.

–Wiecie o tym? – spytał niedyplomatycznie gubernator. Holograficzny obraz Aesca i Wlencinga poruszył się lekko, gdy Haemer włączył mikrofon.

–Oczywiście – odparł Aesc. – Powinniście zdawać sobie sprawę, że w naszym imperium też są różne frakcje... tak to się chyba nazywa?... i nie wszystkie one mają wpływ na posunięcia władz.

–Nasz zwierzchnik chce powiedzieć, że są na naszych światach i tacy, którzy

nalegają na interwencję w układzie Cumbre – wtrącił Wlencing. – Chcieliby usstanowić nad wami... powiedzmy... nadzór. Przynajmniej do czasu przywrócenia łączności z Konfederacją, kiedy to byłaby pora na odpowiednie wyrazy wdzięczności.

Heamer nie wyczuł w jego głosie najmniejszego śladu ironii czy złośliwości.

Zauważył za to, że Aesc rzucił okiem na dowódcę swoich sił zbrojnych i szybko odwrócił głowę.

–Przepraszam, ale chyba nie do końca rozumiem – powiedział gubernator. – Czy nie jest tak, że musthowie mają jedno wspólne stanowisko w każdej sprawie?

Wlencing chciał coś powiedzieć, ale Aesc go uprzedził:

–Jesteśmy inni niż wy. Kierujemy się zawsze ogólnym konsensussem.

–Czasem jednak zdanie ogółu się zmienia – dodał Wlencing. – Dzieje się tak wówczas, gdy zmieniają się okoliczności.

–Czy właśnie do tego obecnie doszło?

Wlencing i Aesc wymienili spojrzenia, ale nie odpowiedzieli.

–Wielki Boże, co za gówno! – zawołał Loy Kuoro.

–Istotnie – zgodził się major policji Gothian. – Sądzymy, że w tym jest około miliona kart identyfikacyjnych, może więcej. Wszystkie stopione razem. Przypuszczam, że przystawili po kolei wszystkim swoim pistolety do głów i już... Nasi ludzie z Cumbre C podali, że tamtejsi górnicy zrobili to samo.

Kuoro obszedł leżący przed komendą stos stopionego plastiku.

–I nikt nie widział, jak to zrzucali?

–Jak dotąd nikt się nie przyznał – powiedział Gothian. – Ale przesłuchujemy wciąż nocną zmianę i okolicznych mieszkańców.

–Dlaczego zrobili coś tak absurdalnego?

Gothian chciał coś odwarknąć, ale się powstrzymał. Syna magnata prasowego należy traktować z rewerencją, nawet gdy jest bezgranicznie głupi. – Żaden Raum nie ma teraz dokumentów – wyjaśnił. Nie można więc ich sprawdzać.

–Aha... Diaboliczny pomysł. Naprawdę szatański. Co zrobimy im w zamian?

Gothian zawahał się. Nie chciał przyznać, że na razie niczego jeszcze nie

postanowiono.

–Nasi specjaliści właśnie się tym zajmują. Na pewno niebawem coś ogłoszą.

–Dobrze. Bardzo dobrze. Musimy stłumić wszystkie ich bunty w zarodku – rzucił Kuoro. – Może pan zapewnić wszystkich, że w „Matin” nie pojawi się nic na ten temat.

–Chciałem, żeby pan tu wpadł, aby o to właśnie pana poprosić – powiedział Gothian. – I jeszcze żeby zaprosić pana na obiad.

–Nie odmówię – odparł Kuoro. – Ale sądzę, że lepiej będzie, jeśli to ja zapłacę rachunek. Koniec końców ciągle jest pan, że tak się wyrażę, na pierwszej linii i winienem panu szacunek.

Gothiam zamrugał ze zdumienia, że ktoś może na poważnie tak gadać, i przystał na to z uśmiechem.

–Hej, Yoshitaro! Nigdy nie sprawdzasz poczty?! – zawołał pisarz kompanii rozpoznania.

Trwało chwilę, nim Njangu opanował zdumienie.

–Po co? Nikt nigdy do mnie nie pisze. Jestem sam w całym wszechświecie.

–Pisze i nie tylko. Dostałeś paczkę.

–Tak? Skąd?

–Myślisz, że mam czas czytać adres zwrotny na każdej przesyłce? Tylko wtedy, gdy ponętnie pachną albo mogą mieć świńską zawartość. Dalej, żołnierzu, bierz co twoje.

–Dobra – mruknął Njangu. – Czy w Sekcji II mają aparat rentgenowski?

–A niech mnie – powiedział Kipchak, oglądając uważnie pistolet. Była to prawdziwie mordercza broń. – Jakaś cicha wielbicielka?

–Pojęcia nie mam – odpowiedział Njangu. – W paczce nie było nic poza tym i kartką z numerem telefonu.

Kipchak jeszcze uważniej spojrział na broń.

–Chyba mam pewną propozycję...

–Też na to wpadłem – powiedział Njangu. – Po tym, gdy w Sekcji II prześwietlili mi paczkę i niczego nie znaleźli, poprosiłem zbrojmistrza, żeby sprawdził broń w

poszukiwaniu jakichś pułapek. Nic. Powiedział, że to całkiem standardowy marley. Na oficjalnym rynku około czterystu kredytów. Potem poszliśmy na strzelnicę, gdzie wpackował go w imadło i przywiązał sznurek do spustu. Strzela jak złoto. Nabity.

Kipchak obracał pistolet w dłoniach.

–Sprawdzałeś ten numer telefonu?

–Jeszcze nie. Ale myślę to zrobić. Może jakaś lalunia chce mi się w ten sposób dobrać do małego...

Drzwi otworzyły się z hałasem i do pokoju wpadł Garvin.

–Patrzcie, co mi przysłali!

W ręce trzymał pistolet. Identycznego marleya.

W następnym tygodniu około pięćdziesięciu żołnierzy Grupy Uderzeniowej dostało paczki różnych kształtów i wielkości zawierające takie same pistolety i kartki z tym samym numerem. Niektórzy z adresatów należeli do kompanii zwiadu. Między innymi Kipchak.

–Dobra, o co chodzi z tymi pukawkami? – spytał Hedley. – Jesteś przecież naszym najlepszym analitykiem.

–Czy ja wyglądam na proroka? – zapytał cent Angara. – Chociaż owszem, mam pewne wyjaśnienie. To przynęty.

–Jakie przynęty?

–Ci, którzy je dostali, są albo nowi w Grupie, albo mieli kłopoty z przystosowaniem się do regulaminów. Niektórzy są w karnym plutonie, paru siedzi za różne przewinienia.

Nawiasem mówiąc, twój dostali bardzo mało tych paczek, co dobrze o nich świadczy.

–A co się dzieje, gdy ktoś wybierze ten numer?

–Nie bardzo wiem. Ktoś mocno tam namieszał, i to z głową, bo ile razy dzwoniłem, słyszałem tylko syntetyczny głos powtarzający „Mów, słucham”. Widocznie nie powiedziałem tego co trzeba, bo się rozłączyli. Inni też próbowali. Poprosiłem policję, aby po cichu sprawdziła linię, ale okazało się, że sygnał jest sześciokrotnie przekierowywany, więc nie udało się ustalić, gdzie jest koniec. Nie chcą naciskać mocniej, bo wtedy wszystko pewnie się rozsypie. Jednak to działa. Wiemy już, co się

dzieje, gdy ktoś powie co należy. Sześciu z tych, którzy dostali broń, zdezerterowało.

–Zdezerterowało? Jesteś pewien, że nie wybrali się na samowolkę?

–Naprawdę zniknęli. Żandarmeria złapała ślad dwóch z nich na stacji kolejowej.

Kasjer powiedział, że widział porządnie ubraną żołnierkę, która otworzyła skrytkę i wyciągnęła jakąś paczkę. Potem poszła do damskiej toalety i wyszła w cywilkach.

–Naprawdę?

–A tak – odparł Angara. – Pamiętał z grubsza, o którą skrytkę chodziło, więc razem z policjantami otworzyliśmy wszystkie w tym rzędzie. W jednej znaleźliśmy zwinięty mundur pani szturmowiec Mol Trengue, której nazwisko figuruje w spisach w rubryce „nie wróciła z przepustki”. Sprawdziłem jej holo w aktach. Bardzo ładna. I do tego snajper.

–Skoro zostawiła mundur, to znaczy, że naprawdę nie zamierza wracać. Jak myślisz, ktoś kolekcjonuje dezertorów?

–Na to wygląda.

–Kto?

–Nie wiem.

–Po co?

–Tego też nie wiem.

Były to cztery starsze kobiety, które od lat razem sprzątały lokale w biurowej dzielnicy Leggett. Zapraszały się nawzajem na wesela, przyjęcia z okazji urodzin czy męskiej inicjacji albo dni czczenia Zadania. Pomagały sobie w wychowywaniu dzieci i wnuków.

Mieszkały w Eckmuhl na tej samej ulicy i codziennie przemierzały razem trzy kilometry do pracy i z powrotem. Jak wszyscy Raumowie, nie miały dokumentów, więc milkły, widząc przelatujący obok policyjny ślizgacz. Gdy je minął, wracały do beztroskiej rozmowy.

Tego dnia w wąską uliczkę wjechał za nimi towarowy ślizgacz z platformą przykrytą plandeką. Jedna z kobiet zauważyła, że powoli posuwa się ich śladem, i chciała coś powiedzieć pozostałym, ale nie zdążyła. Nagle uniosła się plandeka i na skraju platformy pojawili się dwaj mężczyźni i kobieta w ciemnych ubraniach z kapturami. W rękach trzymali wojskowe blastery z bębnowymi magazynkami.

Jedna z kobiet zaczęła krzyczeć, ale w tej samej chwili w porannej ciszy załomotały serie. Kobiety rzuciło na ścianę biurowca, dokoła rozprysnęła się krew. Ślizgacz stanął niemal pionowo i ignorując kodeks drogowy, zniknął za dachem pobliskiego budynku.

Oprócz trupów zabójcy zostawili porozrzucane ulotki. Na wszystkich był ten sam tekst:

RAUMOWIE!

Ludu Cumbre, dość długo żmiję hodowałeś na swym łonie.

Nadeszła pora zmian.

Odrzuć tyranię, pomóż nam ich zniszczyć albo my zniszczymy ciebie.

Komitet na rzecz Pokoju.

Tego dnia zamordowano jeszcze jedenastu Raumów, z których żaden nie był związany z Ruchem. Przy ich ciałach znaleziono te same ulotki.

Znani z czarnego humoru mieszkańcy Leggett przewali szybko cyngli owego komitetu Brodacami. Pytani dlaczego tak właśnie, odpowiadali, że dlatego, iż wszyscy zabójcy wydają się pozbawieni zarostu. Ów najlepszy, bo jedyny, dowcip na ten temat pojawił się na początku pory suchej, kiedy to zaczęły się morderstwa. Niektórzy Raumowie porzucili dotychczasowe zajęcia i przeprowadzili się do Eckmuhl albo innych gett w innych miastach planety. Wielu straciło pracę, gdyż żaden normalny obywatel Cumbre D nie miał ochoty znaleźć się w środku strzelaniny, gdyby ktoś chciał sprzątnąć „jego” Raumów. Policji z jakichś powodów nie udało się aresztować żadnego Brodacza, nie trafiła też na żaden ślad organizacji, do której mieliby należeć, o jej przywódcach nie wspominając.

W końcu miasta Cumbre D stały się naprawdę niebezpieczne. Nie tylko w Leggett, ale też w Aire, Seyi, Taman, Launceston i Kerrier coraz częściej dochodziło do rabunków, zabójstw oraz zastraszania przedstawicieli władz. Caud Williams podzielił pechowy czwarty pułk na samodzielne kompanie i skierował po jednej do każdego z zagrożonych miast. Miały za zadanie chronić główne komisariaty. Jednak żołnierzy było za mało, a na dodatek Grupa Uderzeniowa, w której nie obsadzono wszystkich etatów, jeszcze bardziej rozproszyła swoje siły. Sam Williams uważał, że rozproszyła je za bardzo.

Pięciu uzbrojonych mężczyzn wpadło z hukiem przez drzwi. Kierowniczka sklepu należącego do Jasith zapiszczała jedynie i zemdląła.

–Nie ruszać się!

Jasith uniosła ręce, trzy sprzedawczynie zrobiły to samo. Przesunęła się nieco w bok.

Lufy broni podążyły za nią.

–Nawet nie myśl o włączeniu alarmu – ostrzegł ją jeden z napastników. – Wiem, że

przycisk jest dwa kroki w lewo od ciebie. – Jasith zamarła. – Znamy położenie wszystkich sześciu alarmów, które tu macie. Włącz jeden, a zginiesz. Chcemy tylko kasy i... która z was jest Jasith Mellusin?

Dziewczyna oblizwała wyschnięte wargi.

–To... ja – powiedziała z wahaniem.

–Pójdiesz z nami. Pomożesz Ruchowi. Twój ojciec zapłaci...

Nagle jego głowa eksplodowała, a ciało obróciło się wkoło własnej osi i zaczęło upadać. Śmiertelne drgawki spowodowały skurcz palca na języku spustowym broni.

Seria pocisków zmasakrowała manekiny, stłukła lustra. Stojący w drzwiach na zaplecze ochroniarz Jasith wycelował w kolejnego napastnika, ale dostał. Jego partnerka przeskoczyła nad nim, lecz zginęła, zanim zdążyła unieść broń.

Jasith padła na podłogę. Słyszała tylko krzyki, coraz więcej krzyków. Tuż obok swojego nosa zauważyła klips, który zgubiła tydzień wcześniej.

–Wrywamy! – krzyknął ktoś. – Znikamy stąd!

Policjanci w patrolującym bulwar ślizgaczu usłyszeli strzały, zatrzymali pojazd i wyskoczyli na ulicę, włączwszy alarm. Ze sklepu z galanterią wybiegało właśnie czterech Raumów. Jeden z policjantów strzelił, chybił i zaraz dostał. Drugi przyklęknął i odpowiedział ogniem. Napastnicy zaczęli uciekać, strzelając do wszystkiego, co nawinęło im się pod lufy.

Również do dziesięcioletniego czyściciela szyb, też Rauma, który wybiegł akurat z sąsiedniej bramy.

Za rogu wypadł kolejny policyjny ślizgacz. Wyskoczyło z niego trzech funkcjonariuszy z blasterami. Raumowie skręcili w przecznicę, w połowie której wznosił się budynek zbankrutowanego gimnazjum.

–Mamy czterech podejrzanych – beznamiennie raportował przez radio jeden z policjantów. – Są w starym gimnazjum. Jeden z naszych dostał. Potrzebne ciężkie wsparcie.

–W drodze. Armia też już wie.

Grierson był dodatkowo opancerzony, pomalowany na czarno, a na jego burcie widniał napis ODDZIAŁY SPECJALNE POLICJI. Strzelec siedział w otwartym włazie tuż za działkiem kalibru 25 milimetrów i wodził lufą po okolicy w poszukiwaniu celów. Rampa desantowa opadła, wypuszczając dwie drużyny policjantów w pękających

kamizelkach pancernych, wojskowych hełmach, z blasterami. Oficerowie pogonili ich na pozycje wkoło gimnazjum.

–Otwarli do was ogień? – spytało radio.

–Jak dotąd nie.

–Dobrze. Mamy ich w saku. Druga drużyna... do głównego wejścia.

Gdy dziesięciu policjantów pojawiło się na ulicy, pękła jedna z szyb w budynku i przez otwór wyjrzała lufa ręcznego blastera wsparcia. Huknęły strzały.

Gliniarze skulili się i natychmiast poszukali osłony. Ktoś krzyknął i upadł. Zza uchylonych drzwi pokazała się smukła rura. Trzymający wyrzutnię Raum wycelował starannie i nacisnął spust.

Rakieta uderzyła w jezdnię tuż przed griersonem, zrykoszetowała i eksplodowała pod stanowiskiem pilota. Pojazd zakołysał się i mimo wysiłków pilota zwałił się na grzbiet, miażdżąc strzelca.

Napęd ciągle działał i nagle grierson zabulgotał dziwnie i z jego otwartych włazów buchnęły płomienie. Pociski z kolejnego ręcznego blastera załomotały o podwozie, zajęczały rykoszety.

–To pułapka! – wrzasnął ktoś. – Ci dranie mieli wsparcie! Ściągać mi tu wojsko!

W obozie Mahan rozjęczały się alarmy i na plac apelowy wysypali się żołnierze biegnący ku pojazdom desantowym. Dill i jego załoga stali bezradni obok swojego ciągle jeszcze nie wyremontowanego griersona.

–Cholera, cholera, cholera – powtarzał monotennie Ben. – Ktoś się zabawi i to nie będziemy my.

Zza narożnika hangaru wyłonił się starszy tweg Malagash.

–Szukam ochotnika... i znalazłem. To będziesz ty, Jaansma. Potrzebny jest jeszcze jeden człowiek do tego cooka. Macie dostarczyć amunicję. Biednym gliniarzom kończą się kulki.

Garvin poczuł się nagle osierocony i obnażony. Nie znał nikogo z załogi tego cooka, nie ćwiczył z nimi, nie wiedział, czy są dobrzy, a być może miał iść z nimi pod ogień.

Zatęsknił za Dilem, Góreckim i Kang. Spokojnie, my tylko wieziemy amunicję, nie mamy jej wystrzeliwać, pomyślał. Ale i tak był zadowolony, że ma u boku pistolet.

–Widzisz? – zagadnął go pilot.

Garvin dostrzegł unoszący się nad centrum miasta słup dymu. Mam nadzieję, że Jasith ogląda to z daleka i że się nie boi, pomyślał.

–Dobra, ludzie – odezwał się znowu pilot. – Chyba tam właśnie na nas czekają.

Mam łączność z gliniarzem, który podprowadzi nas do lądowania. Wejdziemy wyżej, żeby się przyjrzeć, a potem szybko na dół. Wywalimy to gówno i wracamy. W drodze powrotnej pokażę wam trochę miasta.

Wlecieli nad stały ląd. Garvin spojrzął na wznoszące się pod nimi wysokie, wiekowe mury Eckmuhl. Nagle coś błysnęło, zobaczył sunącą ku nim smugę dymu.

–W dół! – krzyknął. – Strzelają do nas!

Pilot spojrzął na niego, jakby nie rozumiał. Chwilę później rakietą uderzyła w przód cooka i eksplodowała. Maszyna przekoziółkowała, dwóch żołnierzy wypadło na zewnątrz.

Krzycząc i machając rękami, polecili w stumetrową przepaść, ku wąskim uliczkom Eckmuhl.

–Trzymajcie się! – wrzasnął pilot. – Może być ciężko!

Było ciężko.

–Siadaj, Yoshitaro – powiedział alt Hedley tonem, w którym pobrzmiwało nie tyle zaproszenie, ile rozkaz. Obok dowódcy kompanii zwiadu siedział jeszcze cent Angara, jakiś nie znany Njangu alt oraz dziwnie poważny Ben Dill. Njangu usiadł. Miał nadzieję, że został tu wezwany w sprawie zaginionego przed dwoma dniami Garvina.

–Mamy pewne informacje o twoim przyjacielu, finfie Garvinie Jaansmie – powiedział cent Angara.

Nie żyje, pomyślał Njangu. Bo dlaczego mieliby być tacy oficjalni i ponurzy?

–Finf Jaansma być może żyje – ciągnął Angara. Dzisiaj o świcie znaleźliśmy wrak cooka, którym leciał.

Njangu odetchnął z ulgą, ale zaraz się zreflektował. Dobre wieści? To skąd te zacięte miny? Ostrożnie.

–Mamy do ciebie kilka pytań na temat twojego przyjaciela – zakończył Angara.

–Na przykład, czy sympatyzował kiedykolwiek z Raumami – odezwał się obcy oficer.

–Jestem alt Wu, dowódca plutonu Jaansmy.

–Nie, sir – powiedział Njangu i nagle przypomniał sobie scenę ze swojej przedarmijnej przeszłości. Sąd w gmachu policji. Wiedział już, jak się zachować.

–Wiesz, że był jednym z żołnierzy, którzy dostali ostatnio pistolet w prezencie od nieznanej osoby albo osób?

–Tak, sir. – Ja też go dostałem i co z tego? pomyślał Njangu. Przestań gadać jak glina, Wu. Tym mnie nie weźmiesz.

–Cookiem leciało sześciu ludzi. We wraku znaleźliśmy trzy ciała. Dwóch żołnierzy, którzy bez wątpienia zginęli w katastrofie, i pilota, który nie wyglądał na poranionego, odniósł jednak śmiertelne obrażenia wewnętrzne. W plecach miał otwory wlotowe po pociskach... tego samego kalibru co broń otrzymana od tajemniczego ofiarodawcy przez rozmaitych żołnierzy naszej Grupy.

Njangu nie okazał ani śladu zdumienia, nic nie powiedział.

–Raz jeszcze pytam: czy Jaansma nie zdradzał chęci przyłączenia się do Raumów?

–Nie – powiedział Yoshitaro, odliczył dwa szybkie uderzenia serca i dopiero wtedy dodał: – sir.

–Spokojnie, szurmowcu – odezwał się Hedley. – Nikt o nic go tu nie oskarża.

Niezupełnie, pomyślał Njangu.

–Nie trafiliśmy na jego ciało – powiedział Wu. – Nie ma też żadnych śladów krwi.

Brakuje ponadto jeszcze dwóch żołnierzy. Jeden z nich został niedawno zdegradowany i głośno narzekał, że spotkała go niesprawiedliwość. Czy to możliwe, aby wszyscy trzej, że tak powiem, skorzystali z okazji i zdezerterowali?

Njangu czekał bez słowa na ciąg dalszy.

–Przykro mi, że najwyraźniej nie potrafisz nam pomóc w tym raczej nieoficjalnym śledztwie – rzekł Angara. Gdybyś przypomniał sobie cokolwiek, co mogłoby być istotne, zwróć się, proszę, natychmiast do alta Hedleya.

Jasne. Kiedy giptel zatańczy, pomyślał Yoshitaro.

–Czy to wszystko, sir?

–Tak – potwierdził Hedley. Wu spojrział na Njangu ze złością, ale nie odezwał się. – Jesteś wolny.

–Czy i ja mogę się odmeldować? – spytał Dill.

–Tak.

Obaj zasalutowali i wyszli.

Njangu ruszył pędem z powrotem do swojej kwatery. Dill musiał zdrowo przebierać nogami, żeby go dogonić.

–Yoshitaro, poczekaj no.

Njangu przystanął.

–Dziwnie to wyszło – odezwał się Dill. – Chciałem ci powiedzieć, że nie wierzę, aby Garvin był zdrajcą.

–Jak w ogóle mógłby być zdrajcą? – warknął Njangu. – Nie jest tutejszy... tak samo jak ty czy ja.

–Przepraszam, złe słowo. Chodzi mi o to, że moim zdaniem nie wystawiłby nas do wiatru. Jednak nie rozumiem, skąd te postrzały u pilota. Przychodzi ci coś do głowy?

–Jeśli przyjdzie, na pewno panu o tym zamelduję, finfie Dill.

Dill zarumienił się i cofnął o krok, zaciskając pięści. Njangu przykucnął odruchowo i wystawił ręce przed siebie. Przez chwilę mierzyli się spojrzeniem, aż w końcu Dill rozprostował dłonie.

–Przepraszam – powiedział. – Myślałem o pewnym znanym mi dowódcy plutonu. Ty pewnie też. – I odszedł szybko.

Njangu poczekał, aż Ben zniknie mu z oczu, i spojrzął na dwa wojskowe automaty telefoniczne podłączone do cywilnej sieci. Namysliwszy się, poszedł w kierunku sztabu Grupy, a potem do rzędu cywilnych automatów za kantyną. Miał nadzieję, że nie są na podsłuchu. Ale nawet gdyby, to co z tego?

Cook spadł twardo, ale płasko na wąską uliczkę, okręcił się dwa razy i znieruchomiał, przebiwszy niski ceglany murek.

Garvin Jaansma usiadł i splunął krwią. Wreszcie świat przestał wirować mu przed oczami. Leżał na celowniczym, który zamortyzował jego upadek, ale sam tego nie przeżył. Ładownicemu skrzynka amunicji roztrzaskała czaszkę. Pilot... pilot wisiał bezwładnie na sterach. Ułożenie ciała podpowiedziało Garwinowi, że nie ma na co liczyć.

Z ulicy dobiegły go jakieś krzyki. Zza rozrzuconych śmieci i pojemników dojrzał ponad pięćdziesięciu Raumów biegnących ku niemu z pałkami i nożami. Niektórzy już z daleka rzucali kamieniami. Błyskawicznie wyjął pistolet i już miał zacząć strzelać, gdy coś przyszło mu do głowy. Z rozmysłem wypalił cztery razy w plecy martwego pilota.

–Masz, draniu! – wrzasnął i odwrócił się do nadbiegających. Najszybsza osoba z tłumu, dysząca żądzą zemsty trzydziestolatka z wielkimi nożycami w dłoni, była już prawie przy wraku.

–Witaj, siostro! – krzyknął Garvin. – Niech żyje Ruch! Rzucił jej pistolet.

Oczy kobiety rozszerzyły się ze zdumienia, ale cisnęła nożyczki i nieporadnie wycelowała broń w Garvina.

–Jestem uratowany! – wrzasnął Jaansma, żałując, że nic lepszego nie przyszło mu do głowy.

Kobieta spojrzała na niego zupełnie zdezorientowana, ale opuściła pistolet.

Zaraz dołączyło do niej trzech mężczyzn.

–Powiedział, że jest jednym z nas – wykrztusiła do nich. – I dał mi to.

–Nie – poprawił ją Jaansma. – Nie jestem jeszcze waszym bratem. Ale jeśli mi pozwolicie, będzie dla mnie zaszczytem pomóc wam w zdobyciu wolności. Po to właśnie zdezerterowałem z armii.

Njangu wystukał numer i czekał. Coś zabrzączało dwa razy, trzy razy kliknęło, gdy połączenie było przekierowywane na kolejne numery. W końcu sztuczny głos powiedział: „Mów. Słucham”.

–No... ktoś przysłał mi kilka tygodni temu pistolet... W paczce był ten numer telefonu.

–Mów. Słucham.

–Chciałem tylko podziękować za prezent temu, kto mnie słucha, ktokolwiek to jest.

Nazywam się Njangu Yoshi...

–Czekaj.

Po kilku kolejnych kliknięciach usłyszał normalny kobiecy głos:

–Co tak zwlekałeś?

–Znam cię.

–Powinieneś – powiedziała Angie.

–Czego chcecie?

–Szukamy ludzi, którym tak jak nam nie podoba się to, co się dzieje, i chcą coś z tym zrobić. Przede wszystkim zabić Raumów.

–A gdybym był zainteresowany?

Na chwilę zapadła cisza.

–Pamiętasz tamto miasteczko?

–Tak.

–Jedź tam. Ktoś cię odzuka. Ale żadnych sztuczek czy ogonów.

–A jeśli jeszcze nie jestem pewien? Co z przykrywką? I czy nie oberwę w czapę, jeśli się do was zgłoszę? Zabijanie Raumów to jedno, ale co będzie po wszystkim?

Znowu chwila ciszy.

–Jaja sobie robisz?

–Nie.

–Lepiej, żeby nie – powiedziała Angie. – Nie mamy czasu na kazania dla nawróconych. Kiedy... jeśli się zdecydujesz... zadzwoń znowu pod ten numer. Ale nie ociągaj się. Nie zostało wiele czasu.

Policja zaczęła eskortować odważniejszych albo bardziej potrzebujących Raumów, którzy nie porzucili pracy poza Eckmuhl. Używała do tego więźniarek. Na pokładzie jednego z tych ślizgaczy było dziewiętnastu Raumów, a dwudziesty biegł na punkt zborny, aby do nich dołączyć. Śmiali się z niego, że tak marudzi, bo czeka na Brodaczy, gdy eksplodowała bomba umieszczona w małym, zaparkowanym obok ślizgaczu, zabijając na miejscu owych dziewiętnastu i dwóch policjantów z załogi więźniarki.

Ocalał właśnie ten jeden spóźnialski. Leżąc na chodniku, czuł, że coś na niego pada, i nie patrząc, wiedział, że to nie deszcz. Poprzysiągł sobie tam i wtedy, że nigdy, ale to przenigdy w życiu, jakie by ono za sprawą Jedynego było długie, nie zjawi się już punktualnie na żadne spotkanie.

–Jak dotąd niewielu żołnierzy miało dość odwagi, aby się do nas przyłączyć – zauważyła smukła, niebrzydka kobieta. – W większości byli to Raumowie, którzy zbłądzili, zapomnieli na jakiś czas o swojej powinności i zapredali się rentierom, ale w pewnej chwili zrozumieli, jak straszny popełnili błąd. Dwóch z nich zagubiło się tak dalece, że próbowali zostać podwójnymi agentami. – Kobieta zawiesiła głos. – Nie była im pisana lekka śmierć. Ale w końcu umarli, niczego nie dokonawszy.

–To dobrze – powiedział Garvin, starając się okazać jednocześnie aprobatę i strach.

Tylko to drugie przyszło mu bez trudu.

–Garvin Jaansma... Promowany za zasługi na finfa... spoza planety, co może być plusem. Strzelec powietrznego pojazdu desantowego, trzeci pluton, kompania A, drugi pułk... tak, nie dziw się tak. Mamy swoich ludzi w obozie Mahan. Popadłeś w kłopoty, Jaansma?

–Nie, proszę pani.

–No to dlaczego chcesz się do nas przyłączyć?

Garvin nieco teatralnie zaczerpnął powietrza.

–Wstąpiłem do sił zbrojnych Konfederacji, bo chciałem zostać żołnierzem. Nie zaciągnąłem się po to, żeby zrobili ze mnie policjanta, szczególnie takiego, który

gnębi maluczkich i pomaga tłustym draniom utrzymać się przy władzy.

–Ale to właśnie chyba robi każdy żołnierz?

–Może – powiedział Garvin. – Może niedokładnie to przemyślałem.

–Zapewne – stwierdziła kobieta i zastanawiając się, przygryzła dolną wargę. – Co robiłeś, nim się zaciągnąłeś?

–Zajmowałem się handlem obwoźnym – skłamał Garvin. – Bez szczególnych rezultatów.

–Gdybyśmy... gdyby Ruch nie znajdował się pod taką presją i czas nas tak nie poganiał, posłałabym cię na przetrzymanie do jakiegoś tyłowego obozu. Gdybyś był szpiegiem, nie utrzymałbyś się w roli zbyt długo. Ale czasu mamy mało, a ty jesteś wyszkolonym żołnierzem, takich zaś nam brakuje. Wszystko, co umiemy, okupiliśmy licznymi błędami i śmiercią wielu siostr i braci. Możesz więc być dla nas bardzo cenny.

Niemniej nie jesteście naiwni, musisz więc najpierw przejść pewien test, który zwiąże cię z nami, i to nieodwołalnie. To na wypadek, gdybyś pomyślał kiedyś o podwójnej zdradzie.

–Chętnie poddam się każdemu testowi – powiedział z zapalem Garvin, czując, że żołądek podchodzi mu do gardła.

–Stary gryzie kredyty i sra ćwierćkredytówkami – powiedział cent Angara. – Dezerterzy to już było dość, a teraz okazało się jeszcze, że jeden z nich zaczął robić karierę u Raumów.

–Na to wygląda – zgodził się Hedley. – Pięknie, cholera. Przecudnie. Puść jeszcze raz to nagranie. Tylko obraz. Dość już słyszałem dziś przekleństw.

Angara musnął sensor i scena na ekranie ożyła. Oficerowie byli sami w sali projekcyjnej Sekcji II.

To była ulica w Leggett. Przysadzisty kamienny budynek zajmował niemal całą przestrzeń między przecznicami. Kamera znajdowała się po drugiej stronie ulicy.

Na frontonie umieszczono dyskretny napis MELLUSIN MINING. Przed wejściem stały trzy opancerzone ślizgacze w wersji towarowej. Czterej uzbrojeni strażnicy chodzili tam i z powrotem.

–Biedny skubaniec – mruknął Hedley. – Nie dość, że próbowali mu porwać córkę, to jeszcze ograbili go ze złota.

–Jak myślisz, co bardziej go zabolalo?

–Córka. Naprawdę o nią dba, jest jego jedynym dzieckiem. Te kredyty, na które połączyci się Raumowie, to tylko drobna część jego bogactwa. Ale z przesłuchania załogi Jaansmy dowiedziałem się jeszcze czegoś, co na pewno zmartwi Mellusina. Ktoś powiedział, że nasz ptaszek miał romans z tą jego córką.

Obraz znieruchomiał i Angara spojrzal ze zdumieniem na młodszego oficera.

–To już zbyt wiele na zbieg okoliczności.

–Też mnie to zastanawia – przyznał spokojnie Hedley. – Nawet intryguje. Puść ten film, przyjacielu. Może coś jednak przeoczyliśmy.

Angara włączył odtwarzacz i nagranie uzyskane z systemu monitoringu gmachu ruszyło. W polu widzenia pojawiło się sześciu mężczyzn. Każdy toczył półmetrowy sejf na kółkach. Drzwi w środkowym furgonie stanęły otworem. Jak dotąd tak właśnie przekazywano płace dla górników zatrudnionych w kopalniach MM na Cumbre C, w twardej gotówce zamiast przekazami elektronicznymi. Raumowie nalegali na tę formę wypłaty, gdyż nie ufali swoim szefom. Trzeba przyznać, że mieli po temu powody. W połowie nagrania w aleję wjechały dwa ślizgacze i zablokowały drogę przed i za opancerzonymi pojazdami.

Przez tylne drzwi ze ślizgaczy wyskoczyli Raumowie. Zaraz zaczęli strzelać. Strażnicy próbowali odpowiedzieć ogniem, ale zostali zastrzeleni. Skądś pojawiły się dwa inne pojazdy, tym razem ciężarowe. Opadły rampy załadunkowe i Raumowie zaczęli wtaczać na platformy jeden sejf po drugim. Wszyscy byli w maskach. Z wyjątkiem jednego.

–Daj zbliżenie naszego chłopca – zażądał Hedley.

Garvin Jaansma, z blasterem w ręku, wypełnił ekran.

–Dobrze. Teraz cofnij i puść go na zbliżeniu od chwili, gdy wysiadł ze ślizgacza.

Na trójwymiarowym nagraniu Garvin wyskoczył z pojazdu, uniósł broń, wycelował i strzelił, znowu wycelował...

–Jeszcze raz – powiedział Hedley. – I zatrzymaj w tym miejscu, gdzie strzela.

Dobrze.

Słaby coś odrzut ma ten jego blaster. Jak ci się wydaje?

–Rzeczywiście, dziwnie to wygląda.

–Zmień ką, zobaczymy, do kogo strzelał.

Angara kilka razy puścił ten fragment w tę i z powrotem.

–Do nikogo – powiedział. – Udawał?

–Ma po temu zdolności – mruknął Hedley. – A może nie ufają mu dość, żeby dać amunicję do ręki?

–Trudno powiedzieć. Ale mamy teraz pewność, że był sprawdzany. Musieli wiedzieć, że cała ulica jest w polu widzenia kamer, a skoro tylko on nie miał maski...

Pewnie chcieli się upewnić, że będzie lojalny. Chociaż nie dostał ostrej amunicji, aktywny udział w napadzie miał gwarantować, że jeśli go złapiemy, jak nic zatańczy na wietrze.

–Może – powiedział Hedley. – Daj do przodu. Dobra, udaje, że strzela... ale popatrz na tę kobietę za nim. Tę ze sportowym karabinkiem z obciętą lufą. Widzisz? Mierzy tylko w Jaansmę. Nie zaufali mu. Niech leci. Teraz stoi i czeka, aż każą mu załadować złoto. Potem wskakuje razem z innymi do ślizgacza i odjeżdżają z łupem. Koniec odcinka, początek legendy. Dostaliśmy Jaansmę, zdrajcę i rebelianta, jak na tacy i mamy się czym cieszyć.

Zgadza się?

–Owszem. Ale skończy się ta legenda, gdy go powiesimy.

–Niezupełnie – zaprotestował Hedley. – Puść raz jeszcze ten fragment, gdy opuszcza blaster. Daj zbliżenie na twarz. Widzisz?

–Boi się – stwierdził Angara. – Ma tik nerwowy. Też bym miał, gdybym uwieczniał się przy takiej robocie.

–Dziwnie regularny ten tik – mruknął Hedley. – Coś mi tu śmierdzi. – Poprosił coraz bardziej zirytowanego Angarę, żeby puścił ten fragment jeszcze dwa razy, po czym sięgnął po pióro i notatnik. – Dobry jesteś w kodzie podstawowym?

–W miarę – odparł Angara. – Ale minęło już trochę czasu, odkąd ostatni raz nadawaliśmy sygnały dymne.

–Też tak myślałem. Jeszcze raz. Powoli. – Hedley patrzył i coś notował. – Teraz muszę zadzwonić. – Wybrał jakiś numer, poprosił o kilka informacji, podziękował i rozłączył się. – Proszę, proszę... – powiedział. – To wszystko nie jest jednak takie proste.

Właśnie sprawdziłem raz jeszcze akta finfa Jaansmy. Był dobry we wszystkim, o co tylko się u nas otarł. Przeszedł śpiewająco również kurs łączności, zarówno warunkujący, jak i normalny.

Cholernie ciekawe, szczególnie że nasz buntownik nabawił się potem osobliwego, regulaminowego wręcz tiku powieki. Zapisałem, co do nas mrugał. W kodzie podstawowym daje to: PRZENIKNAŁEM, kropka, KONTAKT.

Angara poskładał litery w myśli.

–Daj spokój, Hedley. Nikt nie jest taki sprytny.

–Tak? A co powiesz na to, że zanim go pogonili, zdążył jeszcze powtórzyć

KONTAKT?

–Niech mnie drzwi ścisną – westchnął Angara. – To chyba trochę zmienia cały obraz?

–Taa... I co, uwierzymy mu? A jeśli tak, to jak nawiązać z nim kontakt? Dalej, proroku, podrzuć jakiś pomysł,

–Nie wiem jak. Głowią się jeszcze nad pierwszym problemem.

–Njangu, mamy dla ciebie pewną propozycję – zaczął ostrożnie alt Hedley.

Teraz jestem Njangu, pomyślał szturmowiec. Ostrożnie, braciszku.

–Tak, sir – powiedział głośno, przywołując na twarz wyraz zainteresowania.

–Wszystko, co usłyszysz podczas tej rozmowy, jest ściśle tajne – zapowiedział cent Angara. – Usiądź, proszę.

Proszę? O, zaczyna być ciekawie. – Źle oceniliśmy twojego przyjaciela Garvina Jaansmę – powiedział Hedley. – Obecnie przyjmujemy, że jest niewinny i bardzo bystry.

Angara opowiedział mu, jak to było z nagraniem, o którym Njangu słyszał już z krążących po jednostce plotek, oraz o wiadomości przekazanej mruganiem. Njangu omal nie zaczął kiwać energicznie głową. Jego przyjaciel był bardziej niż bystry.

Pewnie ci wszyscy Raumowie próbujący zrobić mu dodatkową dziurę w tyłku zmusili go, żeby jeszcze podkręcił obroty, pomyślał. Ale lepiej niech uważa, bo inaczej za wiele zacznie mu się zdawać, zrobi się zbyt pewny siebie i po nim. Znam takie historie...

–Bardzo ciekawe – powiedział, gdy Angara skończył. Wcale mnie to nie dziwi. Ale dlaczego mi o tym mówicie?

–Bo chcemy, żebyś przeniknął do Raumów i wyciągnął go.

–Uch... – Njangu skrzywił się. – Nie jestem śpiącym rycerzem. Nie mam też stalowych zębów, nie noszę atomówek po kieszeniach. Obawiam się, że poprzedzająca mnie sława była nieco przesadzona.

Angara spojrzał na Hedleya.

–Twoi chłopcy są równie bezczelni jak ich dowódca.

–Mam nadzieję – powiedział Hedley. – Gdyby było inaczej, musiałbym uznać, że całe szkolenie poszło na marne. Wyposażymy cię w mikroradyjko, jakiego używa sekcja specjalna policji, i damy dobrą legendę.

–Czyli jaką? – Że zdezerterowałeś.

–Ale dlaczego miałbym to zrobić? Jaansma może być moim przyjacielem, ale nie sypialiśmy ze sobą, żeby postawić sprawę jasno. Muszę mieć lepszą przykrywkę.

–A gdybyśmy zaczęli podejrzewać, że miałeś coś wspólnego z jego dezercją? – podsunął Angara.

–Za mało.

–Nawet gdybyśmy chcieli cię postawić przed sądem wojskowym?

Njangu chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił.

–Słuchamy – zachęcił go Hedley.

–Lepiej nie. I tak mam już dość wrogów.

Angara uniósł brwi.

–Coś taki wrażliwy? Mów.

–Dobra... sir. To byłoby za bardzo jak w holo. Wyrzucony z pułku i okryty niesławą.

Zdarte epolety, medale rzucone w błoto, dramatyczne werble. Czysty teatr... sir.

O ile wiem, w życiu tak nie bywa.

Hedley wyszczerzył zęby do nieco wkurzonego Angary.

–Dlaczego?

–Bo w rzeczywistości nic nie przebiega aż tak dramatycznie, sir. Przynajmniej gdy chodzi o ciemne sprawy.

–Masz jakieś doświadczenie w tej materii? – spytał Angara.

Njangu tylko na niego spojrzał.

–Przepraszam – wycofał się cent. – Mów dalej.

–Proszę spojrzeć na to z punktu widzenia Raumów. Zjawiam się wśród nich z

glinami na ogonie, wrzeszczę i przeklinam na czym świat stoi. Owszem, wygląda to ładnie, jak powiedziałem. Aż za ładnie. Więc pierwsze, co robią, to prześwietlają mnie na wszystkie sposoby.

–Nie sędzę, żeby mieli skanery.

–Skanery to pestka. Zwykle udaje mi się je oszukać.

Hedley zamrugął.

–Jak? Przepraszam... zademonstrujesz mi to innym razem. Ale słucham, przerwałem ci.

–Obawiam się o nasze zapisy. Akt oskarżenia, grafik procesów, a nawet skład sędziowski. Jak dowiedziecie sądowi, że jestem agentem Raumów?

–Chyba cierpisz na paranoję.

–Może. Ale nawet paranoicy mają wrogów.

–Dopóki chodzi o wewnętrzne sprawy Grupy, i to takie na najwyższym szczeblu, nie ma ryzyka – upierał się Angara.

–Wewnętrzne sprawy Grupy! Gdy ostatnim razem byłem w sztabie, widziałem z tuzin Raumów zatrudnionych tam jako pisarze. Nie próbujcie mnie przekonać, że caud Williams i mil Rao sami wypełniają wszystkie formularze.

–To, że jeden czy drugi nasz pisarz jest z pochodzenia Raumem, jeszcze nic...

–To są nasi wrogowie. Nie wspomnę już, że nie wierzę, aby ktoś z naszego wywiadu nie podzielił się tak ciekawą historią z kumplem z sekcji specjalnej policji. No i oczywiście nie wierzę, aby Raumowie nie mieli paru swoich ludzi w glinowni. Wkrótce wszyscy będą wiedzieli, że dobry wojak Njangu dostał tajne zadanie. Wszyscy, czyli również Raumowie.

Muszę brać to pod uwagę, nawet jeśli ktoś pomyśli, że przesadzam, sir. Chodzi o moją dupę.

Zresztą mam pewne doświadczenie w takich sprawach i wiem, że jeśli coś może się posypać, to na pewno się posypie. A ja skończę w lodówce.

–Dobra – powiedział Hedley. – Rezygnujemy z tego pomysłu. Znajdziemy jakiś inny sposób skontaktowania Jaansmy z Sekcją II. Ale cokolwiek postanowisz, chcemy, żebyś nam w tym pomógł. W końcu znasz go lepiej niż ktokolwiek inny.

–Nie ma mowy – zaprotestował Njangu. – Sam się tym zajmę. Ale zrobimy to po

mojemu albo wcale.

Njangu wrócił na kompanię z ponurą miną i na miłą widoczną urazą w sercu.

–Co jest? – spytał go Kipchak.

–Sukinsyny – warknął Njangu. – Dalej upierają się, że Garvin jest zdrajcą, i wydaje im się, że może coś wiem, a może nie wiem. Nie mogli się zdecydować.

–Spoko, Njangu – powiedział Gerd. – Oni nie potrafią inaczej.

–Właśnie. Powiem ci, co im chodzi po głowie. Chcą dać twarz Garvina na plakaty.

A gdy jakiś miejscowy zapaleniec go ustrzeli, sprawdzą dokładniej i wyjdzie im, że się pomylili. Przepraszają, ale Garwinowi będzie już wszystko jedno. Skretyniali idioci, wszyscy co do jednego.

–Może dałoby coś, gdybym porozmawiał z Hedleyem zasugerował Penwyth. – Zdążyłem poznać Garvina.

–Możesz spróbować. Ale ja już skończyłem gadać z dupkami, co zawsze zatykają uszy, gdy chcę im coś powiedzieć.

–Lepiej przestań się wkurzać i przekimaj się trochę – powiedział łagodnie Kipchak. – W nocy masz wartę na trzeciej zmianie.

–No to z pewnością nie będzie padać, tylko lać. Dobra. Na wszelki wypadek wyglancuję buty, żeby nie zarobić powtórki warty – jęknął Njangu. – Tylko tego mi jeszcze brakowało.

Rząd bardzo dyskretnie obwieścił, że komunikacja z odległą wyspą i miastem Kerrier (oraz trzema innymi wyspami) została zawieszona z powodu „niepokojów społecznych” i zostanie wznowiona, gdy tylko będzie to możliwe.

Caud Williams nakazał Garwinowi Jaansmie i Njangu Yoshitaro siedzieć cicho i nie zwracać na siebie uwagi. Chyba żaden rozkaz nie został równie jaskrawo zlekceważony.

Najpierw Garvin zdezerterował, a potem Njangu Yoshitaro jeszcze go przelicytował. Zgodnie ze sporządzonym potem aktem oskarżenia wyznaczony do służby wartowniczej szturmowiec Yoshitaro podczas przygotowań do rozprowadzenia okazał się nietrzeźwy, a na dodatek zachowywał się w sposób nie licujący z godnością żołnierza, bo głośno używał wulgarnego słownictwa. Gdy dowódca warty spróbował go uspokoić, został pobity do nieprzytomności.

Interweniującemu rozprawdzającemu twęgowi oskarżony złamał lewą rękę, a potem odebrał pistolet, którym sterroryzował pozostałych wartowników. Pod groźbą śmierci kazał im wejść do aresztu, po czym zamknął w celach, a klucze wyrzucił do zatoki.

Następnie udał się do kancelarii Grupy Uderzeniowej, w której właśnie kończono pracę, wyważył tylne drzwi, sterroryzował urzędników pistoletem i ogołocił podręczną kasę.

Wybiegając głównym wejściem, ustrzelił lampę nad schodami i zatrzymał ślizgacz żandarmerii. Uderzył próbującego przemówić mu do rozsądku żandarma, wyrzucił go ze ślizgacza i ukradł pojazd. Policja nie zdążyła zareagować w porę i odnalazła ślizgacz ponieważ, porzucony w pobliżu bramy Eckmuhl.

Njangu Yoshitaro i Garvin Jaansma zostali wpisani na planetarną listę najbardziej poszukiwanych, a policja i wojsko zostały upoważnione, aby w razie napotkania strzelać do nich bez ostrzeżenia, jako że chodzi o element bardzo niebezpieczny i na pewno uzbrojony.

–To jest Jo Poynton – wyjaśnił Garvin. – Jest tutejszym odpowiednikiem szefa Sekcji II. Dała mi szansę, gdy postanowiłem przyłączyć się do Raumów – dodał z wielkim szacunkiem i Njangu przybrał stosowny wyraz twarzy.

–Reszta może wyjść – powiedziała Poynton i strażnicy Njangu zniknęli. Kobieta wyjęła pistolet z szuflady biurka i położyła go na blacie przed sobą. – Ciekawa z was para.

Sądząc po waszych poczynaniach, musicie być zdesperowani.

Njangu wzruszył ramionami.

–Ludzie wciąż wchodzą mi w drogę.

–Może, zwłaszcza że trudno mi uwierzyć, aby armia zdecydowała się aż na takie straty i zamieszanie, żeby stworzyć ci wiarygodną legendę. Doceniamy też, że wzbogaciłeś kasę Ruchu. Dla twojej informacji, było tego ponad dziewięćdziesiąt siedem tysięcy kredytów.

Njangu wyszczerzył zęby w uśmiechu.

–Odkąd cztery dni temu przybyłeś do Eckmuhl, sprawdziłam cię z pomocą naszych ludzi. Ty, Jaansma, wiesz już, jak starannie gromadzimy informacje o wszystkich żołnierzach.

Wymagamy, aby wszyscy bracia i siostry meldowali nam o spotkaniach z wami. Dla

ciebie, Yoshitaro, to zapewne nowość.

Njangu wspomniał swój „kontakt” z Limneą i zacisnął zęby.

–Po raz pierwszy pojawiłeś się w naszych zapisach, gdy bez żadnego widomego powodu pomogłeś naszemu chłopcu napadniętemu przez paru pijanych mężczyzn.

Dlaczego to zrobiłeś?

–Miałem zły dzień i musiałem się wyładować.

Poynton zamrugła.

–Hmm... Tak czy owak, to postępowanie było niecodzienne, co skłoniło nas do śledzenia waszej paczki. Krótco potem zgubiliście mojego agenta, który wcale nie był nowicjuszem. Uznaliśmy, że wobec tego dobrze będzie kogoś z was przesłuchać.

Posłałam po ciebie, Jaansma, dwóch ludzi. Obaj byli wyszkolonymi bojownikami. Jednego okaleczyłeś, drugi długo wracał do zdrowia i jeszcze dzisiaj – nie można go uznać za w pełni zdolnego do walki.

–Przepraszam – powiedział Garvin, starając się okazać, że jest zawstydzony. – Myślałem, że chcą mnie obrabować.

–Następnie kolejno zdezerterowaliście i dostaliście się do Eckmuhl, żeby przyłączyć się do Ruchu. Nie uważacie, że to wszystko jest trochę podejrzane?

–Może – przyznał Njangu. – Ale wszyscy jesteśmy zawsze trochę podejrzani.

Ku ich zdumieniu Poynton uśmiechnęła się i przez chwilę wyglądała całkiem atrakcyjnie. Zaraz jednak zacisnęła wargi.

–Przedyskutowałam sprawę z szefem zespołu planowania i oto, co postanowiliśmy.

Z jednej strony nie chcę tracić waszych potencjalnie bardzo cennych usług. Już teraz przekazaliście nam wiele informacji na temat kodów i procedur stosowanych w Grupie Uderzeniowej, bardzo dla nas ważnych, chociaż takie rzeczy co jakiś czas się zmienia.

Wkrótce możecie też nam się przydać zarówno jako bojownicy, jak i instruktorzy, zatem pierwszą propozycję na temat tego, co z wami zrobić, powitałam raczej niechętnie.

–Przypuszczam, że szef waszego zespołu planowania chciał nas zastrzelić – powiedział Njangu.

–Zgadza się.

–To rzeczywiście byłoby marnotrawstwo – stwierdził Garvin.

Poynton znowu się uśmiechnęła.

–Czasem zapominam, jakimi ponurakami się staliśmy – powiedziała. – Mam nadzieję, że chociaż wy zachowacie poczucie humoru.

–Bez trudu, przynajmniej póki będziemy żywi – obiecał Njangu.

–Co prowadzi nas do drugiej opcji. Obaj na pewno słyszeliście o wynajętych przez rentierów zabójcach zwanych Brodacami?

Njangu i Garvin przytaknęli.

–Nasz wywiad ustalił, że finansują ich rentierzy oraz magnaci medialni, ale to nie wszystko. Większość Brodaczy, a w każdym razie najskuteczniejszych morderców, zwerbowano z armii. Niektórzy przypuszczają, że Grupa Uderzeniowa wręcz oddelegowała ich do zadań terrorystycznych i dała wolną rękę w zabijaniu Co o tym sądzicie?

–Nie przypuszczam, żeby tak było – powiedział Njangu. – Służyłem w zwiadzie, który blisko współpracuje z Sekcją II. Pewnie bym coś usłyszał o takich szwadronach śmierci.

–Może... a może nie. Muszę przyznać, że moi przeciwnicy bywają inteligentni i potrafią czasem dotrzymać tajemnicy. Nie mówiąc o tym, że obaj możecie być podstawieni.

Wówczas na pewno byście kłamali. Ale to w sumie nieważne, ponieważ szef naszego zespołu planowania wymyślił dla was test. Dostaniecie pewne zadanie. Będę prowadzić was osobiście, otrzymacie też pełny dostęp do naszych środków. Macie wytropić i wyeliminować Brodaczy. Jeśli zawiedziecie, uznamy, że wciąż jesteście żołnierzami Konfederacji, ale wtedy zapewne zajmą się wami sami Brodacz. Jeśli zaś wam się uda... wyświadcycie wszystkim mieszkańcom Cumbre D wielką przysługę.

–Nie cierpię pluskiew – warknął Njangu. – Nawet tych podrzucanych z przyjaźni.

–Właśnie widzę – stwierdził spokojnie Garvin. Siedział na małym łóżku, nogi trzymał na stole. Na blacie poniewierała się cała masa wyrwanych z sufitu i ścian przewodów, podłoga była zarzucona tynkiem. W tym bałaganie leżały jeszcze trzy małe urządzenia podsłuchowe, każde już potraktowane obcasem, oraz dwa większe. Jedno było ukryte za kiepskim landszaftem przedstawiającym niewidoczną zza murów Eckmuhl zatokę, drugie, bardzo starego typu, musiało zostać zamontowane jeszcze przez pierwszych osadników.

–Znalazłeś wszystkie?

–Co do sztuki – powiedział Njangu, kręcąc głową i wskazując palcem na lampę pod sufitem. Wziął notatnik i napisał: „Tę jedną tylko nieco uszkodziłem, ma teraz ledwo metr zasięgu. Niech coś słyszą, bo zaczną się denerwować. Wszystko, co ważne, na piśmie”.

–Dobra – rzucił Garvin. – A swoją drogą, skąd u ciebie takie zdolności techniczne?

–Czy porządna dziewczyna nie może mieć żadnych sekretów?

–Jasne. To co robimy, żeby załatwić to twoje brodate kochanie?

Njangu padł na sąsiednie łóżko.

–Niezła zagwozdka, prawda? – zapytał.

–W zasadzie powinienem spytać, czy robimy cokolwiek z Angie.

–Lepiej tak. Inaczej Ruch nas wyrucha.

–Też tak sędzę. To jakie mamy możliwości?

–Pierwsza i najłatwiejsza to donieść na nią glinom powiedział Njangu. – Co doprowadziłoby naszych obecnych panów i władców do białej gorączki. W końcu trudno uwierzyć, że policja robi krzywdę podopiecznej rentierów. Poza tym nie lubię donosicielstwa.

–Więc chciałbyś załatwić ją sam?

–Nie bardzo. Aż tak twardy nie jestem. Musimy ją jednak jakoś zneutralizować razem z resztą tej brodatej bandy. Raz na zawsze. Chyba że prosimy się o to samo.

–Więc jednak zabijanie. – Garvin skrzywił się.

–No cóż...

–Ale najpierw to, co najważniejsze. Jesteśmy utalentowani, inteligentni, znamy się na analitycznej robocie i tak dalej, ale jak znajdziemy naszą dziewczynkę? Pewnie wielu już jej szukało.

–Mam dojście do Rady – powiedział Njangu. – Dała mi numer telefonu i zasugerowała miejsce spotkania. Chyba uda mi się nawiązać kontakt. Zobaczę co i jak i zaimprovizuję.

–No to łap za telefon, przyjacielu.

–Nie tutaj. Bierzmy tę naszą „eskortę” i poszukajmy jakiegoś neutralnego aparatu.

Albo nie. Jeszcze lepiej: chodźmy do Poynton. Powiemy jej, co zamierzamy.

Njangu poczekał, aż wagon będzie prawie pusty, i dopiero wtedy wziął swoją poobijaną walizkę i wysiadł. Starał się wczuć w rolę tego, na kogo wyglądał: młodego i niezbyt dobrze radzącego sobie komiwojażera, który pomyślał, że może wizyta w małej wiosce rybackiej przyniesie mu szczęście. Wyszedł ze stacji i ruszył przez park.

Cały czas rozglądał się wkoło, jakby szukał klientów.

Jest... ma nawet stare wojskowe buty... dobry kamuflaż, Angie. A tam jedna z naszych, udaje, że czyta tablicę informacyjną... Kurde, tak się rozgląda, że od razu widać, co za jedna, tylko książki szyfrów w ręce brakuje. Cholerni amatorzy. Ruch jednak przyjmuje byle kogo. Pochylił się i udając, że poprawia rzemień przy sandałach, zerknął za siebie. Tam też ktoś jest... Sprezentowany przez Angie pistolet wypychał mu tylną kieszeń spodni. Njangu czuł się z nim nieco spokojniejszy.

Obok przeszedł jakiś mężczyzna. Twarz miał dziwnie znajomą. Otarł się o Njangu, który poczuł, że jego broń gładko znika z kieszeni. Zanim cokolwiek wymyślił, spod daszku przed warsztatem naprawy sieci wyłoniła się Angie Rada. Podeszła od razu, trzymając się lewą dłonią za prawy łokieć. Wyglądała jak zwykła turystka, która przyjechała na jeden dzień nad morze, ale prawą rękę trzymała głęboko w kieszeni kurtki, na pewno zaciśniętą na broni.

–Uśmiechaj się – szepnęła. – Przecież się cieszysz, że spotkałeś dobrą przyjaciółkę.

–A nie?

–Dlaczego się urwałeś?

–Sprawy w Mahan zaczęły się chrzanić i uznałem, że pora poszerzyć horyzonty.

–I tak wiele czasu ci to zabrało?

–Najpierw musiałem sprawdzić inne możliwości – powiedział. – Świetnie wiem, że pracując dla ciebie, można zarobić kulkę w łeb. I mało kredytów.

Angie poruszyła dłonią i skierowała ukrytą w kieszeni broń w stronę Njangu.

–Jakie inne możliwości sprawdzałeś? Raumowie?

–Radości oczu moich i lędźwi, Angie! Nawet dowódca szwadronów śmierci powinien zachować odrobinę poczucia humoru.

–Ostrożnie, Yoshitaro – ostrzegła go Angie. – W tym, co robię, nie ma nic do śmiechu.

–Owszem, ale podważanie fundamentów państwa przychodzi o wiele łatwiej z uśmiechem na ustach...

–Tego akurat nie robimy. Staramy się raczej wzmacniać, robiąc to, przed czym państwo oficjalnie się wzdraga. Dzięki nam stanie się tak silne, jak powinno. – Spojrzała na niego krytycznie. – Wiesz, nigdy cię nie rozumiałam.

–Nie ma nic do rozumienia – rzucił Yoshitaro. – Jestem tylko wesoły chłopak, co łapie okazję. Sprawdziłem różne miejscowe bandy, ale wszystkie robią obecnie bokami i nie szukają nowych ludzi.

–Lepiej będzie, jeśli zdasz sobie z czegoś sprawę. Gdy raz do mnie... do nas przystąpisz, zostaniesz z nami tak długo, aż to wszystko się skończy.

–A jak ma się skończyć?

–Tak, że Raumowie zapamiętają, gdzie ich miejsce, i nie będą próbowali podskakiwać.

–Jakie to miejsce?

–A jakie miejsce można znaleźć dla drani, którzy zabijają kobiety, dzieci i policjantów? W więzieniu albo dwa metry pod ziemią. Z wyroku sądu czy z naszych rąk, wszystko jedno.

–A inni? Nie wszyscy Raumowie są przestępcami.

–Diabła tam nie są – syknęła Rada. – Wszyscy wspierają tych morderców jak tylko się da, a to tak, jakby sami pociągali za spust czy rzucali bomby. Będą więc musieli

zapłacić.

Powinniśmy załatwić ich wszystkich, ale znam Cumbrian. Uważają, że praca w kopalniach czy fabrykach to nie dla nich, więc obawiam się, że zawsze będą potrzebować Raumów.

Niemniej na pewno wyrzucimy ich z Dharmy i innych większych wysp. I z miast.

Moglibyśmy odizolować ich na Wyspach Nawietrznych albo w podobnym miejscu i zbudować tam porty, żeby przewozić górników do roboty na Cumbre C. Dla tych, którzy byliby potrzebni do pracy w miastach, założyłoby się tymczasowe obozy. Nie wiem zresztą.

To już zmartwienie polityków. Zajmą się tym, gdy załatwimy najważniejsze.

–My załatwimy?

–Chyba nie sądzisz, że zorganizowałam to sama? Siedzi w tym moja rodzina, która po spaleniu paru naszych domów towarowych zrozumiała, co powinna zrobić. Ale są też inni, w tym i wielkie nazwiska. Zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, kto jeszcze przykłada do tego rękę. Kredyty, pojazdy, pełna informacja... mamy, co chcemy. Więc wchodzisz?

–A mam wybór?

–Dobrze – powiedziała Angie. – A teraz zorganizujemy powrót do Leggett, sprawdzimy, czy nie przywlokłeś jakiegoś ogona, i zaczniemy cię szkolić.

–Znowu? – jęknął Njangu, ale poczuł ulgę. Chyba mu się udało. Trafił na dobrą chwilę. Proszę, Njangu Yoshitaro, mistrz infiltracji i podwójny agent.

I nagle wszystko się zawaliło.

–Hej! Njangu! Angie! – zawołał ktoś radośnie.

Njangu obrócił się na pięcie... Żeby to... Ujrzał uśmiechniętą długowłosą piękność, poznaną kilka miesięcy wcześniej Deirę. Odetchnął z ulgą i uniósł rękę, ale nagle zobaczył, że Angie wyciąga z kieszeni ciężki pistolet. Ugięła nogi, uniosła broń, podparła ją drugą ręką, wycelowała w Deirę. Zareagował odruchowo. Kopnął dłoń dziewczyny i pistolet poleciał w krzaki. Angie rzuciła się za nim, warcząc coś pod nosem. W tej samej chwili coś huknęło za Njangu i pocisk z blastera wywalił dziurę w zaparkowanym ślizgaczu.

Yoshitaro padł na ziemię i odtoczył się na bok. Sięgnął do obcasa, w którym fachowiec Raumów ukrył dwa staromodne urządzenia składające się z lufy, naboju

śrutowego i sprężyny z iglicą. Gdy miał już broń w dłoni, uniósł głowę. Nie dalej niż pięć metrów od siebie ujrzał mocno zbudowanego mężczyznę, którego widział już chyba kiedyś w armii.

Gość celował do niego. Njangu zwolnił sprężynę i broń wystrzeliła z hukiem.

Odrzut był tak silny, że mało nie złamał mu nadgarstka. Śrut zmasakrował twarz mężczyzny, który zaskrzeczał, wypuścił blaster, przycisnął dłonie do oczu i zaczął się chwiejnie wycofywać.

Angie odszukała tymczasem swój pistolet i znowu go wycelowała, tym razem w Njangu. Yoshitaro wypalił z drugiego wynalazku. Oboje chybili. Zanurkował w jakiś krzak i usłyszał, jak Angie woła: „Zabić go! Zabić go!” Chwilę później po raz pierwszy gliny przyszły mu na ratunek.

Było ich trzech, wszyscy w pełnym rynsztunku. Gdy ujrzeli Angie z pistoletem w dłoni, sięgnęli po broń. Strzeliła do jednego, który złapał się za zranioną rękę, i pobięła przez park w stronę stacji.

Njangu ruszył za nią, chociaż nie wiedział, co właściwie miałby zrobić, gdyby ją dogonił. Miał nadzieję, że jego osłona widziała, co się stało, i przyjdzie mu z pomocą, ale jakoś nikt nie nadciągał. Dobra, dziwko, jeśli tak to traktujesz, to możesz liczyć na wzajemność, pomyślał. Za nim gliniarze strzelili do kogoś raz i znowu. Niezbyt rozumiał, co tam się dzieje. Ktoś krzyknął do niego, żeby się zatrzymał, ale Njangu tylko machnął lekceważąco przez ramię i pobięł dalej.

Przystanął za drzewem dość grubym, aby powstrzymało pocisk z blastera. Obejrzał się. Deira kulila się za jakimś ślizgaczem. Ulżyło mu i znowu ruszył w drogę.

Gdzieś z przodu huknął granat. Gdy Njangu wyszedł z parku, ujrzał dym snujący się przed stacją, będącą także tutejszym ratuszem, oraz dwa nieruchome ciała rozciągnięte pośród stłuczonego szkła. Angie wchodziła po schodach w towarzystwie jakichś dwóch mężczyzn.

Jeden z nich zatrzymał się, starannie wycelował i jednym strzałem zniszczył wierzchołek masztu nadajnika na dachu ratusza.

Przy peronie czekał już wagonik z pracującą na wolnych obrotach turbiną. W budynku wybuchł jeszcze jeden granat, padło kilka strzałów. Wściekły jak stado szerszeni Njangu wbiegł po schodach i wspięwszy się po pustej ramie okiennej, wdrapał się na dach budynku.

Obszedł kratownicę uszkodzonego masztu i podszedł do skraju zadaszenia w tej samej chwili, gdy dwa metry pod nim i trzy metry od niego pojawił się wyjeżdżający ze stacji wagonik.

Nie namyślając się, skoczył i z łomotem wylądował na dachu. Pośliznął się i omal nie spadł, gdy pojazd zaczął przyspieszać. W końcu złapał się czegoś, odwrócił oczy od migoczącego światła ostrzegawczego i przylgnął do rozpędzającego się wagonika, żeby go nie zdmuchnęło.

I co teraz, idioto? pomyślał. Miejmy nadzieję, że nie słyszeli tego huku... I niech to cholerstwo tak nie gna, bo po mnie. Na pewno nie zapomniałeś o czymś istotnym?

Nie miał już więcej strzelających wynalazków, ale sięgnąwszy do drugiego buta, obrócił i zdjął obcas, po czym wyciągnął antenę, która zaczęła swobodnie powiewać na wietrze. Włączył zasilanie, a potem nadawanie.

–G... tutaj N. – Usłyszał jedynie trzaski i pomyślał, że pewnie to superurządzenie zbudowane przez jakiegoś kopalnianego fachowca, który zapewniał go, że będzie niezawodne, nikt go nigdy nie znajdzie i jeszcze pracuje poza wojskowymi częstotliwościami, zepsuło się po prostu i zaraz pociski z blastera zaczną dziurawić dach wagonika, a potem i jego.

–Mówi G. Gadaj – rozległ się nagle całkiem spokojny głos Garvina. Njangu zdusił panikę.

–Po uszy w gównie – powiedział i wyjaśnił pokrótce, co się stało.

–Czego potrzebujesz?

–Skrzydeł, kurwa, chyba że ktoś zna rozkład jazdy i będzie czekał na nas na stacji z brygadą zhukovów.

–Nie da się. Ale ktoś będzie czekał. Wielki jest tutaj i już wydaje rozkazy.

Trzymaj się. Wyciągniemy cię.

–Mam nadzieję.

Jednak wagonik nigdy nie dojechał do Leggett. Srebrzysta jednotorowa estakada zaczęła łagodnym łukiem okrążyć Wzgórza, a potem schodzić ku miastu w miejscu, gdzie ziemia odległa była tylko o niecałe dziesięć metrów od gęsto porośniętego krzewami stoku, gdy w wagoniku rozległy się strzały, potem krzyki, a w końcu turbina zaczęła tracić obroty i zamarła z jękiem.

Yoshitaro zaryzykował i zerknął na dół, gdzie przy zgrzycie zamków i zawiasów otwierało się właśnie wyjście awaryjne. Po chwili pojawił się w nim mężczyzna z bronią w dłoni. Rozpostarł szeroko ręce i skoczył, powiewając płaszczem. W jego ślady poszła Angie i na końcu drugi mężczyzna. Dziewczyna uniosła głowę, żeby spojrzeć na wagonik, i Njangu schował się czym prędzej. Troje uciekinierów zaczęło

przedzierać się przez krzaki ku najbliższej ulicy.

Nie uzbrojony Njangu Yoshitaro przez dłuższą chwilę wymyślał sobie od kompletnych idiotów, a potem zeskoczył w sam środek krzaku głogu, przetoczył się kilka razy i poszedł za Brodaczami.

–G, tutaj N.

–Mów.

–Nie dotarliśmy do stacji.

–No nie... Co się stało?

–Wyskoczyli przed Leggett i poszli do miasta.

–Ech. Zaczynamy od początku?

–Nie, przyjacielu. Idę za nimi. Moje obecne położenie to Yeti, Irma, Sierra, Ultra, Queen, Yeti, Medal, Delta, Guru, Guru, Papa, Sierra, Medal, Papa, Ultra. Weź paru chłopców z kijami. Ci ludzie są niezbyt przyjaźni.

–Robi się.

Magazyn mieścił się w ponurej przemysłowo-portowej dzielnicy na wschód od handlowego centrum Leggett. Trudno było orzec, do kogo należał. Njangu sprawdził wejścia.

Trzy prowadziły na ulice, a czwarte na nabrzeże przeładunkowe na tyłach. Znalazł sobie stanowisko obserwacyjne przy pobliskim zaułku i czekał. Przyuważył trzy ślizgacze z napisami RADA MARKETS wjeżdżające i wyjeżdżające z magazynu. Niegłupie, pomyślał i pokręcił głową. Jeszcze jeden dowód na to, jak niepodatni na korupcję są gliniarze z sekcji specjalnej. Dwa razy zamienił kilka zdań z Garvinem, pytając, co to za niezwykłą ekipę szykuje, że to już tyle trwa.

W pewnej chwili na ulicy pojawił się mężczyzna z miotłą. Zatrzymał się przy zaułku i otworzył bezzębne usta.

–Cofnij się jedną przecznicę – powiedział. – Czekają na ciebie w tym wypalonym budynku. – I poszedł dalej, machając miotłą.

Budynek okazał się warsztatem pojazdowym po pożarze. Wszędzie leżały części powykręcanej od gorąca maszynerii, posadzka była czarna od sadzy. Njangu zamrugał, wchodząc do mrocznego wnętrza. Ujrzał tam co najmniej pięćdziesięciu Raumów. Nie mieli wprawdzie kijów i byli poprzebierani za przedstawicieli rozmaitych

grup społecznych, od robotników począwszy, na sohai skończywszy, ale wszyscy nosili z dumą jakąś broń. Dwie trzecie stanowili mężczyźni, niektórzy całkiem młodzi. Przy każdym wejściu stało dwóch wartowników.

Garvin kucnął na przewróconym i wypalonym ślizgaczu. W rękę trzymał pistolet.

Widząc Njangu, wstał.

–Przyszli bracia nasi i przyszłe siostry, proszę was o uwagę – zaczął. – Mój brat Njangu wysledził kryjówkę wrogów ludu, których nazywamy Brodaciami. Wiemy, że jest ich tam co najmniej troje. Nie wiemy jednak, co znajduje się w tamtym budynku ani jaką bronią dysponuje przeciwnik. Ale brak nam czasu na rozpoznanie. Mam nadzieję, że to główna siedziba tych morderców waszych kobiet, dzieci i mężów. Zależy mi choćby na jednym jeńcu, żeby go przesłuchać i dowiedzieć się, ile osób liczy dokładnie ta banda i ilu z nich musimy jeszcze zabić, ale jeśli nie uda się wziąć tego jeńca, to trudno, też sobie poradzimy.

Musimy uderzyć raz a dobrze, bo nie będziemy mieli wiele czasu. Jest pewne, że policja zjawi się bardzo szybko. Gdy tylko zobaczycie, że nie ma już kogo zabijać, zaraz znikajcie.

Jeśli ktoś z nas zostanie ranny, weźcie go, żeby nie wpadł w łapy policji. Jeśli będziecie mieli pogoń na karku, porzućcie broń i spróbujcie wtopić się w tłum. Wy, bojownicy, jesteście ważniejsi niż blastery czy bomby. Dam sygnał do ataku, gdy usłyszę od wszystkich grup, że są gotowe. W środku możecie spodziewać się wszystkiego. Nie okazujcie zatem litości i pamiętajcie, że tamci mają krew na rękach. Niech zapłacą za wyrządzone zło.

Starajcie się, bo nasz cel jest już bliski.

Rozległ się pomruk aprobaty i ludzie zaczęli wychodzić. Garvin zeskoczył z wraku i podszedł do Njangu.

–Gotowy?

–Tak. Raz jeszcze spytam: gdzie nauczyłeś się tak gadać?

–W cyrku – rzucił obojętnie Garvin i ruszył do wyjścia.

Magazyn był wykorzystywany przez Rada Markets i tuzin pomniejszych firm. Dla dziewiętnaściorga zwerbowanych przez Angie dezertersów był to prawdziwy raj.

Wyjąwszy seks, oczywiście. Zostali umieszczeni w tylnej części budynku, od strony zatoki.

Mieli prycze i piecyki kempingowe podebrane ze składowanego sprzętu. Co pewien czas zaopatrywali się też w sąsiednich pomieszczeniach w żywność, alkohol, sprzęt holo i różne inne dobra. Nigdy nie brali więcej niż po jednej skrzynce albo pudle, żeby ubytki zbytnio nie rzucały się w oczy.

Szesnastu Brodaczy słuchało właśnie Rady, która stała przy wielkim trójwymiarowym planie Leggett. Siedemnasty pełnił wartę przy bramie, a dwóch nie wróciło jeszcze ze zwiadu na mieście.

–To bez wątpienia była pułapka – powiedziała Angie lodowatym głosem. – Inaczej ten zdrajca Yoshitaro nie dostałby wsparcia. Na całe szczęście wyczułam, co się święci, bo w przeciwnym razie nikt z nas nie wróciłby żywy.

Jeden z mężczyzn, którzy byli z nią w miasteczku, już chciał zapytać, dlaczego Rada chciała zastrzelić tę dziewczynę, która nie robiła nic groźnego, tylko im pomachała, ale ugryzł się w język. Pamiętał, że trzech innych, którzy kwestionowali pomysły szefowej, wpadło do basenu portowego. W zamkniętych szczelnie śpiworach, z łańcuchami u nóg i kulą w głowie.

–Nie wiem, dla kogo pracuje, dla wojska, policji czy dla Raumów, ale w końcu go znajdziemy – obiecała. A na razie musimy znowu uderzyć, i to z całej siły. To nasz następny cel. Miejsce, które dla Raumów jest prawie święte, wejście do Eckmuhl. Elt, Wiglaf, byliście tam na zwiadzie?

–Tak. Łatwy cel. Dobre dojście i wyjście.

–Tym razem użyjemy bomby – powiedziała Angie. Ubezpieczenie strzeleckie. Po wybuchu każdy opróżni dwa magazynki i zrywamy się.

Pierwszy zginął Brodacz przy wejściu. Obrócił się zdumiony, gdy małe drzwiczki w bramie otworzyły się gwałtownie, i zaraz poczuł w krtani ostrze noża. Dwóch Raumów ułożyło jego ciało na podłodze. Garvin, Njangu i reszta grupy wemknęli się do środka.

Wielką halę jasno oświetlały rzędy lamp wiszących pod beczkowatym sklepieniem.

Wszędzie piętrzyły się sterty wszelakich dóbr, część na paletach, część na półkach. Małe schodki prowadziły na wyższą kondygnację, gdzie mieściły się ciemne obecnie biura. Njangu wszedł na kilka stopni i spojrzał w głąb magazynu. Usłyszał głosy z dalszej części, wskazał Raumom drogę i zszedł.

Grupy, które skierowały się do dwóch bocznych drzwi, nie miały żadnego kłopotu z wejściem. Trzecia jednak, ta od nabrzeża, od razu została zauważona.

Angie błyskawicznie sięgnęła po broń i zastrzeliła dwóch pierwszych Raumów, zaraz

potem jeden z Brodaczy rzucił granat pod drzwi. Raumowie cofnęli się w popłochu.

Garvin z drugiego końca magazynu dojrzał mężczyznę z blasterem. Zastrzelił go, przyklęknął i na wszelki wypadek posłał jeszcze całą serię w tamtym kierunku.

Jakiś Brodacz mu odpowiedział i Jaansma przytulił się do najbliższej półki. Nagle coś lepkiego załało mu oczy. Otarł twarz dłonią i z przerażeniem stwierdził, że jest czerwona. Gdy jednak pierwsze krople dotarły do ust, uspokoił się. Pocisk trafił w karton likieru. Garvin przetoczył się za następny rząd półek i posłał połowę magazynka w dezerterów.

W magazynie zapanowało pandemonium. Co rusz ktoś krzyczał albo strzelał, coś spadało z hukiem albo eksplodowało. Dwie grupy, które weszły bocznymi drzwiami, próbowały przeskoczyć przez otwartą część załadunkową, ale piątka Brodaczy, świadomych, że nie mogą liczyć na litość Raumów, skryła się za stosem palet i metodycznie ostrzeliwała atakujących.

–Niespodzianka! – zawołał Njangu, stając za ich plecami z bronią przy ramieniu.

Obrócili się, ale za późno. Jego blaster zadudnił i cała piątka padła w drgawkach.

Njangu momentalnie ogłuchł od tego jazgotu. Jakiś Raum zaczął nim potrząsać, poruszając ustami. Yoshitaro zorientował się, że mężczyzna krzyczy: „Załatwiliśmy ich!

Załatwiliśmy ich!” Chwilę później Raum otrzymał jednak dowód, że bardzo się mylił. Przebijająca się do tylnego wyjścia Angie zdmuchnęła mu głowę z karku i pognąła dalej. W biegu zmieniła magazynek i wypadła przez drzwi na nabrzeże. Towarzyszący jej Brodacz przystanął, aby strzelić w głąb magazynu, gdzie pojawiły się płomienie i z każdą chwilą przybywało dymu.

Garvin starannie wycelował i odstrzelił mężczyźnie połowę klatki piersiowej.

–Przerwać! Wycofujemy się! – krzyknął zaraz potem. Uciekli!

Trwało chwilę, zanim Raumowie otrząsnęli się z bitewnego szalu i przystanęli pośród porzrzuconych ciał.

I to na tyle, jeśli chodzi o jeńców, pomyślał Garvin. Nie był zaskoczony, że ich nie wzięli. Złapał jakiegoś rannego, jęczącego Rauma i razem pospieszyli do wschodniego wyjścia. Policja powinna zjawić się z przeciwnej strony. Dowódcy krzyczeli, żeby brać rannych i poległych.

Niektórzy słuchali, niektórzy od razu rzucali się do ucieczki. Njangu szedł na samym końcu, z ciałem jakiejś kobiety przerzuconym przez ramię. Po chwili byli na zewnątrz,

w środku zaś ogień ogarniał coraz to nowe regały i palety. Z otworów wentylacyjnych na dachu sączył się dym. Njangu usłyszał wycie syren, ale uznał, że to już go nie dotyczy, i pobiegł bocznymi uliczkami w kierunku Eckmuhl.

Zdyszana Angie Rada skręciła za róg i ujrzała blokujący ulicę policyjny ślizgacz, a za nim sześciu celujących do niej policjantów.

–Rzuć broń! – zadudniło z zamontowanego na ślizgaczu głośnika.

Angie zanurkowała w wejście do sklepu. Strzeliła raz, uciszając megafon, a potem drugi, do jednego z policjantów. Gliniarz złapał się za nogę, wijąc się z bólu.

–Chodźcie, dranie! – zawołała z wściekłością. – Chodźcie do mnie!

Eckmuhl opanowała tego wieczoru dzika radość i nikt, ani w wojsku, ani w policji, nie był tak szalony, żeby posyłać tam patrole. Njangu i Garvin siedzieli z Poynton w wybranym na tę noc bezpiecznym lokalu.

–Pójdziemy się zabawić? – spytał Garvin. – Oczywiście z eskortą. Chyba zasłużyliśmy.

–Później – odparła. – Najpierw powinieneś kogoś poznać, Njangu.

Po chwili otworzyły się drzwi i wszedł jakiś mężczyzna. Był średniego wzrostu i zdawał się nie odznaczać niczym szczególnym, jeśli nie liczyć szerokiej piersi i muskularnych ramion. Jednak gdy Njangu popatrzył mu w oczy, stwierdził, że ich spojrzenie przyciąga i pali jednocześnie.

–To jest Wielki – niepotrzebnie powiedział Garvin.

Njangu wyciągnął rękę, ale mężczyzna nie odwzajemnił typowego w Konfederacji powitania. Jedynie skinął głową.

–W tej chwili nazywam się Tver – powiedział. – Ale to się zmienia. Nie lubię, jak nazywa się mnie Wielkim. W Ruchu nie ma dużych i małych.

Njangu spojrzał na niego sceptycznie, niepewny, czy Brooks naprawdę wierzy w to, co mówi.

–Wydaje się, że macie obaj pozytywny stosunek do naszej sprawy – powiedział Brooks.

Garvin skłonił głowę.

–Z naciskiem na „wydaje się” – dodał Brooks. – Pomogliście nam... ale tym samym pomogliście również rentierom.

–W jaki sposób? – spytał z zaciekawieniem Njangu.

–Armia będzie z pewnością zachwycona, że pozbyła się tych szaleńców. Jej zabójcy działają o wiele subtelniej. Ci zaś, którzy naprawdę mają władzę nad systemem, też znajdą powody do radości. Bez wątpienia byli świadomi, że każda zbrodnia Brodaczy coraz bardziej skłaniała naszych braci i nasze siostry do porzucenia biernej postawy.

–Pańskie myśli podążają dziwnymi drogami – stwierdził mało przyjaźnie Garvin.

–Dzięki temu wciąż żyję, a Ruch rośnie w siłę – powiedział Brooks tak spokojnie, jakby po prostu relacjonował fakty. – Ale nie złościę się na mnie. Z czasem, gdy podejmiecie się następnych zadań, najpewniej wyjdzie czarno na białym, że nie mam racji i kierowały mną wyłącznie uprzedzenia. Albo i nie – dodał na koniec i wyszedł.

Poynton wzruszyła ramionami.

–On już taki jest. Ale uwielbiamy go za to i chętnie podporządkowujemy się jego rozkazom.

–Może i tak – mruknął Garvin. – Nie wiem jednak, czy go polubię. Mam ochotę wyjść stąd i poszukać mas ludowych, które okażą mi wdzięczność. Idziesz?

–Może za chwilę – powiedział Njangu. – Najpierw chcę się ogolić i wykąpać.

Spotkajmy się... Może koło tego wielkiego kościoła? O północy?

–Dobra. Gdybym nie dotarł, będzie to znaczyło, że znalazłem lepsze towarzystwo.

–I ja tak samo.

Garvin uniósł kciuk. Njangu odpowiedział tym samym gestem i wyszedł.

–Twój przyjaciel nie boi się mówić, co myśli – zauważyła Poynton.

–Zgadza się. Dlatego bardzo mnie potrzebuje. Ktoś musi go wyciągać z kłopotów.

–Co powiesz na to, żebym okazała ci nieco wdzięczności? – spytała Poynton. – Mam butelkę dobrego, chociaż tutejszego wina. Trzymałam ją na jakąś dobrą okazję, a nie lubię pić sama.

–To jesteśmy umówieni, mistrzyni wywiadu. Tylko daj mi pół godziny. Muszę wreszcie zmyć z siebie strach.

Njangu zakręcił staromodny prysznic i spojrzał na ostatnie krople kapiące z pordzewiałego sitka. Łazienka nijak nie przypominała pełnego ruchomych armatek wodnych przybytku w koszarach, o tym, co można było znaleźć w luksusowych

hotelach, już nie mówiąc. Jednak nawet taki kontakt z wodą był znacznie lepszy od obsikania przez bandytę i trochę lepszy niż to, z czego korzystał w zatłoczonym mieszkaniu, w którym wyrósł.

Na zewnątrz słyhać było ciągle radosny ryk świętującego tłumu. Njangu odchylił zasłonę i sięgnął po ręcznik.

–Nie patrzę – powiedziała Poynton.

Wycierając się, Njangu myślał o szefowej wywiadu Raumów. Obawiał się, że się do niego dobierze... nie jak do szpiega... czy jednak nie powinien jej na to pozwolić, gdyby okazała zainteresowanie? Z pewnością nie była brzydka i żadną miarą nie była głupia. „Dziwna sprawa”, mruknął pod nosem, obwiązując się w pasie ręcznikiem.

–Na pewno nie podglądałaś?

–Może trochę.

Wyszedł spod prysznic. Poynton siedziała ze skrzyżowanymi nogami na rozeschniętym drewnianym cebrze, który czasy swojej świetności przeżył wieki temu, gdy budynek zasiedlali o wiele bogatsi lokatorzy, a mieszkania nie były jeszcze podzielone na ciasne klitki. Miała na sobie luźny niebieski kombinezon przewiązany w pasie.

Była boso i pachniała egzotycznymi owocami. Przypominała w tej chwili po prostu kobietę, a nie bojowniczkę o wielką sprawę, i Njangu doszedł do wniosku, że jest najwyżej dwa albo trzy lata starsza od niego. Coś się w nim poruszyło. Minęło już sporo czasu, odkąd Deira i...

Odsunął to wspomnienie i spojrzał na Poynton.

Obok niej leżał pistolet, z którym chyba nigdy się nie rozstawała. Nieco dalej stała otwarta butelka wina i dwa kieliszki od kompletu. Nalała złocistego trunku i podała mu jeden z nich.

–Za zwycięstwo.

–Za zwycięstwo – powtórzył zupełnie szczerze Njangu.

Wzięła butelkę i poszła do dużego pokoju. Na ścianach widać było ślady po wyrwanych przewodach.

–Nie musiałeś tak dokładnie niszczyć mojego sprzętu – powiedziała.

–Przepraszam, ale nie lubię, jak się mnie szpieguje.

Poynton skrzywiła się.

–Im mniej wiemy, tym bardziej ryzykujemy.

Njangu nie odpowiedział. Podszedł do okna i wyrżał. Ulice były pełne śpiewających i tańczących Raumów. Zamiast wiecznie zepsutych latarni zapalono pochodnie. Z dwóch miejsc dobiegała muzyka, z każdego inna.

–Tak obchodziliśmy kiedyś wszystkie nasze święta – powiedziała Poynton, podchodząc do Njangu. Stała za nim.

–I znowu będziecie.

–Mam nadzieję. – Upiła wina. – Ale wielu już tego nie doczeka.

–Ból mija z czasem. Tylko dlatego w ogóle daje się żyć.

Poynton zastanowiła się nad jego słowami.

–Ciekawa obserwacja jak na kogoś tak młodego.

Njangu uniósł kieliszek i przepił do niej.

–Mam się odwrócić, żebyś mógł się ubrać, nim sprawdzimy, gdzie i jak można się zabawić?

–Z moją eskortą i twoją obstawą?

–Tak.

–Nie ma tam żadnych obcych?

–Nie.

–Nie chce mi się jeść. A tobie?

–Też nie. Ale jestem trochę spragniona.

–Mamy wino.

–Tak...

Njangu wyciągnął rękę i musnął paznokciem jej szyję. Poynton wstrzymała oddech.

–To całkiem miłe – powiedziała cicho. – Chyba nawet bardziej, niż powinno.

–Czy zasady Ruchu zabraniają fraternizacji z kimś tak mało ważnym jak ja?

–A dlaczego by miały? Jesteśmy wrażliwym ludem. Przynajmniej pod pewnymi względami.

Przeciągnęła się, unosząc ręce nad głową. Była tylko kilka centymetrów niższa niż on.

Njangu przysunął się bliżej. Podała mu wargi i zamknęła oczy.

Pocałował ją. Objęła Njangu, zetknęły się ich języki. Z każdą chwilą poczynwały sobie coraz energiczniej. Jego ręce rozpięły pasek jej kombinezonu, zsunęły górną część stroju.

Przyłgnęła sutkami do jego piersi.

Usta oderwały się od siebie.

–Długo czekałam – szepnęła. – W dżungli smród izoluje ludzi.

Zsunęła z niego ręcznik i pozwoliła swojemu skafandrowi opaść do kostek. Njangu wziął ją na ręce i zaniósł na łóżko. Była bardzo lekka.

Garvin rozsiadł się wygodnie pod kamienną ścianą wielkiego kościoła i patrzył na rozbawiony tłum. Był lekko pijany i całkiem zadowolony z życia. Njangu chyba jednak kogoś znalazł, pomyślał. Może Poynton...? Nie, niemożliwe. Ona nie wie, co to nagość, myśli tylko o rewolucji. Szkoda, bo po prawdzie nie wygląda wcale najgorzej. Gdyby się trochę częściej uśmiechała...

–Proszę pana?

Przed Garvinieni stała bardzo młoda ruda dziewczyna. Włosy miała krótko przystrzyżone, wargi, paznokcie, powieki i uszy pomalowane na niebiesko. Nosiła szerokie ciemnoczerwone spodnie oraz bluzkę w podobnym kolorze i z taką ilością zdobień, że wyglądała przez to na jeszcze bardziej smarkatą, niż była.

–Cześć... – rzucił, uśmiechając się lubieżnie.

–Pan jest jednym z tych, którzy przeszli do nas z armii, prawda? Mój znajomy, który tam stoi, powiedział, że to pan poprowadził dziś atak na Brodaczy. – Pokazała palcem i Garvin poznał jednego ze swoich strażników.

Trzeba będzie zrobić coś z tym gadułą, pomyślał.

Dziewczyna musiała dostrzec grymas na jego twarzy.

–Wszystko w porządku, proszę pana. Ja też jestem w Ruchu. Robię na zewnątrz za przynętę. Siedmiu już podprowadziłam – dodała z dumą.

Garvin nie okazał, że jej słowa zrobiły na nim nie mile wrażenie.

–Wczoraj widziałam, jak z jeszcze jednym byłym żołnierzem wchodził pan do pewnego naszego domu.

–Tak?

–To był wysoki mężczyzna o ciemnej karnacji. Przystojny, krótko ostrzyżony.

–Może i znam kogoś takiego – stwierdził ostrożnie Garvin.

–Powiedział mi, że nazywa się Njangu.

–Tak, to może być mój przyjaciel.

–Wie pan, gdzie on jest? Kiedyś spędziłam z nim kilka chwil... Zanim jeszcze zdecydował się do nas dołączyć. To było... dość miłe. Chciałabym wiedzieć, czy on chce... żebyśmy znowu się spotkali.

–Nie mam pojęcia, gdzie teraz jest – odparł szczerze Garvin. – Najmniejszego.

–Szkoda. – Dziewczyna była wyraźnie rozczarowana, ale nagle pojaśniała. – A czy pan jest z kimś? Mam na imię Limnea.

Garvin pokręcił głową.

–Czuje się pan samotny?

–Nieprzesadnie.

–Och. Dobra, jak mawiacie w armii. – Odwróciła się. Chyba tylko ja jedna nie lubię być sama.

Garvin pomyślał o Jasith. Wzgórza były bardzo daleko. Znowu spojrzał na dziewczynę. Było późno, a on był sam i ciągle czujny. Jeszcze nie dotarło do niego, że przeżył krwawą jatkę w magazynie.

–Nie. Nie ty jedna.

Dziewczyna odwróciła się, w jej oczach błysnęła nadzieja.

–Pokażesz obcemu, jak świętuje się w Eckmuhl? zapytał.

–Oczywiście – powiedziała z uśmiechem i oblizwała wargi. – Wszystko ci pokażę.

Njangu upewnił się, że Poynton mocno śpi, przeszedł nad nią i wstał z łóżka.

Ubrał się pospiesznie i wyszedł na korytarz. Drzwi same powoli się przymknęły. Pokój jego eskorty był zamknięty. Nastawił ucha. Ktoś tam chrapał. Jasne, pomyślał, po co się przepracowywać, gdy szefowa wzięła sprawę w swoje ręce. Długimi, zniszczonymi schodami zszedł na ulicę.

Dwie przecznice dalej trafił na nie zdewastowany aparat telefoniczny. Przeszedł obok niego i zawrócił, aby się upewnić, że nikt go nie śledzi. W końcu wrzucił kilka monet.

Ciekawe, ilu szpiegów dało głowę, bo nie mieli drobnych na telefon, pomyślał w przyływie czarnego humoru, czekając, aż ktoś odbierze.

–Sybilla Centrala – rozległ się zaniepokojony głos.

–Obudź Hedleya – nakazał.

Rozmówca zaprotestował.

–Budź go, do cholery. Mówi Czarna Sybilla.

Facet gdzieś poszedł. Njangu czekał przy aparacie. Gdyby ktoś nadszedł... żałował, że nie wziął Poynton pistoletu. W końcu usłyszał Hedleya.

–Słucham i nagrywam.

Njangu streścił wydarzenia ostatnich dni. Ułożył sobie meldunek, czekając, aż Poynton zaśnie. Gdy skończył, zapadła cisza. – Śmiała robota – powiedział w końcu Hedley.

–Wydawało nam się, że tak będzie najlepiej.

–Nie mogłeś dać nam znać? Nie odezwałeś się, odkąd zniknąłeś za murem.

Zaczynaliśmy się niepokoić.

–Szefie, do cholery, chce pan sam tu przyjść straszyć tych skurczysynów?

–Wybacz. To będzie stały kontakt?

–Nie. Ciągłe szukamy jakiegoś sposobu, żeby regularnie się meldować. To jeszcze nie to.

–Co szykują?

–Więcej tego samego. Napady, zamachy bombowe. Gromadzą siły.

–To wiem i bez ciebie. Możemy coś dla was zrobić?

–Tak – przyznał Njangu. – Weźcie dowódcę Garvina, Dilla, oraz jego załogę i najlepszego griersona, jaki jest w Grupie. I jeszcze parę zhukovów. Gdy się zacznie, będziemy musieli stąd wiać ekstraszwingiem. Może być gorąco.

–Dobra. Tylko informuj nas.

–A mam jakiś wybór?

–Wiesz, czego teraz chcę? – powiedziała Limnea. Rozciągnęła się nago na łóżku obstawionym świecami.

–Czego? – zapytał Garvin, starając się ukryć zmęczenie. Swoją drogą drań z tego Njangu, pomyślał. Tylko dlatego, że tak długo pieprzył przynętę, aż nie miała siły nikogo wezwać, ja muszę teraz robić za superogiera. Panie w niebiesiech... chciałbym się zająć czymś naprawdę sensownym, na przykład spaniem.

–Otwórz szufladę – powiedziała Limnea. Szuflada była pełna długich i szerokich pasków materiału. – Weź cztery i przywiąż mi ręce i nogi do łóżka.

Garvin zrobił, co chciała. Przy okazji przyjrzał się jej pupie i uznał, że w gruncie rzeczy nie jest aż tak zmęczony.

–Teraz nie mogę się ruszyć – szepnęła dziewczyna. – Możesz zrobić ze mną, co tylko chcesz. Możesz mnie wysmagać, jeśli masz ochotę. Albo nawet... zrobić krzywdę.

–Chyba nie przepadam za...

–A ja lubię – szepnęła zmysłowo. – Lubię, gdy nie mogę powstrzymać mężczyzny przed zrobieniem ze mną, co mu tylko przyjdzie do głowy. Pochyl się, a powiem ci, czego pragnę.

Usłyszał i lekko wstrząśnięty zamrugał.

–Jesteś pewna?

–O tak! Można? Proszę, zrób mi to!

Njangu miał wrażenie, że przez ten czas, gdy go nie było, Poynton nawet się nie poruszyła. Wciąż leżała lekko skulona na boku. Zrzucił ubranie i spróbował wrócić niezauważenie na swoje miejsce od ściany.

Drgnęła.

–Gdzie byłeś? – spytała zaspanym głosem.

–W toalecie.

–Mmmm – mruknęła, obróciła się na plecy i odrzuciła koc. – Skoro oboje nie śpimy... – powiedziała, obejmując go nogami w pasie i przyciągając do swojego rozgrzanego ciała. – Jutro znowu zacznie się wojna.

Policja zastrzeliła ostatnich dwóch Brodaczy dwa dni później. Doszło to tego, gdy próbowali napaść na wóz dostawczy.

Poynton miała rację – wojna trwała. Podstępna i krwawa, przeniosła się na ulice, plaże i wyspy.

–Zwycięstwo jest już blisko – powiedział caud Williams do dziennikarzy. – Czekają nas jeszcze tylko kilka miesięcy coraz mniej dokuczliwych niepokojów. Jeśli wszyscy, od rentierów po Raumów, połączą siły, Cumbre zazna wreszcie zasłużonego pokoju.

Przedstawiciele mediów nagrodzili go owacją. Pierwszym i najgłośniejszym jej uczestnikiem był Loy Kuoro z „Matin”.

Niejawne biuletyny informacyjne podały, że kolejne trzy wyspy znalazły się pod kontrolą Raumów. Upomniane w porę media nie wspomniały o tym ani słowem.

Njangu i Garvin zostali oddelegowani przez Brooksa do szkolenia nowych nabytków Ruchu. Nadal mieli eskortę i nigdy nie opuszczali Eckmuhl.

Jo Poynton jeszcze dwa razy pytała Njangu, czy nie miałby ochoty spędzić z nią nocy, ale poza tym nie dało się zauważyć żadnej zmiany w ich codziennych kontaktach.

Gdy byli sami, Njangu wypytywał ją o wszystko, o co tylko śmiał zagadnąć, ona zaś opowiedziała mu ze szczegółami urastającą już do rozmiarów legendy historię niedoścignionego Brooksa i jego szybkiego awansu w szeregach Ruchu.

Ani Yoshitaro, ani Jaansma nie zdołali ani na chwilę wyrwać się spod opieki, aby złożyć meldunek Hedleyowi.

Nad wyspą Dharma pojawiła się spadająca gwiazda. Jaśniejsza niż wszystkie trzy księżycy w pełni, przemknęła po nocnym niebie i zniknęła na zachodzie, gdzie leżała nie zamieszкана i porośnięta gęstą dżunglą wyspa Mullion. Wielu Cumbrian uznało to za znak, chociaż nie było zgody w kwestii, co owo zjawisko miałyby zwiastować.

Raumowie wszelako uznali, że to znak od Jedynego, który ich stworzył, i że ich dzień jest już blisko.

–Sir! – Świeżo mianowany finf Hank Faull zasalutował regulaminowo.

–Siadaj sobie – powiedział Hedley. – Mam pewną propozycję dla każdego z tej kompanii, kto ma jakieś doświadczenie w kontaktach z Raumami. Chodzi o przeniesienie do Sekcji II połączone z promocją na deca, a może nawet na twega. U nas jest cieplej, dają lepiej jeść, z nami też bezpieczniej jest chodzić na patrole.

Gdybyś nie zauważył, ostatnio nie wiedzie nam się najgorzej.

–Nie, dziękuję, sir.

–Nawet się nad tym nie zastanowisz?

–Nie, sir.

–To nie moja sprawa, ale dlaczego? – spytał Hedley.

–Nie mam długich uszu – powiedział Faull z lekką urazą.

–Chcesz powiedzieć, że nie będziesz szpiegował tych, których kiedyś dobrze znałeś?

–Właśnie, sir.

–Szpiegowanie hańbi, ale zabijanie nie?

Faull nie odpowiedział.

–Nie będę się kłócił – stwierdził Hedley. – Do diabła, na twoim miejscu pewnie postąpiłbym tak samo. Bez urazy?

–Oczywiście, sir.

–To zjeżdżaj i zajmij się czymś pożytecznym.

–Nie będę pana okłamywać, sir – powiedział cent Angara. – Po prostu mieliśmy wiele szczęścia. – Caud Williams i mil Rao spojrzeli na nagranie przedstawiające na wpół skryty w dżungli wrak statku kosmicznego. – Trzymaliśmy akurat w powietrzu griersona zwiadu elektronicznego, który szukał na ziemi celów dla towarzyszących mu zhukovów eskadry Golan, gdy ten „meteoryt” wszedł w atmosferę. Jeden technik z griersona sprawdził go i okazało się, że to statek kosmiczny. Kontrola lotów układu zameldowała jednak, że nie oczekuje żadnej jednostki, dowódca griersona wywołał więc obcy statek i zarządził manewry unikowe. Zaalarmował też eskadrę Golan, a jej dowódca, niejaki haut Chaka, uznał statek za wrogi i rozkazał wystrzelić raketę Shadow. Uzyskali trafienie i prześledzili tor lotu intruza, aż skraksował. I znowu mieliśmy szczęście, bo wrak się nie zapalił, chociaż cała trzyosobowa załoga zginęła.

–Kim byli? – spytał Rao.

–Oficjalnie nie udało się tego ustalić. Mundury i wyposażenie mieli jak spod igły.

Jednak gdy znalazłem się tam zaraz o świcie, sprawdziłem ich chłodnie. Żywność i napoje pochodziły z Lariksa i Kury. Znam ich produkty.

Rao spojrzął na Williamsa, który poczerwieniał ze złości, chociaż głos wciąż miał spokojny.

–A ładownie były pełne tego? – Wskazał na otwartą skrzynię z wyściółką, w której leżało pięć nieskomplikowanych karabinów.

–Tak, w liczbie około dwóch tysięcy sztuk, sir. No i amunicja. Na żadnej nie ma sygnatury producenta ani numeru seryjnego.

Rao wziął jeden z karabinów i spojrzął przez prosty celownik.

–Są dość prymitywne – ocenił.

–Ale można z nich zabić – warknął Williams. – Gdzie miał wylądować ten statek?

–Nie wiemy na pewno, sir. Rozkazałem, żeby ten grierson sprawdził wszystkie pasma, i dodałem mu jeszcze dwie maszyny do pomocy. Wyłowili słaby sygnał emitowany z miejsca położonego na wybrzeżu jakieś dziesięć kilometrów od Leggett, ale urwał się, gdy kazałem im wziąć kurs na źródło emisji.

–Skurwysyn niejebany – zaklął Williams. Rao spojrzął na niego ze zdumieniem.

Dowódca Grupy prawie nie używał takiego języka. – Nie dość, że mamy Raumów na karku, to jeszcze ktoś, kto powinien być po naszej stronie, próbuje wbić nam nóż w plecy.

–W zasadzie to nic zaskakującego, sir – powiedział Rao. – Zwłaszcza jeśli pamiętać, jak bardzo protektor Redruth pragnął nam ostatnio „pomóc”.

–Jeśli Raumowie wygrają, z kimś będą musieli handlować, a biorąc pod uwagę, jak bardzo nienawidzą musthów, wyrzucą ich zapewne z Cumbre C, będą więc potrzebowali kogoś zdolnego zapewnić im ochronę. Wypada na Redrutha. Na pewno jest pewien, że na dłuższą metę spokojnie podporządkuje sobie Raumów. W końcu ma flotę kosmiczną i więcej wojska niż my. Wtedy cały układ będzie jego.

–Ale jak nawiązał kontakt z Raumami? Macie jakieś informacje, czy w jego otoczeniu przebywał ich łącznik?

–Nie, sir.

–A ci wasi ludzie, których im podsunęliście, niczego nie słyszeli?

–Sir, nie jesteśmy w bezpiecznym miejscu – zaprotestował Angara.

–Moja własna baza nie jest bezpieczna, do cholery – warknął Williams. – Przepraszam za wulgarność, wymknęło mi się. – Pokręcił głową. – Gdy byłem

aspirantem na Centralnym, nikt mnie nie uprzedził, że będę musiał zajmować się też międzyplanetarną ekonomią, wymianą handlową, mineralogią...

–Mnie też nie, sir – powiedział Rao.

Angara wolał nie komentować.

–Zniszczyliście resztę tej broni?

–Nie, sir – odparł Angara. – Złożyliśmy w jednym z naszych arsenałów. Na wszelki wypadek.

–Dobrze – powiedział Williams. – Broni nigdy za dużo. Chodźmy, milu Rao. Dodamy trosk gubernatorowi. A potem pomyślimy nad przeróbką paru naszych statków na patrolowce zdolne upilnować obrzeża układu. A niech to. Jakbyśmy nie mieli dość wrogów...

Pewnego popołudnia Njangu znowu natknął się na Brooksa, który łypnął na niego ponuro i bez słowa zniknął w pokoju Poynton. Gdyby groziła nam dekonspiracja, pomyślał Njangu, co oczywiście nam nie grozi, można by sądzić, że Wielki coś podejrzewa.

Jednak nie ma po temu żadnego powodu. Żadnego. Chyba gryzie go coś innego.

Niemniej Yoshitaro opatulił szczelnie pluskwę w pokoju, który zajmował razem z Garvinem, i spędził kilka godzin na mrówczej pracy.

–Przykro mi, szefie – powiedziała znużonym tonem Monique Lir. – Żaden z kandydatów nie nadawał się nawet do tego, żeby prawdziwemu zwiadowcy buty wylizać.

Odrzuciłam wszystkich.

Hedley skrzywił się.

.– Nie dość, że dostajemy w dupę od Raumów, to jeszcze nie możemy znaleźć narybku, żeby ratować się jakoś w czarnej godzinie. Będę cały w skowronkach, gdy to się skończy. Wtedy zaczną do nas napływać prawdziwe talenty. O ile wygramy, oczywiście.

–Kto niby? – spytała Lir. – Myślisz, że odzyskamy łączność z Konfederacją?

–Na to nie liczę. Chcę powiedzieć, że zaczniemy przyjmować Raumów.

Lir zachichotała. Hedley zarechotał.

–Bo skąd będą się po tej wojnie rekrutować najlepsi żołnierze? Spośród tych, którzy przegrali.

–A jeśli my przegramy, będę mogła się zgłosić do ich kompanii zwiadu.

–Jasne. A ja będę drugi, zaraz za tobą.

Późną porą tej samej nocy Poynton odwiedziła Brooksa w piwnicy, która akurat pełniła funkcję kwatery głównej. Nie było tam wiele miejsca. Brooks nie pozwalał, żeby nawet jego łącznościowiec mieszkał w tym samym budynku co on. Obawiał się namierzenia.

W pokoju znajdowała się tylko prycza, stół z mapą przyciśniętą pistoletem oraz mały plecak z paroma osobistymi drobiazgami, które uznawał za potrzebne.

–Mogę na chwilę? – zapytała Poynton.

Brooks skinął głową.

–Dostałam wiadomość od szefa mojej siatki na Cumbre C – powiedziała. – Pojutrze odleci stamtąd frachtowiec Mellusin Mining, którego cała załoga jest po naszej stronie.

Weźmie ładunki wybuchowe i nieco wyposażenia dla Ruchu.

–Wiem o tym transporcie.

–Na frachtowcu jest mała kabina pasażerska dla urzędników Mellusina. Moglibyśmy bez kłopotu umieścić tam twoją żonę i dzieci. Gdy statek wyląduje, bez trudu przeprowadzimy ich do Eckmuhl.

Na twarzy Brooksa pojawił się cień nadziei. Szybko jednak zniknął, a bojownik energicznie pokręcił głową.

–Nie ma praktycznie żadnego ryzyka – powiedziała Poynton. – To są dwuskładnikowe materiały wybuchowe, na dodatek idealnie...

–Nie – uciął ostrym tonem.

–Tak, sir.

–Czekaj... Nie chcę, żebyś mnie źle rozumiała. Nie mówię tego z nadmiernej troski o bezpieczeństwo moich dzieci. Ani żony, która nic dla mnie nie znaczy.

Opuszczając Cumbre C, przysięgłem żyć tylko dla Ruchu. Niezależnie od tego, jak bardzo chcę zobaczyć dzieci, gdybym sobie pozwolił na sprowadzenie ich tutaj...

albo pozwolił naszym ludziom marnować nato energię, zdradziłbym sam siebie. Stałbym się o wiele słabszy. A pozwolić sobie na słabość... jak mógłbym wtedy krytykować kogoś, kto poświęca czas służby na prywatne sprawy? Czy nie mam racji? – Ostatnie zdanie w gruncie rzeczy nie było pytaniem.

Poynton spojrzała w jego gorejące oczy i wyszła z pokoju. Przeraził ją jego fanatyzm... chociaż coś w niej powtarzało: Ale to dlatego on nas prowadzi, a my idziemy za nim...

–Kiedy, u diabła, wyciągniemy wreszcie Garvina? spytała Kang.

Ben Dill pokręcił głową.

–Nie wiem. Nic mi nie powiedzieli.

–On w ogóle żyje? – zagadnął Górecki.

–Uważają, że tak. Inaczej chyba wysyłaliby nas na normalne patrole, a nie kazali siedzieć i czekać w tym wypucowanym na glanc griersonie.

–Szkoda mi tej jego dziewczyny – powiedziała Kang. – Nazywa się Mellow czy Mellis. Obgryzie wszystkie paznokcie.

–Jest bogata. Do diabła z nią – mruknął Górecki, chociaż wcale tak nie myślał.

Ben wyjrzał przez właz na puste lądowisko, a po chwili wrócił do czyszczenia i tak nieprzyzwoicie lśniącego peryskopu.

–Bracia Jaansma i Yoshitaro, obmyśliłem dla was zadanie, o którym wspominałem – powiedział Brooks. – Powinniście wiedzieć, że nasz dzień zbliża się wielkimi krokami i niebawem będziemy mogli wydać naszym prześladowcom ostatnią bitwę.

Garvin zamrugał, a Njangu wykrztusił:

–Tak, sir. Jesteśmy gotowi.

–Dobrze. Na razie nie ustawajcie w szkoleniu naszych bojowników, ale nie dostaniecie już nowych rekrutów, tylko weteranów. Ustalcie, którzy z nich nadają się na dowódców drużyn prowadzonego przez was oddziału, z którym będziecie walczyć w dniu D.

Wtedy też dowiedzie się, jakie jest wasze zadanie.

–A jakie ono będzie? – zaryzykował pytanie Garvin.

–Byłoby głupotą, gdybym powiedział teraz każdemu, jaka rola mu przypadnie.

Rzykowałbym dekonspirację. Niemniej mogę wam trochę zdradzić. To będzie coś, do czego tylko wy dwaj macie kwalifikacje. Okryjecie się chwałą, o jakiej nigdy nawet nie marzyliście.

–Skinął im głową i wyszedł.

Gdy znaleźli się na ulicy i skręcili za róg, Njangu zapytał Garvina:

–Domyślasz się, co dla nas wykombinował?

–Nie. Ale intuicja podpowiada mi, że to będzie coś paskudnego.

–Założę się o każdą sumę, że będzie chciał rzucić nas i naszych zabijaków przeciwko Grupie – powiedział Njangu. – Z jego punktu widzenia to byłby najwłaściwszy wybór.

–No to leżymy... Ale założę się, że masz rację. – Garvin milczał przez chwilę.

–Wiesz,

Njangu, zaczynam się zastanawiać, czy nie zabić tego szubrawca. Czy ten facet w ogóle słyszał o lojalności?

–Chyba nie. W każdym razie nie jest lojalny wobec ludzi, lecz tylko wobec tego przeklętego Ruchu. A jedyny sposób, aby go powstrzymać, to zabić drania, zanim on zabije nas.

–Jest tu pewien żołnierz, który chciałby się z panienką widzieć, panno Jasith – powiedział służący.

Jasith poczuła, jak serce uderza jej mocno dwa razy, a potem zatrzymuje się na chwilę.

–Oficer? – Oglądała kiedyś holo, na którym po śmierci pewnego żołnierza oficer przyszedł do jego domu, aby przekazać smutną nowinę żonie.

–Chyba nie. Oficerowie mają te swoje znaczki tutaj, na ramionach, a ten ma na rękawach.

Jasith ruszyła ku drzwiom. Jeden z jej wszechobecnych ochroniarzy wyszedł ze swojej pakamery i wyjął pistolet z kabury.

W obszernym holu stał największy człowiek, jakiego kiedykolwiek widziała.

Chociaż był wielki, patrzył przyjaźnie, nie przestraszyła się więc.

–Panno Mellusin, nazywam się Dill. Ben Dill.

–Słyszałam o panu. Pan był... jest dowódcą Garvina w tym waszym czołgu. To znaczy mówi mu pan, co ma robić.

Dill skinął głową.

–Wie pan o nim cokolwiek?

Dill spojrzał na ochroniarza, który twardo odwzajemnił spojrzenie.

–Niech pani każe mu odejść. Albo nic nie powiem.

–Dak?

–Mam swoje rozkazy, proszę pani.

Jasith czekała bez słowa, aż Dak zostawi ich samych. W końcu niechętnie wyszedł.

–Mam tylko chwilę – powiedział Dill. – I uprzedzam, że nie odpowiem na żadne pytanie. Mogę tylko przekazać, że Garvin żyje.

–Skąd pan wie?

Dill potrząsnął głową.

–Nie mogę powiedzieć. I tak naruszam zasady bezpieczeństwa, zdradzając pani tę informację, proszę więc nikomu jej nie przekazywać, nawet ojcu. Proszę pamiętać, że 1zaszkodziłaby pani tym Garwinowi. Pomyśleliśmy jednak... to znaczy ja pomyślałem... że powinna pani wiedzieć. Przepraszam. Muszę już iść.

–Proszę poczekać. Odwiozę pana, gdzie tylko...

Ale żołnierz już wyszedł i cicho zamknął za sobą drzwi. Zanim Jasith dobiegła do nich i wyrzła na dwór, zniknął gdzieś. Nikt, ani krążące po posiadłości patrole, ani strażnicy z posterunku na końcu długiego podjazdu, nie widział, jak wchodził czy wychodził.

–Zbliża się wasz czas – powiedziała Jo Poynton. – Za trzy dni otrzymacie rozkazy. Tymczasem odpoczywajcie i przygotowujcie się do akcji, bo to będzie najważniejsze wydarzenie w waszym życiu. – Mówiła to z takim wyrazem twarzy, jakby obiecywała im, że wkrótce dostąpią nirwany.

–Cały czas jesteśmy gotowi – powiedział Garvin, w miarę swoich sił pozując na bohatera.

–Wiem – powiedziała Poynton. – Świetnie o tym wiem.

–Więc wkrótce gównu zacznie lecieć z nieba – mruknął Garvin. – Tymczasem my utknęliśmy w tej norze i nie możemy rozpieprzyć im operacji.

–Może tak, może niekoniecznie – powiedział Njangu. – Rozejrzałem się trochę po tej ruderze.

–I co?

–Dwa piętra niżej, szóste drzwi. Kiedyś chyba było tam biuro albo melina hazardowa, w każdym razie żaden porządny Raum tam nie mieszkał, bo znalazłem aż cztery linie telefoniczne. I wiesz co? Jedna jest ciągle czynna.

–Garbate aniołki... A jaka jest szansa, że na tej linii nie ma podsłuchu?

–Praktycznie żadna. Dlatego właśnie chcę, żebyś to ty tam poszedł i zadzwonił.

–I zginął przy tej okazji?

–Chyba lepiej, żebyś ty zginął, a nie ja, prawda? Poza tym jest w tobie coś z bohatera, pamiętasz?

–Ugryź się.

–Dobra – powiedział Njangu. – Zagrajmy fair. Rzucimy monetą? – Żadne takie. Pójdę. Głupi jestem, więc pójdę. Gdy tylko zrobi się spokojnie i wszyscy będą udawać, że twardo śpią.

W tym samym budynku mieszkał mężczyzna, który niewiele sypiał, a gdy wychodził na ulicę, odwracał się od ludzi, żeby ukryć paskudnie zniekształconą twarz.

Nazywał się Lompa i był jednym z tych dwóch agentów, którym Poynton kazała zatrzymać Garvina po imprezie u Bampura, na której to pierwszy raz spotkał Jasith. Po spotkaniu z Jaansmą mężczyzna wciąż cierpiał na okresowe bóle głowy i z trudem radził sobie z jedzeniem.

Gdy usłyszał o dezercerze z Grupy Uderzeniowej, od razu uznał, że przywódcy Ruchu popełnili błąd, obdarzając go zaufaniem. Te giptele nigdy się nie zmieniają. Gdy zobaczył żołnierza na własne oczy, poznał w nim tego, który go tak dotkliwie pobił, nabrał pewności, że jest on zdrajcą. W związku z kalectwem Lompa nie był zbyt obciążony obowiązkami i miał dość czasu, żeby śledzić wysokiego blondyna, ilekroć ten gdzieś wychodził.

Tej nocy zauważył wreszcie, że Garvin wymyka się z pokoju, i poczuł, że zbliża się

chwila triumfu. Ujawni knowania tych dwóch zdrajców i nie tylko odpłaci blondynowi za swoją krzywdę, ale jeszcze zostanie nagrodzony za czujność. Ruszył korytarzem w ślad za Jaansmą.

Lompa poszedł za jasnowłosym giptelem do klatki schodowej. Tam policzył do trzech i zszedł na podest. Trzymając nisko głowę, wyrztał zza kolumnienki. Zwierzyna była już piętro niżej. Lompa zszedł kolejne pół kondygnacji, gdy nagle z otwartych drzwi obok niego wyłonił się śledzony. Lompa zebrał się do krzyku, ale zdrajca złapał go za gardło i ścisnął z całej siły. Świat pociemniał Raumowi przed oczami i rozpląnął się, gdy Garvin mocniej zacisnął chwyt. Lompa zwiotczał i osunął się po ścianie.

Ledwie Garvin oderwał ręce od ciała, otworzyły się kolejne drzwi i stanął w nich jeden z ochroniarzy Poynton. Był uzbrojony. Uniósł broń, pozbawiając Garvina wyboru.

Jaansma ugiął nogi, wyciągnął zza paska pistolet i strzelił.

Huk poniósł się po budynku. Po chwili wkoło zaczęły zapalać się światła, rozległy się okrzyki. Garvin skoczył ku schodom, żeby wrócić do pokoju, ale z góry już ktoś zbiegał.

Wypalił szybko trzy razy, na alarm. Miał nadzieję, że Njangu zrozumie, o co chodzi. Zbiegł na sam dół. Kobieta, która pilnowała drzwi, skierowała na niego lufę blastera.

Zastrzelił ją i zabrał broń. Zmarnował chwilę, zdzierając z ciała pas z amunicją, i tuż nad nim w ścianę uderzył pocisk. Odruchowo odpowiedział ogniem i ruszył na tyły budynku, jednak nim się oddalił, uchyliła się jakaś kłapa w ścianie i z dziury wypełził Yoshitaro.

–Spieprzyłeś sprawę? – zagadnął Njangu przyjaciela. – Ale nic, może uda nam się chociaż zabawić.

–W nogi – rzucił Garvin. – Za chwilę będziemy mieli całe Eckmuhl na karku.

–Chyba już je mamy – odparł Njangu, gdy wybiegli na pogrążoną w mroku ulicę.

Cofnął się jeszcze, aby ułożyć pod drzwiami wielki kubeł na śmieci, i pognali ulicą.

–Co to była za dziura, z której wylazłeś? – wydyszał Garvin.

–Zsyp na pranie. Nieco go wczoraj zmodyfikowałem... Dobre wyjście awaryjne, nie?

Garvin strzelił do kogoś, kto przesadnie zainteresował się ich skromnymi osobami, i skręcili w zaułek oświetlony jedną tylko, słabą latarnią. Kończył się ślepo, jeśli nie liczyć drzwi w ścianie jakiejś rudery.

–Wracamy – rzucił Garvin, gdy pocisk zrykoszetował na bruku przed nimi.

Njangu wykopał drzwi.

–Uciekać! Uciekać! – krzyknął i schody zaroily się od lokatorów. Njangu przepchnął się między nimi do środka. Garvin poszedł w jego ślady, gdy na ulicze pojawił się tuzin uzbrojonych Raumów.

Byli w jednym z typowych dla tej dzielnicy, pełnym pustych półek sklepie spożywczym. Njangu złapał dwie litrowe butle oleju do smażenia i wrzeszcząc: „Uciekać!”, pobiegł po schodach. Znowu dały się słyszeć krzyki i wrzaski, kolejna fala mężczyzn, kobiet i dzieci zaczęła zbiegać z wyższych pięter. Przepychali się w panice. Njangu ujrzał jakiegoś uzbrojonego Rauma i czym prędzej go zastrzelił. Wrzawa jeszcze się nasiliła.

Njangu zajrzał przez jedne z otwartych drzwi i ujrzał bele tkaniny i na wpół wykończone ubrania. Wpakował pocisk w maszynę do klejenia materiału, aż lepiszcze trysnęło ze zniszczonego zbiornika.

Potem rozbił o ścianę butle z olejem i strzelił w cały ten bałagan. Nic się nie stało.

–Cholerna nowoczesna broń – warknął i dojrzał lampę awaryjną z zapalarką.

Przebiegł przez pokój, zapalił ją i cisnął na rozlany olej. Rozległo się satysfakcjonujące „puff” i Yoshitaro stracił większość brwi oraz krótko przyciętych włosów.

Krzyki jeszcze się nasiliły. Przerażeni Raumowie starali się opuścić budynek, zanim ogarną go płomienie. Sądząc po czymś podniesionym głose, pojawiła się już pierwsza osoba próbująca opanować chaos.

–To tyle, jeśli chodzi o tylne drzwi. Dokąd teraz? spytał Garvin.

–A mamy jakiś wybór? – wydyszał Njangu. – W górę. Na dach. Stamtąd przejdziemy na sąsiedni budynek. Wszystkie te domy stykają się ze sobą.

Ten jednak okazał się wyjątkiem. Sąsiedni sześciopiętrowy budynek stał odrobinę zbyt daleko jak na skok. Garvin odłożył broń i zaczął przeszukiwać walające się dokoła śmieci. W końcu znalazł długą deskę.

–Módl się za mnie – powiedział i zatargał ją na krawędź dachu. Wydawała się dość długa, aby utworzyć pomost. Okazało się jednak, że zabrakło około metra.

Obracając się, poleciała w dół i rozpękała się na bruku. Po chwili z ulicy otworzono do nich ogień.

–I tak by cię ustrzelili – powiedział ze współczuciem Njangu.

–No to co robimy?

–Miejmy nadzieję, że dym przyciągnie uwagę tutejszej straży pożarnej. Oby przyjmowała jeszcze zgłoszenia. Ile zostało do świtu? Godzina czy więcej?

Klatką schodową waliły już kłęby gęstego dymu. Garvin zerknął na wyjście na dach.

–Tędy chyba się do nas nie dobiorą.

–Chyba nawet nie będą musieli.

Nagle usłyszał wizg antygrawu. Nad dachami przemykał ślizgacz z zapalonymi światłami pozycyjnymi. Garvin zerwał się na nogi i zaczął machać do niego.

–To policja! Jesteśmy uratowani! Ślizgacz przeleciał nad nimi. Garvin stał pośrodku dachu i jak głupi wywijał bronią.

Njangu czym prędzej ściągnął go do parteru. Akurat w porę, gdyż pocisk z działka 25 milimetrów przeorał śmieci i papierzyska tuż obok nich.

–Następnym razem... postaraj się nie pokazywać tak ostentacyjnie broni – wykrztusił Njangu. – Leż teraz i udawaj trupa, na Allaha. Może uznają, że nas załatwili.

Maszyna przeleciała raz jeszcze, tym razem tak nisko, że poczuli podmuch. – Widzisz, co się dzieje, gdy poprosić gliny o pomoc?

–Cencie Angara! Proszę się obudzić!

Dowódca Sekcji II zwlekł się z pryczy i spojrzał nieprzytomnie w stronę źródła dźwięku. Przed nim stał oficer dyżurny.

–Sir, nasłuch melduje, że doszło do pożaru w środku Eckmuhl. Na częstotliwości policyjnej mówią, że uciszyli dwóch strzelców na dachu płonącego budynku.

–To może nie mieć nic wspólnego z nimi, ale i tak... Obudzić oddział alarmowy – rozkazał Angara. – Wysłać nad Eckmuhl ptaszka z elektroniką. Nawet jak nam nic to nie da, usprawni łączność służb cywilnych. Obudź mila Rao, ale stary niech śpi. – Zawahał się. – Jeśli mają tam strzelców, to może być pułapka na straż pożarną. Niech maszyna alarmowa zaraz startuje. Dodaj im też jednego... nie, dwa zhukovy.

–Tak, sir.

–I jeszcze coś... Zostało trochę kawy?

Poynton wpadła do kwatery Brooksa urządzonej tym razem w zarekwirowanym

barze przekąskowym. Wkoło stał z tuzin radiostacji nastrojonych na różne rządowe i wojskowe częstotliwości. Brooks chodził tam i z powrotem i słuchał z na wpół przymkniętymi oczami, próbując wyłapać w lawinie informacji najważniejsze. W końcu otworzył szeroko oczy i podszedł do jedyne milczącego urządzenia, międzyplanetarnego komunikatora wysokiej częstotliwości. Wziął mikrofon.

–Leviatan, tu Tver, zgłoś się.

–Tu Leviatan. Słucham.

–Sytuacja się zmieniła. Natychmiast zacząć Leviatana. Powtarzam, natychmiast.

–Operacja w toku.

–Zdrajcy zawiedli – powiedział Brooks. – Dziś jest nasz wielki dzień. Zaczynamy realizację Zadania.

–Sir... – zaczęła Poynton. – Przykro mi, że dałam się oszukać, obiecuję...

–Siostró – przerwał jej Brooks bez cienia gniewu. Każdemu może się zdarzyć.

Ważne, żeby to się nie powtórzyło.

–Nie powtórzy. Wciąż mi ufasz?

–Zaufanie nie ma z tym nic wspólnego. Nie mamy czasu szukać i szkolić kogoś nowego, nawet gdybym chciał. Zapomnij o tym, co się stało, i pracuj dwa razy tyle co dotąd, żeby wyrównać straty.

Jego uśmiech wydawał się szczery. Poynton wyszła szybkim krokiem. Pamiętała, że kiedyś już Brooks tak się uśmiechał. Zaraz potem zastrzelił z zimną krwią podwójnego agenta.

Ben Dill i tak nie spał, gdy nad obozem Mahan rozległo się zawodzenie syren.

–To na nas? – spytała sennie Kang.

–Nie. Chyba nie.

Usiadła i sięgnęła po swoje staromodne okulary, a potem włączyła wiekowy wideoodbiornik z dwuwymiarowym ekranem, który podczas oczekiwania na ewakuację Garvina i Njangu dostarczał jej jedynej rozrywki. Na żadnym programie nie było nic niezwykłego poza normalnym porannym gadaniem, ale nagle wszędzie zaczęli pokazywać się zaspani dziennikarze z serwisem specjalnym.

–Coś się dzieje – powiedziała, jakby inni nie widzieli tego samego.

–I to w Eckmuhl – dodał Górecki, którego w końcu obudził ryk syren.

–Dobra – mruknął Dill. – Ruszamy się. Może to i na nas.

–Trzeba będzie pogadać z tym naszym idiotą – powiedział Górecki. – Najpierw zgłasza się na ochotnika, a potem zaczyna kombinować z Raumami. Może by się zdecydował, bo zaczynam mieć dość robienia za taksówkarza za każdym razem, gdy coś mu się odmienia.

Njangu i Garvin leżeli martwym bykiem na dachu, a dokoła pojawiało się coraz więcej duszącego dymu. Nad nimi krążyła cała gromada ślizgaczy, tak policyjnych, jak pożarniczych i dziennikarskich. Niebo na wschodzie zaczęło jaśnieć.

–Masz jakieś genialne pomysły? – zapytał Garvin.

–Jeśli się ruszymy, znowu zaczną do nas strzelać – odpowiedział Njangu.

–A jeśli się nie ruszymy, to już niedługo nie będziemy mogli się ruszyć.

–Skoro tak, to może powiesz mi wreszcie, co robiłeś, zanim się zaciągnąłeś? Ale szczerze.

–Powiedziałem ci prawdę – stwierdził Garvin. – Pracowałem w cyrku.

–Aha...

–Nie musisz mi wierzyć. Pochodzę z rodziny od pokoleń związanej z cyrkiem.

Jeśli ktoś z nas znał tylko jeden numer, uchodził za czarną owcę. Zwykle dzieciaki Jaansmów trafiały szybko do któregoś z rodzinnych interesów i zajmowały się tam wszystkim, począwszy od robienia za joeya... czyli kłowna, po sprzedaż napojów przed namiotem. Potem ruszały w drogę, zwykle gdzieś na prowincję, żeby nabrać praktyki, a w końcu lądowały na którejś z wielkich aren na Centralnym. Jednak moi się spalili, a mnie wziął wujek, który nie był związany z interesem. Robił co mógł i czasem brałem udział w jakimś objeździe, ale gdy skończyłem siedemnaście lat, zaciągnąłem się do pierwszego cyrku, który z pocałowaniem w rękę gotów był wziąć Jaansmę. Jakiegokolwiek Jaansmę. To było w układzie Altair.

Wierzysz czy nie, ta planeta nazywała się Szczęście Willy'ego. W tym cyrku pracowała straszna zbieranina bez krzty profesjonalizmu. Naprawdę warte oglądania były tylko numery ze zwierzętami. Prowadziłem przedstawienie, ale ponieważ byłem młody, nie miałem siły przebicia. Właściciele nie słuchali mnie, gdy mówiłem, że to barachło, i nawet najgłupszy widzowie widzą sznurki. Tak więc też zacząłem olewać robotę i zastanawiać się, co dalej.

Jednak cztery miesiące po tym, gdy do nich dołączyłem, wszystko się posypało.

Komuś odbiło w połowie trasy. Doszło do walki. Najpierw pięści, potem noże i pistolety. Usłyszałem kwiki w namiocie, gdzie były grai... czyli konie. Jakiś dupek próbował podpalić ten ich namiot. Nieco się wkurwiłem.

–Zastrześliś go? – spytał Njangu, którego mimo okoliczności cała ta opowieść naprawdę wciągnęła.

–Nie. Otworzyłem klatki wielkich kotów.

–Co zrobiłeś?

–I jeszcze niedźwiedzi. Z tamtych durni zostały tylko ogryzki, a ja się urwałem.

Wylądowałem na sąsiedniej planecie, Klesurze. Nie było dobrze, w holo podawali corL(z wyższą liczbę ofiar i że to wszystko z mojej winy. Wtedy trafiłem na werbownika.

–Jakby co, to mi przypomnij, żebym nigdy cię na dobre nie wkurzył – powiedział z namysłem Njangu.

Cumbre C Za sterami zaginionego frachtowca siedział najlepszy spośród pilotów Raumów, tym bardziej więc było dziwne, że statek zniknął. Razem z kilkoma jeszcze ludźmi pilot ukrył go w porzuconej stacji badawczej pośrodku kompletnego pustkowia. Tam doposażyli jednostkę z pomocą załóg statków, które regularnie kursowały pomiędzy Cumbre D i Cumbre C.

Dziwne urządzenie, które pojawiło się na grzbiecie frachtowca, pochodziło z parkowego cokołu i było niegdyś pomnikiem pierwszych osadników w układzie Cumbre.

Wykonano go z archaicznego ślizgacza pełnego miotaczy ładunków wybuchowych używanych niegdyś do torowania dróg przez dżunglę. Całość została wykradziona z parku, a następnie oczyszczona i wyremontowana przez Raumów. Nie mając dostępu do dokumentacji technicznej, musieli posiłkować się materiałami ze starych holo.

Wypróbowawszy archaiczną maszynę, przeszmyglowano ją na Cumbre C.

Pilot wyprowadził frachtowiec z „hangaru” z poskładanych na słowo honoru płacht tworzywa. Trzymając się ledwie dwa metry nad ziemią, skierował statek ku linii horyzontu.

–Tu znowu „Matin”, czyli najświeższe wiadomości, na które tak czekacie. Loy Kuoro nadaje specjalnie dla was. Nasz ślizgacz znajduje się nad tajemniczym pożarem,

który wybuchł w Eckmuhl. Strażacy nie zdołali do niego dotrzeć, snajper Raumów zatrzymał ich u bram dzielnicy. Ale załoga „Matin” jest na miejscu i jak sami widzicie, skierowaliśmy nasze supernowoczesne kamery na dach, gdzie znajdują się dwaj snajperzy. Jakiś czas temu popełnili wielki błąd, ostrzeliwując policyjny ślizgacz. I zostali ukarani.

Podlatujemy trochę bliżej... teraz widzicie ich wyraźnie... Wielki Boże, jak widzę, jeden z nich to chyba ten degenerat, który zbiegł z szeregów naszej walecznej Grupy Uderzeniowej, aby przyłączyć się do szumowin zwących siebie Ruchem. Tak, ma jasne włosy, a przecież żaden Raum nie jest blondynem. „Matin” gratuluje naszej wspaniałej policji. Zostańcie z nami, a za chwilę ujrzycie więcej scen z pożaru, który wymknął się spod kontroli...

–Sukinsyn – zaklął Górecki, patrząc na ekran. – Ben, zerknij tylko. To Garvin leży na tym dachu.

–Nie... A jednak. Dopadli go, dranie... Chociaż... widzisz? Porusza ustami. Żyje... Tak jak Yoshitaro. – Ben wciągnął głęboko powietrze. – No dobra. Na koń i w drogę.

–Jakieś pomysły? – spytał Garvin.

–Zamknij się. Myślę.

Pocisk z blastera zadzwonił o blachę niecały metr od nich.

–Mają już strzelców na dachach wokoło – mruknął Garvin. – To przestaje być zabawne.

–W tym dymie i tak nie trafią.

–Nie bądź taki pesymista.

Garvin sięgnął po broń.

–Nie mam ochoty się usmażyć.

–Ja też nie. Daj mi jeszcze minutę. Jeśli nic mi nie przyjdzie do głowy, zajmiemy się tymi snajperami.

–Pomysł równie dobry jak każdy inny – zgodził się Garvin.

Grierson Dilla wysunął się z hangaru. Ben sterczał w otwartym włączniku i zastanawiał się, co nakłamać wieży, żeby dała zgodę na start, gdy nagle z koszar ku podstawionym cookom sypnęła się piechota. Na czele galopował alt Hedley. Zauważył Dilla i kazał mu lądować.

–Widziałeś ostatnie wiadomości?

–Tak jest, sir.

–I ruszacie na ratunek?

–Coś w tym rodzaju, sir.

–Cholera. Ale dobra, startujcie razem z nami. Dostałem zgodę na akcję od mila Rao, bo stary poleciał na naradę z Haemerem. Mamy rozkaz nieco dołożyć tamtym.

Przydusimy snajperów na dachach, w razie potrzeby dostaniemy też kilka zooków. Rao budzi teraz resztę grupy. Ruszajcie i wyciągnijcie tych wariatów. Albo chociaż ich ciała.

–To w drogę – mruknął Dill i dotknął laryngofonu. Górecki, startuj zaraz za nimi, a potem wal na dym. Kang, gdy cokolwiek zaczniesz do nas strzelać, załatw to. Pora przestać się opierdalać.

Cumbre C Frachtowiec wyleciał z wąskiej doliny, którą przebył ostatni odcinek drogi.

Przed nim leżało centrum górnicze musthów. Na lądowisku stały dwa aksai i pół tuzina przypominających rozdęte purchawki masowców, ale niebo było czyste. Rozrzucone wkoło centrum baterie pocisków przeciwlotniczych były bez obsady.

–Przygotować się – rozkazał pilot. Dwóch Raumów siedzących już przy kontrolkach zamontowanej na grzbiecie statku wyrzutni nie odpowiedziało. Trzeci, który siedział obok pilota, dźwignął działko kalibru 20 milimetrów i przeniósł na zaimprovizowane stanowisko.

–Najpierw maszyny bojowe tych śmierdzieli – poleciał pilot i strzelec otworzył ogień.

Na lądowisku podniósł się tuman pyłu. Jeden aksai buchnął płomieniem, drugi przełamał się i przewrócił.

–Dobrze – mruknął z aprobatą pilot. Po chwili nie miał już czasu na rozmowy.

Zbliżali się do budynków. Raum na tylnym siedzeniu przekręcił wielki przełącznik i wyrzutnia zaczęła rytmicznie wypluwać kolejne ładunki: wyposażone w zapalniki uderzeniowe pakiety teleksu. Spadały na dachy i wybuchały z taką siłą, że fale podmuchu zakołysały frachtowcem.

Na dole pojawił się ogień, buchnął dym. Statek zawrócił i ruszył do kolejnego ataku, zakreślając wśród zabudowań wielką ósemkę.

Gdy podchodzili do ataku po raz trzeci, paru musthów zdołało już dobiec do baterii plot. Jedna rakietka trafiła we frachtowiec, który wykręcił pół beczki, znurkował ku centrum i eksplodował. Chwilę później w ruinach detonowało coś jeszcze i w górę wystrzelił czarny płomień. Z osiemdziesięciu czterech obecnych w centrum górniczym musthów ocalało tylko pięciu.

–Mówi Tver. Zaczynjcie Tumbril – rozkazał przez radio Jord'n Brooks.

Drzwi pewnego wynajętego magazynu na przedmieściach Leggett stanęły otworem i ze środka wypchnięto skradziony przed sześcioma miesiącami długi luksusowy ślizgacz.

Grierson Dilla szybko wyprzedził cały rój cooków. Bijący z centrum Leggett słup dymu był coraz bliżej, gdy maszynę wyprzedziły trzy ciemne na tle wschodzącego słońca zhukovy.

–Nie zidentyfikowany grierson – usłyszał Dill w słuchawkach. – Mówi Cambrai.

Lecicie z nami?

–Mówi Czarna Sybilla w misji ratunkowej. Jak najbardziej potwierdzam.

–Dobrze mieć was pod ręką. Spróbujemy oczyścić pole dla tych za nami.

–Załatwcie paru drani – powiedział Dill i dwa razy kliknął przełącznikiem.

–Wchodzimy na wprost – rozkazał haut Chaka. – Postarajcie się nie rozwalić zbyt wielu cywili. – Zhukovy przemknęły z rykiem nad budynkami, lecąc w kierunku Eckmuhl. – Nie za szybko. Strzelec! Nie gadać po próżnicy. Wybierać cele według uznania.

Jeden z operatorów uzbrojenia dostrzegł ogniki strzałów na dachu z lewej od ogarniętego pożarem domu. Obrócił główną wieżę zhukova i posłał w dach kilka pocisków kalibru 35 milimetrów. Druga maszyna obrała za cel grupę skupionych na ulicy Raumów.

Pojedynczy shrike zanurkował niemal pionowo między ścianami budynków.

–Niech mnie...! – krzyknął Garvin, gdy ciężkie maszyny przemknęły mu nad głową. – Możesz już przestać myśleć, braciszku.

Njangu przetoczył się do swojego blastera. Raumowie na dwóch sąsiednich budynkach dostrzegli poruszenie i zasypali dach pociskami, chybiając Yoshitara o centymetry. Njangu odpowiedział i nie chybił.

–Może się udać. – powiedział. – Jeśli tylko dym nas nie załatwi – dodał, kaszłąc.

Garvin wychylił się przez krawędź dachu i posłał na ulicę z pół magazynka.

–Mam nadzieję, że grzeczne dzieci jeszcze śpią – mruknął, rozglądając się za celem.

W oknie domu dwie przecznice dalej dostrzegł trzech Raumów. Celowali z jakiejś większej broni. Strzelił i w pokoju za nimi coś wybuchło.

Nad Eckmuhl zaroilo się do cooków. Nadlatywały z wyciem silników niczym żądne krwi komary.

–Dobra – powiedziała Lir do pilota. – Wysadź nas na... – Silnik cooka nagle zakrztusił się i przerwał. – Cholera... Jeśli mamy się rozbić, poszukaj czegoś, co warto rozwalić.

–Da się zrobić – rzucił pilot i szarpnął sterami. – Może ten mały okrągły budynek?

–Po prostu ląduj – odparła. – Latanie zawsze szarga mi nerwy.

Cook klapnął na dachu i drużyna Beta wyskoczyła na zewnątrz.

–Najpierw zajmijmy się tymi wyżej, a potem zobaczymy, co na dole – rozkazała Lir.

Nagle otworzyły się drzwi wiodące na dach i pokazał się w nich jęzor ognia.

–Zbliża się – stwierdził Njangu.

Garvin dopiero teraz zauważył szkody poczynione przez pożar na głowie przyjaciela.

–Nie jesteś trochę za młody na łysinę?

–To u nas rodzinne. Do...

Rykoszetujący pocisk trafił Garvina w ramię. Njangu obrócił się, dojrzał strzelca na pobliskim dachu i zastrzelił go.

Garvin usiadł.

–Boli – mruknął refleksyjnie.

–Nie żartuj. Chcesz umrzeć w moich ramionach?

–Chyba nie. Ale przydałoby się coś przeciwbólowego. Albo gorący pocałunek.

–Jedno i drugie akurat wyszło. Może...

Z dymu wyłoniło się długie, pokryte plamistym kamuflażem monstrum. Tuż nad dachem grierson zawisł, a we władze pojawiła się głowa Bena Dilla. Obok niego widać było Kang.

–Wskakujcie! – zawołała. – Tracę przez was dobre cele!

Njangu i Garvin wskoczyli na opuszczoną rampę. Jakiś Raum strzelił do nich, pocisk odbił się od płyty pancерnej obok Yoshitara, który pokazał przeciwnikowi wyprostowany środkowy palec, po czym rampa się podniosła i grierson odleciał na pełnej szybkości.

–Popatrz no tylko na nich – powiedział Hedley. – Mają wszystkie bajery... Alfa, lądujcie na tym placu i naprzód.

Cooki podeszły do lądowania i zwiadowcy wyskoczyli na plac, otwierając ogień.

Raumowie zaczęli się wycofywać w splątane uliczki Eckmuhl.

Hedley wziął mikrofon.

–Lanca Sześć, tu Sybilla Sześć.

–Sybilla Sześć, mówi Lanca Sześć – odpowiedział Rao. Słucham.

–Mamy tutaj całą masę bandytów. Chcą rozróby. Znajdę robotę dla wszystkich, których przyślesz.

–Tu Lanca Sześć... pierwszy pułk w drodze. Naprowadzajcie moich ludzi na cele.

–Jasne, chętnie pomożemy. Wyłączam się.

Eckmuhl przestało być azylem Raumów.

Ton Milot przykucnął za pomnikiem. Blaster miał zarzucony na ramię, pod pachą ścisnął trzy wyrzutnie rakiet, w drugiej ręce trzymał skrzynkę z amunicją.

Monument, za którym się ukrył, był już tak połupany pociskami, że trudno było powiedzieć, co albo kogo jeszcze wczoraj przedstawiał. Zastanów się, pomyślał Ton. Na pewno nie chcesz zrobić czegoś głupiego. Reszta naszych jest tam... a Raumowie tam. Najlepiej więc będzie oblecieć dookoła, żeby nie wejść na linię ognia. Ścisnął mocniej zaopatrzenie i wypadł na plac. Wkoło niego pociski uderzały o chodnik, ale starał się o nich nie myśleć. Dalej, dalej, jeszcze dwadzieścia pięć metrów, dasz radę, nic ci nie będzie, dobrze ci idzie...

Coś ukąsiło go w nogę. Upadł twarzą na brudny chodnik. Zabolało, jakby ktoś ścisnął mu udo rozgrzanymi do czerwoności cęgami. Na nogawce pojawiła się krew. Wciąż był pod ostrzałem. Kolejne uderzenie. Rękaw munduru zabarwił się na czerwono. Ton stwierdził, że nie może się ruszyć. To pewnie już to... Umrze w tej śmierdzącej dzielnicy na zalanym słońcem placu. Nigdy nie zobaczy już Lupuli ani łodzi, ani...

Ktoś złapał go za tył kamizelki i zaczął ciągnąć. Zabolało, ale zagryzł wargi.

Nie, do kurwy nędzy, nie będę krzyczeć. Słońce gdzieś się schowało. Leżał w cieniu, ktoś go obrócił, czyjeś ręce rozciąły nogawkę. Zamazane kształty przybrały ludzką postać. Ujrzał jednego z sanitariuszy Grupy, a obok Hanka Faulla.

–Co ty tu robisz? – zakrakał do niego. – Jesteś w drużynie Vic, prawda?

–Widziałem, jak upadłeś – odrzekł Hank. – Pomyślałem, że możesz potrzebować pomocy.

–Hank, przyjacielu, ojczy, matko, bracie – wyszeptał Mil ot. – Proś, o co tylko chcesz.

Stawiam ci od teraz do chwili, gdy słońce szernieje. A gdybyś kiedyś chciał skoczyć w bok, załatwię ci alibi.

Faull uśmiechnął się i chciał coś powiedzieć, ale nagle spojrział jakoś dziwnie i padł na Milota. Całkiem bezwładnie, jakby nagle stracił wszystkie kości. Inny żołnierz zaraz go odciągnął. Ton ujrzał w plecach Hanka wielką jak pięść dziurę.

–Nie – wykrztusił. – To niemożliwe... to nie tak... Świat wkoło niego pociemniał.

–Dajcie mi transport, do cholery! – zawołał sanitariusz. – Mam jednego zabitego i jednego w stanie krytycznym. Ruszcie się!

–Są w tamtym budynku, Petr – powiedział Penwyth. Bez wsparcia z powietrza ich nie wykurzymy. Drzwi są z porządnej stali czy czegoś, a w oknach ułożyli worki z piaskiem. No i trochę ich więcej niż nas.

–Daj mi blaster wsparcia – odparł Kipchak.

Kulili się w drzwiach sklepu po przekątnej skrzyżowania od budynku, w którym broniło się z pół setki Raumów. Reszta drużyny Alfa zajęła pozycje wzdłuż ulicy.

Penwyth oblizał wargi i przemknął pochylony do sąsiedniego sklepu. Starając się nie patrzeć na leżące obok zwłoki dwóch ludzi ze zwiadu i walące wkoło pociski, złapał ręczny blaster wsparcia i wrócił do Kipchaka.

–Poszukaj czegoś, żeby mnie osłonić – powiedział Petr.

Niewiele rozumiejący z tego Erik wygrzebał skądś żelazko i cztery worki zmywaków.

Położył wszystko na kupę, a Kipchak oparł na tym broń.

–Widzisz to pieprzone okno? – spytał Petr.

–Jak nic. Strzelają z niego do mnie.

–Naprowadź mnie.

–Co?

–Naprowadź, powiedziałem, do jasnej! Jak na strzelnicy.

–A... dobra.

Kipchak wystrzelił jeden pocisk.

–Wyżej. I w lewo.

Kipchak syknął, zmienił nieco punkt celowania i znowu strzelił.

–Wyżej.

Kolejny pocisk poleciał do celu.

–Nie widzę. Chyba jest. Tak, poszło w samo okno!

–To teraz ich przygwoździmy. – Obłożyli dwójnóg blastera zdobyczami Erika. – Zaraz coś ci pokażę. Z zewnątrz nie można się do nich dostać. Konstrukcja jest kuloodporna, prawda?

–Zgadza się.

Petr wypuścił serię dwudziestu pocisków, które zniknęły w niewielkim oknie.

Potem kolejne dwadzieścia. Przerwał na chwilę i wystrzelał resztę taśmy.

–Więcej amunicji – powiedział, ale nagle otworzyły się drzwi banku i zaczęli wychodzić pokrzwawieni Raumowie. Machali szmatami, chusteczkami, a nawet arkuszami papieru. Białymi. – Skoro buda na zewnątrz jest kuloodporna, to w środku też – skomentował z satysfakcją Kipchak. – A to zawsze oznacza masę rykoszetów...

Nikt poza paroma operatorami radarów nie zauważył luksusowego ślizgacza, który

wzleciał wysoko w niebo nad Leggett.

Griersony zanurkowały na Eckmuhl i wylądowały. Piechociarze wybiegli z przedziałów desantowych. Ludzie ze zwiadu czekali już, żeby ich poprowadzić.

–Za mną! – rzucił pokryty pyłem żołnierz do grupy oficerów. – Ustawię waszych ludzi, gdzie ich miejsce.

Dowodzący oddziałem haut spojrzął na niego nieufnie. Nie mógł dostrzec insygniów.

–Za tobą? Mogę spytać o stopień?

–Cent Radcliffe – powiedział szturmowiec Penwyth. – Dostałem rozkaz bezpośrednio od mila Rao.

–A, to w porządku. – Haut skinął na swoich. – Ruszać się.

Njangu wstał zdumiony, gdy Garvin wyszedł z drzwi szpitala. Nosił nieco za duże ubranie robocze, jedno ramię miał jakby nieco niższe niż drugie.

–No, no... – rzucił Yoshitaro. – Myślałem, że położysz się grzecznie na dupci i będziesz się wprawiał w podszczyptywaniu pielęgniarek i przyjmowaniu hołdów.

–Chcieli mnie położyć, ale się nie dałem.

–Dlaczego? Miałbyś kilka dni wytchnienia. Spanie, rozrywki i tak dalej.

–Może. Ale wracam. Jak tylko skombinuję jakąś broń.

–Co robisz?

–Obiecałem sobie, że zabiję Tvera... który zresztą naprawdę nazywa się Brooks.

Jak tylko będę miał szansę, oczywiście. Spróbuję trochę pomóc losowi.

–O kurwa... Ledwie zdążyłem wziąć prysznic, a ty już chcesz wracać w to bagno.

Medal ci się marzy czy co?

–Nikt nie powiedział, że musisz iść.

–Jasne – jęknął Njangu. – Dobra, poszukajmy jakichś samopałów. Wiesz, gdzie znaleźć naszego chłoptasia?

–Tak. Nie chciałem ci o tym mówić, gdy tam byliśmy, bo jeszcze wyrwałbyś się

przed szereg i zastrzelił go bez mojego udziału.

–Czy zapalnik jest uzbrojony, bracie?

–Jest.

Pilot luksusowego ślizgacza pochylił głowę.

–Niech Jedyne nas prowadzi i błogosławi naszemu Zadaniu – powiedział niemal bezgłośnie. Potem pchnął sterownicę i ślizgacz wszedł w nurkowanie. W miarę wzrostu szybkości maszyna coraz silniej się trzęsła, aż komp wysunął hamulce aerodynamiczne.

Wibracje ustały.

Pilot nie patrzył na siedzącego obok przyjaciela, starał się nie widzieć błękitnego nieba, zatoki i białych kamiennych murów spowitej dymami dzielnicy, w której znał każdą uliczkę i którą ukochał. Teraz istniała dla niego, powinna dla niego istnieć, jedynie rosnąca w zastraszającym tempie sylwetka leżącej dokładnie pod nim fortecy wroga.

Strażnicy u bram siedziby rządu planetarnego usłyszeli dobiegający z góry grom, jaki rozlega się przy przekraczaniu szybkości dźwięku. Ledwie zdążyli unieść głowy i ujrzeć rozmazaną w pędzie sylwetkę nurkującego niemal pionowo czarnego ślizgacza.

Celował prosto w mozaikowy szklany dach sali posiedzeń, w której większość oficjeli Cumbre D kończyła akurat ważną naradę.

W eksplozji zginęli: gubernator Wilth Haemer, większość jego personelu, prawie połowa rady rentierów, w tym Bampur i wydający „Matin” ojciec Loya Kuoro, Godrevy Mellusin, szefujący wydziałowi analiz major policji Gothian, caud Jochim Williams wraz z adiutantami oraz szefami Sekcji II (wywiad), III (operacyjnej) i V (współpracy ze służbami cywilnymi).

Jord'n Brooks spojrział na holo przekazujące obraz zniszczenia z miejsca, gdzie jeszcze niedawno wznosił się gmach rządu. Potem zarzucił blaster na ramię i ruszył do wyjścia z baru.

–Dość już było słów – powiedział. – Nadszedł czas. Pora zabić ich wszystkich.

I uśmiechnął się.

Raumowie wylali się z Eckmuhl. Część z nich stanowiły zdyscyplinowane oddziały, którym wyznaczano konkretne zadania, reszta zaś szukała zemsty i łupów.

Około dwustu wyszkolonych bojowników zaatakowało ruiny siedziby władz. Mieli rozkaz dobić wszystkich ocalałych urzędników i zniszczyć archiwa policyjne oraz geodezyjne, a także akty własności kopalń. Ani strażacy, ani ratownicy uwijający się dokoła nie dostrzegli truchtającego nadbrzeżną aleją oddziału. Ktoś jednak go zauważył.

Finf Biegnący Niedźwiedź, pilot i ordynans cauda Williamsa, leżał w swoim cooku.

Eksplozja odrzuciła maszynę, wprasowując go w tablicę przyrządów. Nie dał się wyrzucić z pojazdu, nie zginął zmiażdżony. Cook znieruchomiał na porośniętym trawą brzegu morza.

Przednia szyba była stłuczona. Ogłuszony i poraniony Niedźwiedź spróbował usiąść. Gdy otworzył jedno oko, zobaczył biegnących ku niemu ludzi. Byli o dwieście metrów.

Z trudem rozpoznał w nich Raumów i zastanowił się, dlaczego atakują właśnie jego.

Rozejrzał się za Williamsem w nadziei, że otrzyma jakieś rozkazy, ale cauda nigdzie nie było.

Z uchwytów na burcie maszyny wyjął działko i osadził je na podstawie. Otworzył zasobnik amunicyjny i wsunął na miejsce taśmę z lśniącymi nabojami. Dwa razy przesunął suwadłem, jak szkolono go dawno temu, wprowadzając pierwszy nabój kalibru 20 milimetrów do komory. Włączył celownik i dalmierz. Raumowie byli już bardzo blisko, gdy nacisnął umieszczony pomiędzy dwoma rękojeściami spust. Działko zagdakało.

Przejechał ogniem po biegnących Raumach. Długie na dłoń, zaprojektowane do przebijania lekkich panczerzy pociski kosiły ich jak zboże. Okręcali się w miejscu, palili, tryskała krew.

Niedźwiedź usłyszał uderzenie pierwszych pocisków trafiających wokół niego, ale nie zwrócił na to większej uwagi. Jeden z nich drasnął go w bok. Zobaczył, że krwawi, ale nie miał czasu się tym zająć. Raumowie zaczęli się cofać. Niektórzy uciekali, inni, bardziej zdyscyplinowani, zajmowali stanowiska strzeleckie za stertami gruzu albo i na otwartej przestrzeni. Niedźwiedź wyeliminował ich kilkoma krótkimi seriami.

Działko zamilkło. Wystrzelał cały zasobnik, dwieście pocisków. Poruszając się

ostrożnie i powoli, wziął następny z tyłu maszyny, otworzył i podłączył taśmę do działka. Coś zalewało mu oczy. Otarł czoło rękawem, który zmienił kolor na czerwony. Nic go jednak nie bolało. Ujrzał, że kilku Raumów staje i chce biec w jego stronę. Ściął ich i skierował ogień na drugą stronę ulicy. Unieszkodliwił trzech, którzy myśleli, że przewrócony ślizgacz ochroni ich przed pociskami przeciwpancernymi tego kalibru.

Otępienie mijało, jakby się budził. Poczł ranę na głowie, draśnięcie z boku i jeszcze jedno na przedramieniu. Nie wiedział nawet, że tam też dostał, ale w sumie nie było o czym mówić. Wydał przeciągły okrzyk, jakiego nigdy nie słyszano na Cumbre D. Tak pokrzykiwali wojownicy sprzed tysiąca lat, szczególnie ci zgromadzeni wokół fortu Phil Kearney, u ujścia Little Bighorn czy nad brzegami Rosebud River.

Działko znowu ucichło. Teraz jednak za Niedźwiedziem byli już inni żołnierze.

Strzelali. Szukał celu, ale żadnego nie znalazł. Kilku Raumów uciekało, ale byli już daleko.

Po chwili i oni zniknęli. Atak załamał się, nim się rozpoczął. Ulica była zasłana powykręcanyimi ciałami oraz jęczącymi i krzyczącymi rannymi.

Finf Biegnący Niedźwiedź wyszedł z wraku cooka. Ktoś podbiegł do niego, ale zaraz się cofnął odepchnięty samym spojrzeniem. Niedźwiedź nie chciał pomocy.

Wyprostowany podszedł o własnych siłach do griersona z czerwonym krzyżem na burcie.

Loy Kuoro patrzył tępo z ekranu na mila Rao.

–Mój ojciec... – powiedział łamiącym się głosem.

–Zginął razem z gubernatorem Haemerem – odparł cierpliwie Rao. – Podobnie jak caud Williams i większość władz planety. Uznałem, że jestem najwyższym stopniem ocalałym oficerem Grupy i przejąłem dowodzenie w imieniu Konfederacji. Chwilowo pełnię też funkcję rządu Cumbre. Chcę, aby „Matin” nadał moją proklamację. Teraz pan jest jego wydawcą. Potem niech powtórzą ją wszystkie stacje.

–Tak – odparł Kuoro. – Tak będzie dobrze. Ojciec byłby za. Oczywiście, mogę to zrobić.

Rao przerwał połączenie i spojrzł na centa Angarę.

–Nie dotarło do niego. Jest w szoku.

–Tak jak wielu innych. A teraz, sir, jakie rozkazy?

Rao zaczerpnął głęboko powietrza i odszedł od grupy sztabowych griersonów stojących z opuszczonymi rampami przed główną bramą Eckmuhl.

–Dobrze. Będę głośno myślał. Proszę powiedzieć, jeśli coś mi umknie. Po pierwsze, czy mam prawo przedłużyć stan wyjątkowy bez konsultacji z ocalałymi członkami rządu?

–Myślę, że tak. Poza tym z całą pewnością nikt nie zaprotestuje. Nie teraz.

–Zatem załatwione. Mianuję pana moim zastępcą. Proszę dać tego, jak mu tam...

Hedleya na szefa Sekcji II. Operacyjną sam się zajmę, a gdy trochę się uspokoi, kogoś wyznaczę. Współpraca... potem poszukamy. Na rozmowy z dziennikarzami przyjdzie pora, gdy skończy się zabijanie. – Zauważył zbliżającego się do wozów dowodzenia Hedleya.

Towarzyszyli mu dwaj żołnierze. – Alcie Hedley! Tutaj proszę! – Cała trójka podeszła, a Rao powiedział altowi o świeżym awansie. – Zostaniesz centem, może hautem. Potem pomyślę, co będzie właściwsze.

–Tak jest, sir.

–Kim są ci dwaj?

–Nasi agenci w Eckmuhl. Właśnie ich wyciągnęliśmy. Finf Jaansma i szturmowiec Yoshitaro.

–A, świetnie. Dobra robota. Awansuję obu na deca, od ręki. – Rao załatwił sprawę i zaraz o niej zapomniał. – A teraz pora wziąć się w garść. Po pierwsze, wycofujemy pierwszy pułk z Eckmuhl. Raumowie wdarli się do Leggett już w dwóch miejscach. Wrócimy do Mahan, przegrupujemy się i...

–Sir, nie możemy tego zrobić!

Rao spojrzał chłodno na Garvina.

–Coś mówiliście, dec?

–Za przeproszeniem, sir, powiedziałem, że nie możemy tego zrobić – powtórzył Jaansma. Stojący za Rao Hedley dawał mu znaki, żeby zamknął się do diabła, bo sobie zaszkodzi, Njangu zaś udawał, że wcale go tu nie ma. – Sir, spędziliśmy wiele czasu w pobliżu Rauma o imieniu Brooks, który jest przywódcą tego ich Ruchu.

–Nie mam czasu o tym rozmawiać, żołnierzu.

–Przepraszam, ale to ważne, sir. Szturmowiec... dec Yoshitaro wie wiele o tym

człowieku. Prawda, Njangu? Wie, co on teraz zamierza.

–Słucham – powiedział Rao niebezpiecznie lodowatym głosem. – Mam nadzieję, że nie rozmawiam z dwoma decami, którzy będą nosili ten stopień najkrócej w całej historii Grupy.

Njangu spojrział z wyrzutem na Garvina, ale nie miał wyboru.

–Tak, sir. Szefowa wywiadu Brooksa, niejaka Poynton, sporo mi powiedziała. Jego ulubiony sposób to silne, punktowe uderzenia. Zawsze jest na czele, ale jeśli cokolwiek idzie nie tak, od razu zrywa kontakt. Uważa, że Ruch jest ważniejszy niż cokolwiek innego i że trzeba zachować siły do następnego starcia. Jutro albo za rok. Poynton powiedziała, że to on rozkazał przerzucić rebeliantów z dżungli do miast, gdzie łatwiej im walczyć.

–No to co powinienem zrobić? – spytał już nie tak zimno Rao, a Hedley nagle odczuł ulgę, że nie ma już Williamsa. Świętej pamięci caud nie wymyśliłby na pewno nic ciekawszego niż wyznaczenie plutonu egzekucyjnego.

–Uderzyć na nich teraz, gdy wychodzą z Eckmuhl, sir – powiedział Garvin. – Tak mocno, żeby nie tylko ich zatrzymać, ale i zniszczyć. Może uda się dopaść Brooksa i raz na zawsze skończyć z Ruchem. Potem wystarczy wytłuc niedobitki i zapanuje spokój.

Rao skinął głową.

–Dziękuję, dec. A teraz, jeśli wybaczyście...

Garvin oraz Njangu zasalutowali i szybko odeszli.

–Niewyparzona gęba – mruknął Yoshitaro, gdy byli już daleko.

–Przecież chciałeś dopaść drania – powiedział Garvin. – Jeśli teraz damy spokój, za jakiś czas znowu będziemy musieli ganiać po górach.

–Może masz rację. Więc co robimy?

–Najpierw poszukamy Dilla, a potem Petra – stwierdził zdecydowanie Garvin. – I na polowanie.

–To lubię – powiedział Njangu. – Nie ma to jak mała prywatna wojna pośród ogólnego szaleństwa.

Mil Rao popatrzył za dwoma odchodzącymi żołnierzami.

–To, co powiedział, ma sens. Ale jesteśmy bardzo rozproszeni.

–Nie jest tak źle – stwierdził Angara. – Drugi pułk czeka w rezerwie. Pchnijmy go razem z pierwszym do Eckmuhl. Kiedy ściągniemy te wszystkie samodzielnie operujące kompanie, zbierze się z tego czwarty pułk. Zajmie miejsce sił rezerwowych.

–A co z innymi miastami? Raumowie ruszyli się na całej Cumbre D. Policja na Cumbre C ledwie się trzyma.

–Jeśli stracimy Leggett, wszystko przepadnie.

–To prawda – powiedział Rao. – Muszę przestać myśleć, jakby nic się nie zdarzyło.

Nie wspomniał pan o trzecim pułku.

–Trzeci zajmie się czarną robotą. Proszę pozbiierać wszystkich żandarmów z całej Grupy i posłać ich razem z policją na ulice. Niech rozpowiadają, że każdy, ale to każdy, kogo spotkamy na ulicy, zostanie od ręki zastrzelony. A potem rzucić trzeci pułk, żeby się tym zajął. Dzięki temu zagonimy Raumów z powrotem do Eckmuhl, a przy okazji załatwimy prywatne gwardie rentierów i zlikwidujemy rabusiów.

–Zginie też trochę niewinnych.

–Gdy będzie po wszystkim, przeprosimy i wypłacimy odszkodowania. To nietrudne, gdy nikt nie strzela. Najpierw jednak musimy przewrócić tutejsze porządki do góry nogami, bo inaczej za pięć lat pojawi się kolejny Ruch.

Rao zastanowił się.

–Wie pan – odezwał się w końcu – gdy się czyta o dawnych bitwach i kampaniach, zawsze się wydaje, że istniał jakiś punkt, od którego wszystko się zaczęło. Czy jesteśmy w takim właśnie punkcie? Jeśli tak, to kiepsko. Już dawno wyrzuciłem z plecaka marszałkowską buławę.

–Nie wiem, sir – odparł szczerze Angara. – Ale co mamy do stracenia? Jesteśmy odcięci od Konfederacji, musthowie zapewne będą chcieli zjeść nas na śniadanie za to, co zdarzyło się z ich centrum górniczym, a wcześniej czy później znowu pokaże się tu Redruth.

Skoro musimy liczyć się z tyloma gośćmi, wolałbym mieć spokój na tyłach.

Rao ponuro pokiwał głową.

–Tak jak pan powiedział: cóż mamy do stracenia?

Atak Raumów na Leggett przebiegał trzytorowo. Pierwsza grupa, ta wystrzelana przez Biegnącego Niedźwiedzia, miała dokończyć dzieła zniszczenia siedziby władz.

Druga ruszyła na centrum miasta, żeby nie tyle atakować, ile wywołać zamieszki i spowodować jak najwięcej zniszczeń, zdemoralizować mieszkańców i odciągnąć uwagę od działań pozostałych grup.

Trzecia zaś została skierowana przeciwko odwiecznym wrogom Raumów. Uderzyła na południowy wschód, w kierunku dzielnicy rentierów.

Dec Nectan, dowódca drużyny Alfa, skulił się, gdy rakietą uderzyła w drzewo, za którym się schował. Zaskrzypiało, zakołysało się, ale wytrzymało eksplozję.

Wychylił się zza niego i strzelił. Od razu wiedział, że chybił. Spojrzał na żołnierzy. Niektórzy byli z jego drużyny, inni z liniowych oddziałów piechoty, które jakimś cudem zaczęto przydzielać do zwiadowców. Podczołgał się do niego aspirant Vauxhall. Wtulił się w ziemię, gdy obok uderzył pocisk, ale po chwili był już bezpieczny.

–Przydusili nas – powiedział do niego Nectan.

–Jaki plan?

–Przeczekać.

–Nie możemy – zaprotestował Vauxhall. – O ile wiem, tutaj nas blokują, ale reszta ich sił przebiła się przez skrzydło.

–Dobrze, szefie. Ty tu kręcisz.

–Wezmę jednego cooka i uderzę na nich z góry. Zanim się otrząsną, podciągniesz ludzi i zaatakujesz ich, gdy tylko odlecę.

–Nie wiem... Jeśli mają rakiety przeciwlotnicze, zdejmą cię.

–A tam... – powiedział Vauxhall. – Widziałeś kiedyś Rauma, który potrafi dobrze strzelać?

Nectan znał odpowiedź. Pochował już wielu, którzy myśleli jak ten facet, ale nic nie powiedział.

–Daj mi pięć minut – rzucił Vauxhall i zaraz się odczołgał.

Nectan potrząsnął głową i zaczął przeskakiwać od drzewa do drzewa i przekazywać rozkazy.

Pięć minut minęło błyskawicznie. Nectan usłyszał przebijający się przez huk strzałów wizg turbiny.

–Przygotować się! – krzyknął.

Tuż nad dachami leciał poobijany cook. Nectan nie poznał pilota, jednak za działkiem siedział Vauxhall. Pociski zaczęły wyrwać dziury w witrynach sklepów, podniosła się kurzawa.

–Wstawać! Na nich! – wrzasnął Nectan. Nie widział błysku, ale usłyszał eksplozję rakiety, która trafiła w cooka. Maszynę rozerwało. – Szybciej! – ponaglił ludzi i strzelająca nieustannie tyraliera ruszyła biegiem.

–Ci cholerni Raumowie posiekają nas na plasterki w tym getcie – powiedziała cent Rivers. – Potrzebujemy posiłków.

–Nie mam wam kogo przysłać – odparł spokojnie Rao. Samodzielne kompanie ściągają bardzo wolno, a Raumowie za bardzo je angażują. Masz już wszystko, czym dysponujemy.

Rivers energicznie skinęła głową i pobiegła do swojego griersona.

–Sprawa ciągle się waży – powiedział cicho Rao do Angary.

Lir wystrzeliła w luksusowy dom towarowy długą serię z blastera wsparcia.

Ujrzała pełgające płomienie, które szybko objęły szabrowników.

–To zupełnie jak rozdeptywanie karaluchów.

–Uważaj, Monique – ostrzegł ją tweg Gonzales. – Kto zaczyna tak myśleć, zwykle szybko ginie.

–Nie jestem aż tak głupia.

–I dobrze. Jak myślisz, dlaczego przeżyłem tyle wojen?

Lir miała już odpowiedzieć, gdy kątem oka ujrzała, że coś na nich leci.

–Granat! – Padła płasko, a granat upadł obok Gonzalesa i trzech innych zwiadowców.

Lir usłyszała cichy syk zapalnika, a potem średnio zirytowany głos Gonzalesa.

–O kurwa – powiedział starszy tweg i przetoczył się na granat. Rozległa się stłumiona eksplozja, ciało Gonzalesa uniosło się gwałtownie i opadło na ziemię.

–Do diabła – szepnęła Lir.

Leżący obok niej żołnierz gotów byłby przysiąc, że przez całą minutę miała mokre oczy.

–Ruszać się, dupki! – wrzasnęła. – Zabić mi paru goblinów za Gonzalesa! – dodała z całkowitą pewnością, że tak się stanie.

Niektórzy Raumowie wiedzieli, jak odejść. Wśród nich była młoda kobieta imieniem Limnea. Jej grupa została zaatakowana przez patrol z drugiego pułku. Dowódca zginął niemal natychmiast. Raumowie już mieli się rzucić do ucieczki, ale Limnea krzyknęła, żeby się kryli, i powstrzymała panikę.

Gdy żołnierze ostro na nich natarli, rozkazała wycofać się na jedno z głównych skrzyżowań. Tam zajęli stojącą pośrodku wysepkę kontroli ruchu z wysokim na metr betonowym murkiem. Atakowano ich trzy razy, a oni za każdym razem odpierali atak, chociaż siła ich ognia wciąż słabła.

W końcu jeden z żołnierzy wdrapał się na drugie piętro pobliskiego budynku i posłał w sam środek kręgu rakietę z ręcznej wyrzutni. Huknęło, zadymiło i zaległa cisza.

Trzech piechociarzy podbiegło zygzakiem do wysepki i zajrzało do środka. Jeden zaraz zwymiotował, drugi, widocznie odporniejszy, zaczął sprawdzać, czy na pewno wszyscy Raumowie nie żyją.

–Popatrz tylko na nią – powiedział. – Piękna jak diabli. Gdyby tylko nie wywaliło jej połowy bebechów... Ciekawe, czemu wpakowała się w to bagno?

Limnea otworzyła oczy.

–Cholera, ona żyje! Żołnierz pochylił się nad dziewczyną. Limnea plunęła mu w twarz krwią, zwinęła się i umarła.

–Co pan proponuje, cencie Radcliffe? – zapytał oficer piechociarzy.

–A cóż tu proponować – odparł Penwyth, starając się mówić jak oficerowie z elitarnych szkół, których widywał w holo. – Sprawa jest prosta. Trzeba atakować.

–Atak, świetnie – powiedział haut i zaraz wydał odpowiednie rozkazy.

Główna, biegnąca brzegiem morza aleja miasta pełna była Raumów i biedoty z innych dzielnic. Ślizgacze żandarmerii dwa razy przeleciały nad głowami tłumu, nakazując ludziom, żeby się rozeszli, ale zostały wygwizdane. Jeden cook, ostrzelany przez Raumów, musiał lądować, a tłuszcza rozszarpała lecących nim żandarmów.

Jakaś kobieta stłukła szybę wystawową, ściągnęła z wystawy litrową butelkę wina, obtłukła szyjkę, łyknęła potężnie i splunęła.

–Kwaśne, cholera! Chędożone bogacze nie wiedzą, co dobre. – Sięgnęła po bardziej obiecującą butelkę, ale zamarła, słysząc jakiś dziwny hałas. Odwróciła się. Od morza nadciągały parami ciężkie pojazdy w kształcie spłaszczonych cylindrów, całe najeżone wieżyczkami i wyrzutniami pocisków. Trzymając się na wysokości dziesięciu metrów, wolno wleciały nad aleję. Były to zhukovy poprzedzane przez klucz griersonów.

Kobieta krzyknęła i uciekła ile sił w nogach. Inni nie mieli tyle szczęścia.

Zhukovy najpierw zarzuciły aleję granatami z gazem drażniącym, a potem zaczęły strzelać wysoko nad tłumem. Jednak ludzie nie rozbiegli się, a niektórzy próbowali się nawet ostrzeliwać.

–Otworzyć ogień – rozkazał dowódca zespołu i w samym sercu miasta rozległo się staccato szybkostrzelnych działek.

–Dostajecie nowe zadanie – powiedział Brooks do usmolonego dowódcy jednego z raumskich oddziałów. – Nie będziecie atakować uniwersytetu, mam dla was o wiele lepszy cel. Sztab Grupy Uderzeniowej urządził sobie stanowisko dowodzenia zaraz za naszymi murami. To jedyne, co pozostało z rządu służącego rentierom. Jeśli zniszczymy sztab Grupy, przeciwnicy stracą zdolność działania. Oni nie potrafią myśleć samodzielnie.

Nigdy ich tego nie uczono.

Poynton nie odezwała się.

–Dobrze – rzekł wybrudzony dowódca oddziału, ochoczo kiwając głową. – Ale ponieśliśmy ciężkie straty w ludziach.

–Widziałem – odparł Brooks. – Będę wam towarzyszyć w tym ataku. Zbierzemy też wszystkich Raumów, jakich spotkamy po drodze. Idziemy. Musimy się spieszyć, bo zwycięstwo jest w zasięgu ręki. Nie wolno nam przegapić okazji.

Gdy ludzie ustawiali się w szyku marszowym, Brooks pomachał na pożegnanie swoim łącznościowcom i wziął Poynton na bok.

–Gdyby się nie udało, w co zresztą nie wierzę, rozkazuję ci oderwać się od przeciwnika, zebrać wszystkich weteranów Ruchu i wycofać się do dżungli, aby kontynuować walkę.

Poynton ukryła zaskoczenie.

–Skoro tak rozkazujesz... Jednak gdybyśmy przegrali, wolałabym zostać z moimi siostrami i braćmi.

–Nie! – warknął Brooks. – Ruch musi ocaleć.

–No dobrze – powiedziała nieco buntowniczym tonem Poynton. – Ale gdzie się spotkamy w tej dżungli?

–Tam, gdzie nigdy nie będą nas szukać. W jaskini, z której już korzystaliśmy.

Potem przeniesiemy się do jeszcze bezpieczniejszego miejsca, o którym niedawno słyszałem, na wyspę Mullion, i tam odbudujemy nasze siły.

–Ciągle nic? – spytał Garvin.

–Masa potyczek, ale nic wartego uwagi – odparł Ben Dill.

Njangu pochylił się i zajrzał mu przez ramię do przedziału desantowego, gdzie siedzieli Petr Kipchak, reszta drużyny Gamma i jeszcze paru szczególnie żądnych krwi zwiadowców.

–Niedobrze, chłopcy – stwierdził Petr. – Może lepiej wysadźcie nas przy jakiejś większej grupie goblinów, żebyśmy jednak wzięli w tym udział, nawet jeśli nie o to dokładnie wam chodzi.

–Coś chyba mam – powiedziała Kang przez interkom. – Słuchajcie, ten wasz cały Brooks umie korzystać z radia? A może wysyła wszędzie gońców i gołębie pocztowe?

–Aż taki ciemny to on nie jest – mruknął Garvin.

–Bo widzicie, złapałam coś na czterech częstotliwościach, z których żadna nie jest wojskowa. Nie są kodowane, ale i tak tajemnicze. Zlokalizowałam źródła.

Przemieszczają się z centrum Eckmuhl ku jednej z bram. Tyle że zagłuszają mi sygnał nasze wozy dowodzenia.

Stoją całkiem blisko i powiedziałabym, że na trasie tamtych oddziałów.

Njangu spojrział na Petr a, który uśmiechnął się lekko i skinął głową.

–Garvin – powiedział Yoshitaro. – Chyba mamy naszego ptaszka.

–Tego albo innego, którym też warto się zająć – dodał Petr.

–Wysadź nas dokładnie na nich, Ben.

–Jasne. Spokojnie. Siadamy, Stanislaus.

Grierson zanurkował.

W oddziale Brooksa było około pięćdziesięciu ludzi, w większości doświadczonych bojowników. Przemykali szybko po wewnętrznej stronie murów dzielnicy. Nie widzieli żadnych żołnierzy, chociaż zewsząd dobiegały ich odgłosy walki.

Poynton pozwoliła sobie na odrobinę nadziei. Jeśli Brooks miał rację, od sztabu Grupy dzieliło ich ledwie trzysta metrów, bardzo niewiele. Może faktycznie mieli jakieś szansę.

Gdyby zdołali zabić dość oficerów, rentierzy wpadliby w panikę i skapitulowali...

Z pewnością nie mieli dość charakteru, żeby walczyć w swojej obronie, a po śmierci swoich najemników...

W jej myśli wdarł się nagle czyjś krzyk i ujrzała opuszczający się na ulicę pękaty podłużny kształt. Grierson. Opadła na kolano i zerwała blaster z ramienia, ale w tej samej chwili działka pojazdu desantowego plunęły ogniem. Pocisk eksplodował niedaleko dziewczyny. Maszyna wylądowała z impetem i opuściła rampę, po której zaraz wybiegli żołnierze.

Raumowie błyskawicznie poszukali ukrycia i otworzyli ogień. Po drugiej stronie do działek griersona dołączyły blastery wsparcia atakujących drużyn. Zadudnił granatnik. Granat spadł tuż obok jednego z łącznościowców, który spróbował go odkopnąć. Eksplozja zabiła wszystkich trzech ludzi z radiostacjami.

Brooks też klęczał i strzelał. Widział śmierć swoich braci, widział padające siostry.

Strzelił. Celnie, jednak uświadomił sobie, że zaraz ich tu wszystkich wybiją.

Zerwał się i skoczył pochylony do drzwi w murze dzielnicy, za którymi ciągnął się system tuneli i korytarzy.

Garvin pobiegł za nim.

–Gdzie, idioto?! – krzyknął Kipchak i ruszył za Jaansmą.

Trafiła go nie wiadomo skąd oddana seria, cisnęła o mur. Zsunął się po nim wolno, zostawiając ciemny ślad. Wiedział, że to jego krew. W dłoni Petra zmaterializował się mały nóż, którego przed chwilą na pewno tam nie było. Nagle palce zwiotczały, nóż upadł na ziemię. Kipchak odszedł.

Njangu przyskoczył do ciała, strzelił do kogoś, kto jego zdaniem mógł zabić Petra, i już był w drzwiach. Nagle zrobiło się prawie cicho. Z zewnątrz dobiegały przytłumione odgłosy eksplozji, ale należały jakby do innego świata.

Najpierw był kręty korytarz, potem prowadzące w górę schody. Zobaczył czyjeś nogi i omal nie strzelił. Spostrzegł jednak w porę spodnie mundurowe. Garvin.

Brooks na pewno nie poszedł na górę, tak się pomylić mógł tylko Garvin, pomyślał Njangu i ruszył dalej korytarzem. Huknęło, kula świsnęła mu koło ucha, a po chwili nie wiadomo skąd pojawił się Brooks. Zamachnął się blasterem jak maczugą. Yoshitaro uchylił się i przyjął cios na prawe ramię. Krzyknawszy z bólu, wypuścił pistolet.

Brooks dalej wymachiwał bronią. Wyraźnie chciał zmusić przeciwnika, żeby odskoczył nieco dalej, aby znowu mógł strzelić. Njangu poczęstował go kolaniem.

Raum jęknął i zachwiał się, a wtedy celny kopniak wytrącił mu blaster z rąk. Zanim jednak Njangu zdołał zrobić coś więcej, Brooks skrócił dystans. Był silny, praca w kopalni wyrobiła mu mięśnie. Jednym uderzeniem w brzuch wycisnął Yoshitarowi powietrze z płuc. Gdy Njangu walczył o złapanie tchu, Raum spróbował zacisnąć mu dłonie na gardle, jednak uniemożliwiła mu to opuszczona nisko broda. Spróbował więc wbić palec w oczy przeciwnika.

Njangu sięgnął wolną ręką do pasa i wymacał zapięcie pochwy z nożem, który otrzymał podczas przysięgi. Po chwili wbił go w bok Brooksa. Raum krzyknął i odskoczył z klingą między żebrami. Wtedy huknęły strzały. Garvin wpakował mu trzy pociski prosto w pierś.

Brooks okręcił się dokoła, wyciągnął ręce ku niewidocznemu niebu i upadł.

–Nie, żebym potrzebował pomocy, ale dziękuję – powiedział Njangu, chociaż w gardle go paliło i musiał się oprzeć o ścianę, żeby wstać.

–Nie potrzebowałaś pomocy? – spytał oburzony Garvin. – Gdyby nie ja, wyjąłby sobie ten nóż i wpakował ci go w tyłek.

–Pieprzenie – wychrypiał Njangu i pokuśtykał do wyjścia.

Wyszli na słońce. Ulica była zasłana ciałami Raumów, ale oni ich nie obchodzili.

Njangu spojrzał w twarz Kipchaka. Chciałby z niej wyczytać nienawiść, pogodzenie z losem czy gniew, ale niczego nie znalazł.

–Hej! Jedna żyje! – zawołał jakiś żołnierz i uniósł blaster do ramienia.

–Nie! – krzyknął Njangu. – Potrzebujemy jeńca! Żołnierz niechętnie opuścił broń, a Njangu podniósł leżący obok zwłok blaster i pokuśtykał do poruszającej się kobiety. To była Poynton.

Spojrzała na niego.

–Zabij mnie do razu – powiedziała.

–Jesteś ranna?

Potrząsnęła głową.

–Wybuch mnie ogłuszył.

–To wstawaj.

Posłuchała, krzywiąc się przy każdym ruchu.

–Przede mną. Do griersona.

–Boisz się strzelić do mnie przy twoich braciach i siostrach? – zapytała szyderczo.

–Szanowna pani, jestem zbyt zmęczony, żeby bać się czegokolwiek. Ruszaj się!

Przeszli obok griersona, po czym Njangu pokazał jej, że ma skręcić w boczną uliczkę.

Blada i z płonącymi oczami nie próbowała się sprzeciwić.

–No dalej – powiedziała. – Jestem gotowa.

–Spieprzaj, Jo.

–Zastrzelona przy próbie ucieczki? Wolę umrzeć tu, gdzie stoję.

–Powiedziałem, żebyś zabrała stąd swój kształtny tyłek, do cholery! I nigdy, ale to nigdy nie pakuj się w podobny syf.

Jo Poynton spojrzała na niego uważnie i zaczęła się cofać tyłem. Gdy była już w odległości dziesięciu metrów, okręciła się na pięcie i pobiegła. Zniknęła za rogiem.

Njangu odwrócił się i zobaczył Garvina z pistoletem w opuszczonej luźno ręce.

–Dlaczego to zrobiłeś? – zapytał Jaansma.

Njangu wzruszył ramionami.

–Wydawało mi się, że to będzie dobry pomysł.

Dwa tygodnie po śmierci Brooksa caud Prakash Rao ujrzał na ekranie swego kompa twarz Aesca. Obok niego stał drugi musth, Wlencing.

–Opuszczamy wasz układ.

–Tak?

–Wracamy na nasze światy – powiedział musth. Osstrzegaliśmy wass, do czego dojdzie, jeśli choć jeden mussth zginie. Teraz muszę naradzić ssie z naszymi przywódcami.

Nie zamierzam doradzać im utrzymania obecnego pokojowego kursu. Byłaby to czystsza głupota.

Wlencing wystąpił naprzód.

–Gdy znowu ssie sspotkamy, to najpewniej z wysuniętymi pazurami. Nie wrócimy tu z inżynierami i górnikami, tylko z żołnierzami. A wtedy zrobi się ciekawie.

Garvin Jaansma zapłacił za taksówkę. Był w nowiutkim granatowym mundurze z rzędem baretek na piersi.

–Mam zaczekać? – spytał taksjusz.

–Nie – powiedział Garvin i wszedł po stopniach prowadzących do posiadłości.

Kolumny po obu stronach wejścia przybrane były czarnymi wstęgami, a na drzwiach wisiał wieniec żałobny. Jaansma skrzywił się i zadzwonił. Usłyszał przytłumiony hałas, zobaczył, że kamera się poruszyła, jednak przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Już chciał zadzwonić ponownie, gdy w drzwiach stanął rosły, dobrze ubrany mężczyzna. Widać było, że pod pachą nosi broń.

–Tak, sir?

–Jestem Garvin Jaansma, przyjaciel Jasith. Czy jest w domu?

–Jest – odparł ochroniarz, rozkładając jakąś kartkę. Prosiła, abym powtórzył panu dokładnie kilka zdań. – Spojrzał na kartkę i przeczytał: – „Odejdź, proszę, Garvinie, i nie próbuj więcej się ze mną spotykać. Przejęłam kompanię ojca i będę teraz bardzo zajęta.

Gdybym nadal cię widywała, przypominałoby mi to nieustannie o tym, co się zdarzyło i jak ty oraz inni żołnierze nie zdołaliście uchronić mojego ojca od śmierci”.

Garvin zamrugał.

–To nie ma sensu.

–Mellusinowie nie muszą dbać o sens swoich słów odparł spokojnie ochroniarz.

–Rozumiem, że nie zdołam pana przekonać, aby mnie pan do niej wpuścił? Może gdybym z nią porozmawiał... Garvin zawiesił głos.

Mężczyzna pokręcił głową.

–Przykro mi, alcie. Jest, jak jest.

Garvin zaczął schodzić po schodach. Za jego plecami z cichym trzaskiem zamknęły się drzwi.

Spojrzał na długą i krętą drogę wiodącą do Leggett.

–Widać marzenia nie zawsze się spełniają – powiedział cicho i poszedł.

–Czyli to już koniec? – Garvin odwrócił butelkę. Była pusta, rzucił ją więc z balkonu budynku dla młodszych oficerów. Sięgnął do kubelka z lodem po następną i spojrzał nieco nietrzeźwo na kapsel. Wyciągnął nóż bojowy, i uderzył tępą stroną w szkło.

Szyjka ułamała się gładko. Pociągnął łyk i przekazał butelkę Njangu.

Yoshitaro upił dwa łyki.

–Chyba byłeś lekko do przodu – wyjaśnił. – Tak, myślę, że to koniec. O ile caud Rao dopilnuje wyborów, a rentierzy zrozumieją, że mają siedzieć cicho i robić swoje, czyli pieniądze. Życzę im powodzenia. Tak jak tym pieprzonym Raumom, którzy przeżyli i awansowali nagle na ulubieńców całego społeczeństwa. Jeszcze trochę, a będzie to najlepszy ze światów.

Garvin pomyślał o Jasith. Coś ścisnęło go w gardle i sięgnął po butelkę.

–W holo koniec wojny wygląda całkiem inaczej – powiedział tonem skargi.

–A tak. Sporo nas to kosztowało. Williams, Vauxhall, Gonzales...

–Hank Faull.

–Petr.

–Tak, Petr – powiedział Njangu możliwie spokojnym głosem. – Ale wszyscy dostali medale, a ty i ja jesteśmy oficerami, nawet jeśli trochę oszukiwałeś, przez co ja zostałem tylko głupim aspirantem.

–Spokojnie, żołnierzu – powiedział Garvin, starając się poprawić nastrój. – Awanse są dla tych, którzy dobrze służą. Wiesz, że Penwytha też promowali? Mieli do wyboru to albo sąd polowy za nieprawne podanie się za oficera.

–A my dostaliśmy kompanię zwiadu tylko dla siebie.

–I nic już nie będzie w niej takie jak kiedyś. Pogadałem dzisiaj dłużej z Jonem i Angara. Planujemy reorganizację. Ludzie Liskearda pójdą do pułku, a Angara doda nam drużynę zwiadu powietrznego. Będziemy mieli griersony i może parę zhukovów.

Nigdy więcej cooków. Ben Dill też awansuje i zajmie się całym parkiem. Monique będzie jęczała i klęła, ale dostanie twega. Proponowali jej więcej, ale gdy spróbowałem ją namawiać, żeby to przyjęła, zaraz się wściekła. Myślałem, że mi przyłoży. Teraz ty i ja utworzymy zespół. Ty będziesz myśleć, a ja będę robić wrażenie, że wszystko wiem. Szczególnie w rozmowach z młodym wojskiem. Dill

będzie dowozić nas na pole bitwy. Wszystko jak trzeba.

–Zatem cnota została nagrodzona – powiedział Njangu.

–Tak jakby.

–To dlaczego nie jest mi od tego lepiej?

–Bo za mało wypieś. – Garvin podał mu butelkę. Życie robi się ciekawe, gdy musthowie nam tu zawitają. Albo gdy Redruth zasadzi się na nasze młode dupcie.

Przez chwilę pili w ciszy.

–Pamiętasz, jak nawialiśmy z Malverna? – zapytał Njangu. – Petr śpiewał i recytował wszystko, co pamiętał.

–No i?

–Powiedział pewien wiersz. Szło to jakoś tak: „Nie darzę nienawiścią tych, z którymi walczę, nie kocham tych, którzy strzegą mojego spokoju”.

–Epitafium Petra?

–Albo nasze – powiedział Njangu. – Co za głupi sposób na życie – dodał po chwili.

Garvin chrząknął potakująco i odzyskał butelkę.

–Niestety, innych akurat nie ma na składzie.

Dodatek

Słońce układu Cumbre jest średniej wielkości gwiazdą zmienną o średnicy około półtora miliona kilometrów. Obiega je trzynaście planet nazwanych, raczej bez wyobraźni, od kolejnych liter alfabetu. A oraz B znajdują się zbyt blisko słońca, aby nadawać się do zamieszkania. Mają rzadką atmosferę. Utrzymuje się na nich jedynie astronomiczne stacje badawcze.

Ludzie i musthowie zdecydowali się na kolonizację układu z uwagi na bogactwo kopalin występujących na Cumbre C. Wydobywa się na niej mangan, wolfram, wanad, niob, tytan, godarium, żelazo gamma naturalnego pochodzenia i niektóre metale szlachetne.

Zbudowane przez obie rasy kopalnie zmieniły krajobraz tej planety. Nie ma na niej dobrych warunków do zamieszkania, chociaż ludzie czują się tu lepiej niż musthowie. Krąży wokół niej jeden księżyc, Balar.

Cumbre E jest zimna, mało przyjazna dla człowieka, ale dobra dla musthów, którzy nazywają ją Silitric i uważają za najważniejszą w układzie.

Planety F, H i I to lodowe giganty.

Cumbre G została w przeszłości częściowo zniszczona w zderzeniu z pozasystemową asteroidą. Na jej orbicie krąży duża liczba małych księżyców.

J oraz K to planetoidy, na których znajdują się niewielkie stacje obserwacyjne.

L i M, nieco większe niż J oraz K, niemal na pewno są przechwyconymi asteroidami.

Krążą po mocno wydłużonych orbitach.

Cumbre D jest przede wszystkim światem człowieka. Ma trzy małe księżyce: Fowey, Bodwin i Penwith. Tylko największy i najbliższy, Fowey, wywołuje zauważalne pływ.

Cumbre D ma na równiku średnicę około trzynastu tysięcy kilometrów. Kąt nachylenia jej orbity wynosi czternaście stopni, co powoduje o wiele mniejsze zróżnicowanie stref klimatycznych niż na Ziemi. Nie ma tu także mas kontynentalnych, tylko bardzo liczne wyspy, głównie w pasie tropikalnym. Dwa większe obszary lądu znajdują się na biegunach.

Niektóre wyspy są całkiem duże, głównie te pochodzenia wulkanicznego. Erozja wygładziła kraterzy dawnych wulkanów, które zmieniły się w płaskowyże o zdecydowanie surowszym klimacie niż niziny. Jest tam zawsze wilgotno i zimno, często występują mgły.

Roślinność jest uboga, przeważają paprocie, od wielkich po bardzo drobne. Na największym z tych płaskowyży, na wyspie Dharma, zbudowali swoją bazę musthowie.

Człowiek osiedlił się na poziomie morza, głównie w tropikach. Stolica planety, Leggett, leży w północno-zachodniej części Dharmy. Zajmuje też trzy pobliskie wysepki.

Poza tym na planecie, w strefie umiarkowanej i tropikalnej, są jeszcze dwadzieścia cztery mniejsze miasta.

Klimat jest łagodny i nie stwarza wielu zagrożeń pogodowych, chociaż na otwartym oceanie z dala od wysp występują niekiedy olbrzymie, okrążające cały glob fale, a pora deszczowa bywa dokuczliwa. Środowisko naturalne generalnie jest przyjazne, chociaż w dżunglach żyją nie sklasyfikowane jeszcze drapieżniki, w morzu zaś można napotkać groźne dla człowieka wielkie węże, meduzy oraz drapieżne ryby. * Patrz Dodatek.

Szekspir, Henryk V, w przekładzie Leona Ulricha, 1958.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-17

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/